

**John Updike**

# **Miasteczka**

**Przełożył Wojśław Brydak**

*Miłości moja, bądźmy wierni sobie!  
Bo świat ten, który ci się zdaje  
Jak gdyby marzeń przeniesionym rajem,  
Tak pięknym, nowym, barwnym w każdej dobie,  
Jest bez uczucia, radości, uroku,  
Bez żadnej wiary, ufności, pomocy...*

Matthew Arnold, *Wybrzeże w Dover*  
przekład Juliusza Żuławskiego

# 1. ŚNIJ, DROGI OWENIE

Już od dawna żona Owena budziła się wcześnie, o piątej lub w pół do szóstej. Julia pod wpływem rytmów swej chemii, niekiedy niezharmonizowanych z rytmem Owena, budzi się przepelniona czułością do towarzysza owej łóżkowej, wyzbytej ruchu podróży przez noc i sen pełen mielizn. Obejmuje Owena, nie zważa na protesty zaspanego i cicho a nieustępliwie oznajmia, jak bardzo go kocha, jak ją cieszy ich małżeństwo.

– Jestem z tobą taka szczęśliwa.

To po wspólnym przeżyciu dwudziestu pięciu lat. Owen ma lat siedemdziesiąt, Julia sześćdziesiąt pięć; deklaracja, jej zdaniem warta wygłaszania, trochę obraża Owena: jak może być inaczej? Po tych wszystkich przeprawach, po bólu, który zadali innym? Przebrnęli przez to, są już po drugiej stronie, tutaj. Julia tuli się do niego, obraca głowę Owena, żeby całować go w usta. Lecz Owen – z wargami obrzmiałymi, odrętwiałymi od snu, pogrążony w stanie znieczulenia, zubożenia nerwów – odczuwa to jak próbę uduszenia, głaskanie pod włos, jak kiedyś mawiano. Po paru minutach miłosego wiercipięctwa, w którym Owen uparcie odmawia udziału, strzegąc szansy powrotu do swych cennych snów, Julia uspokaja się i wstaje, Owen zaś z wdzięcznością wyciąga się, wsuwa na wolne miejsce po jej stronie i zasypia jeszcze na godzinę czy dwie.

Pewnego ranka, podczas tej ostatniej, kradzionej godziny, śni, że w nieznanym domu (obskurnym, o aurze przestrzeni publicznej, w rodzaju pensjonatu czy szpitala) pozbawione twarzy urzędowe indywidua prowadzą go do pokoju, w którym na łóżku – przypominającym to domowe, złożone z dwóch złączonych pojedynczych – jakiś mężczyzna o pulchnych pośladkach, raczej młody, sądząc po gładkości białego ciała, leży na ciele żony Owena, jakby próbował reanimacji lub (to wcale nie to samo) szukał ukrycia. Posłuszny władcom ceremonii, owym milczącym indywiduom, obcy usuwa się, odsłaniając ciało żony Owena, też nagie, leżące na wznak; biały, rozlany brzuch, piersi spłaszczone przez siłę ciężenia, jej kochany, dobrze znany seks w zwiewnym futerku. Żona nie żyje, to samobójstwo. Znalazła sposób, by uwolnić się od bólu. Owen myśli: Gdybym się nie wtrącał, jeszcze by żyła. Chce ją objąć, tchnąć w nią życie, wyssać z niej tę truciznę, którą wsączył w nią swym istnieniem.

Potem powoli i opornie, jakby odrywał uwagę od wciąż nie rozwikłanej zagadki, Owen budzi się; Julia, rzecz jasna, nie jest martwa, zeszła na dół, sprawiła, że dom wypełnił się zapachem kawy i odgłosami porannego programu telewizyjnego, przekomarzaniem się paru głosów, żeńskich i męskich. Wiadomości dla kierowców i pogoda; Julia przepada za jednym i drugim, niezmiennie ciekawia ją warunki na szosie, chociaż od trzech lat nie dojeżdża do Bostonu. Owen słyszy odgłos gumowych

niebieskich kłapek, których Julia nie chce się wyrzec, jakby wciąż była młoda i wybierała się na plażę; klap-klap, od lodówki do blatu, do stolika śniadaniowego, do zlewu, młynka na resztki i do zmywarki, tam i z powrotem, potem do jadalni, gdzie podlewa rośliny. Może Julia kocha rośliny za sprawą tego samego gruczołu emocjonalnego, który służy jej do kochania pogody. Odgłos kłapek i ryzyko, jakie stanowią dla nóg Julii – wciąż się jej zdarza poślizgnąć na schodach – złoszczą Owena, niemniej bardzo lubi widok jej nagich palców u stóp – troszkę rozcapierzonych, jak u ciężko pracujących Azjatek – ze stawami lekko zbielełymi od ucisku kłapek. Julia jest drobną brunetką o jędrnym ciele i w przeciwieństwie do pierwszej żony Owena miewa ładną i gładką opalenizną.

Bywają dni, że na wpół obudzonemu Owenowi udaje się zasnąć na nowo tylko dzięki przypomnieniu którejs z kobiet, Alissy bądź Vanessy, Karen bądź Fay, z którymi w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych dzielił to samo miasteczko, Middle Falls w Connecticut. Zaciskając w dłoni zaspanego kutasa, rozluźnia się na myśl, że którąś z tych kobiet ma pod sobą, obok siebie, nad sobą, że odrzuca do tyłu jej włosy, kiedy ona nachyla twarz nad jego nabrzmałym trzonem, który każdym nerwem domaga się wilgoci, bo wie, że oto nadchodzi kontakt; ale dzisiejszy dzień nie jest taki. Wiosenne, białe, coraz mocniejsze słońce bezceremonialnie przedziera się przez zasłonę, w oknie. Prawdziwy świat – ów tygrys, który ma

za nic sen Owena – wyczekuje. Pora wstawać i wziąć na barki dzień nader podobny do wczorajszego; zwierzęcy optymizm Owena uznaje ów dzień za pierwszy w bezkresnym ciągu zmierzającym w przyszłość, lecz mózg – u istot z gatunku homo sapiens przerośnięty – wie, że będzie kolejnym z zasobu ograniczonego i topniejącego.

Wokół ich prywatnego wzgórza budzi się Haskells Crossing, powiedzmy, że miasteczko; cichy, nieustający odgłos ulicznego ruchu przedziera się przez sosnę i gips ścian domu, jak przedarł się przez rosnący niżej wythumiający las. Już przywieziono gazety – „Boston Globe” dla Owena i „New York Timesa” dla Julii. Od dawna uwijają się ptaki, drozdy dziobią w poszukiwaniu robaków, wrony dobierają się do pędraków w trawniku, jaskółki łapią w locie komary, gatunki wabia się własnymi, wylęgłymi w ptasich mózdkach kodami. W drodze do łazienki Owen woła ze szczytu schodów:

– Dzień dobry, Julio!

Ona odkrzykuje w odpowiedzi:

– Owen! Wstałeś!

– Oczywiście, złotko. Już po siódmej, kochanie.

W miarę jak się starzeją, dziecinnieją ich dialogi. W dobiegających na górę słowach Julii pobrzmiewa akcencik sporu, drażnienia:

– Od kiedy nie musisz zdażyć na pociąg, sypiasz zawsze do ósmej.

– Ależ z ciebie kłamczucha, słonko! Nigdy nie sypiam dłużej niż do siódmej, mogę o tym tylko

pomarzyć – ciągnie Owen, mimo że nie wie, czy Julia jest jeszcze w pobliżu schodów i czy go słyszy – bo to jeden ze zwyczajów przychodzących z wiekiem: człowiek zrywa się z łóżka wraz z ptakami. Poczekaj, ciebie też to spotka.

Oto małżeński absurd: świergotanie kodami godnymi ptasich mózdków. Gdyby dzień był komputerem, myśli Owen, tak by właśnie startował, ładując pamięć operacyjną. Rzeczywiście, Julia śpi mniej niż on (jak i pierwsza żona, Phyllis), natomiast fakt, że Julia jest o pięć lat młodsza, wciąż napawa Owena dumą i stanowi podniecie seksualną, podobnie jak widok jej palców u nóg wyzierających z niebieskich kłapek. Owen lubi też patrzeć poniżej rąbka jej szlafroka, na oddalające się różowe pięty, na pionowe kreski ścięgien Achillesa zamieniające się miejscami krok za krokiem, kiedy Julia pewnie stawia stopy, po kobiecemu lekko skierowane na zewnątrz.

Prowadzą tę rozmowę, kiedy Owen czeka z przepelnionym pęcherzem u drzwi swojej łazienki, przy schodach prowadzących do kuchni. Zapamiętany ze snu widok jego ukochanej Julii, nagiej i martwej, wyniesione z tegoż snu poczucie winy, że to on ją doprowadził do samobójstwa, że w istocie popełnił morderstwo, wciąż są bardziej wyraziste niż jawa – tapeta w sepiowe róże (półmat metalik), nowy dywan w holu o beżowym, tchnącym świeżością włosiu, gruby i sprężysty – niż nadchodzący dzień, po którego godzinach wypadnie się

wspinać jak po szczeblach starej, niebezpiecznej, rozlatującej się drabiny.

Owen goli się przed lustrem koło okna – w lustrze widać starą twarz nadwerżoną przez słońce, zeszeconą worami, nielitościwie powiększoną, bezwzględnie potraktowaną przez przednie światło – i słyszy ptaka przedrzeźniacza, usadowionego w ulubionym miejscu na czubku najwyższego cedru, skarżącego się na coś długim trelem bądź wyrzekającego na jakieś pomniejsze chroniczne uchybienia protokolarne. Matka Natura na wszystkich miejscowych poziomach – ptaków, owadów, kwiatów, płochliwej fauny złożonej z pręgowców, świszczy pomykających tam i z powrotem z nory i do nory, jakby je zaraz miał porazić wystrzał – ma własne oploty interesów, obaw, sposobów porozumiewania; dla niej świat ludzi to tylko bałagan na marginesie, poboczna zagadkowość, sporadyczne zakłócenie rzadko zagrażające życiu, coś bez widocznego związku z organicznym bogactwem (w rodzaju śmietników czy ogrodów), którym ludzkie istoty zasilają stół przyrody. Mają nas gdzieś, myśli Owen. Powinniśmy być dla nich bogami, lecz brak im naszej zdolności wielbienia – daru przewidywania wraz z tym, co niesie: trwogą, zawiłym mentalnie płaszczaniem się, wreszcie wynalezieniem życia pozagrobowego. Zwierzęta nie dostrzegają różnicy między nami a innymi zwierzętami ani między nami a skałami czy drzewami, opatrzonymi właściwym sobie zapachem i odpowiednim znaczeniem w walce o byt.



Ziemia daje schronienie skorpionom i świszczom, sekstylionom mrówek; gwiazdy to przewodniczki gęsi kanadyjskich i arktycznych rybitw, dymówek i motyli-monarchów w ich dorocznych masowych wędrówkach. Jesteśmy tylko kropkami w dole, pod ich skrzydłami, nasze miasta to tylko cuchnące, jałowe wyrwy w dyskursie łowców i ofiar. No nie, nie wyrwy, bo liczne gatunki wybierają sobie miasta na siedlisko; nie tylko szczury lgną do piwnic, a nietoperze do strychów, bo jastrzębie i gołębie osiedlają się na występach drapaczy chmur, a ostatnio po podmiejskich podwórkach wałęsają się bezczelnie i bezradnie jelenie, zarazem ulubieńcy i szkodniki.

Owen napina dolną wargę, w oczekiwaniu na łaskotliwe pociągnięcia maszynki z boku. Próbuje się ogolić bez patrzenia na twarz; nigdy nie była tą akurat twarzą, której by sobie życzył, za duży nos, za mały podbródek. Kusząca słabość, mimo to bystrooka czujność. Ostatnio bruzdy biegną od kącików ust, powieki są pomarszczone jak u pustynnego gada, rano ich fałdy zawadzają o rzęsy, ugniatają je. Owen nie znosi tego dobrze znanego odczucia, że coś utkwiło w oku, licho wie co, ale dokucza. Pyłek kwiatowy. Rzęsa. Może pęknięcie naczyń włosowatego. Niewielka, rozciągnięta na jedną czy dwie przecznice przemysłowa strefa Haskells Crossing daje o sobie znać; przez drewnianą izolację za plecami Owena dobiegają odgłosy maszyn, parskanie gaźników, ostrzegawcze piski ciężarówek na wstecznym;

strefa jest słyszalna, lecz niewidoczna z domu Owena ukrytego w zieleni na wzgórzu. Chociaż z okien na piętrze Owen wyraźnie widzi światła miasteczka, to w miasteczku nie znalazł ani jednego miejsca, z którego byłoby widać ten dom. To cieszy Owena: przypomina jego świadomość, niewidzialną, chociaż stanowiącą centrum.

W dzieciństwie uważał, że świat jakimś cudem zostaje wprawiony w ruch na skutek przebudzenia Owena. To, co się zdarzyło przed przebudzeniem, jest jak czas sprzed jego przyjścia na świat, jak niezgłębialna otchłań. Zawsze go zdumiewa, jak wcześnie się zaczyna poranna krzątania, czy w miasteczkach czy dużych miastach, i to nie tylko krzątania przysłowiowych ptaków czyhających na robaki, ale i ludzi; dojeżdżający spieszą się, żeby złapać pociąg o szóstej jedenaście, w tym czasie właściciel sklepu warzywniczego już wrócił załadowaną ciężarówką z targu koło Callahan Tunnel, ćwiczące jogging młode matki już zaliczyły swoje mile, nim staną z dziećmi na przystanku autobusowym, miasteczkowe obiboki już się ulokowały na ławce obok pomnika wojennego, przy starym ceglanym budynku straży pożarnej przy głównej ulicy, naprzeciw piekarni. Piekarz, niedogolony francuskojęzyczny Kanadyjczyk z piersią zapadniętą od nadmiaru papierosów, jest na nogach od czwartej i zimne powietrze nasącza zapachem piekących się jeszcze croissantów, bułeczek cynamonowych i babeczek z jagodami.

Owen może to wszystko dostrzec okiem wyobraźni; tymczasem pozbywa się resztek mydła do golenia, wysuwając do przodu ów niedorozwinięty podbródek, by napiąć luźne bruzdy pod spodem. Budynek straży pożarnej, jeśli to kogoś ciekawi, jest zdobioną dziewiętnastowieczną konstrukcją, w której ledwie się mieści nowoczesny wóz bojowy, świeżo nabyty przez radnych Cabot City; Haskells Crossing to odległy obwód wyborczy tej miejscowości; po każdym wezwaniu – zazwyczaj fałszywym alarmie – wóz wjeżdża tyłem na swe leże, nerwowo popiskując, bo z obu stron zostało tylko parę cali wolnej przestrzeni. Pomnik wojenny to gotowa do poszerzeń lista nazwisk, z białych liter wstawianych na nacinaną czarną powierzchnię pod szkłem; poległych z Haskells Crossing spisano od czasów wojen z Francją i Indianami. Najwięcej zginęło w wojnie secesyjnej, po nich kolejna grupa to zabici w drugiej wojnie światowej. Pod wojną koreańską (dwa nazwiska), wietnamską (cztery) oraz akcją w Iraku z 1991 roku (jedno nazwisko, członek obsługi, pechowo zmiądzony podczas wyładowywania sześćdziesięciosiedmiotonowego M1A1, ciężko opancerzonego czołgu Abrams, z trzewi transportowca C-5 Galaxy na lotnisku Al-Dżubajl w Arabii Saudyjskiej) pozostawiono sporo miejsca dla przyszłych ofiar przyszłych konfliktów. Rozważna gospodarność Nowej Anglii podoba się Owenowi. Tu znalazł docelowe miasteczko.

Pierwsze było w Pensylwanii: obdarzone pełnią praw miejskich cztero tysięczne Willow, „miasteczko przydrożne” wśród kukurydzianych i tytoniowych pól, wyrosłe z samotnego zajazdu przy szosie, gdy wiek dziewiętnasty przemienił się w dwudziesty. Szosa – towarzysząca przez czterdzieści pięć mil rzecę płynącej na południowy wschód – docierała w końcu do Filadelfii, lecz tam nazywała się już Mifflin Avenue, na cześć kłótliwego pierwszego gubernatora Stanu-Kamienia Węgielnego<sup>1</sup>. O trzy mile dalej w innym kierunku leży Alton – średniej wielkości miasteczko z fabrykami z poczerńiałej cegły usadowionymi wśród szeregowców, z torami kolejowymi dzielącymi śródmieście na dwoje i dzielnicą czerwonych latarni, z narożnymi barami licowanymi klinkierem, kinami-pałacami o pseudoarabskim przepychu i hałaśliwymi, spasionymi tłuszczem restauracjami. „Zdziercze speluny” mawiał o nich ojciec. Nie cierpiał jadać na mieście; nie cierpiał obsługiwania, zwłaszcza przez mężczyzn, których uważał za droższych i bardziej natrętnych niż kelnerki; nie cierpiał obfitego restauracyjnego jedzenia, którym czasami później wymiotował na znak pogardy; nie cierpiał deseru, naliczenia podatku i napiwku. Kochająca dobrze zjeść matka Owena – zawsze za tęga, jeśli nie liczyć najwcześniejszych synowskich wspomnień – siedziała tam zastraszona, kipiała ze złości, tymczasem mąż metodycznie zatruwał jej przyjemność. Tak to w każdym razie widział ich jedynak, o ograniczonym

wglądzie w ów dramat małżeński. Chociaż Owen, szatyn, odziedziczył po ojcu włosy o zmatowiałym ochronnym odcieniu (mimo to jakie jasne się wydawały, kiedy się unosiły w chwili zdjęcia kapelusza lub w podmuchu wentylatora), to sympatia chłopaka była po stronie kasztanowłosej matki. Zagnieździł mu się natomiast w żołądku ojcowski dręczący lęk przed roztrwonieniem pieniędzy. Może nieprzypadkowo losy zawiodły Owena na północny wschód, do krainy kamienistej, płytkiej gleby oraz awersji do wydatków.

Zajazdy z piaskowca – załążki miasteczek, z których jedne rozkwitały, rozrastały się, inne zaś zamieniały w skupiska butwiejących domostw – w Pensylwanii sadowiono przy drogach mniej więcej co trzy mile, o godzinę marszu, lub licząc inaczej, w odległości, po której przebyciu trzeba już latem poić konie zaprzężone do ciężkiego farmerskiego wozu. Farmerski sposób życia wciąż rządził biegiem czasu. Starzy ludzie drzemali w środku dnia. Na ulicy sąsiedzi sprzedawali sobie szparagi, fasolę i pomidory wyhodowane w ogródku za domem; rankiem na wspinającej się na wzgórze Mifflin Avenue (podczas deszczu rynsztoki zamieniały się tu w bystrza) rozbrzmiewały podkowy koni człapiących u wozu na wiejski targ oddalony o pół mili, po drugiej stronie Alton Pike, głównej ulicy, której środkiem biegły szyny tramwajowe. Zanim urodził się Owen, w roku 1933, zanim – z braku innego – zabrano go do domu dziadka w Willow, a Roosevelt został świeżo zaprzysiężonym

prezydentem, miasteczko zawdzięczające nazwę ogromnemu staremu drzewu za zajazdem, czerpiącemu korzeniami wodę z potoku meandrującego ku Filadelfii, zostało włączone właśnie do Filadelfii jako odrębna dzielnica. Powstały boczne ulice wspinające się na wzgórze równoległe do Mifflin: Druga, potem Trzecia i Czwarta, którymi dzieciaki zjeżdżały w zimie na sankach po grubym ubitym śniegu, podskakując na skrzyżowaniach na śnieżnych barykadach, by wreszcie zakończyć zjazd pióropuszem iskier, tryskających spod płóz na warstwie popiołu rozrzuconego z ciężarówek przez ludzi z dzielnicowej służby drogowej. Iskry, gruby śnieg, choinki we frontowych salonikach wszystkich domów przy drodze do szkoły – trwało to zaledwie kilka dni, rychło splamione przez burą, mokrą zimę, lecz zapewniało wspomnienia żywe przez cały rok i było czymś, co wprawia czas w ruch, co jest sprężyną popychającą go do przodu w dziecięcej wirtualnej wieczności.

Ciepło było od marca do października. Nad Willow sadowił się opar. Okna sypialenki Owena, wyłożonej boazerią i opatrzonej jedyną półką na książki, wychodziły na niezabudowaną parcelę, na której Owen często bawił się z dziećmi z sąsiedztwa; latem po kolacji przez godzinę, w mlecznej poświacie zmierzchu, w wysokiej szorstkiej trawie o dojrzałych już kłosach. W palanta, w chowanego, w futbol w podwórkowym wydaniu – w to wszystko grywały też dziewczęta; w sąsiedztwie było ich

więcej niż chłopców. Na tej parceli pewnego razu, w gęstej mokrej trawie uginającej się pod ciężarem rosy – była już jesień i znów szkoła – Owen natknął się na własne okulary w brązowym zatraskującym się futerale, które przepadły parę dni wcześniej. Więc są! Przetrzęsnał cały dom, a matka mu wyjawiała, o ile żalu przyprawi biednego ojca konieczność płacenia za nowe. To cud, wydało się dziecku schylającemu się po futerał, przemoczony po trwającym dni i nocie cierpliwym czekania, aż Owen nań natrafi. Teraz Owen go trzyma, a w środku są te wyostrzające wzrok dyski w złotym obrąbku, te maleńkie łódeczki pozostawiające odciski na nosie Owena, te metalowe pałaki uwierające w uszy. Kiedy w drugiej klasie Owen dowiedział się, że musi do czytania i w kinie zakładać okulary, rozplakał się. Pocieszył się pewnego dnia, że może z nich wyrośnie. Może znalezienie okularów nie było takim cudem, bo tę ścieżkę biegnącą na ukos przez chwasty przemierzał codziennie, żeby spotkać się z Buddym Rourke, przyjacielem ze starszej klasy, z którym razem szli do szkoły, trzymając się z dala od paczki dziewcząt z Drugiej Ulicy. Buddy nie miał ojca, co czyniło go kimś niezwykłym i trochę niepokojącym. Nachmurzony, o zrosniętych brwiach, Buddy miał proste, szorstkie włosy, zjeżoną szczotkę gotową bóść, i usta, na których nigdy nie zagościł uśmiech, a to z powodu aparatu, lśniących nitek metalu ze srebrnymi kwadracikami pośrodku każdego zęba. Owen chciał pobiec z powrotem, żeby

opowiedzieć matce o znalezieniu okularów, dzięki czemu ojciec nie będzie musiał znowu płacić, ale też nie chciał się spóźnić na spotkanie z Buddym, więc tylko przyśpieszył; odnaleziony futerał przemoczył mu kieszeń krótkich spodni i Owen poczuł na udzie dreszcze.

Kiedy indziej z tej samej strony domu, już spoza parceli, dobiegł Owena wczesnym rankiem odgłos wystrzału. Wcześniej Owen spał. Miał wrażenie, że był już świadomy na chwilę przed tym, co usłyszał, przed hałasem, który go zbudził. Widział dość filmów gangsterskich, żeby odróżnić huk broni palnej od perkusji, lecz w kinie strzelanina automatów wzbierała falami, tu zaś rozległ się pojedynczy wystrzał, samotny.

Rodzice też usłyszeli; zza zamkniętych drzwi ich sypialni dobiegły Owena odgłosy zamieszania, męski głos przeplótł się z kobiecym, potem znowu zapadła cisza. Na dworze ustępowała ciemność, na sąsiednim podwórzu, zanim ptaki wszczęły świergot, drzewa już miały sylwety, wielkie, zanurzone w niebie, powlekały się tym szarym światłem z przymieszką czerwieni jak farbą. Ulica milczała w bezruchu; zabrakło nawet farmerskiego wozu. Potem Owen usłyszał syrenę, a jeszcze później, przy śniadaniu, ojciec, zdążywszy już na ulicy zebrać nowiny, powiedział, że u Hoffmanów, o dwa domy dalej za pustą parcelą, z wojskowego colta 38, którego Wes Hoffman trzyma od Wielkiej Wojny, zastrzelił się młody człowiek. Danny Hoffman nie miał jeszcze dwudziestu lat; na



letnim obozie dzieciak będący pod jego opieką skoczył do płytkiej wody i przetrącił sobie kark. Poczucie winy wciąż dręczyło Danny'ego, chociaż nieszczęście wydarzyło się poprzedniego lata. Danny przestał być sobą, tkwił w domu, przestał szukać pracy i słuchał odcinkowych powieści radiowych.

To sprawę wyjaśniało. Od 1933 do 1945, czyli w ciągu dwunastu lat zawierających i Wielki Kryzys, i drugą wojnę światową, było to najbardziej dramatyczne wydarzenie w sąsiedztwie Owena. Mieszkająca po drugiej stronie ulicy pani Yost wywiesiła we frontowym oknie sztandar z pięcioma gwiazdami, lecz jej synowie-żołnierze – cała piątka jak jeden mąż – wrócili cali i zdrowi. Sprawcą ciąży Mary Lou Brumbach, zaledwie siedemnastoletniej, okazał się Skip Potteiger, jej sąsiad, ale ożenił się z Mary Lou, więc wszystko było w porządku; kiedy nadszedł D-Day, Mary Lou popychała już wózek w drodze do Acme i z powrotem, przez płytkie koryta odprowadzające deszczówkę z dachów do rynsztoka, po płytach chodnikowych podważanych przez korzenie kasztanowców i ścinających z nóg każdego wrotkarza. W gorące letnie wieczory na ulicy świetnie było słyszeć odgłosy rodzinnych kłótni; dobiegały zza przesłoniętych siatkami okien ludnych szeregowców po drugiej stronie, tej wyższej, gdzie do domów prowadziły betonowe schodki w niebezpiecznie odchylonych ściankach oporowych. Niemniej, jak Owen sięga pamięcią, nie było tu rozwodów. Podniesione głosy,

krzyki, trzaskanie drzwiami, owszem, to się w sąsiedztwie zdarzało, ale na rozwody pozwalano sobie gdzie indziej, w Hollywood czy Nowym Jorku; były tragicznymi skandalami i powodowały coś, czego nikt sobie nie życzy, a już z pewnością żadne dziecko: rozbicie domu. Sam zwrot brzmiał grzesznie i straszliwie, miał smak popiołu i katastrofy, jak te zbombardowane i dymiące domy, których pełno było w kronikach filmowych Movietone wyświetlanych w Szeherezadzie, miejscowym kinie. Wyglądało na to, że tylko Stany Zjednoczone mogą doprowadzić do porządku zagrożony zagładą świat pełen zła. Kraj toczył wojnę i oto Owen wyobrażał sobie, że pusta parcela, na którą wychodzi okno jego pokoiku, to zarośnięty zielskim krater po bombie.

Ta wierzba starsza od miasteczka wciąż żyła; jak stary dostojnik rozpieszczana zastrzykami pestycydów i dostarczaniem nawozu do korzeni przez dziury wiercone łomem, przetrwała od czasów, w których działała tu papiernia z kołem wodnym, był staw pełen pstrągów i gruntowy tor wyścigowy dla konnych zaprzęgów, zanim jeszcze powstała siatka ulic na płaskim, nisko położonym obszarze na północ od Pike. Dom Owena – w rzeczywistości ani Owena, ani nawet jego rodziców, stanowił bowiem własność Isaaca i Anny Rausch, rodziców matki Owena – był jednym ze starszych i większych przy Mifflin Avenue, kupiony, kiedy dziadek Owena poczuł się bogaczem, zarobiwszy na uprawie tytoniu podczas pierwszej wojny światowej. Dziadek

sprzedał farmę i przeniósł się o dziesięć mil do tego wchodzącego w modę Willow. Potem, z nastaniem kryzysu, oszczędności dziadka stopniały i do domu wprowadzili się jego córka z mężem i dzieckiem. Jedno małżeństwo posiadało dom, drugie zaś niejakie możliwości zarabiania. Ojciec Owena był księgowym w jednym z zakładów dziewiarskich w Alton. Kasztanowowłosa, smukła podówczas matka sprzedawała zasłony w domu towarowym w Alton do chwili, w której jej chłopczyk przyprowadził ją o wyrzuty sumienia, popędził bowiem za nią przez Mifflin Avenue i ze szlochem dogonił idącą do tramwaju; porzuciła wówczas pracę, żeby poświęcać mu więcej czasu. Ojciec Owena, Floyd Mackenzie przyjechał z Marylandu. Owen otrzymał imię po chorowitym dziadku, zmarłym, kiedy Owena jeszcze nie było na świecie; rodzinne legendy głosiły, że w dziadku, pomysłowym i rześkim duchowo, tliła się jednak iskra iście szkocka, jak sądzili. Ów pierwszy Owen miał w Mt. Airy sklep żelazny, a wolne chwile poświęcał wynalazkom, ściślej ulepszaniu narzędzi, którymi handlował – opielaczowi nie wymagającemu schylania się przy odchwaszczaniu, sekatorowi do żywopłotu, w którym obracanie korbą znacznie ułatwiała przekładnia – mimo to żadna firma nie zainteresowała się jego chałupniczymi wyrobami i nie uczyniła zeń bogacza. Zmarł na suchoty jako bankrut. Niemniej wnuk odziedziczył po dziadku przebłycki nadziei na przechytrzenie surowego świata. Wśród Mackenziech

brakowało bogaczy, ale nie brakowało ludzi zmyślnych ani obrotnych. Ojciec powiedział Owenowi: „Masz to po moim starym. Masz tę jego intelektualną ciekawość. Lubił usiąść i kombinować, na czym polega to czy owo. Jeśli o mnie chodzi, zastanawiałem się tylko nad jednym: skąd wezmę następnego dolara”.

Zabrzmiało to trochę żałośnie, jakby ród Mackenziech otrzymał od losu dary mieszane: obiecującą wyobraźnię usadowioną wszakże w organizmie dość wątlym i połączoną z gruntowną niewiedzą, jak toczy się świat, który dzień w dzień człowieka miażdży i opróżnia mu kieszenie.

Drugi dziadek – ten, z którym Owen mieszkał – też miał w sobie coś z marzyciela; sprzedał farmę i zainwestował w akcje, te zaś kompletnie straciły wartość. Był pensylwańskim Niemcem, ale z asymilującego się gatunku, mówił bezbłędną angielszczyzną, rytualnie czytywał popołudniówkę, swą beczynność przyozdabiał złotymi myślami i podniosłymi oświadczeniami. Stary, siwowłosy mężczyzna o żółtawym wąsie i dłoniach obdarzonych wdziękiem, nie zdołał ukryć przed Owenem smutków outsidera, zaangażowanego, ale w jedynym znanym sobie środowisku nie umiejącego znaleźć drogi do źródeł władzy, do tajemnic zapewniających przewagę.

„Tato powinien być politykiem, umie nawijać, nie ma co”, mawiał jego zięć, lecz nawet Owen mógł dostrzec, że dziadek jest zbyt delikatny jak na politykę, zbyt bierny, skoro tak spędza dni, poczynając od ogródka za domem,

gdzie okopuje i plewi warzywniak, popala papierosa, aż po sypialnię na pięterku, gdzie chadza się zdrzemnąć, i trzcinową sofę w saloniku, gdzie siedzi i czeka, aż babcia poda kolację. Dom dziadka stał w Willow, ale – z wyjątkiem jedyne­go dziecka w tym domu i babci – nie całkiem przynależał do miasteczka. Babcia była jodką<sup>2</sup>, najmłodszą z dziesięciorga rodzeństwa, członkinią klanu obficie rozprzestrzenionego po całym hrabstwie. W Willow roiło się od jej krewnych, kuzynów, bratanic i bratanków, siostrzenic i siostrzeńców; niekiedy dorabiała sobie u kogoś z nich, pomagała podczas wielkiego sprzą­tania na wiosnę bądź przy gotowaniu i podawaniu podczas większych spotkań. Ci krewni mieli pieniądze: mieli małe firmy albo dobre stanowiska w fabrykach pończosznicy­ch, nosili ładne rzeczy, na wakacje jeździli do Poconos lub na wybrzeże Jersey. Kiedy Owen usłyszał, z jaką czułością mówią „ciocia Annie” – nieśpiesznie, z ową sentymentalną nutą, której niegdyś tak łatwo używali ludzie na tutejszej prowincji – uświadomił sobie z trudem i nie od razu, że chodzi o babcię. Dla innych, pojął, to my jesteśmy inni.

Kiedy Owen zostawił za sobą Willow, rodzinne miasteczko wydało mu się miejscem niewinnym i cennym, czego nie odczuwał, póki tam mieszkał. Był to świat o niezgłębionej przeszłości i granicach rozpostartych za horyzontem. W trawie były węże, wygrzewały się w słońcu na stertach kamieni. Seks i religia miały wyraźne, pradawne zapachy; rodziny

przypominały chwiejne ptasie gniazda uwite na spletanych gałązkach dawnych historii, śmierć mogła na nie runąć w środku nocy. Kiedy Danny Hoffman odebrał sobie życie, a Owen był jeszcze dzieckiem śpiącym pod półką – pod kompletem dwudziestu Wielkich Małych Książek, pod jednookim misiem Bruno i gumową Myszka Miki z gołą czarną gumową pierśią i w żółtych butach – spłonęła wielka stajnia na skraju Willow, na farmie mieszkających w Delaware bogaczy, Blake'ów, a ojciec, którego ciągnęło do katastrof jak chłopca, opowiadał potem, że przerażone, wyprowadzane konie rzuciły się w panice z powrotem do środka i że odór palących się ciał i sierści był straszliwy. Na tle pomarańczowej łuny na niebie widać było tej nocy z okna Owena sylwetę dachu i kominów sąsiedniego domu za pustą parcelą oraz szczyty świerków i choin rosnących za następnymi domami. Miejskie syreny przeciwpożarowe wyły bez końca; gniewne, potężne krzyki znikąd nie doczekały się odpowiedzi. A tego ranka, kiedy rozległ się strzał, Owen przewrócił się na drugi bok i znowu zasnął, pozwalając, by potoki bólu nekającego świat przelały mu się nad głową.

## 2. SEKS W MIASTECZKU I

Biblia powiada, że najcięższym grzechem jest samobójstwo, zapewniali Owena nauczyciele szkółki niedzielnej: szczególną surowość w tej mierze, jak i wobec innych występków okazywał szpakowaty, bladokóry pan Dickinson, dyrektor banku. Zabić siebie to gorzej, niż zabić człowieka w obronie własnej, czego jęli się za oceanem młodzi Yostowie. Było to tak, jakby na cichej Mifflin Avenue – którą wciąż wczesnym rankiem przemierzają wozy mleczarskie zaprzęzone w leniwie człapiące po asfalcie konie – koło sypialni Owena rozwarł się krater o straszliwych właściwościach, zdolny likwidować wszystko, drzewa i ptaki, błękit nieba i całą błogosławioną resztę przyrody. Do tego krateru runął ojciec Buddy'ego Rourke, mimo że nie zamierzał, zresztą – tu brak jasności, bo Buddy nie chce o tym mówić – może wciąż żyje, lecz gdzie indziej, z inną rodziną. Padało słowo „pobłądził”.

Był też grzech innego rodzaju i również przyprawiał o oszołomienie. Na tylnej ścianie szopy ze sprzętem przy placu zabaw w Willow jakaś dziecięca ręka nagryzmoła czerwonym ołówkiem dwa penisy (tak brzmi poprawna nazwa) stykające się czubkami. Obok ręka starsza i lepiej uświadomiona, złobiąc głębokie linie w pomalowanym na żółto drewnie, wyryła ołówkiem coś w rodzaju obłej litery M, co po bliższym zbadaniu okazało się naga

kobietą o nogach zgiętych w kolanach i tak rozwartych, żeby odsłonić znajdującą się między nimi szparę o kształcie pestki dyni; z boku i z góry okalały szparę poskręcane włosy, a niżej znajdowała się kropka, której Owen, ze wstydu, nie umiałby nazwać nawet po cichu, w myśli, sam dla siebie. Artysta, szlifując swój zamysł, ukazał między udami dwie piersi z zaczernionymi, stwardniałymi sutkami, a między nimi coś, co Owen rozszyfrował jako nos widziany od spodu, z nozdrzami i dwiema dziurkami. Kobieta otwiera się do (jak mawiali starsi chłopcy) pierdolenia; to jasne. Ale dlaczego? To już nie było jasne. Niemniej gdzieś jakaś kobieta na pewno pozwoliła tak się oglądać i narysować, dzięki czemu tu mogło się znaleźć odtworzenie tamtego widoku. Nie miała ramion, nie miała głowy, ledwie widocznym kostkom brakowało stóp; to wszystko artysta uznał za nieistotne. Wyrysowane zostały istotne części ciała, a coś, co rozbudziło się pod brzuchem Owena, zapewniało, że to prawda: ukazano to, co się najbardziej liczy. Szpara, włosy, mała kropka, sutki mierzące w górę jak krótkolufe działka przeciwlotnicze.

Dziewczyny z otoczenia Owena wydawały się jednak odległe od tych istotności. Miały smagłe nogi, na skutek trwających całe lato zabaw na dworze, biegały zaś równie szybko jak Owen. Lubily wygrywać we wszystko: w minihokeja, w piłkę odbijaną od dachu, w chińskie warcaby. Ginger Bitting z Drugiej Ulicy, z klasy Owena, potrafiła zwiesić się na drążku tylko na zgiętych



kolanach, a chude i piegowate, okryte białawym puszkciem ramiona sięgały ziemi, podobnie jak długie włosy, rude jak glina i jasne jak kurz, zwieszane między ramionami. Gdyby rozluźniła nogi, spadłaby i mogła skrócić kark, jak ów chłopak na obozie, podopieczny nieszczęsnego Danny'ego Hoffmana. Ale nigdy nie spadła. Piegowata Ginger, o oczach jak kawałki rozświetlonego zielonego szkła, była najodważniejszą i najbardziej wysportowaną dziewczyną z klasy Owena w podstawówce, najszybszą w nogach, najlepszą w śpiewie, kapitanem drużyny, kiedy dziewczęta grały przeciw chłopcom w piłkę nożną na przerwie. Jeśli w drodze do domu porwała Owenowi czapkę lub kraciastą torbę z książkami, nigdy nie mógł jej dogonić, chyba że tego chciała. Na placu zabaw umiała odbić się na huśtawce i poszybować w górę; zdawało się, że łańcuchy rozchybocą i rozerwą ramę ze spawanej rury; napięte, utrzymywały Ginger, kiedy osiągnęła poziomą pozycję, i nie pozwalały runąć, a przecież huśtała się jeszcze wyżej, wybijając się na tych opalonych sztywnych nogach. Owen widział, jak stopy Ginger w pomarszczonych, podartych skórzanych bucikach sięgają nieba. Owen już wtedy mógł nosić latem tenisówki do kostek, ale dziewczęta chodziły w prawdziwych sznurowanych butach o gładkiej podeszwie.

Na plac zabaw szło się uliczką za domem Owena, potem ścieżką między polami kukurydzy, wreszcie czymś w rodzaju trawiastej dróżki, ograniczonej z jednej strony ławkami przy boisku bejsbolowym, z drugiej rzędem

zdziczałych wiśni. Ginger, w śliskich trzewikach, wspinała się na te wiśnie wyżej, niż odważyłby się Owen. Przyglądał się z dołu jej wspinaczkom, ale pod szortami Ginger nigdy nie dostrzegł niczego, co by przypominało tamte zawilości wyrysowane z tyłu szopy. W owej cichej, naznaczonej długimi cieniami godzinie, już po odejściu do domu opiekunki placu i reszty dzieci i po zamknięciu sprzętu – kijów hokejowych, raketek do ping-ponga i plansz do chińskich warcabów – zdarzało się, że Owen eksperymentował na drążku; wieszał się na rękach i zgiętych kolanach, żeby potem puścić i zwiesić ręce. Ale nigdy się nie odważył. Gdyby spadł i skreślił kark, mógłby przeleżeć na placyku całą noc w ciemnościach, okryty rosą; odnaleziono by go dopiero rankiem, kiedy apodyktyczna pedantka panna Muli, opiekunka placu, zjawiałaby się o dziewiątej rano, żeby wciągnąć flagę na maszt i przewodzić składaniu przez dzieciarnię przysięgi na wierność sztandarowi.

Ginger miała swą świętą, mimo że dziewczęta krążące wokół niej jak satelity widziały to inaczej. Każda, chociaż trudno w to uwierzyć, miała się pewnie za pepek wszechświata, tak jak i Owen. Było sporo Barbar – Barbara Emerich, Barbara Jane Gross, Barbara Doliński – a także Alice Stottlemeyer i Georgene King, i Carolyn McManus, i Grace Bickta, wszystkie z ulicy Owena lub z położonych wyżej; zbierały się na chodnikach, by razem iść do szkoły, razem z powrotem. To Alice Stottlemeyer, niższa od pozostałych, z okularami na nosie jak Owen,

pierwsza pocałowała go z owym tajemniczym podtekstem; było to coś w rodzaju szturchnięcia ustami, ściśniętymi, lecz miękkimi, a zdarzyło się podczas gry w butelkę przy okazji czyjegoś przyjęcia urodzinowego; ale nie Owena. Przyjęcia urodzinowe Owena urządzone przez jego matkę okazywały się zwykle katastrofą, z powodu której Owen szedł na górę wypłakać się u siebie, bo goście bawili się lepiej niż on, solenizant, nie obdarowany tymi akurat prezentami, na które liczył. Matka Owena nigdy by nie pozwoliła na grę w butelkę. Okulary Owena i Alice zastukały o siebie podczas tamtego krótkiego pocałunku; inne dzieci wiwatowały i kpiły, potem nagle umilkły, widząc, że tamci całują się na serio, a wszystko trwało najwyżej sekundę. Później zawirowała butelka pośrodku kręgu, który zrobili na linoleum bądź pomalowanej betonowej podłodze jakiejś piwnicy, zamienionej w pokój czy salkę do gier.

Tak się przedstawiał jeden z licznych społecznych podziałów Willow: jedni zamienili już piwnice w pomieszczenia wypoczynkowe z boazerią, chodnikami, wygodnymi fotelami, a inni – jak Rausch-Mackenzie, rodzina Owena – wciąż mieli w piwnicy podprowadzony skądś kubeł najgorszego węgla, pokryte pajęczyną półki na słoje z przetworami i starą pralką o kształcie cebra, pokrytą emalią w ciapki i zaopatrzoną w wyżymaczkę z wałkami. Spomiędzy tych wałków z białej gumy wyłaniały się mokre rzeczy jak pomarszczone ogromne jęczory i powoli wlewały do wiklinowego kosza na

bieliznę. Owen w czasach sprzed pocałunku z Alice Stottlemeyer – młodszy, jeszcze wolny od zazdrości wobec rodzin rozstawiających w piwnicy wygodne fotele, wieszających tarcze do strzałek i układających tory kolejki elektrycznej na stołach o blacie ze sklejki – jak zahipnotyzowany patrzył na rytmiczne, mocne poruszenia bębna obracającego pranie raz w przód, raz w tył, co wyzwało mnóstwo pęcherzyków, odurzony zapachem płatków mydlanych tak mocnym, że dostarczał wrażenia wyszorowania do czysta głowy wraz z zatokami, i odurzony zapachem wiklinowego koszyka o uchach rozstawionych tak szeroko, że z początku nie mógł ująć obu naraz. Nieuniknione było wetknięcie któregoś dnia palców do wyżymaczki. Natychmiast poczuł nieustępliwe zgniatanie, które zaczęło sięgać przegubu, i wrzasnął przerażony. Była to jedna z chwil, w których spod osłonecznionej powierzchni zwykłych wydarzeń wynurza się zgłodniała czeluść, jak wówczas przed świtem, wraz z tamtym wystrzałem, chociaż teraz nie było tak źle; urządzenie zabezpieczające rozwarło wałki, zanim matka zdążyła rzucić się na pomoc i dosięgnąć rozprzegającej dźwigni. Popłoch matki, jej twarz rozdęta z przerażenia, widziana w świetle piwnicznej gołej żarówki, awantura, jaką potem urządziła matka, połączone z tą chwilą bólu, sprawiły, że – w trybie dziecięcych zmań – Owen gotów był uznać za sprawczynię wszystkiego właśnie matkę. Niemniej pozostał wielbicielem tej procedury, prania wędrującego przez wyżymaczkę do kosza, potem

przez otwór w stropie do góry, na podwórko za domem, gdzie biała pościel wisiała wokół Owena jak wzdymające się ściany kruchego zamku, tworzyła jakiś pałac w dżungli, który Owen przemierzał samotnie. Zmiana wiatru mogła wychylić drągi ze sznurkiem w przeciwną stronę; wówczas twarz Owena wchodziła nagle w kontakt z wysokimi, wilgotnymi, ociekającymi płachtami bawełny.

Podawanie klamerki mamie lub babci było jedną z pierwszych sytuacji, w których Owen wykazywał, że na coś się przydaje. Koszyczek z klamerkami nie rozsiewał zapachu świeżej wikliny, ściemniał po latach kontaktu z kobiecymi dłońmi, a po raz pierwszy zaznał tego kontaktu, zanim jeszcze babcia przyszła na świat; odziedziczyła ów zwój włókna splecionego tak twardo – z traw Tennessee przez niewolników czy Indian, tego Owen nie wiedział – że przypominał glinianą miskę. W koszyczku zagnieździł się zalatujący piżmem mrok przeszłości, sprzed czasu samochodów, kina, radiodbiorników i żarówek, grubo sprzed narodzin Owena. Koszyczek niespodziewanie ciążył w ręku niemal jak kamień, klamerki były zaś nieco lżejsze. Z dwiema nóżkami i płaską gałką u góry, przypominającą marynarski kapelusz, przyjemne w dotyku, zamieniały się z łatwością – wspomóżone kredkami – w roześmiane, bystro patrzące ludziki w marynarskich kapeluszach i niebieskich kurtkach. Spięte jak grupa akrobatów, nadawały się do sztuczek.

Szkoda, że Alice nie była wyższa ani ładniejsza; szkoda, że dostawała w szkole dobre stopnie, jak Owen. Była rozgarnięta, co czyniło z niej nudziarę. Owena pociągały twarde, śmiałe dziewczyny z rodzin, na które jego własna patrzyła z góry z powodu jakiegoś piętna czy skandalu, które przyłgnęły do przodków, albo dlatego, że ojciec pił, był robotnikiem bądź nie najlepiej traktował matkę. Czy nie najlepsze traktowanie polega na biciu, wyzwiskach, czy jeszcze czymś innym, skrywanym, obrzydliwym? Nawet w Willow, a co dopiero w Alton, nie brakowało lokali, barów, sal bilardowych ani kręgielni zalatujących ryszotkiem i lewizną. Przeszedłszy bezimienną szutrową uliczką wzdłuż żywopłotu za podwórkiem Owena, skręciwszy później pod kątem prostym za kurnikiem krytym płytkami azbestu (kurnik zbudował dziadek zaraz po wprowadzeniu się do Willow), minąwszy kilka garaży na skraju czyichś parceli oraz obitą papą szopę zwaną zbrojownią – gdzie o dziwnych porach jednooki gość zwany Smokey Frye głośno kuł i ostrzył metal – wychodziło się na pewien budynek z pustaków; nie miał okien, natomiast na drzwiach widniał ręcznie wymalowany napis Towarzystwo Ochrony Przyrody Parku Narodowego Gifford Pinchot, zza drzwi dobiegał zaś gwar mężczyzn pijących i grających w karty. Dorośli z Willow potrzebowali jakiejś rozrywki, a młodzi mieli naprzeciw podstawówki „Rec Hall”, salę rekreacyjną, gdzie starsze od Owena dzieciaki tańczyły, grały na flipperach, a na

dworze paliły papierosy. Opowiadano, że w tym zacienionym i zapiaszczonym kącie między Ree Hall a sąsiednim budynkiem fabrycznym, gdzie wpierw wyrabiano pończochy, a podczas wojny spadochrony, Carol Wiśniewski, dziewczyna chodząca o dwie klasy wyżej od Owena, dała się rypać na stojąco Marty'emu Naftzingerowi.

Willow podczas wojny, kiedy Owen przedzierzgał się z ośmiolatka w dwunastolatka, przypominało miasteczko na prerii, nad którym nisko suną czarne chmury, ale nieskore do rozpętania tornada, chociaż na kronikach filmowych w Szeherezadzie pokazywano, jak samoloty zamieniają miasta w morza płomieni, jak żołnierze szturmują piaszczyste plaże na wyspach, bombardowani i ostrzeliwani przez fanatycznych Japończyków, których należało spopielić miotaczami ognia w ich jaskiniach jak robactwo w gnieździe. Kiedy wielki kontynent eurazjatycki wrzał, przemierzany przez ludzkie masy od krańca po kraniec, doświadczany bezmiarem śmierci, kiedy torpedowane statki pogrążały się w oceanach, Ameryka Północna – ład kobiet, dzieci i starców, kontrolowanych cen i kartek, wojennych znaczków i audycji radiowych z hollywoodzkimi aktorami – wstrzymała oddech. Ale dreszcz globalnego ryzyka był wszechobecny i zauroczył ich wyspę pokoju: sprawy toczyły się szybciej, stawki poszły w górę, ponad standardy. Carol Wisniewski dała się rypać na stojąco Marty'emu Naftzingerowi, mama jeła się pracy w fabryce

spadochronów i urządziła na dachu straży pożarnej przeciwlotnicze stanowisko obserwacyjne, kartami ze specjalnej talii kładła pasjansa, dziadek zamienił wygody emeryta na pracę w gminnej ekipie drogowców, a tato założył hełm obrony cywilnej i podczas próbnych alarmów sprawdzał, czy przez zaciemnione okna przy Mifflin Avenue nie przedostaje się jakiś promyk. Owen zaś w ramach wojennych poświęceń zdzierał naklejki z puszek, następnie kładł te puszki na betonowej podłodze kurnika i spłaszczwał, skacząc po nich na oczach kur, które gdakały na skrzypiących grzędach lub pomykały po różnych kątach, gdzie porozkładano w roli zanęty szklane jaja, żeby kury niosły się jeszcze lepiej. Jaja kurze, brązowe, cętkowane i ubabrane łajnem, babcia sprzedawała rozlicznym krewnym w używanych kartonowych wytłoczkach, natomiast spłaszczone puszki piętrzyły się w szkolnym obejściu, a na tę lśniąca górę miał prawo się wspiąć tylko Chub Kroninger, dowódca (w randze trzygwiazdkowego generała) stworzonej przez piątą klasę kupy złomu. Okazało się, że waga złomu może zapewnić przejście do następnej klasy, lecz rodzina Owena była zbyt mała i biedna, żeby wydajną zbiórką złomu podciągnąć dziecku stopnie. Tato zaczął skręcać papierosy za pomocą sprytnej maszynki; guma do żucia i paczki kupnych papierosów były głównym źródłem cynfolii.

Kiedy Owen zaproponował Buddy'emu Rourke, żeby ten w ramach zbiórki złomu poświęcił swój aparat



ortodontyczny, Buddy nie dostrzegł w tym nic zabawnego. Buddy to był poważny chłopak, przymierzał się do inżynierskiej kariery budowniczego maszyn bądź konstruktora czy elektryka. Umiał naprawiać lampy, wiedział, jak włożyć haczykowane końcówki miedzianego drutu do styków kontaktu i dokręcić, jak spleść druty bożonarodzeniowych lampek, kiedy zepsuta oprawka wyłączała cały sznur. Buddy nauczył Owena, jak zapanować nad prądem, który płynąc w jakimś kierunku, powoduje cudowne, natychmiastowe skutki, ale przy odwróceniu styków potrafi wszystko zablokować i stopić przewody. Buddy prenumerował „Popular Mechanics” i zamówił zestaw pozwalający samodzielnie złożyć radio, czego dopiął, w każdym razie na tyle, że poprzez szum i buczenie udawało się usłyszeć słaby pulsujący głos, raz wyraźniejszy, raz w zaniku. Chociaż obaj chłopcy mogli się świetnie zżyć, pracując nad tym czy owym w piwnicy Buddy’ego – pomieszczeniu niezupełnie rozrywkowym, za to lepiej oświetlonym niż u Owena, z nieźle wyposażonym warsztatem, urządzonym, a później porzuconym przez nieobecnego ojca Buddy’ego – to jednak pewna niezręczność ciążyła nad sytuacją, bo Buddy Rourke był o półtora roku starszy. Kiedyś Owen, czekając na Buddy’ego, który miał przyjść po południu na partyjkę monopolu – chłopcy mieli wówczas bzika na punkcie monopolu, obok bzika remikowego i szachowego – rozłożył w saloniku na dywanie planszę i dodał z porywu serca spiralną kompozycję kart szansy i kasy

społecznej, podobną do schodów z hollywoodzkich musicali, oraz elegancki układ czerwonych hoteli i zielonych drewnianych domków, z czego powstało wyidealizowane miasteczko w choinkowych kolorach, widziane z lotu ptaka.

Pojawiwszy się w pokoju, Buddy wykrzyknął z nieukrywanym niesmakiem: „Och, Owen!”, po czym pomieszał karty, czyniąc z nich zwykłą stertę, a domy i hotele wrzucił z powrotem do pudełka. Owena to ubodło; odtąd przez resztę życia starał się nie ryzykować, żeby potem nie wyjść na durnia i nie okazywać, że bardzo mu na kimś zależy. Trzeba się upewnić, jak biegną przewody, zanim się je do czegoś podłączy; inaczej spowoduje się krótkie spięcie.

Stoczywszy walkę o coś wkrótce zapomnianego, zalany łzami Owen usłyszał, że oto wywrzaskuje koronną obelgę: „Ja przynajmniej mam ojca!”

Przeraził się sam siebie – że w ten sposób szydzi z przyjaciela, z powodu braku ojca. W Owenie zbulgotał wstyd, wydobywał się na wierzch jak błotnista brudna woda spod stóp, kiedy po cienkim lodzie chadzał przez moczary za terenami liceum. Chociaż próbował nazajutrz przeproszać, nie był pewien, czy da się jeszcze odbudować owo beztrioskie zaufanie między nim a Buddym. Prócz łączenia przewodów i klejenia modeli lotniczych spędzali też całe godziny na budowaniu różnych dzieciennych obiektów, które nie wiadomo czemu miały służyć – na przykład wycinanych ze sklejki

Disneyowskich postaci. Owen wstrzymywał oddech, prowadząc delikatnie cienkie ostrze laubzegi wokół jakiegoś grożącego ułamaniem występu na gębie Gapcia czy uchu Myszki Miki. Zwierzęta ze wszystkich kreskówek Disneya oraz zielonoskóre gremliny wymyślone, żeby zilustrować żargon czasów wojny, obecne były na setkach wojskowych emblematów; zdawało się niemal, że tą wojną i jej wielomilionową obsadą zawiadują Disney i Hollywood. Buddy chciał służyć w oddziałach saperskich i budować wojskom mosty do forsowania przeszkód; Owen chciał być pilotem oblatywaczem, w ostatniej sekundzie wyprowadzającym maszynę z nurkowania. Poznanie Buddy'ego wyglądało właściwie tak: na placu zabaw Owen bawił się w piaskownicy modelem czołgu M-4 na gumowych gąsienicach, tymczasem podszedł do niego ten wyższy chłopak i zaproponował, że pokaże Owenowi swój zbiór modeli lotniczych – miały tam być P 51, zera, spitfire'y i messerschmitty, niektóre ołowiane, inne zaś chłopak sam powycinał z balsy – a wszystko w piwnicy tuż za polem kukurydzianym, zaledwie sześć numerów od domu Owena po nieparzystej stronie, a trzy od tego nieszczęsnego domu Hoffmanów. Rodzina Rourke – Buddy, jego łagodna matka i łajzowata młodsza siostra – ściślej rzecz biorąc, nie mieszkała w domu, lecz zajmowała parter i piwnicę niemal nowego bliźniaka z żółtej cegły. Mieszkały tam w sumie cztery rodziny, ludzie, których nie było stać na własny dom; trochę to

przypominało zamieszkiwanie przy Drugiej Ulicy lub posiadanie ojca, który nie najlepiej odnosi się do matki.

Owen cieszył się z tego, że nie mieszka w wynajmowanym mieszkaniu, podobnie jak z tego, że nie jest dziewczyną ani mańkutom. Wyobraźcie sobie pisanie w tej pokracznej pozycji po to, żeby nie wyświnić sobie ręki niezaschniętym atramentem! Wcześniej uznał, że jest szczęściarzem. Na pewno, w porównaniu z dziećmi z takiego Londynu czy Leningradu bądź – to już później – Berlina czy Tokio. Kiedy rodzina Owena wygasła światła w domu, a potem wszyscy przysiedli skuleni na podeście schodów, żeby być jak najdalej od frunących okruchów szkła, to był to nalot ćwiczebny, pozorowany, a kiedy w górze warczał samolot i Owen z bijącym sercem czekał na upadek bomby, to był to oczywiście jeden z naszych samolotów i żadna bomba nie spadała. Ale dlaczego Tojo czy Hitler mieliby bombardować Willow? Z powodu jednej jedynej fabryczki spadochronów?

W niedzielne popołudnia rodzice Owena chodzili na spacer; Owen dopiero po dziesięcioleciach zdołał dostrzec w tym zwyczaju swoistą manifestację młodej pary uciekającej z domu, który do niej nie należy. Lecz on, ich dziecko, do nich należał, więc wlekli go ze sobą, mimo że sama myśl o tym spacerze napęłniała nogi Owena ołowiem; po drodze coraz bardziej przyzostawał, w końcu ojciec zawracał i brał go na barana. Tam w górze było niesamowicie, ojcowska głowa wydawała się tak

dziwacznie wielka i włochata, że po chwili Owen czuł się szczęśliwy, znów stając na ziemi na własnych nogach.

Było parę tras do wyboru. Jedna zaczynała się od skrętu w lewo w bezimienną dróżkę za przydomowym żywopłotem, a po przecięciu Alton Avenue prowadziła przez nowszą część Willow na wzgórze Shale. U jego podnóża rozciągał się park Victory Gardens, a w drodze na szczyt ścieżki wiły się między sosnami i płaskimi skałami, które przypominały Owenowi osuwające się sterty gazet, pociemniałych i pomarszczonych na deszczu. Z góry rozpościerał się widok na całe miasto: najbliżej leżała najnowsza dzielnica z siatką krętych ulic obsadzonych platanami i topolami, potem dzielnica starsza, gdzie prosto biegnące ulice obsadzono norweskimi klonami o ciemnych liściach, wreszcie Alton Pike, najstarsza, najdalej wysunięta na południe. Było stamtąd dobrze widać Mifflin Avenue z rzędami wysokich kasztanowców po obu stronach. Owen widział swój dom – czyli dom dziadka – cegła pokryta farbą koloru żółtka z mlekiem, a stolarka pietruszkowo zielona; Mifflin Avenue, w mgiełce, stawała się jakąś drogą wijącą się wpierw przez farmę Blake'ów, potem zmierzającą ku Filadelfii, z biegiem lśniącej tuż obok rzeki. Widok, który zawsze pociągał matkę, dla Owena wart był najwyżej dwóch sekund uwagi. Cóż można zrobić z widokiem? Wolał już raczej znaleźć kij i podbijać kamienie, jak w bejsbolu.

Mogli też – wyłoniwszy się spod winorośli przy

bocznym ganku i przemierzywszy ceglany chodniczek koło grządki bratków – przejść przez lukę w żywopłocie i skręcić, przeciwnie, na prawo, a potem iść przez Mifflin Avenue obok podszytego strachami domu Hoffmana, obok smutnego czynszowego bliźniaka, w którym mieszkał Buddy Rourke, obok parceli Bakerów, gdzie spaliła się stodoła, obok śmierdzących chlewów i ogrodzonych krowich pastwisk, obok strumyka, przetykanego w spokojniejszym biegu czystą zielenią rzeżuchy (którą czasem zbierała tu babcia), aż do drogi na wzgórze Cedar, leżące naprzeciw Shale, po drugiej stronie doliny kryjącej Willow.

Za granicami miasta droga zaczynała się piąć. Koło niepomalowanych domów tkwiły rdzewiejące samochody, a wyliniałe brudne psy niezmordowanie czekały na mozolnie wędrującą trójkę Mackenziech. Później następował odcinek prawdziwego lasu, a potem już rozwidlenie dróg na szczycie, z zapomnianą budką łodziami Daily Queen. Owen nigdy się nie dowiedział, dokąd prowadziły dwie pozostałe drogi, na wprost i w lewo. Rodzice skręcali w prawo, żeby ruszyć z powrotem w dół, znowu przez las obok najeżonego szpikulcami piaskowcowego muru odgradzającego posiadłość Pomeroy. Raz czy dwa Owen słyszał odbijanie piłki tenisowej, tu-tam, tu-tam, a także plusk wody w basenie, zazwyczaj wydawało się jednak, że nikogo tam nie ma. Życie ludzi bogatych wymykało się wyobrażeniom – dokładają starań, żeby nie być w domu. Po drugiej stronie

drogi, na wyższym krańcu Willow, widać było teraz cmentarz z jasnoróżowymi bądź jasnoszarymi granitowymi głazami o ostrych krawędziach, obnażonymi przez słońce. Droga na dół zamieniała się dalej w ulicę Waszyngtona zabudowaną domami o wąskich podwórkach z boku i tarasowych trawnikach od frontu; po trzech przecznicach ulica wychodziła na centrum Willow, gdzie były kino, bank oszczędnościowy, sklep rowerowy, a na pięciu narożnikach, gdzie ulica dochodziła do Alton Pike, mieściły się sklep Eberly'ego, kościół luterański, zakład pogrzebowy Hessa, ratusz z przylegającym do niego niewielkim parkiem i Oyster House Leinbacha – restauracja na pierwszym piętrze starego budynku z piaskowca, niegdyś zajazdu o nazwie Willow. Nastrój Owena zawsze się poprawiał, ołów z nóg ulatniał, kiedy wkraczali z rodzicami do tego centrum, codziennie przemierzanego przez Owena w drodze do szkoły, które po sześćdziesięciu latach może odtworzyć z pamięci – sklep po sklepie, dom po domu.

Podczas pewnego spaceru na Cedar Owen tuż za zapomnianą budką lodziarni zauważył na żwirze pobocza coś mlecznobiałego, jakby oklapły balonik; było to połyskliwe jak zabawka. Owen schylił się, żeby lepiej się przyjrzeć, tymczasem zza pleców rozległ się nagle głos matki mówiącej tonem zastrzeżonym dla sytuacji krytycznych:

– Nie dotykaj tego!

Co za niebezpieczeństwo? Przecież to nie było żywe,

choć głos matki sugerował, że w jakiejś mierze jest.

– Co to? – spytał Owen.

– Szkarą – odpowiedziała.

Nikommu nie znana „szkara” należała do ich prywatnego słownika; wynalazł ją sam Owen, kiedy nie umiał jeszcze wszystkiego nazwać i wymyślał słowa, jak „rańcz” na sok pomarańczowy, czy „nan” na banana. „Szkarą” miała coś wspólnego z jedzeniem, którego Owen nie lubi i nie zje: zbyt rzadkim, brejowatym albo przypominającym jakieś flaki. Chodziło pewnie o „szkaradę”, która się jakoś zmieszała z „maszkarą”, a może z „karą”; słowo przyjęło się na określenie rzeczywistości, której język nie potrafi jakoby tknąć słowem już istniejącym. „Szkarą” to także były świeże ptasie paćki na krawędzi kamiennego poidła i robaki, które wyschły podczas przeprawy przez rozgrzany chodnik.

– Do czego to było? – spytał Owen; czas przeszły dowodził wycucia, że to coś wyrzuconego; zagadkowy moment użycia tego czegoś tkwi w przeszłości.

Od gumowego znaleziska w przydrożnym żwirze oddalali się w milczeniu, rodzice i Owen. Rodzice uważali wszakże, tacy już byli w przeciwieństwie do wielu innych, że pozostawianie dziecięcych pytań bez odpowiedzi to coś złego. Nękałoby ich poczucie winy.

– Tu chodzi o higienę – powiedział w końcu ojciec. – Jak z kleenexem.

– To pułapka na bociany – dodała matka; w



weselszym tonie jej głosu pobrzmiewała figlarna, dziewczęca nuta.

Owen miał wrażenie, że za jego plecami zbliża do siebie rodziców ich tajemna wiedza. Zwykle to on i matka miewali swoje sekrety, dzielili się nimi, kiedy ojciec był w pracy. Sekret główny polegał na tym, że matka czuła się nieszczęśliwa, chociaż co właściwie ją unieszczęśliwiało, tego Owen nie umiał do końca odgadnąć. Wyjawiała mu, że bycie w jednym i tym samym domu córką, żoną i matką to żaden miód, niemniej Owen właściwie nie wiedział dlaczego. Sam jest synem i wnukiem, kolegą szkolnym i kumplem od zabaw, wszystkim naraz, a bez trudu mógłby być jeszcze czyimś bratem. Tu zaś tak to wyglądało, jakby unieszczęśliwiał sam fakt bycia kobietą. Zdarzały się dni, kiedy matka kładła się do łóżka i zamykała oczy – kiedy była w takim stanie, bał się i trzymał od niej z dala. Zdarzały się dni, kiedy całą sobą mówiła: Nie dotykaj mnie.

Pokoik Owena przylegał do sypialni rodziców, wymiany zdań nieuchronnie sączyły się w jego uszy: pełne werwy pchnięcia i riposty podczas kłótni, przesiąknięte znużeniem westchnienia i pojękiwania wieczorne, żartobliwe pogwarki na rozpoczęcie dnia. Owen był szczęśliwy, że matka darzy go większą miłością niż ojca, chciał jednak, żeby sprawy między dwojgiem dorosłych układały się przyjaźnie, ciepło i żeby mogli ukoić Owena po którymś z jego sennych koszmarów, żeby pozwolili mu wsunąć się do ich łóżka,

w tę ciepłą przestrzeń między nimi.

Owen dorastał i odkrywał w Willow więcej miejsc, na które padał cień grzechu, który to cień nie przesunął się, zwyczajem cieni, lecz miał coś kleistego, wżerał się. Na szopie ze sprzętem przy placu zabaw była trójkątna połać, osłonięta dachem pawilonu; na górę można się było wdrapać tylko tak: wpierw podskok i uchwycenie belki, potem rozkołysanie i wyrzut stóp, niebezpieczna sekunda w powietrzu, a potem już podciągnięcie ciała na dach szopy. Po chwili na oswojenie wzroku Owen zobaczył, że są tam następne rysunki, nigdy nie zamalowywane, ponadto teksty, w tym napisy, trochę wieści i rewelacji o dziewczętach i chłopcach ze starszych roczników, których Owen nie mógł znać. Czasem wdrapywała się tam Ginger Bitting, już po zajęciach na placu zabaw; przyjemnie było wyciągnąć się w tym samym miejscu i wyobrazić sobie, że tuż obok jest Ginger – to jej wysportowane, pełne energii, nieustraszone ciało – i spojrzeć w dół – niżej kulis z desek zdobionych ornamentem – na szuter na ziemi, gdzie można było wypatrzyć, że zgubiony kamyk do gry czy czerwona bierka ukryły się tuż przy nodze któregoś z ciężkich stołów wspartych na kozłach.

W siódmej klasie Owen zamienił podstawówkę na szkołę średnią; chodził do niej aż za Pike, pół mili w stronę Alton. Wprawdzie chłopcy i dziewczęta mogli wchodzić wszelkimi drzwiami i korzystać ze szkolnych terenów bez tego podziału na płęć, który obowiązywał na

placu zabaw podstawówki, to zapaszek skandalu przylgnął do dolnych okien budynku szkolnego, po stronie Alton, poniżej narożnej klasy. Były to okna dziewczęcej szatni, zabezpieczone gęstą siatką i od środka pomalowane na czarno. Z czasem jednak pojawiły się w starej farbie szpary, w jakiś tajemniczy sposób zostały też wydrapane od środka dziurki. Nie istniał wprawdzie pisemny zakaz, niemniej nauczyciele odganiaли chłopców od tych okien, na skutek czego przyległa przestrzeń, spleść koszonej trawy z wąskim chodnikiem, obrosła tak grubą warstwą domniemań i słuchów, a także niepohamowanego szpiegowania, że Owen wkroczył w dorosłe życie ze wspomnieniami – świetlistymi jak seraj Ingreśa – nagich dziewcząt oglądanych z góry, w głębi, za ocieplonymi azbestem rurami i zakurczonymi wierzchami zielonych metalowych schowków stanowiących pierwszy plan; te dziewczęta o lśniących ramionach i bokach mokrych po prysznicu to były Barbara Emerich i Alice Stottlemeyer, i Babs Doliński, i Grace Bickta – lecz jakimś cudem nie Ginger Bitting – dziewczęta, z którymi dorastał, pączkujące, nagie, poruszające się powoli, nieświadome, jak pod wodą.

Chociaż matka Owena, wielbicielka przyrody, często chodziła nago do łazienki i z powrotem, a kiedy był jeszcze raczkującym szkrabem, dzieliła z nim wannę, to Owen miał zadziwiająco skromne pojęcie o wyglądzie kobiecego ciała, jakby zadziałała gruba zasłona, gdy chodziło o matkę. To zaś były jedyne kobiece istoty z

jego własnego pokolenia, które widział i które mogły posłużyć za przewodniczki. Pewnego razu, późnym latem, kiedy już panna Muli poszła do domu, mocował się na rozgrzanej trawie placu zabaw z Doris Shanahan z ósmej B, chłopczycą o kwadratowej twarzy, która jadąc rowerem, pogwizdywała i lubiła się pętać z chłopakami koło treningowych koszy; kiedy Doris tryumfalnie, na rozstawionych nogach stanęła nad nim, nad jego twarzą, Owen podniósł wzrok i dzięki jej luźnym majtkom zobaczył trochę kręconych czarnych włosów; to było tak, jakby nigdy dotąd nie widział włosów łonowych. Sam jeszcze ich nie miał. Podglądanie Doris było grzechem, to wiedział, ale uszczęśliwiło go i było czymś rzeczywistym. To była wiedza, a wiedzy – co potwierdzą dorośli w całym Willow – zawsze warto zaczerpnąć.

### 3. MAŻ

Kiedy Owen spostrzega po przebudzeniu, że Julia już wstała, rusza na poszukiwanie żony: oboje odprawiają wówczas na wpół komiczne rytuały, w których świadomie flirtują ze starością, jakby w ten sposób mogli ją, postępującą, udobruchać.

– Gdzie jesteś, słonko? – woła Owen.

– Tu, kochanie – odpowiada Julia z jakiegoś odległego pokoju; podupadający słuch nie pozwala jednak Owenowi ustalić, czy Julia odzywa się na górze, czy na dole.

– Tu, czyli gdzie? – wykrzykuje Owen, trochę poirytowany.

Także Julia już nie słyszy tak jak kiedyś ani nie czuje tej co kiedyś potrzeby odpowiadania. Milknie jak samochodowe radio w tunelu. Cóż z niej za dziecko, myśli Owen, żeby uważać, że „tutaj” wszystko wyjaśnia, jakby była pepkiem wszechświata. Co za zdumiewający egoizm!

Gdyby jednak nie była egoistką, nie mogłaby Owenowi zapewnić tego, czego tak bardzo potrzebował w czasach, kiedy się poznali: nowego centrum jego świata. Ich *point de départ*<sup>1</sup> polegał na dostrzeżeniu w drugim miłości własnej. Pierwsza żona Owena właściwie była niesamolubna, jakby swoje „ja” zostawiła przez roztargnienie w innym pokoju, niczym okulary do

czytania.

Może Julia wyszła w klapkach na dwór. Przepada przebywać pod gołym niebem, w siedlisku pogody i ruchu drogowego. Latem wędruje do ogródka w koszuli nocnej, żeby zacząć rozprawę z chwastami; nasączany rosą rąbek koszuli przemaka, do kłapek lgnie mokra ziemia. Owen musi zejść na dół w piżamie, żeby uzyskać odpowiedź. Człapie nawet na dwór, stąpa bosą po asfaltowym podejździe, wczesnym rankiem jeszcze nie rozgrzanym na tyle, żeby parzyć podeszwy. W ciągu dwudziestu lat spędzonych tutaj Owen z powodu takiego czy innego niegroźnego przypadku – niedomkniętych drzwi samochodu, kiedy światła w kabinie wysysają akumulator, gazety niedbale rzuconej w krzaki przez objuczonego roznosiciela, obchodzącego rewir w ciemnościach przedświtu, zapomnianego zraszacza, który wciąż podlewa, chociaż Owen z Julią już się kładą, a odgłos wody słychać w sypialni jak szmery w sercu – chodził po ziemi bosą w najróżniejszą pogodę, nawet po kilkunastocentymetrowym świeżym śniegu, i przekonał się, że jeśli w grę wchodzi parę kroków, można znieść niemal wszystko, śnieg lub żar zapewniają tym otępiałym, więzionym przez buty nerwom ożywczy, iście pierwotny wstrząs.

Owen chce się z Julią podzielić swoim snem. Często budzi się ogarnięty takim pragnieniem, mimo że Julię już dawno przestały obchodzić nocne poczynania jego mózgu. To ważne, żeby zacząć w ciągu pierwszych minut

po przebudzeniu, zanim delikatna struktura snu załamała się pod ciężarem monotonnej rzeczywistości.

Ostatniej nocy śnił, że stoi przed ich białym domem, na trawniku od strony wybrzeża i widzi Julię, która wybiera się swoim czarnym bmw na jeden z niezliczonych wypadów do Bostonu, może do tamtejszych sklepów. Widzi ruszający z kopyta wóz Julii o połysku lakierowanej skóry, a za nim swoje marne rdzawoczerwone mitsubishi, przy czym to nie Owen prowadzi, lecz znowu Julia, teraz oglądana przez niego z profilu, zaaferowana, blada. Także pierwsza żona Owena, Phyllis, za kierownicą trzymała głowę w ten sam efektowny sposób, lekko odchyłoną do tyłu, w napięciu, jakby w oczekiwaniu na rychły wybuch silnika.

We śnie nie widział nic szczególnego w zdwojonej Julii, natomiast w jej szybkiej jeździe czuł jakieś niebezpieczeństwo, coś z gnania na oślep. Zwolnij, kochanie, zwolnij. Teraz kilka aut jechało pod górę, w przeciwnym kierunku, podjazdem za wąskim, żeby mogły się minąć. Kierowcy próbowali sobie poradzić i wykonywali niesłychane manewry; jakiś garbus, ów legendarny, zarazem przysłowiowo niebezpieczny i ostentacyjnie oszczędny wóz z czasów kontrkulturowej rebelii lat sześćdziesiątych, zjeżdżał tyłem z podjazdu na trawiastą rampę, której Owen dotąd nie zauważył. Inny samochód ciągnął rozklekotaną przyczepę; Owen uświadomił sobie, że to ekipa zajmująca się co tydzień trawnikiem. Ale sprawy nie przedstawiały się tak prosto;

po powrocie do domu Owen zastał rodzinę złożoną z trojga Chińczyków; jedno w drugie kluchowaci, podobni do nadymanyh lalek albo szarych spęczniałych kleszczy siedzieli w saloniku i czekali bez słowa. Zarówno oni, jak i ekipa trawnikowa – zabójczo opaleni mężczyźni, z papierosami w ustach, hałaśliwie krążyli z kosiarkami po trawniku, notorycznie omijając narożniki i przy okazji skalpując niejedną roślinną ozdobę – chyba przypuszczali mylnie, że pod nieobecność Julii (właśnie pojechała do Bostonu rozdwojona) Owen będzie wiedział, co robić, jak daleko się posunąć w uprzejmościach i jakie wydać polecenia. Jest posiadaczem, właścicielem, gospodarzem, szefem – gra rolę, do której nigdy w pełni nie dorósł. Urodził się młody i pozostał młody; takim go zachowało zaczarowane życie. Zbity z tropu, zbudził się.

Chce to odmalować Julii, rozśmieszyć ją. Chce z nią pogadać o możliwych związkach snu z prawdziwym życiem. Parę lat temu spędzili trzy tygodnie w Chinach; to jeszcze jeden podstęp służący odpieraniu starości. Wszystkie znajome małżeństwa w Haskells Crossing podróżowały, korzystając z tej szybko przemijającej sposobności między emeryturą a śmiercią. Jak dzieciaki obracające kuponami na promocję gumy balonowej, wymieniali się nazwami restauracji i hoteli, muzeów i świątyń, których nie wolno pominąć, adresami miejscowych przewodników, których koniecznie trzeba odszukać i koniecznie się ich poradzić. Haskells Crossing i Haven-by-the-Sea skolonizowały cały świat, owa



rekomendacyjna wspólnota śle pielgrzymów, którzy przemierzają te same ścieżki, deptając sobie po piętach, jadają w tych samych restauracjach, wynajmują tych samych przewodników, a nawet natrafiają w cieniu Muru Chińskiego na te same niezapomniane i natarczywe sprzedawczynie pamiątek. Co więcej, Owen w swej zawodowej karierze komputerowca miał wielu kolegów o azjatyckich korzeniach, przy czym niektórzy wykazywali taką niechęć do współpracy, byli tak nieprzeniknieni, jak te postaci ze snu. A jeśli się zastanowić, to zeszłej zimy, podczas podróży w interesach do Chicago, zobaczyli oboje w Art Institute zagadkową instalację: jednakowo uśmiechniętych, spryskanych sprayem na szaro, ubranych w piżamy sztucznych Chińczyków porostawianych przy marmurowych balustradach majestatycznych środkowych schodów.

Owen wyobraża sobie, że Julia śmieje się wraz z nim, kiedy on próbuje wytropić możliwe związki z wyimaginowanymi orientalnymi gośćmi, jakże pełnymi rezerwy, jakże zadowolonymi z siebie, ani trochę speszonymi w saloniku Mackenziech, który tymczasem przeistoczył się w puste pomieszczenie z pochyłą podłogą. Czy ta pochyłość to oniryczna aluzja do skośnych oczu, czy też do pochyłej podłogi kina Szeherezada w Willow, gdzie Owen obejrzał tyle filmów z Charliem Chanem?

Chce się tym snem podzielić zwłaszcza dlatego, że cały – mimo nieciągłości – jakoś dotyczy Julii. To

pragnienie Owena, żeby się nie rozbiła na podjeździe, to kołatanie serca z obawy, że może się poślizgnąć na mokrych liściach i zrobić sobie krzywdę. Owen miewa tyle snów nie o niej – na tym materacu-tratwie, który niesie ich oboje przez prywatne wszechświaty – ściągających go na to niebezpieczne terytorium pozostawione za sobą dwadzieścia pięć lat temu: awantur i chaosu w domach, wynikających stąd żali w miasteczku Middle Falls w Connecticut, gdzie z przejmującą oszczędnością środków wyrazu Phyllis grała rolę jego żony. W snach Owena postać żony jest często niejednoznaczna, ma twarz rozmytą i może być tą drugą kobietą. Phyllis, okazała szatynka, była wyższa, z lat studenckich zachowała pewną cyganeryjną niefrasobliwość, Julia zaś, nieduża brunetka o długich rzęsach, ze starannie skomponowanymi pasemkami siwizny na lśniącej fryzurze, jest elegantsza w noszeniu sukienki, zgrabniej się rusza, mimo to w snach Owena obie nabierają pierwotnej, przyrodzonej żonowatości.

Upadki. Kruchość. Gdyby jakiś natręt bądź psychiatra spytał Owena, czemu tak kocha Julię, mógłby wygrzebać wspomnienie erotyczne sprzed paru lat, z czasów rekonwalescencji Julii; tak się śpieszyła, tak chciała wyprzedzić Owena na schodach do kuchni, że złamała nogę, skończyło się to pęknięciami w kostce i stopie. Czuł ją za plecami, jak dyszącego niecierpliwie ścigającego drapieźnika, a potem usłyszał tylko ostre, krótkie „Och!”, kiedy poleciała, poślizgnąwszy się – w

nowych belgijskich bucikach o gładziuteńkiej podeszwie – na najwęższej części trójkątnych stopni wyłożonych chodnikiem. Spadanie trwało ułamek sekundy, przeleciała obok niego, w tej perspektywie przypominając anioła mknącego na ziemię z jakimś przesłaniem, a potem wylądowała w holu, nieruchomo rozciągnięta na chodniku. Popędził ku niej, z łomotaniem w piersi. Nagły kataklizm na scenie życia. Jaka rolę ma teraz odegrać? Drugi mąż Julii z lękiem przykleknął nad nią, a ona cicho oznajmiła:

– Usłyszałam dwa trzaśnięcia. Pop-pop. – To pasowało do niej jak ulał: ścisłe wyliczenie w trakcie wypadku, kompetentne, użyteczne, jak najdalsze od niedorzeczności. Julia leżała wyciszona, obok klęczał Owen, bezradny, wpatrzony w jej profil uświadamiał sobie nagłą potworność domowej katastrofy; Julia poprosiła: – Mógłbyś zdjąć mi sweter? Delikatnie? – Potem dodała: – Gorąco mi. Zdaje się, że mogę zemdleć.

– Co mamy robić? – spytał Owen.

Julia nic nie odrzekła, jakby już zemdląca.

Chcąc nie chcąc, Owen przejął odpowiedzialność i powiedział:

– Musimy się dostać do szpitala. Możesz skakać, opierając się o mnie?

W ten sposób dobrnęli do auta, a potem do izby przyjęć miejscowego szpitala, gdzie Julii założono prowizorycznie gips, nazajutrz zaś pojechali do Bostonu, do Massachusetts General Hospital, oddalonego o

godzinę drogi.

Przez cały następny miesiąc nie mogli się kochać, chociaż Owen, jak sądził, okazywał jej miłość, podając przyrządzone przez siebie jedzenie, ucząc się prac i gotować, grając z Julią w tryktraka i oglądając z nią do późna publiczną telewizję. Po tym miesiącu zgodzili się, że pora na nowo spróbować seksu, chociaż dla bezpieczeństwa ona powinna leżeć spokojnie na dole, on zaś musi uważać na jej zrastające się kości. W Massachusetts General nie wpakowano jej w gips, lecz zgodnie z najnowszą medyczną modą dostała plastikowy but: wyczuwało się w nim kosmiczne technologie, nakładały się na siebie niebieskości i szarości, pofałdowana podeszwa była wykrzywiona jak biegun od bujaka. Można go było na chwilę zdjąć, ale podczas czegoś tak forsownego jak rżnięcie musiał tkwić na nodze. Owen oparty na łokciach i kolanach starał się nad nią unosić, oszczędzić jej, jak tylko się da, własnego ciężaru, tymczasem ku jego zdumieniu, wdzięczności, poczuł, że Julia wznosi się ku niemu, podniecona, szybciej niż zazwyczaj; nieustępliwie wparła swój wzgórek łonowy w jego, orgazm przeżyli razem; dwie piękne ważki zespolone w powietrzu. Julia była potem bez tchu; Owen widział na poduszce jej twarz w tej mgiełce zaspokojonego pożądania, która, krótko mówiąc, godzi mężczyznę z całym wszechświatem; wszystkie rachunki zostają wyrównane, obnażona zostaje nieistotność wszelkich trosk.

Może to była sprawka buta. Podczas pierwszych zim w tym niedogrzanym drewnianym domku, wzniesionym przed stu laty jako letni, podniecało ich oboje, kiedy Julia zostawała w wełnianych skarpetkach. Jakoś sprawiały, że była wtedy bardziej naga. Mąż z żoną nie zgadzali się politycznie i często cierpieli z powodu niekompatybilności swych uprzedzeń, lecz rekompensatę stanowiła kompatybilność systemów nerwowych. Julia przyjechała z nadmorskiego Connecticut i kiedyś korzystała z „wygód”. Do prywatnej szkoły jeździła kabrioletem MG przez ciągi miasteczek pełnych zieleni i stalowych mostów. W szkole Julii nie było ani drużyny bejsbolowej, ani futbolowej; do najważniejszych sportów należały tenis, golf i hippika, w tym polo. Julia udawała niewiarę, że w Willow publiczna szkoła średnia nie oferuje tego wszystkiego, a wyobrażenie Owena o szczęśliwym, dobrze spędzonym lecie może się sprowadzać do przechadzki – podwórkiem za domem koło winorośli z huczącymi pułapkami na japońskie chrząszcze, koło dziadkowego kurnika krytego azbestową dachówką i potem przez pole kukurydziane na skróty – na plac zabaw ulokowany na małym sztucznym płaskowyzu przy miejskim boisku bejsbolowym i do zbijania tam bąków przez cały dzień z paczką innych puszczonej samopas dzieciaków o opalonych na brąz nogach. Obóz letni wykraczał poza rodzinne horyzonty finansowe, a dla delikatnego, lękliwego, bojącego się wody Owena myśl o mieszkaniu w letnim domku z innymi chłopakami i

pływaniu kanadyjką po ciemnym, potwornie zimnym jeziorze była tak czy owak przerażająca. Na szczęście ów surowy, wymagający ciągłego sprawdzania się świat bogatych, urodzonych, żeby wydawać rozkazy i rządzić, dla Owena leżał za siedmioma górami.

Owen bał się wody, wysokości, pajaków, ciemności, udławienia się, chłopaków twardzieli i wszelkich szkar. Pewnego razu w wędrownym wesołym miasteczku przemęczony młody pomocnik bez ceregieli wpakował Owena na grzbiet śmierzącego dropiatego kuca; Owen miał wrażenie, że znajduje się nieznośnie wysoko, że jest tu gorzej niż u ojca na barana, bo ów zwierzak pod nim wydaje się mniej inteligentny, a bardziej płochliwy, może równie wystraszony jak on sam. Kiedy Julia, członkini miejscowego klubu tenisowego, golfowego i jeździeckiego, kołysze się w strzemionach i – w szkarłatnej kurtce, w czarnym kulistym jeździeckim kasku – staje się trzymetrową amazonką, Owena ogarnia jeszcze większy i jeszcze bardziej nabożny podziw niż wtedy, kiedy przed sześćdziesięcioma laty wpatrywał się co rano, z ręką na sercu, we flagę amerykańską wciąganą na maszt przez pannę Muli. O dziewiątej rano skrzypiący bloczek wspomagał flagę w wędrówce ku górze na tle porannego słońca, w co można się było wpatrywać tylko chwilę, bo ogniste ciało niebieskie pozostawiało w źrenicy pulsującą purpurową plamkę; Owen martwił się, że kiedyś z tego powodu oślepie. Podobny pulsujący powidok często bywa sprawką ekranów komputerowych,

niemniej Owen wciąż widzi. Skończywszy siedemdziesiątkę, wciąż widzi, chodzi na własnych nogach i nieźle słyszy, może wyjąwszy sytuacje, kiedy Julia woła go ze zbyt odległego pokoju. Mężczyzn w jego wieku bardziej skłonnych do szaleństw zdążył ogłuszyć ogień broni palnej, zdążyły okuliwić sporty kontaktowe. Opłacała się wrodzona ostrożność Owena, która wzięła górę nad pragnieniem, by zostać pilotem oblatywaczem.

Zważywszy na jego liczne zahamowania i to odosobnione domostwo, w którym czuwała nad nim aż czwórka opiekunów, to istny cud, że Owen tak dobrze poradził sobie w życiu. Zdolność jedynaka do bawienia się wyłącznie w towarzystwie siebie, cierpliwość w rozwiązywaniu problemów, które sam wynajdował, bądź takich, które stworzyli wspólnie z Buddym Rourke, czyniły go kimś pożądanym w rozkwitającym przemyśle komputerowym; lecz nawet w życiu towarzyskim Owen nie jest taki nieporadny. Owszem, bywa nieśmiały, lecz bywa uwodzicielski. Przeszkoliły go te miasteczka, w których mieszkał.

W Willow, dzięki trosce stanu, Owen codziennie wychodził z domu do szkół, w których aż do przedostatniej klasy licealnej uczyły go macierzyńsko usposobione kobiety o umiarkowanych wymaganiach; chodniki przemierzał z paczką trajkocących i skorych do żartów dziewcząt, o których mógł powiedzieć (nie tylko o Ginger Bitting, ale i o Barbarze Emerich z kukurydzianymi warkoczami i odsłanianym w uśmiechu

szarym przednim zębem, i o Grace Bickcie, małej brunetce z powagą w oczach), że go zachwycają. Mały Owen dawał się urabiać, był łatwowierny. Wierzył we wszystko, co mu powiedziano, a widok ważnych miejscowych postaci – nauczycielek bądź członków brygady drogowej, którzy zimą sypali popiół na drogę z ciężarówki ze zbiornikiem na smołę, a latem wylewali dymiący żużel, bądź widok trzech miejskich gliniarzy, jednego kurdupła, drugiego grubasa i trzeciego, który podobno miał problemy z piciem – wprawiał go w aż przesadnie dobre samopoczucie. W dobre samopoczucie wprawiał też Owena widok starej maleńkiej damy w okularach na sznureczku, zwieszającym się na szyję z wolem, siedzącej w ratuszu za zakratowanym okienkiem, gdzie regulowało się comiesięczny rachunek za prąd; był też listonosz, pan Bingham, który – pomny popularnego sloganu o heroizmie poczty – dwa razy dziennie heroicznie przemierzał całą Mifflin Avenue, odchylony w bok, by zrównoważyć ciężar skórzanej torby, za której pośrednictwem trafiały czasem do Owena książeczki rysunkowe z Myszka Miki, pierścienie do rozszyfrowywania tajemnic oraz fotografie gwiazd filmowych z autografami. Gdyby można było porozpraszać szczęśliwe chwile dzieciństwa odcedzić i zawrzeć w jednej, wypadłaby w dniu burzy śnieżnej około Bożego Narodzenia: środek popołudnia, na dworze już pociemniało pod pokrywą chmur, we frontowym saloniku zeschnięte igły i lameta pospadały ze



świątecznego stroiku na ustawioną niżej miniaturę krajobrazu, którą sklecieli Owen z matką: wata i płatki mydlane luxy były śniegiem, wykałaczkami ze strzępami zielonej gąbki drzewami, a jeśli chodzi o domki, to kupne delikatne domy z papier-mâché stłoczyły się wokół pocętkowanego lusterka w roli stawu. Po owalnej trzyszynowej linii kolejowej sunął maleńki błękitny pociąg lionel, karnie zmieniający szybkość, roztaczający niemal widoczny zapach smaru. Nagle brzęk pokrywki w otworze na listy – ów odgłos elektryzował Owena – oznajmił, że pan Bingham dobrnął tu przez śnieżycę i po raz drugi tego dnia dostarczył pocztę. Fakt, że chodzi listonosz, że przez śnieżną burzę słyhać dzwonięcie tramwajów, wydawał się potwierdzeniem tej hollywoodzkiej, komiksowej rzeczywistości amerykańskiej: jesteśmy tak bezpieczni, z taką miłością dogładani z wyżyn, jak te maleńkie, nie starzejące się figurki z miniaturowego światka posypanego sztucznym śniegiem.

Tylko odrobinę powyżej strażników miejscowego ładu rezydowały znakomitości narodowe. Rzecz jasna, były przystępniejsze i bliższe: z małego philco – w bocznym pokoiku, tuż przy fotelu z wybrudzonymi oparciami, gdzie Owen zajadał krakersy z masłem orzechowym, to śmiejąc się, to żując – słyhać było Jacka Benny’ego i Fibbera McGee albo opowiadających kawały, albo zafrasowanych; ekran Szeherezady zapełniali Tyrone Power o czarnych brwiach zbiegających

się w grymasie zatroskania i Joan Crawford o ciemnych ogromnych wargach, dzielnych a drżących, o bezbrzeżnych oczach, z których każde zdołała łąza mogąca napełnić wiadro; lśniące czasopisma „Life”, „Liberty”, „Collier’s” i „Saturday Evening Post” na drewnianym stelażu w Eberly Drug Store, które każdy mógł kupić za jedyne dziesięć centów, zaludniali ubrani w tweedy i pykający fajkę pisarze, wynalazcy w okularach i laboratoryjnych kitlach i gładko zaczesani bywalcy eleganckich lokali. Było coś przyjaznego, bliskiego w tym skłonie firmamentu nad doliną Willow. W głosach Binga Crosby’ego, Lowella Thomasa i Kate Smith wcale nie pobrzmiewały te szorstkie żądania co w prawdziwych głosach matki, nauczycieli, pokpiwających dziewcząt; a jednak te znakomitości, jeśli wierzyć scenariuszom komedii radiowych, prowadziły życie bardzo podobne do naszego, chodziły do banku i dentysty. Jack Benny poszedł nawet do sąsiadów pożyczyć kubek cukru od Ronalda Colmana. Mimo kontynentalnego dystansu gwiazdy brały udział w życiu, które toczyło się w sąsiedztwie Owena, pełnym ganków na patykowatych podporach i murków oporowych. Nie było lepszej odmiany życia, wspanialszej, nie było bardziej zachwycającego kraju niż Ameryka ani bardziej swojskiego stanu niż Pensylwania. Bóg tkwił na wysokości jako niepojęty zwornik, ale na szczęście bardzo daleko, nawet dalej niż Hollywood i Beverly Hills.

– Więc tu jesteś – mówi Owen do posiwiałej żony w niebieskich klapkach, kiedy rozszyfrował wreszcie, co znaczy „tu”, i odnalazł ją na werandzie nad „New York Timesem”. Owen nie chce się wyrzec „Boston Globe” – to jeszcze jeden rozziew. – Miałem wprost niesamowity sen – zaczyna. – Byłaś podwojona.

– Dziecinko – mówi Julia, nie odwracając głowy – może opowiesz później? Próbuję pojąć, o co chodzi z tym Enronem; jak to zrobili, jak wpompowali sobie na konta te fortuny.

– Później zapomnę, ale trudno – mówi Owen i czuje, że ów splechotek zapełniony obrazami znika z jego pamięci, chociaż się skrzył nasączony jakimś eliksirem związanym z Julią, z ich wspólnym życiem. – Nie szkodzi. Powiedz, co dziś mamy na tapecie. – Dziś, czyli sobota, w dzieciństwie ulubiony dzień Owena, stała się złowieszczo bezkształtna w czasach emerytury.

– Nic, aż do koktajlu u Achesonów. – Julia nie odrywa oczu od zapierającej dech opowieści „Timesa” o bezprzykładnie skorumpowanej korporacji i gniewnie trzepoce rzęsami.

– O Boże. Musimy iść?

– Oczywiście, słonko. Miriam to jedna z moich najlepszych przyjaciółek. A Brad to jeden z twoich najlepszych przyjaciół.

– Zwałą się do nich wszyscy; nikt za nami nie zateśni.

– Nic podobnego. Czemu mnie tak mordujesz za

każdym razem? Zawsze kiedy tam jesteś, dobrze się bawisz. Naprawdę jesteś uroczy, z tymi twoimi „eee tam”.

– Tylko udaję, że się dobrze bawię. Nie mam tym ludziom nic do powiedzenia. Dosłownie nic.

Owen przez całe życie pisał i sprawdzał programy komputerowe, a teraz, kiedy już zamknął swoją ostatnią – maleństwo czteroosobowe (trzech mężczyzn, jedna kobieta) – firmę konsultingową w Bostonie, niewiele ma do powiedzenia. Został w tyle za przyspieszającą milowymi krokami technologią; jego finezyjne algorytmy i nie zapychające obwodów komendy na rozwidleniach, te jego pętle IF... THEN... ELSE... czy WHILE... stały się równie zgrzebne jak patchworkowe narzuty. Oszalał na go i brzydzi potencjał procesorów, którymi nadziany jest jego desktop za tysiąc dolarów, klon markowych IBM-ów. Te wszystkie dzwonki, brzęczyki: te realistyczne trójwymiarowe gry komputerowe o animacji w czasie rzeczywistym; te wbudowane programy do przechowywania, przycinania i korekcji zdjęć cyfrowych, do edycji cyfrowych filmów amatorskich, do drukowania składów o setkach odmian czcionki; programy do odtwarzania muzyki, rozszczepione na dziesięć tysięcy digitalizowanych tonów, programy do korzystania z rozszerzającej się bez końca Internetowej Biblioteki Babel; programy chroniące przed wirusami, trojanami, spamem i niechcianą korespondencją elektroniczną. Wrzawa spod znaku „.com” sprawiła, że cała branża

zaczyna wyglądać podejrzanie, także tacy jak on, którzy zawrócili spod szczytu. Prawidłowo oceniwszy, że Clintonowski balon nie wytrzyma, Owen odwrócił pociągnięcia inwestycyjne swego dziadka; tamten podczas koniunktury lat dwudziestych kupował, a potem wszystko stracił w wielkim krachu roku 1929. Owen pomścił starszego pana, którego kochał uczuciem najczystszym spośród miłości żywionych za młodu.

W przeciwieństwie do matki Owena dziadek Rausch nie narzucał się przesadnie ani też, w przeciwieństwie do ojca Owena, nadmiernie nie wyłączał. Było go tyle, ile trzeba; spokojnie siedział w dużym pokoju na środku sofy z trzcinyowym oparciem, Owen zaś bawił się na dywanie zestawem Tinker Toys, ołowianymi samolotami bojowymi, lub zmuszał pociąg Lionel do bezustannej jazdy w kółko, to w przód, to w tył, przegrzewając transformator w czarnej skrzyneczce, z której zaczynał się wydobywać lekki zapaszek spalenizny, podobny do zapaszku matczynej ondulacji. Bo ową woń rozsiewała też matka, kiedy siedząc przy toalecie, nawijała kasztanowe włosy na długonose lokówki. Sama była rozgrzana jak blacha kuchennego pieca, strach było jej dotknąć, chociaż przy okazji rozgrzewała kuchnię i cały dom. Choleryczka, ojciec mawiał, że „iskrzy”; umiała się odwinąć i trzepnąć Owena po buzi, zanim się zdążył uchylić. Przez całe życie Owen chciał od kobiet tego, żeby były chłodne i spokojne, chyba że wyjątkowo (coraz rzadziej) chciał akurat czegoś odwrotnego.

– Pogadasz o wiadomościach, o ekonomii – radzi Julia. – Czy znowu powinniśmy wojować z Irakiem czy nie.

– Kolejna nowość po siedemdziesiątce – ty, kochanie, jesteś na to za młoda, dzięki Bogu – tak się przedstawia, że człowiek przestaje się przejmować wiadomościami. Nic nowego. Przecież już załatwialiśmy Irak o jednego Busha wstecz.

– To mów o golfie. Przepadasz za golfem.

– Ale niekoniecznie za golfistami. Żałosne, że kiedy możemy już o czymś rozmawiać, nasze żony zaczynają się wiercić i spływają. Żony w Middle Falls nie były takie znudzone. Ciekawe, o czym tam mówiliśmy.

– O tym, jak chcecie je rżnąć, chociaż nie mówiliście wprost.

– Wcale nie.

– Byłam przy tym.

– I, u diabła, wodziłaś za nos najlepszych. – Julia nie lubi, kiedy jej o tym przypominać. Żeby złagodzić wbicie szpili, Owen pyta jak marudzące dziecko: – A co mam robić pomiędzy rankiem a Achesonami?

Kiedyś każdą wolną chwilę zapełniał pracą; swój pierwszy wzięty program, DigitEyes, stworzył (za pomocą topornej kombinacji kodu maszynowego i wczesnej wersji FORTRANA opanowanej w IBM) w garażu za licowanym deskami bliźniakiem, który przez pierwsze półtora roku w Middle Falls wynajmowali z Phyllis przy Common Lane. W Haskells Crossing w

garażu Owena, znacznie większym od tamtego historycznego, stoją trzy auta, nie tykany przez Owena sprzęt do pielęgnacji trawnika oraz bezlik kartonów ze szkolnymi ćwiczeniami i skryptami z college'u, porzucony przez dzieci z ich poprzednich małżeństw.

– Idź do klubu i pograj w golfa – radzi Julia. – Albo pomóż mi plewić funkie i podetnij bluszcz. Wygląda, jakby go obsrało. – Julia jest osobą dystygowaną, lecz język ma niewyparzony.

Owen tęskni za starym placem zabaw w Willow, małym płaskowyżem, z którym już dawno rozprawiły się buldożery. Czasy nie były lekkie, lecz ich waga sprawiała frajdę, kiedy Owen przesuwiał marmurowe figury chińskich warcabów z trójkąta w trójkąt, spletał z karbowanej tasiemki sznury do gwizdków (choć tylko panna Muli miała ochotę nosić coś podobnego), wyszukiwał piłkę w polu kukurydzianym, kiedy przeleciała nad krytym papą dachem pawilonu, przyglądał się Ginger robiącej zwis na drążku lub odbijającej się coraz wyżej na skrzypiącej huśtawce. Owen uświadamia sobie, że dla dzieci z Haskells Crossing jedyny plac zabaw to country club z basenem, barem przekąskowym, piłką na uwięzi, kortami ziemnymi i pewnie ze świńskimi gryzmołami, wydrapanymi tam, gdzie nigdy nie pofatygują się dorośli; dla Owena ta przestrzeń wypoczynkowa nosi otepiający rys własności, beznadziejną nudę właściwą bogatym. Biedni znają nudę, lecz zawsze mają nadzieję, że sprawy zmienią się na

lepsze, tymczasem bogaci po prostu chcą, żeby toczyły się, jak się toczą, na co się zresztą coraz mniej zanosi. Problemy bogatych – stan ciągłego kryzysu w grze w golfa, ogromny nowy dom, którym jakiś *nouveau riche* z innego stanu zastawił środek panoramicznego widoku na ocean, niemożność znalezienia godnej zaufania pomocy do ogrodu i domu (trzeba przepłacać nawet Brazylijczyków i Albańczyków, a nawet oni już się nauczyli obijać), niezachwiany spadek papierów na giełdzie, rosnące podatki od nieruchomości, dorosłe dzieci, które się rozwodzą, wdają w rozczarowujące, donkiszotowskie kariery w sztuce bądź krwawią sobie serca, pracując w opiece społecznej – otóż te problemy Owen najoczywiściej uważa za banał w porównaniu z problemami klasy zrób-lub-zgiń, które nawiedzały w dzieciństwie jego dom, a przed którymi zdołał się teraz osłonić.

Jak kryty łupkiem dach domu przy Mifflin Avenue wytrzymał ulewę i huragan 1938 roku, tak opiekunowie chronili Owena przed lawiną trosk: przed ubóstwem, bez żadnej federalnej siatki zabezpieczającej, przed nadwątleniem zdrowia, bez żadnych powojennych cudów medycyny, przed społecznym upadkiem, bez śladu wyrozumienia w systemie społecznym. Dzieciak zbierał złowrogo brzmiące strzępy rozmów dobiegających z innych pokoi: praca ojca stała pod znakiem zapytania, miejscowy przemysł pończoszniczy był sprawą przegraną, zdrowie matki budziło niepokój. Miała



wysokie ciśnienie i skarżyła się na niedomagania kobiece. Pominąwszy rysunki w szopie, Owen nie miał zielonego pojęcia o kobiecych organach płciowych, lecz z tego, co podsłuchał, wynikałoby, że to jednokierunkowa ulica prowadząca do zdrowotnej katastrofy. A dziadek i babcia naprawdę nie byli młodzi; szurali w swoim pokoju, bliscy zapomnienia, spowici w zapach starych ciał przypominający zapach przemoczonego papieru, ale wbrew wszelkim spekulacjom zjawiali się co rano na śniadaniu. Owen robił swoje dzień po dniu, gładko przechodził z klasy do klasy, wdzięczny, że jego świat przy Mifflin Avenue pozostaje nietknięty.

Nie pozostał, o czym Owen przekonał się jako trzynastolatek. Zamknięto zakład, w którym pracował ojciec. Produkcja wojenna była ostatnim tchnieniem firmy. Ojciec przemierzał latem rozpalone ulice Alton, szukając pracy jako księgowy. Opętała go – zdaniem Owena niedorzeczna, ale on nigdy nie widział rachunków – sprawa domu przy Mifflin Avenue, kosztów ogrzewania, utrzymywania, nieodzownych remontów. W wyobraźni ojca dom stał się jeszcze jedną „zdzierczą speluną”. Klął go jako „ojcowskiego fioła” i musiał się uwolnić od tego ciężaru. Dom, jedyny, w którym jak dotąd mieszkał Owen, został sprzedany za osiem tysięcy pięćset dolarów, za identyczną sumę, za jaką dziadek Owena kupił ów dom przed wybuchem innej wojny światowej, przed dwudziestoma pięcioma laty. Za połowę tej sumy kupili na wsi dom otoczony przez dziczejące

pola, opleciony cykaniem świerszczy i świergotem ptaków. O całe mile od czegokolwiek, domek z kamienia stał przez cały rok pusty. W kominie pobudowały gniazda jerzyki; polatuchy wprowadziły się na strych, a zdziczałe koty pochowały się w starych belach siana w stodole z surowego drewna. Nie było prądu, telefonu, kanalizacji, których zainstalowanie pochłonęło większą część pozostałych czterech tysięcy dolarów. Musieli też mieć samochód; w Willow mogli wszędzie dotrzeć na piechotę, każde z piątki w pięć różnych stron, gdzie tylko chcieli; za siedem centów tramwaj dowoził ich wprost do Alton, do tamtejszych domów towarowych i kin-pałaców. W Alton tato nie mógł znaleźć pracy. Miasto powoli dogorywało, a on, po czterdziestce, był za stary, żeby się przekwalifikować. W końcu rówieśnik z college'u mieszkający w Norristown, bliżej Filadelfii, przygarnął go do swojej firmy obrachunkowej na współpracownika, za gażę mniejszą niż w zakładzie włókienniczym; oznaczało to brak wozu od ósmej rano do szóstej wieczorem. Owen zostawał z dziadkami, matką, stodołą pełną kotów o zaropiałych ślepiach i dwoma kudłatymi szczeniakami collie. Najbliższymi sąsiadami byli mennonicy, których dzieci nie miały czasu na zabawy, bo na ich farmie pracowali wszyscy. Stara oberża i sklep spożywczy w towarzystwie sześciu przydrożnych domostw leżące o milę dalej żadną miarą nie mogły uchodzić za miasteczko. Owen tkwił w domu; czytał kryminalne powieści z życia angielskiej prowincji, science fiction i marzył o

niesamowitych wynalazkach, które by mogły uczynić go bogatym. Sięgając wstecz pamięcią, chętnie pomijał te lata; w podsumowaniach brakło miejsca dla tych sześciu lat na wsi, zanim wyjechał do Nowej Anglii, do MIT.

Miasteczko, w którym teraz mieszka, pewnie ostatnie w życiu Owena (jeśli nie brać pod uwagę Zespołu Opieki Paliatywnej Bide-a-Wee), nie ma własnego samorządu; ów obszar należy do czterdziestotysięcznego Cabot City. Haskells Crossing to stara dzielnica letnich rezydencji, gdzie wielkie arealy milionerów – na dzisiejsze pieniądze miliarderów – z Pittsburgha i Chicago wprawdzie rozparcelowano, nie zostały jednak zapomniane, wciąż mogą uchodzić za podłoże tutejszego wrażenia wygody i dostatku przestrzeni. Plutokraci – z ich jachtami, prywatnymi nabrzeżami, granitowymi murami ciągnącymi się całe mile, z budowanymi w trapez kamiennymi schodami wiodącymi do długich basenów i neoklasycznych szatni, czerwonych kortów ziemnych, wymyślnych altan – zostawili tu szczególną aureę, podobnie ich dzieci, dzisiaj niemal na wymarciu, pamiętające, jak co czerwiec jechały tu z Chicago czy Cleveland prywatną salonką tatusia. Przed stu laty, kiedy linia B&M biegła z Bostonu wzdłuż północnego wybrzeża, skrzyżowanie wzięło nazwę od nadmorskiego farmera, Enocha Haskella, którego wykupiono; drewniane budynki wychłostane przez wiatry i deszcze zwalono i spalono, rodzące w trudzie pola zamieniono w szmaragdowe trawniki, ale nazwisko farmera przetrwało i

to, i ludzi, którzy go wyrzucili. Po wojnie skasowano linie dojazdowe na południowe wybrzeże, natomiast ta trasa ocalała; przejeżdżający co godzinę pociąg wprawiał w lekkie, lecz wyczuwalne drżenie dom Julii i Owena wraz granitowym podłożem. Owen to lubił: namacalną pierwotną więź transportu i geologii.

Jest tu maleńkie śródmieście: straż pożarna, pomnik ofiar wojny, francuska piekarnia, filia banku, sklep owocowo-warzywny, ze zdrową żywnością, sklep sieci 7-Eleven, drogeria, która w końcu padnie, przegrywając konkurencję ze sklepami sieci CVS i Walgreen w centrum handlowym, księgarnia, która niezmiennie tkwi na krawędzi bankructwa, dorzynana przez Barnes & Noble w centrum handlowym o dziesięć mil dalej, salon pizzy, pralnia chemiczna, dwaj konkurujący fryzjerzy, obaj z tropików (z Kostaryki i Filipin), kwaciarnia, która ledwie zipie obok pustego lokalu mieszczącego niegdyś biuro podróży, śmiertelnie ugodzone przez katastrofę World Trade Center i późniejsze trudności linii lotniczych; jest restauracja rodzinna, jest dwa razy droższa restauracja dla zakochanych par, wreszcie drogi lokal dla tych, którzy chcą zaimponować swoim gościom. Jest nawet urząd pocztowy Haskells Crossing – od czasów, w których posiadacze ziemscy uznali, że im się coś takiego należy, jak prawo przystawiania pociągów na żądanie w Nebrasce.

Natomiast niewidzialna strefa władzy, która w Willow rozpościerała się przy pięcionaróznikowym skrzyżowaniu, tu leżała o trzy mile (i wiele przejazdów

kolejowych) dalej, w ratuszu i sąsiadującej z nim komendzie policji w centrum Cabot City. Niegdyś nadrzeczna wioska, nazwana Colchester na cześć rodzinnego miasta dawnych purytańskich osadników, została przemianowana ku chwale twórcy garbarni zatruwających rzeczkę oraz siostrzanych fabryczek; stłoczone uliczki ciasno zabudowane dwupiętrowymi domami zamieszkiwali polscy, greccy, irlandzcy, a nawet tureccy robotnicy. Fabryczki pozamykano, ale potomkowie robotników nadal wspierali miejską administrację, znaną, jeśli chodzi o Haskells Crossing, z wysokich wymiarów podatkowych i przekupności w dziedzinie planów zabudowy. W 1880 roku Haskells Crossing próbowało oddzielić się i przyłączyć do sąsiedniej letniskowej osady Haven-by-the-Sea, ale to pociągnięcie zostało zablokowane na Beacon Hill, i to nie przez legislaturę irlandzkiego pochodzenia, lecz przez bramina, gubernatora Bostonu<sup>2</sup>, na którego decyzji zaważyła zdaniem jednych dotacja garbarska, zdaniem innych niechęć szlachejnych konserwatystów, którzy w następstwie wojny secesyjnej nie kwapili się do żadnych rewolucji ani rysowania map na nowo.

Owen, podobnie jak jego sąsiedzi, lubi Haskells Crossing takie, jakie jest. Samorządne Haven-by-the-Sea, z tymi zgromadzeniami mieszkańców, namiętnie dyskutowanym samodzielnym stanowieniem podatków, wydaje się miasteczkiem zbyt zadowolonym z siebie i zbyt sobą zajęтым. Pomijając finanse, odległa biurokracja

z Cabot City zostawia mieszkańców Haskells Crossing w spokoju. Woda – żelazista, lecz zdatna do picia – dociera na wzgórze z miejskiego zbiornika, śmieci co tydzień zabierają spod podjazdu śmieciarze. Kiedy Owen i Julia zgłosili rabunek, policjant zjawił się tego samego dnia; wydawał się zakłopotany, lecz sympatyczny, miał lśniąco owalne oczy i przypominał wielką wiewiórkę, tyle że bez puszystego ogona; krótkowidz zgarbiony nad notesem, pracowicie rozgryzający każdy orzeszek mogący okazać się tropem. Złodzieja nigdy nie złapano.

Poglądy socjoekonomiczne Owena – wychowanego w miasteczku idyllicznie sparaliżowanym przez ciężkie czasy, w kraju, w którym ludzie niezłomnie odrzucają szybkie diagnozy faszyzmu i komunizmu – to bagaż dość bezładny; Owen głosuje na demokratów, ponieważ rodzice i dziadkowie głosowali na Roosevelta; lecz spodziewa się po rządzie tak niewiele, że wszelka pomoc społeczna czy znak świadczący o ładzie publicznym stanowią dlań przyjemną niespodziankę. Kiedy na przyjęciu na rozległym osłonecznionym trawniku Bradley Acheson lamentuje nad ostatnimi próbami rozparcelowania sześćdziesięciopięcioakrowej posiadłości starego Judsona na działki budowlane, niezdecydowanemu Owenowi język więźnie za zębami; owszem, chętnie by przytaknął ze względu na obszary zieleni, do których dawni bogacze nie bronili dostępu, co dzisiaj zdoła podtrzymać tylko interwencja rządu, lecz może też wykazać, że historia kontynentu

północnoamerykańskiego to dzieje zabudowy.

– Rozwój budownictwa – mówi w końcu z wahaniem – to czołowy wskaźnik ekonomiczny. Nie sądzisz, że wykrzykiwanie „enpeemen” brzmi trochę niedemokratycznie, a nawet niepatriotycznie pod rządami twojego wielkiego faceta, Busha Drugiego?

– Enpeemen?

– Nie Pod Moim Nosem.

Najwyraźniej Brad jeszcze nie słyszał tego skrót; jego wybuch śmiechu sprawia, że na klapie marynarki Owena ląduje kawałek ostro przyprawionego jajka na twardo. Owen nie reaguje i grzecznie czeka, aż na szerokiej kwadratowej twarzy gospodarza – przestrzeni, która aż się prosi o zagospodarowanie – pojawi się reakcja na nieprzyjazną złożoność odpowiedzi gościa, na czystej wody prowokacyjność.

– Ten inwestor – żali się Brad – nawet nie jest z Massachusetts. – To jakaś kalifornijska megafirma, która się zjawia, kładzie pokotem wszystkie drzewa i buduje te koszarne ciągi McPałaców, najciaśniej, jak się da. Skończy się na tym, że będzie tu jak w Watertown.

– Coś okropnego, Brad, fakt, ale to stwarza miejsca pracy w jednej z nielicznych w Ameryce dziedzin, której się nie da przenieść za morza. Posłuchaj. W tym kraju każde miasto kiedyś było farmą lub lasem. Gdybyście wy, prawicowi wielbiciele drzew, byli u władzy, niczego by tu nie zbudowano. Cabot City byłoby wciąż rybną rzeczką. Haven-by-the-Sea byłoby niczym, Nothing-by-the-Sea.

Stertą skorup po małżach koło śmierdzących wigwamów.

Brad zaciska wargi i wygląda, jakby miał wybuchnąć; zezuje nad ramieniem Owena, patrzy, czy nie można się zająć kimś innym, wciąć się w jakiś przyjemniejszy dyskurs.

– Tu jest konieczna równowaga – mówi w końcu.

– Otóż to – zgadza się Owen.

Przepada za Bradem jako graczem w golfa. Kiedy patrzy na Brada, nie wgląda w jego duszę, co zresztą uchodzi za specjalność Boga, nie widzi statystyk dotyczących przychodów Brada ani wartości jego sieci, na co z kolei liczą władze podatkowe, widzi natomiast szczególne uderzenie, swoisty obrót, przy czym palce są za blisko końca uchwytu; jest to wybicie pełne wdzięku, ale stanowcze, po którym, jeśli się trafi dobry dzień, piłka frunie środkiem, czasami dziwnie daleko, a jeśli chodzi o końcówki, to cudownie posyła piłkę w pobliże dołka. Znajomi Owena z Haskells Crossing i okolicy to galeria uderzeń golfowych, z których każde jest inne: stateczny Morton Bumham to ruch potężny, lecz w pozycji zbyt wyprostowanej, z niemożliwym do wykorzenia kiwnięciem głowy; Geoffrey Dillingham, luźny jak pajacyk, to przesadny skręt ramienia i zamach kija nie po linii; tęgi Quentin Chute to błyskawiczny ruch ręki, uderzenie całą siłą przedramion plus wykrzywienie twarzy; Martin Scofield to niespokojne, przeintelektualizowane ustawianie się, suwanie stóp, żeby poszerzyć bądź zwęzić postawę, otworzyć ją lub



zamknąć, jednocześnie ciągła zmiana chwytu, niebezpieczna, błąd wybicia staje się coraz bardziej nieuchronny; solenny Gavin Rust to dość komiczne zgięcie kolan w ostatniej sekundzie, po całej serii uroczystych przymiarek na sztywnych prostych nogach; ostrożny Caleb Eppes to arcywolne branie zamachu, jakby był Blaszanym Drwalem po deszczowej nocy; popędliwy Corey Cogswell to nieuleczalne rzuty oka na wszystkie strony, następnie potok przekleństw pod własnym adresem, wreszcie zahamowanie uderzenia; i tak dalej. W oczach Owena jego przyjaciele sprowadzają się tutaj w dziewięćdziesięciu procentach do ich golfowego wybicia; Owen właściwie nic nie wie ani o ich poczynaniach zawodowych, przekonaniach religijnych, na których opierają dobre samopoczucie, ani o przygodach miłosnych, które ich doprowadziły do obecnej sytuacji rodzinnej. Prawdę mówiąc, większość ma za żony dziewczęta, które poślubili jeszcze w latach pięćdziesiątych. U większości słychać ów sinusoidalny akcent Nowej Anglii i miejscową żartobliwą powściągliwość, doskonałą dzięki trwającemu od pokoleń bliskiemu przestawianiu ze sobą, w czasach zmniejszania się udziału Nowej Anglii w narodowym bogactwie. Co do miejscowych, to Owen pozostaje niewtajemniczony niejako na własne życzenie; ich pozorna bezbarwność to coś, co tkwi w samym Owenie, to jakaś blokada na wejściu. Są dla niego nieinteresujący – twierdzi Julia – bo nie pożądał ich żon. Ich żony to

trajkoczące staruszki, niegdysiejsze debiutantki dziś wychudzone i chrypiące, zwawe, dobrze wychowane i tak doskonale dopasowane do tej społeczności, jak części dobrze dotartej maszyny. W Middle Falls, na obrzeżach rozleglejszego obszaru wielkomiejskiego, żadna kobieta nie była całkowicie dopasowana; wszystkie chciały czegoś innego, chociaż trudno powiedzieć czego, nawet one same miały z tym kłopot. Szeroko rozpowszechnione niezadowolenie dawało miastu jakąś nieukierunkowaną, smutną energię i matka Owena nie była tu wyjątkiem. Owen rósł w atmosferze grożącego w każdej chwili wybuchu; kobieca rewolta, której pomruki rozlegały się w romantycznych komediach grywanych w Szeherezadzie, zagroziła spokojowi domu dziadka. Kasztanowłosej matce Owena brakowało wewnętrznych zasobów pozwalających wybijać się na kobiecą niepodległość, ale w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych kobiety już nie były tak wyhamowane. Właśnie zaznały dobrodziejstw pigułki, wczesne małżeństwa i macierzyństwa oszczędziły im jednak szaleństw – koralików miłosnych, spodni dzwonów, sypiania po kątach, koncertów rockowych, prochów i trawki – których echo już dobiegało zza pokoleniowego muru; kobiety z Middle Falls były podminowane, kpiarskie i zachwycające.

W Haskells Crossing to Julia kocha kobiety. W ich towarzystwie odświeża poczucie rzeczywistości i znajduje przyjemność – przy brydżu, w komitetach, w

dorocznym cyklu przyjęć, na których podaje się sześć tych samych przekąsek dostarczanych przez tę samą szacowną rodzinną firmę. Julia tak się tu idealnie wpisała, że Owen czuje się jak część zapasowa. Jest mężem, czyli marą, do której trzeba się odwołać, kiedy Julia użera się z mężczyznami: hydraulikami, cieślami, ogrodnikami prześwietlającymi drzewa, pielęgnatorami trawnika. „Oni nie znoszą dogadywać się z kobietami – wyznaje Julia – więc mówię, że ty sobie tak życzysz, a wtedy kładą uszy po sobie”.

Podczas kobiecych zlotów przy kawie mówi się o mężach jako swoistych urządzeniach, kapryśnych przyborach, komicznie roztargnionych i niefunkcjonalnych. Tutaj feminizm zaowocował uroczą mizoandrią. Samcza niechęć do zapytania, jeżeli dany samiec czegoś nie wie, samcza ślepotą w obliczu jaskrawych faktów w sferze wystroju czy ubioru, samcza niezdolność odróżnienia cynii od floksów bądź lodówki od schowka na miotły, samcza niezdarność w najprostszyc domowych pracach, a nawet, kiedy kawę wsparł wermut, te samcze wymagania seksualne, jakże prymitywne, pośpieszne, niewytrwałe – były przedmiotem radosnych drwin. Szacowna z wierzchu społeczność Haskells Crossing jest rozdarta w sferze płci, a Julii to odpowiada. Wprawdzie tu się zakłada, że małżeństwa dzielą łożę oraz konto bankowe, niewiele ma to jednak do rzeczy. Mężów, którzy na niższych poziomach sytuacji materialnej bywają sprawcami

zależności, sieją strach, nie wzdrygają się przed atakami furii i biciem, tutaj trzyma w ryzach – zważywszy na wiek, wspólne oszczędności, akcje, nieruchomości – świadomość nieprawdopodobnych kosztów rozwodu. Mężowie są bezproduktywnymi, posłusznymi dodatkami do ożywionej interakcji kobiet. Owen bez oporów godzi się na taki rozdział ról, bo jego ojciec wydał mu się kiedyś tyleż żałosny, ile zbyteczny.

## 4. SEKS W MIASTECZKU II

To ojciec Owena z powodzeniem nakłonił chłopca do kształcenia się w dziedzinie praktycznej, naukowej. Podczas Wielkiego Kryzysu Floyd Mackenzie przekonał się, że inżynierów zwalnia się zwykle na końcu; na własne oczy widział, jak to jest. „Dzieciakowi trzeba czegoś konkretnego – oznajmił. – Przez swoje marzycielstwo straci kiedyś piątą klepkę”. Co do liczby klepek, świadczyły o niej gwiazdorskie stopnie w liceum i nabyta przez lata spędzone na wsi zdolność znajdowania sobie rozrywki nad książkami, kartką papieru i ołówkiem, najlepiej będzie, kiedy się zajmie, wywodził ojciec, maszyną, może nawet tymi gigantycznymi, długimi i ciężkimi niczym ciężarówka machinami dziewiarskimi, których ojciec jest kiepsko opłacanym sługą, a potem innymi konstrukcjami (mostami, tamami, generatorami), których użyteczność i nieodzowność są dla świata bardziej oczywiste niż uczciwe i skrupulatne księgowanie. W erze materializmu należy wierzyć w materię. Jak się okazało, przyszłość miała należeć do maszyn wagi lekkiej: do rakiet wymykających się przyciąganiu ziemskiemu i komputerów szybszych od ludzkiej myśli; do doładowań ludzkiej subiektywności, wznoszących nas w wyzbyty tlenu kosmiczny bezkres.

Pewien ośrodek w dalekim Massachusetts zwany Instytutem Technologii zaproponował Owenowi

stypendium. W oczach szafarzy przyznających indeksy i wsparcie na studiach wiejska szkółka Owena ze środkowego Wschodniego Wybrzeża była atutem. Po raz pierwszy Owen zobaczył MIT, dopiero gdy się tam dostał. Budynki wznosiły się w pewnej odległości od zbiornika Charles, sztucznie poszerzonej rzeki, naprzeciw czcigodnego miasta Bostonu, gdzie na wzgórzu o ściętym szczycie jaśniała ziemistozłota kopuła, spod której zarządzano stanem. W początkach lat pięćdziesiątych i Bostonem, i Cambridge wciąż władało przedwojenne ubóstwo, chociaż były to miasta naznaczone młodością, pełne studentów chcących zapewnić sobie przyszłość. Żaglówki i łodzie sunęły po rzece, tym roziskrzonym sportowym akwenie, bardziej błękitnym niż Schuylkill, czarna od węglowego szlamu. W porównaniu z przemysłową skalą Pensylwanii, jej zasmolonymi miastami budowanymi na rzucie prostokątnym, szeregowcami wspinającymi się stopniami na wzgórza, Massachusetts miał coś z zabawki i coś z polichromii. Najstarszych dzielnic Bostonu nie wytyczono w kratę, lecz – podobno – na pradawnych krowich ścieżkach, poszerzonych stopami purytanów, potem wybrukowanych.

Natomiast dzielnica Back Bay – zasypane bagno z położonym centralnie zespołem handlowym, przetykanym to wiązami, to trawnikami, to posagami z brązu – zabudowana była prostokątnie. Długi, wydany na pastwę wiatru most zwany mylnie Harwardzkim łączył

Back Bay z MIT, którego jasna wyniosła kopuła widziana zza rzeki w upiorny sposób przywodziła na myśl latające talerze, wehikuły zaziemskich istot – jak wówczas podejrzewano – podglądających z bezsilną troską, jak zamroczona planeta zmierza ku samospopieleniu bombami atomowymi. Dzięki ogromnej skali i labiryntowości głównego budynku MIT zakrawał na jakąś epikę – ciągi budynków połączone były krytymi przejściami, każdy segment oznaczono nie nazwą, lecz numerem. Główne wejście, którego adres brzmiał Massachusetts Avenue 77, wiodło do Budynku 7, w którym piaskowcową kopułę podtrzymywało sześć wielkich filarów i wysoko umieszczony w kartuszu napis „Przemysł, Sztuka, Rolnictwo i Handel”. Przy Vassar Street w legendarnym Budynku 20, „pałacu ze sklejki”, prowadzono tajne badania nad radarem, dzięki którym, jak się mówiło, wygrano drugą wojnę światową. Podczas zimnej wojny na werbowanie wywiadu naukowego nadal nie żałowano potajemnych zastrzyków z bogatych rezerwuarów rządowych i korporacyjnych. Wśród studentów krążyły pogłoski, że poprzez centrum analityczne i laboratorium maszyn liczących – pomieszczenia doszczętnie zastawione rzędami szaf napakowanych lampami próżniowymi i przewodami i sterowanych kartami perforowanymi – połączono wszystkie stacje radarowe z całego obszaru Stanów Zjednoczonych, na obwodach elektronicznych zaś wylicza się trajektorie rakietowe, których setka speców z

ołówkiem w ręku nie zdoła wyliczyć przez sto lat.

MIT był światem męskim, mężczyznami byli niemal bez wyjątku pracownicy administracji i wykładowcy, po części wojskowi. Chociaż wielka powojenna fala weteranów zaczynała już ustępować, mundury wciąż były powszednim widokiem w kampusie. Na sześć tysięcy studentów wypadało nie więcej niż sto dwadzieścia kobiet, z czego połowa na kursie magisterskim. Phyllis Goodhue wyróżniała się zatem jako członkini zdecydowanej mniejszości, obejmującej jedną na pięćdziesiąt osób spotykanych na bezkresnych korytarzach, tarasach do opalania, za drzwiami z mrożonego szkła starannie opatrzonymi czarnymi numerami, co nawet dotyczyło damskiej ubikacji: 3-101-dla-kobiet. Jeszcze bardziej Phyllis wyróżniała się wśród studentów opalających się wiosną na Wielkim Dziedzińcu czy na ogromnym osłoniętym trawniku między Budynkiem 3 a Budynkiem 4 wychodzącym na nowy odcinek Memoriał Drive obsadzony podwójnym rzędem jaworów, między którymi iskrzyły się wesoło wody Charlesa i niski różowy profil Back Bay. Studentki na ogół nie były pięknosciami – zakuwały jak szalone, zaniedbując figurę i cerę; z opuszczonymi głowami, jakby stawiały czoło przyptywowi, próbowały wtopić się w holach w tłum chłopaków – i Owen musiał spojrzeć na Phyllis dwukrotnie, żeby się upewnić, że w tym wypadku jest inaczej. Bo Phyllis była pięknosciami.

Prawda czy fałsz? Czy ów dwukrotny rzut oka był



niezbędny? Nie; od początku, przez pełen rzeczny chłodu, bezsenny i żałosny pierwszy rok, kiedy głowę Owena faszerowano – wśród bezliku innych podstawowych wiadomości – wstępną teorią obwodów (prawo Kirchhoffa, twierdzenia Thévenina i Nortona, funkcja krokowa, zjawiska rezonansowe oraz impedancje sprzężone), ilekroć Owen mijał Phyllis na którymś z zatłoczonych korytarzy, jego własne pole elektromagnetyczne zmieniało się o wartość subtelną, lecz istotną, jak różnica między  $dd'$  a  $dt$ . Objawiało się to zdrętwieniem, które powodowała tylko Phyllis. Jej obecność odmieniała nieregularne obramowane betonowymi chodnikami przestrzenie między budynkami na zachód od stacji metra Rendali Square. gdzie plotkując i paląc papierosy, pętali się zaczerwienieni z niewyspania studenci; zjawisko, podobnie jak Ginger Bitting, miało satelitów, parę innych dziewcząt, ale przeważnie – co w tym środowisku nieuniknione – chłopaków. Zapatrzony Owen zawsze lokalizował Phyllis w centrum towarzystwa, chociaż wyglądało na to, że właściwie Phyllis nigdy nie dominuje. W jakiejś hałaśliwej grupce przystawała z boku, rozbawiona i niepewna siebie zarazem; nigdy nie śmiała się najgłośniej. Miała głos łagodny, lecz czysty i nośny – Owen mógł ją dużo wcześniej dosłyszeć, niż dostrzec – gestykulowała zaś oszczędnie, powodowana niechęcią do narzucania się, co wzruszało go i ośmielało. Dla trzymającego się z dala, czujnego Owena bladość Phyllis była namiernikiem,

radiolatarnią.

Głowę z lekko wystającym podbródkiem nosiła wysoko na długiej szyi. Proste włosy – blond, o odcieniu wilgotnego piasku – wiązała z tyłu gumką w koński ogon. Z przodu grzywka spadała na jasne brwi, niemal niewidoczne na tle skóry, podobnie jak rzęsy. Nie nakładała makijażu, nawet szminki, paliła, wydymając wargi; podczas zaciągania głęboko wsysała policzki, dym wypuszczała jakoś lekceważąco i gwałtownie, przed siebie, bokiem ust. Jej nonszalancja, urok niedbałego stroju (przez całą zimę tenisówki i ten sam gołębioszary płaszcz) stały się dla Owena symbolem Cambridge – była powściągliwa, nieporuszona, roztargniona, czysta. Owen odkrył też, że Phyllis to profesorska córka; jej ojcem był Eustace Goodhue, biograf poety i pastora George’a Herberta, redaktor krytycznych wydań poetów metafizycznych, wykładowca angielskiego w tym innym miejscu, w górę rzeki, na uniwersytecie, gdzie wciąż się daje pierwszeństwo naukom humanistycznym, wywiedzionym z purytańskich teologicznych dociekań, pozostawiając nauki techniczne pracowitym ziemskim pszczołkom.

Pozycja szacownej córy wchodziła w skład wizerunku stworzonego przez Phyllis świadomie, jak sądził Owen. Wyczuwał, że jest podobna do niego, Owena: nieśmiała, lecz przezornie strzegąca dumnego Ja”. Naprawdę wysoka, garbiła się jakby po to, żeby pomniejszyć piersi, których pełni nie kryły nawet

zimowe, niedbale zarzucone szale. A o skrywaniu jeszcze trudniej by mówić, kiedy w ciepłe dni jesienne, potem w słoneczne kwietniowe i majowe Phyllis pozbywała się długiego szarego płaszcza, w którym wyglądała jak tykowitzki portier lub attaché wojskowy, i na środku Wielkiego Dziedzińca wyciągała się na kocu, ze spódnicą zadartą do pół uda, ściągawszy sweter i bluzkę, w samej tylko górze opalacza bądź staniku (z dala Owen nie mógł tego ustalić).

Nie przypominała żadnej dziewczyny z Pensylwanii, nawet elegantek z Main Line. Elsie Seidel, córka wiejskiego handlarza paszą i sprzętem rolniczym, z którą Owen chodził w liceum, była zawsze wystrojona, w lśniących mokasynach i prążkowanych podkolanówkach, w rozkloszowanej spódniczce z szerokim paskiem; szatynka w stylu New Look, z szylkretowymi klamerkami, które lśniły w sprężystych falach włosów. I mnóstwo szminki, kasztanowej, która na zdjęciach wychodziła na czarno, a Owenowi tak zasmarowywała usta, tak po wszystkim piekła, że musiał ją ścierać, wpierw plując na chusteczkę. Nie chciał, żeby tę szminkę zobaczyła matka; matka była przeciwna chodzeniu z Elsie, chociaż dziewczyna miała dobrą opinię, była poważana w okolicy bardziej niż członkowie rodziny Mackenzie, ludzie nowi w owym zakątku hrabstwa i okręgu szkolnym, obejmującym mieszkańców paru dolin, w tym kilka rodzin, dla których pierwszym językiem wciąż była pensylwańska niemczyzna, ów dialekt

odziedziczony po przodkach przybyłych tu w osiemnastym wieku. Elsie mówiła ze starannością typową dla posługujących się od dziecka tym dialektem, wolniej niż inne dziewczęta z Willow; z brzmienia głosu wydawała się doroślejszą niż była w rzeczywistości.

Miała w sobie coś z wiejskiej prostoty i z błysku dobrze odżywionego dziecka. Kiedy pierwszy raz się całowali – w przerwie tańców, na które matka wysłała Owena, napominając, żeby nie patrzył wciąż z góry na okręgowe liceum, chociaż to nawet nie szkoła w Willow – Elsie złożyła usta inaczej niż Alice Stottlemeyer podczas gry w butelkę, kiedy pocałunek okazał się lęklwym szturchnięciem; Elsie jakoś sprawiła, że w tym ciepłym wilgotnym miejscu, w którym zetknęły się ich ciała, jej wargi stopiły się z wargami Owena. Miała na sobie sukienkę do tańców, z tafty, przesiąkniętą potem; była niewysoka, on zaś w wieku siedemnastu lat wystrzelił do ponad sześciu stóp, świeżo obdarzony smukłością rodziny Mackenzie. Musiała go do siebie przyciągnąć, żeby przybliżyć ich twarze; chciała te pocałunki przedłużyć, tam, za zepsutym automatem z colą, gdzie migotała nad nimi jarzeniówka. Jej drobne, chętne ciało lgnęło do niego; Owen pamiętał pogłoski, że Carol Wisniewski dała się rypać na stojąco Marty'emu Naftzingerowi w tej ciasnocie między Ree Hall a fabryką pończoszną, i oto przekonał się, że można by tego dopiąć.

To nie tak, że on i Elsie kiedykolwiek – nigdy między nimi nie padło takie słowo – się różnili. Na to

Owen był za mądry, za bardzo się bał złamania sobie życia. W rozgorączkowaniu i niecierpliwości pierwszego pocałunku zorientował się, że już wcześniej wpadł Elsie w oko; w tej szkole Owen był egzotycznym, stojącym na uboczu nabytkiem i myśl o nim jakoś podniecająco drażyła główkę Elsie. Między nimi był więc zawsze ten przechył, ta nierównowaga: Elsie zapragnęła Owena, zanim on połapał się, co jest grane. Nie pozostał jednak obojętny, kochał ją na tyle, na ile zdołał zwalczyć wstyd, że to nie dziewczyna z Willow. Córka handlarza paszą, Elsie, w kołyszących się spódnicach i białych podkolanówkach, była tylko imitacją tamtych.

Później mógł już kojarzyć Elsie z wnętrzem auta, przyćmionymi światełkami deski rozdzielczej, gumowymi dywanikami, stęchlizną welurowego obicia i chłodem metalowych powierzchni. Chłodem na początek, bo po całym wieczorze jeżdżenia w kółko ogrzewanie zapewniało przytulną niszę w ciemności. Na randki brali ciężkiego przedwojennego chevroleta; kupno tego używanego wozu było częścią rodzinnej przeprowadzki do domu na wsi. Ojciec wracał z Norristown przeważnie przed szóstą i wtedy Owen dostawał auto na włóczęgę na czterech kołach, stanowiącą – w powszechnym amerykańskim mniemaniu – dobre prawo nastolatka.

Zanim nastał czas Elsie, Owenowi zdarzało się pojechać z powrotem do Willow; liczył, że coś się będzie działo w gronie starych przyjaciół, i na ogół doznawał zawodu. Teraz Willow, które opuścił w wieku dwunastu

lat, wyglądało w oczach wygnańca na prowincjonalną dziurę; życie – to znaczy życie towarzyskie szkolnych kolegów, na wpół dorosłej paki z placu zabaw – toczyło się bez Owena, poza zasięgiem wzroku. W sumie – wymarłe miasteczko. Włócząc się dróżką skracającą za ich dawnym domem, Owen mógł się przekonać, że na dziadkowym kurniku ubyło azbestowych płytek. Wcale nie był pewien, że uszczęśliwiłoby go tkwienie rodziny w Willow. Dorastanie to przetasowanie kart. Jako dziecko był raczej widzem niż aktorem, cenionym głównie w roli wiernego wyznawcy, wielbiciela, czy to Buddy'ego Rourke, czy też dziewcząt, których nagości nie śmiał sobie wyobrazić.

Teraz, w tym wozie z Elsie, musiał się zmierzyć z prawdziwą nagością; z początku całując po prostu raz po raz z zamkniętymi oczami, by pod zasłoną powiek zaznać powodzi innych wrażeń, i wnikając świadomością w słonawą, perfumowaną przestrzeń, jakże niepodobną do *wykonywanego* śpiesznie i na oślep skoku – masturbacji. W ciemnym zaciszu między chłodnymi napiętymi prześcieradłami, kiedy gdzieś zamierało pogadywanie rodziców, przez parę sekund miał wrażenie, że stoi na głowie, gdy odkrywał lewą ręką ów posłuszny, niewiarygodnie słodki mechanizm przynoszący zdumiewającą ulgę, ów skurcz prowadzący wprost do niemowlęctwa, do tamtego ciasnego splotu nowości, zanim wspomnienia oplączą rozkosz istnienia. A teraz w tym jego prywatnym mroku zjawiał się jeszcze ktoś, inny

poszukiwacz; to zaś, co zostało odnalezione, niezgrabnie, lecz nieuchronnie, to było najgłębsze „ja” odkrywane przez cudzą świadomość. Elsie była kimś zarazem doświadczanym i doświadczającym. Jej wilgotne oczy miały ów miodowobrazowy odcień ślazowych cukierków. Dzięki drobinom światła wnikającym przez przednią szybę Owen widział ciemne rysy jej zmarszczek w uśmiechu i refleks z boku gałki ocznej, kiedy przyglądała mu się z bliska; co trwało parę sekund, potem i ten dystans znikał. Tuż przy nim na przednim siedzeniu – w owych czasach to była kanapa na całą szerokość wozu – wparta plecami w występ korbki do opuszczania szyby, z kostkami i łydkami podpiekanymi przez nagrzewnicę, wydawała się zaklęśnięciem gotowym go przyjąć, gniazdem rosnących przyzwoleń. Co randkę pozwalała mu przesunąć o cal lub dwa coś, co mógł uznać za granicę dostępu, i już nie dochodziło do odbierania tych niewielkich ciepłych terytoriów. Prócz pocałunków ileż jeszcze było do dotykania, ileż sztuczek i podstępów wśród zapinek i pachnących okryć, w schronieniu, jakim jest samochód, którym czasem bywał jej wóz, bo kiedy nieszczęsną rodzinną starą chevroletę Owena odstawiano na noc do naprawy bądź dorośli rekwirowali ją na wieczorne zakupy, wówczas Elsie – chociaż młodsza o rok, też miała prawo jazdy - brała auto swojej rodziny, zielonego matczynego dodge’a, a nawet nowego ojcowskiego chryslera, granatową maszynę z widlastym ośmiocylindrowym silnikiem, i podjeżdżała pod ów

farmerski dom, żeby zabrać Owena, chociaż jego matka nie bez oporów przyjęła do wiadomości, że Elsie „chodzi” z Owenem, już nie wnikając, co znaczy to słowo, kiedy świat wkracza w nowe półwiecze.

Któregoś wieczoru, gdy Elsie zajechała takim imponującym wozem, została zaproszona do środka, do frontowego saloniku, w którym masywne meble Rauschów z dawnego domu w Willow nagle wynędzniały, na dodatek okryte kudłami dwóch collie, o które to psy postarała się matka, urzeczywistniając w ten sposób część wyobrażeń o życiu na wsi. W scenerii upadłego wykwintu, z której dziadkowie wycofali się, powłócząc nogami i mamrocząc, elegancko ubrana Elsie uprzedzająco grzecznie rozmawiała z matką Owena. Jej miodowe oczy wciąż lśniły, szkarłatnych warg nie opuszczał uśmiech. Owenowi – stojącemu niepewnie z boku, we flanelowej koszuli z przykrótkimi rękawami, w trzewikach sfatygowanych i topornych w porównaniu z wypucowanymi mokasynami Elsie (wciąż na widoku, kiedy elegancko zakładała nogę na nogę, a potem przekładała) – zdawało się, że widzi przechodzenie batuty z rąk do rąk. W miarę wymiany żartobliwych uwag Owen miał wrażenie, że obserwuje pojedynek. Jego matka też była kiedyś elegancko ubraną córką dobrze prosperującego wiejskiego przedsiębiorcy, nie był jej obcy pewien kod, wiedziała, „jak się zachować”. Wiedziała też, jak ludzie się zachowują, i nic tu nie mogła poradzić.



Kiedy młodzi, zaliczywszy towarzyskie obowiązki, odzyskali wolność w wozie Elsie i kiedy już po kinie czy partii minigolfa znaleźli jakieś miejsce do zaparkowania, wydawało się czymś perwersyjnym, że Elsie siedzi po lewej stronie Owena, a nie prawej. W tej sytuacji Elsie miała wrażenie, że jest jakąś dziwną, obcą dziewczyną, z którą Owen musi zaczynać od zera. Podbródki i usta musiały się zetknąć pod przeciwnym kątem niż zwykle, ręce Owena zmagaly się z odwrotnymi kierunkami.

– Może się zamienimy? – zaproponowała, kiedy Owen napomknął o tej dziwności. Mówiła teraz z głębszym przydechem, niżej niż owym uprzejmym, podszytym niemczyzną tonem, którym rozprawiała z matką Owena czy odzywała się do nauczycieli w szkole. Jej szminka zaczęła się już rozmazywać i wycierać. Na twarzy osiadła woskowa poświata ulicznej lampy odległej o pół przecznicy; niekiedy parkowali w ukryciach, które Owen poznał podczas spacerów w dzieciństwie, pod wzgórzem Cedar, za miejscem, gdzie stała budka z lodami. Owen mieszkał o dziesięć mil dalej na południe, Elsie jeszcze dalej o cztery, lecz on znał Willow na pamięć i czuł się tam najbezpieczniej. Kiedy indziej zdarzało im się zaparkować pod wzgórzem Shale, obok dawnego parku Victory Gardens, na terenowej drodze świeżo wrytej przez budowniczych nowego osiedla. W miarę poszerzania się przyzwoleń Elsie, Owen zawsze szukał bezpieczniejszego miejsca, w którym nie pojawiłaby się policja, więc nie groziłoby świecenie

latarkami w twarz, jak już się kiedyś zdarzyło na tyłach długich niskich szop przy starym chłopskim targu. Na potarganych włosach Elsie, wyprostowanej za kierownicą kosztownego ojcowskiego auta, na jej poplątanych lokach i kosmykach migotały ogniki: refleksy odległej ulicznej latami.

– Zamieńmy się, właśnie – przytaknął Owen. – Jeśli nie masz nic przeciw temu, że w wozie twojego ojca usiądę za kierownicą.

– Daj spokój, Owen. Żadna przyjemność, przez cały czas uwiera mnie w zebra. Nie mam pojęcia, jak to wytrzymujesz.

– Elsie, przy tobie nie zwracam uwagi na takie rzeczy. Idę tam. Wsiadam, a ty się przesun.

Wkroczywszy w publiczną przestrzeń poza wozem, na którą moralność dorosłych napierała aż z gwiazd, Owen otworzył i zamknął drzwi chryslera po stronie pasażera (wydały ów stłumiony a głęboki odgłos, bez śladu rozklekotania), obiegł szeroki, chromowany zderzak i tylne koła z białymi kręgami na oponach, zgarbiony, bo miał już erekcję. Póki nie usiadł za obciążoną zamszem kierownicą wozu ojca Elsie, miał wrażenie, że mimo zapiętego rozporoka może w tym stanie o coś zahaczyć, zaczepić. We wnętrzu, ogrzanym ciepłem ich ciał, odświeżył się i znów nabrał ostrości ów zapach nowego samochodu. Kiedy Owen rozciągnął się na przednim siedzeniu (mogły się na nim zmieścić trzy osoby), w przestrzeni, w którą wcisnęła się Elsie, odległa lampa

uliczna oświetliła ledwie widoczną twarz, perłowy kolczyk i puszystą wełnę angorowego sweterka z krótkim rękawem. Elsie pozwoliła mu podciągnąć ten sweterek, wsunąć palec pod stanik i głaskać jedwabistą skórę, to delikatne miękkie zgrubienie. Elsie, chociaż pulchna, miała małe piersi, jakby jeszcze wciąż rosły. Kiedy już osiągnął tyle, że mógł zdjąć stanik i ściągnąć sweterek, wydawało się, że jej tors nie tak bardzo się różni od jego; jej piersi w jego rękach wydawały się tak delikatne jak okrągłość łzy w jego oku. Pewnego wieczoru, kiedy parkowali za spustoszonego obszarem dawnego parku Victory Garden, gdzie do ulicznej lampy było bliżej niż pod wzgórzem Cedar, Owen patrzył, jak krople deszczu na przedniej szybie rzucają cień na jej piersi: na cienkie wstążki, które wpierw się wahały, potem opadały, a jego palce usiłowały je powstrzymać i tu, i tu, i tu. Miała słodkie małe sutki podobne do króliczych nosków. Pozwalała je całować i ssać, aż wreszcie odezwała się tym niskim głosem na przydechu, wyzbytym niemieckiego akcentu:

– Ou, Owen. Starczy, dziecino – i dotknęła głowy Owena w taki sposób jak fryzjer, kiedy chce ją obrócić.

Siedzieli, on zaś raz po raz wodził wkoło palcem po jej sutkach, jeszcze mokrych od jego śliny, zachwycony ich widokiem tak, że poczuł oszołomienie, tymczasem równoległe cienie kropli deszczu bezgłośnie sunęły po jej piersi i po grzbiecie jego dłoni.

Nigdy nie dotknęła jego kutasa. Był czymś zbyt

świętym, zbyt istotnym. Oboje udawali, że w ogóle go nie ma, nawet kiedy zdołali wyprostować ciała, na ile pozwalała przestrzeń na przednim siedzeniu i wnęka na nogi zastawiona nagrzewnicą; Owen obejmował jej pośladki pod podwiniętą spódnicą i przyciskał się do niej rytmicznie, mimo to przez cały czas całowali się w usta, aż Owen spuszczał się w majtki, gdzie zaschnięte nasienie tworzyło potem sztywną, kruchą plamę; później zdrapywał ją paznokciem w nadziei, że matka nic nie zauważy podczas prania. W wiejskim domu matka prała w ciemnej, pełnej pajęczyn wnęce pod piwnicznymi schodami, w pralce nowszej niż tamta, walcowata, w którą kiedyś Owen wkręcił sobie dłoń w piwnicy w Willow; nowa maszyna miała pokrywę, a wyżymaczkę zastąpił cykl wirowania.

O etykiecie seksualnej Owen miał ograniczone pojęcie, zaczerpnięte z zachowania kobiet i mężczyzn w filmach prowadzącego do końcowego pocałunku w kolosalnym zbliżeniu oraz z zagadkowych dialogów w paru takich książkach, jak *Komu bije dzwon* czy *Forever Amber*, *Rage to Live*, *The Amboy Dukes*<sup>1</sup>, do których zajrzał, wreszcie z pornograficznego wiersza, który Jerry, cherlawy, kędzierzawy chłopak z klasy Owena, młodszy brat Mart/ego Naftzinger, gotów był wyrecytować za dziesięć centów. Sprawy zaszły jednak tak daleko, że po którymś z takich orgazmów, kiedy wtulał się w jej uległe ciało, nasunęło mu się pytanie:

– Co więcej możemy zrobić dla ciebie?

Wprawił ją w zakłopotanie. Elsie lubiła udawać, że to, co się właśnie zdarzyło, wcale się nie zdarzyło.

– O co ci chodzi?

Z kolei Owen poczuł się zawstydzony.

– Myślę, że dla mnie to za mało, że tak ani drgniesz, no nie?

– Nie możemy sobie pozwolić na więcej, Owen – powiedziała. – Bo mogą być konsekwencje, których nie chcesz. – Nigdy nie dotknęła jego kutasa i nigdy nie powiedziała „kocham cię”, wiedząc, że jeśli Owen odpowie jej to samo, może się znaleźć w niezręcznej sytuacji, do której jeszcze nie jest gotów. W przeciwnym razie mogłaby wyjaśnić: Kocham cię, lubię cię podniecać, a to podnieca mnie, czy to na razie nie dosyć?

Wiedzieli jednak oboje, że istnieje takie więcej, i kiedy skończył się ostatni rok licealny Owena, oboje po omacku poszukali, jak do tego dojść, a nie popełnić grzechów na tyle mrocznych i kardynalnych, że na zawsze złamią im życie. Elsie mniej się bała niż on; to Owen wycofał się z próby, jak daleko Elsie pozwoli mu „zajść”. Jak zwykle zaczęło się w samochodzie, Owen zgięty w pałąk całował jedwabiste wnętrze jej ud, potem wcisnął usta najgłębiej jak mógł w to ciepło, jej ciepło, w ów zapach, czasem podobny do ostrej woni, która towarzyszyła matce w jakiś letni dzień, czasem podobny do piżmowego zacieru w kubłach za składem jej ojca. Najpierw Elsie broniła się, napierając na ramiona Owena, potem okazało się, że była na to przygotowana. W owych

czasach nawet nastolatki nosiły pas do podwiązek; krocza jej majtek broniły sztywne krawędzie elastycznej tkaniny i chociaż Elsie na tej samochodowej kanapie nieśmiało wypchnęła biodra, to wargi Owena nie mogły dotrzeć do wilgotnej bawełny. Nie wiedział, jak ustami doprowadzić ją do orgazmu, co to, to nie; ba, w ogóle nic nie wiedział o orgazmach dziewcząt. Niemniej radowała go już sama bliskość tej tajemnicy, radowała poddająca mu się Elsie, nawet jej zapach, czasami tak mocny, że aż odpychał i wymuszał myśl o odwróceniu głowy. Ale Owen przepadał za tym, co między jej nogami, za tym, jak gorące i lepkie stawały się jego policzki wtulone w jej uda, za tą wyzbytą wdzięku niezgrabnością manewru, którego domagała się Elsie, wciąż w podkolanówkach i mokasynach.

Tego lata przed wyjazdem Owena do MIT ich eksperymenty sięgnęły dramatycznego wymiaru. Elsie wiedziała, że Owen się wymyka; mimo wszystko nie przejął pałeczki. Znalazł wakacyjną pracę w ekipie mierniczej, doglądał znaków niwelacyjnych i przerąbywał zarośla, jeśli zasłaniały oś pomiaru. Rodzice wyprawili Elsie na luterański obóz do Ohio, na którym przez sześć tygodni była wychowawczynią. Owen jeździł z ekipą w najdalsze zakątki hrabstwa, trzeba go było zabierać z Alton, kiedy nikt nie mógł go podrzucić na południe; wracał do domu wykończony i brudny, starał się nie myśleć, że wkrótce zwali się na niego ten college w obcych stronach i że zabierze go stąd na dobre; Owen bał

się i zarazem wyczekiwał tego. Dziadkowie nie domagali, rodzice już nie byli tym młodym małżeństwem z Mifflin Avenue, do których łózka mógł się wdrapać, kiedy wystraszył się złego snu.

Kiedy już Elsie wróciła z Ohio, Owen miał wrażenie, że wziąć kąpiel w jedynej wannie w obejściu i znowu wyjść z tego farmerskiego domu w mrok to ponad jego siły. I on, i ona potrzebowali teraz ciemności. Pozwoliwszy sobie nawzajem na tyle, potrzebowali takiej intymności, że nie znieśliby już nawet światła żadnej odległej lampy ulicznej ani choćby najmniejszego ryzyka, że się natkną na obdarzonego szczekliwym głosem i wymachującego latarką gliniarza z Willow. Gdzie mieli się wybrać, z ich dojrzałymi pragnieniami i obawą przed możliwym porzuceniem? Letnie zajęcia nie zamuliły Owenowi głowy aż tak, żeby przeoczył w listach Elsie z letniego obozu napomknienia o towarzystwie chłopców wychowawców ani żeby ogłuchł na sierpniowe plotki, już po powrocie Elsie: kiedy on tnie zarośla na miejscu przyszłych osiedli, ją się widuje na miejskim basenie wylegającą się na ręczniku na trawie w dwuczęściowym kostiumie, z innym chłopakiem, w jej wieku, z jej klasy, który tu z nią zostanie, gdy minie wrzesień.

– Ojciec ma las tuż za Brechstown, setki akrów – powiedziała Owenowi pewnego wieczoru po godzinie bezładnego krążenia po okolicy. – Można się tam dostać taką starą drogą. Nikt nią nie wjedzie, mowy nie ma.

– Świetna myśl – powiedział, ale czy rzeczywiście

świetna?

W prowadzeniu zdał się na Elsie: na wąskich drogach, którymi jeszcze nigdy nie jechał, dyktowała skręt za skrętem. U wylotu starej drogi przestraszył go napis „Przejazd wzbroniony” i zardzewiałe resztki grodzącego drutu kolczastego; był też głaz z piaskowca, który Owen, o mięśniach naładowanych letnią krzepą, przetoczył na bok o pięć stóp, dzięki czemu mogli się jednak na tę drogę wślizgnąć. Jechali starą, czarną rozlatującą się chevroletą, którą ojciec Owena nazywał „złomem”, pokpiwając z własnego ubóstwa. Kiedy gałęzie ocierały się o boki przekradającego się wozu, Owena ogarnęło poczucie winy, aczkolwiek mniejsze, niż gdyby prowadził chryslera ojca Elsie, wypielegnowanego, wywoskowanego i w ogóle tip-top. Reflektor wyłuskiwał śmieci, puszki i opakowania, ujawniając, że tu już byli inni, którzy też odsunęli głaz, kiedy dodało im się pożądanie. Droga była wyboista, stary wóz się kołysał. Przypuśćmy, że złapią gumę lub złamią oś? Skandal i hańba splamią na zawsze czarodziejskie życie Owena.

– Może już starczy? – zapytał. Miał wrażenie, że zatrząskuje się za nim pułapka.

– Drogi jest jeszcze kawał, ale coraz gorszej – przyznała Elsie.

Owen wyłączył zapłon i zgasił światła. Co za ciemność! Runęła na nich ze słyszalnym trzaskiem; zablokowała okna, jakby wóz wpadł do czarnej rzeki. Oswoivszy wzrok, Owen dostrzegł przez przednią szybę



jedną czy dwie gwiazdy w lukach między wysokimi nieruchomymi drzewami. Zamigotały światła samochodu zabłąkanego na polnej drodze o jakieś pół mili dalej. Zatem ich światła musiały być tak samo widoczne. Twarz Elsie wydawała się zaledwie poświatą w tej pieczarze z weluru, gumy, giętej stali i bezodłamkowego szkła. Wargi Owena odnalazły wargi Elsie, pełne i wilgotne, ale to dawne zespolenie się, wnikięcie jednych ust w drugie, napotkało na przeszkody, czyli myśli, których Owen nie mógł się pozbyć. Co będzie, jeśli chevy nie zapali, kiedy zechcą odjechać? Co będzie, jeśli on – teraz bez maczety, której używał w ekipie mierniczej – nie zdoła zawrócić wozu na zarośniętej drodze, z tą zwartą masą krzaków z tyłu? Czuł, że osacza ich życie, bezgłośnie życie roślin na tej ziemi ojca Elsie, obecnego w każdym liściu, w każdej wystającej gałęzi. Owen wciąż był na tyle młody, żeby wypełnić ciemność szpiegującymi bytami; przeszkadzały mu, chociaż powinien się jedynie pochylić nad tym skarbem w zasięgu ręki, pograżyć w najpełniejszej intymności, jakiej zaznali z Elsie.

Był sierpień; Elsie w szortach, bez paska do pończoch. Kiedy ich uścisk nabrał żaru i giętkości, pod ręką Owena znalazło się jej krocze, jakby się samo ku niemu wspięło. Elsie uniosła biodra na samochodowej kanapie, więc mógł jej zsunąć szorty; zrobił to tak niezręcznie, że zsunął też białe majtki, a ona nie próbowała wciągnąć ich z powrotem. Zdawało się, że Elsie się wydłużyła, jakby rozciągnęła brzuch. Nawet w

takiej ciemności widział wilgotny połysk oczu jak dalekie świetliki i bladość długiego brzucha przechodzącą w mały, nieostry cień. Z obawy przed tym cieniem Owen zajął się jej piersiami; odpięcie stanika i podciągnięcie sweterka poszło znacznie wprawniej niż ściąganie majtek. Elsie zaś skrzyżowała ramiona i za jednym zamachem zdjęła przez głowę i sweterek, i stanik. Włosy, skrócone na lato, żeby mogła raz po raz kąpać się w jeziorze na tym luterańskim obozie, zakołysały się, rozsiewając zapach szamponu. Dopiero te szczupłe, gładkie i okrągłe ramiona przyprawiły go o wstrząs na widok jej nagości; wtulił twarz w jej szyję i powiedział:

– Boże, to się w głowie nie mieści!

Policzek Elsie napiął się w uśmiechu.

– Teraz ty – tchnęła mu w ucho. – Koszula, Owenie.

Szybko, nie chcąc jej puścić ani na chwilę, Owen ściągnął koszulę, myśląc, że może trzeba było w domu staranniej się wykapać, w zamkniętym bąblu wozu zapach spod jego pach mieszał się z zapachem jej szamponu i skóry. Dostrzegał coraz więcej, jakby światło sączyło się jednak z tych skrawków nieba, przez luki między koronami drzew, i siało rozbłyски po lesie, w którym odżyły i wzmożyły się ledwie słyszalne odgłosy. Owen całował piersi Elsie, starał się być delikatny, nie gryźć stwardniałych sutków, kiedy szeptała mu w ucho, przeciągle, głosem, który wydawał się sztuczny, wyuczony, jak z kina.

– Owen, kiedyś u siebie w pokoju zdjęłam wszystko,

chodziłam, przeglądałam się w lustrze i chciałam, żebyś mnie taką zobaczył.

– Jesteś piękna, nadzwyczajna. – Owen powiedział to z całym przekonaniem, lecz kiedy słowa Elsie wybrzmiały, słyszał już co innego, szepty i zamieszanie wokoło, po tamtej stronie szkła i metalu. Z niezbyt daleka dobiegło pohukiwanie; sowa, a może sygnał gangu krwiożerczych opętańców, kryjących się w pieczarach, z których wyłażą nocami. Owen znowu pomyślał: Przypuśćmy, że wóz nie zapali? Podczas ulewy lub w chłodne ranki to się często zdarzało, rozgorączkowany ojciec zalewał wtedy świece, a słabnący rozrusznik na próżno kręcił silnikiem uuuuumm. – Słyszałaś coś? – spytał.

Elsie położyła mokasyny na zapiaszczonej podłodze auta i – teraz naga aż od stóp – podniosła się; uklękawszy na siedzeniu obok Owena, potraçała jego twarz, kiedy wodził językiem po jej piersiach; nawet w stanie narastającego lęku, obejmując ją mocno, zachwycał się giętkością talii, niemal płynną przestrzenią pod żebrami, a z tyłu pokrytą meszkiem, twardą i płytką u podstawy kręgosłupa i lśniąca okrągłością pośladków, gładkością w rowku; wszystko stanowiło jedność, jak srebrzyste ciało ryby, jakże proste i prawdziwe; oto jej prosta żywa prawda w jego rękach. Znowu usłyszał odległe pohukiwanie. Koło opon coś zaszeleściło. Elsie poczuła, że usta Owena przestają się interesować jej sutkiem, i też zaczęła nasłuchiwać. Pod skórą między

piersiami biło jej serce.

– Chyba nic – orzekła; teraz zniknęło to przeciąganie słów rodem z kina, głos Elsie brzmiał cicho i po dziecinnemu drżał. Żeby zagłuszyć niepokój, dodała: – On mówi, że tu nie ma żywej duszy, najwyżej w sezonie łowieckim.

Elsie też musiała jednak widzieć w światłach samochodowych te puszki i papiery dowodzące, że ktoś tu bywał. On; jej ojciec, właściciel tego wszystkiego naokoło, nienawidzący Owena za to, co robi z jego córką, starający się każdą gałęzią, każdym pnem wyrzucić ich stąd oboje. Wsłuchiwali się, aż dotarł do nich jakiś odgłos tak słaby, że mogło to być po prostu pęknięcie pęcherzyków ich śliny, kiedy wstrzymali oddech. Ręce Owena znowu ożyły, przyciągając tę jej napiętą nagość, czubkami palców odnalazł puszek w rowku z tyłu. Zastanawiał się, jak opuścić głowę, żeby pocałować ów miękki cień, który mignął mu przed oczami; wydawał się czymś bardziej wstydliwym i zwiewnym niż to, co widywał na świńskich fotografiach i rysunkach, nielicznych, które zdążył zobaczyć. Więziony w rozporoku kutas bolał, tymczasem jej ręka po raz pierwszy opadła i zaczęła manipulować przy sprzączce paska, żeby go rozpiąć, wyzwolić ów nagłący napór i zamknięty tam kwaśny zapach.

Lecz Owen wystraszył Elsie, wystraszył ich oboje; pragnienie, które nim owładnęło, mimo że świecił już nagą piersią, było pragnieniem ucieczki, chęcią

przekonania się, czy samochód zapali, czy uda się nawrócić na wąskiej drodze, nie uderzywszy w drzewo, i ominąć głębokie dziury. Tereny ojca Elsie i jej nagość na tych terenach były jak krzyk: Owen czuł się bezbronny, może nawet czuł się przestępcą, zważywszy na złamanie zakazu wjazdu i na to, że Elsie jest nieletnia. Owen musi nietkniętą Elsie zwrócić jej społeczności. Szelest koła opon, który sobie wyobraził, podziałał jak nagłe smagnięcie; Owena przeszły nieznane.

– Elsie – szepnął.

– Co takiego? – Może oczekiwała jakiegoś wyznania, jakiejś trzeźwej prośby.

– Zbierajmy się stąd.

Zawahała się. Owen słyszał bicie jej serca, świst oddechu.

– Jak chcesz – rozstrzygnęła tym grzecznym tonem, którym rozmawiała z jego matką. Potem podchwyciła jego nastrój i szepnęła: – Tak, wracamy.

Owen często przypominał sobie potem szczegóły tej godziny (ściągnięcie naraz szortów i majtek, lśniące białka oczu; wrażenie, że Elsie szybuje w przestrzeni nad jego głową jak jedwabny latawiec, jak anioł w górnym rogu sieneńskich Narodzin) i ubolewał nad swym brakiem śmiałości, bo przecież mógł się nacieszyć jej darem samej siebie, mógł go posmakować, mógł jej pozwolić na uporanie się z jego spodniami. Ich poczucie intymności zatruł swoim zdenerwowaniem. Naga czy ubrana, Elsie była istotą ludzką, wówczas przestraszoną. Odwrót

Owena był tchórzostwem, lecz on czuł się dzielny, nie stracił głowy i z powodzeniem przeprowadził całą operację. Uruchomił silnik – dzięki Bogu zapalił, zagłuszając wszelkie odgłosy – i ruszył tyłem tą zarośniętą ścieżką ledwie rozjaśnioną światłami cofania, gałęzie ocierały się o metal, a Elsie mocowała z ubraniem. Wjechałby na szosę, nawet nie myśląc o przetoczeniu z powrotem głazu, lecz Elsie odezwała się spokojnie, acz sztywno:

– Owen, powinniśmy go zostawić tam, gdzie leżał.

Cenne ziemie jej ojca. To jest jej przedstawienie, uzmysłowił sobie. Zły, wysiadł i w świetle własnych reflektorów przepchnął głaz na miejsce, jako wyzwanie dla kolejnych intruzów.

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam – powiedział, kiedy chevroleta bezpiecznie zmierzała szosą do Brechstown, gdzie mieszkała Elsie. – Spietrałem się.

Zapaliwszy papierosa (w jej wykonaniu rzadkość, ale dziewczęta w Willow paliły, więc Owen ją tego nauczył), Elsie odrzekła:

– Większy z ciebie mieszczuch niż ze mnie. Ja się nie boję lasu. W jesieni ojciec i stryj polują. Tu nie ma niedźwiedzi ani niczego, nie ma już nawet rysy. Ja się czuję bezpieczna.

– Trzeba to było powiedzieć wcześniej, jeszcze tam.

– Próbowałam cię zająć, zainteresować.

– Rzeczywiście, byłaś niesamowita. Pokochałem to. Ciebie.

Milczała; porządkowała te chaotyczne przemowy.

– Wychodzi na jedno. Mogliśmy się rznąć – odezwał się Owen.

Rzecz nie w słowie, którego używali wobec innych czy między sobą: chodziło o coś w rodzaju ofiary. Lecz Elsie zachowała milczenie. Owen, z rozpaloną, okrytą rumieńcem twarzą, zorientował się, że nie był przygotowany konkretnie, nie miał żadnej takiej gumowej rzeczy, z których jedną widział przed laty obok opuszczonej budki łodziami. „Nie dotykaj tego!”

– Nie pozwoliłabym ci, Owen – powiedziała w końcu Elsie. – Chcę zachować dziewictwo dla męża. To było tylko to, co ci powiedziałam, chciałam, żebyś mnie poznał, zobaczył taką, jaką sama się widzę.

– Byłaś piękna, Elsie. Jesteś piękna.

Czyżby płakała?

– Dziękuję, Owenie – oświadczyła. – Jaki jesteś miły.

Zbyt miły, taki był podtekst. Mimo to wciąż nie potrafił siebie winić. To jej ciało w jego ramionach, podobne do chłodnej, giętkiej, śliskiej ryby, było objawieniem, ale byłoby objawieniem akurat na jedną noc.

Czy potem miały nastać inne noce? Może, lecz kiedy wracał do tego i próbował przywołać każdy tkwiący w mroku szczegół, miał wrażenie, że nie. Ich przyszłe losy szybko się uwidoczniły. Elsie w ostatniej klasie miała innego chłopaka, wyszła zaś za jeszcze innego, poznanego w miejscowej filii pensylwańskiego

uniwersytetu stanowego. Zaskakujące, bo wyprowadzili się z tych stron i zamieszkali pod San Francisco. Skoro nie zabrał jej stąd Owen, zabrał kto inny.

Zanim Owen tamtego wieczoru odwiózł Elsie do Brechstown, musieli jeszcze, wypalając benzynę, popętać się bez celu, poczekać, aż serca ochłona, przestaną łomotać; próbowali przykładowo rozmawiać o tym, czego się dowiedzieli nawzajem o sobie i własnym życiu. Brechstown, leżące tuż przy granicy z hrabstwem Chester, było grupką nieregularnie posadowionych domów, jaką pewnie było i Willow, zanim pojawienie się tramwaju przeistoczyło to miasteczko w przedmieście Alton. Tuż za domami rozciągały się pola z farmerskimi zabudowaniami amiszów, stodołami bielonymi wapnem i silosami ze szkliwionych ponadwymiarowych brązowych cegieł. Skład pasz i artykułów żelaznych pana Seidela, z platformą załadowniczą i reklamową szachownicą Puriny, mieścił się między stacją benzynową i wiejskim jednoosobowym zakładem fryzjerskim, zresztą zamkniętym, ze znieruchomiałym pasiastym słupem<sup>2</sup>. W soboty czekała tu na klientów Elsie, Owen miał zaś nieraz okazję uścisnąć dłoń jej ojca. Pan Seidel był mężczyzną muskularnym, niemal grubym; chociaż sam potrafił taszczyć osiemdziesięcioletnie worki na ciężarówce mennonitów i wozy amiszów, nosił jednak koszulę i krawat ze złotą spinką. Ujmował dłoń Owena w szybkim jak szermiercze pchnięciu wysunięciu ręki, z uśmiechem rozbłyskującym figlarnie spod przyciętego w kant wąsika.



Dom pana Seidla stał o ćwierć mili dalej, u szczytu chrześzczącego podjazdu; farmerski dom przypominał dom rodziny Owena, lecz był ulepszony w wyszukany sposób. W świeżo wzniesionej dobudówce na dole mieścił się garaż na dwa wozy, na górze pokój z telewizorem, wbudowanymi w ściany głośnikami i starannie dobranym umeblowaniem; dobudówkę okrywał aluminiowy siding. Budynek pierwotny wzniesiono nie z piaskowca, lecz z wapienia, bo przy granicy hrabstwa Chester takie kamienie rodziła ziemia.

W ich pocałunku na dobranoc znów zabrakło tego zespolenia, chociaż kiedy Elsie wysiadała z samochodu, schylona, Owen pozwolił sobie tknąć jej piersi. Czuł, że zawiódł, ale nikt już nie mógł mu odebrać skradzionego skarbu: tego, dokąd z nią „zaszedł”; zdobył coś w rodzaju amatorskiego filmu, który mógł sobie odtwarzać z pamięci nie raz i nie dziesięć, jak z jakiegoś zdezelowanego projektora, nie tylko w łóżku, ale i w różnych nieujawnianych chwilach za dnia, te migotliwe urywki, strzępki Elsie; szampon, bicie serca przypominające kogoś obcego pukającego do drzwi, zdumiewającą gibkość jej talii.

Zatem nie od Phyllis Goodhue zaczynały się miłosne zapędy Owena, choć trzeba przyznać, że Owen wyróżniał się niewinnością nawet w niewinnych latach pięćdziesiątych. Zwabiony przez Elsie w głąb lasu, uznał seks za coś, co trzeba odroczyć, póki nie znajdzie dlań

dostatku przestrzeni, póki nie wyzbędzie się poczucia przytłoczenia. A na pierwszym roku college'u przytłaczały go wysiłki, żeby nie zawalić i nie wylądować znów na wsi, na łonie niepokieszonej rodziny. W domu dotknięta parkinsonizmem babka coraz rzadziej podnosiła się z łóżka na piętrze; kiedy Owen ją odwiedzał, wyciągała zsiniałe ręce z palcami jak szpony i mówiła: „Podnieś, podnieś”.

Babka zawsze była aktywna i nie chciała zarzucić ćwiczeń. Owen dzielnie ją podnosił, opuszczał, na poduszkę osuwały się upiornie rozczochrane, rzędzące włosy, potem znowu podnosił; rychło miał tego dość i kończył. Na dole dziadek, wciśnięty w kąt starej trzcinyowej sofy, spędzał całe godziny na czytaniu Biblii. Kiedy pobliską pustawą drogą przejeżdżał samochód, dziadek podnosił głowę, jakby miał kichnąć, myślał, że może to listonosz, który zresztą nigdy nie przynosił mu żadnej poczty, jeśli nie liczyć porannej altońskiej gazety, co najmniej wczorajszej, przypomnień o składkach i zawiadomieniach z loży masonskiej w Willow, której członkiem został w swoich najlepszych czasach, po przybyciu do miasteczka w roli nowego, liczącego się inwestora. Zeszłego lata którejś soboty córka zawiozła go do Willow na pogrzeb ostatniego ze starych przyjaciół z owych czasów pomyślności; oboje, ojciec i córka, wrócili z oczami pełnymi łez, który to widok zdumiał Owena – oto podobne do klejnotów trofea z owego świata „na zawsze”, świata, w którym rozległy się strzały,

przerażone konie wbiegły do płonących stajni, a drugie prawo termodynamiki nie zezwoliło na żadne cofnięcie się do stanu mniejszego rozprężenia.

Po powrocie do Cambridge okazało się, że Owen już nie jest taki przytłoczony; był na drugim roku, już wiedział, co w trawie piszczy. We wrześniu nie wahał się i ruszył na drugą stronę rzeki, żeby zobaczyć Braves grających z Phillies; trzymał kciuki za Phillies, z czym się jednak nie zdradzał w plebejskim tłumie, tak szczupłym, że zapowiadał przeniesienie w ciągu roku prawa rozgrywek do Milwaukee. Ośmiodrużynowe ligi z chłopięcych czasów Owena, na zawsze niezmiennie jak Dziesięć Przykazań, sądził, zaczynały się przenosić i rozłazić po kraju. W piątkowy listopadowy wieczór Owen z paczką pięciu przyszłych inżynierów wsiadł do metra przy Rendali i pomaszerował z Cambridge Street na Scollay Square do Old Howard, który też miał wkrótce zniknąć. Obwieszona błyskotkami kobieta, z podejrzenie cynamonowoczerwoną strzechą na głowie, w ubraniu, którego ciągle ubywało, paradowała tam przed nieco sardoniczną, wyłącznie męską widownią złożoną z marynarzy, staruchów oraz studentów; kończyła pokaz na plecach, na aksamitnym szezlongu, wymachując w powietrzu nogami w pantomimie dosadnie przedstawiającej orgazm, przy akompaniamencie perkusji w kanale orkiestrowym. W jaskrawych światłach sceny nieźle przechodzone i nieźle rozbawione kobiety odgrywały układy sceniczne, które Owenowi nie wydały

się martwe; te kobiety przybrane w pióra, w krzykliwych sukniach balowych, w głęboko wciętych gorsetach, marszczonych podwiązkach, na obciągniętych atłasem obcasach wiodły życie ze snów wywiedzionych z głębi jestestwa, to były estradowe fantazje na temat czegoś, co w istocie jest rzeczywistością najczystszej próby.

Dowcip i wykwent Nowej Anglii ubarwiały to, co w burdelach i spelunkach pensylwańskich przemysłowych miasteczek było naznaczone ponurą, zjełczałą łojową ciężkością. Tu, gdzie ślad purytanów znaczyły białe wieżyczki i obyczajna zabudowa z cegieł, seks – jeśli nie stanowił tabu – bywał retuszowany. Wysoko rozwinięte wśród obywateli bostońskie poczucie moralności wymagało od kostiumu pewnych ograniczeń, błyskotek na sutkach, stringów na wzgórku łonowym, wysokich szpilek na nogach, diademów na głowie, jaskrawego makijażu – wszystkiego, co mogło pomniejszyć tę prostą jaśniejącą nagość, którą Elsie w swej niewinności obdarowała pewnego wieczoru Owena. Nagość – tak by to mogło wypaść w ujęciu Nowej Anglii – jest zbyt poważna, zbyt podatna na zranienie, by mogła się samookreślać; tylko marmurowe boginie czy matka Ewa na niewyraźnych rycinach mogą tę nagość obnosić jawnie, w świetle dnia, na powierzchni. Podziemnie zaś wyświetla się w klubikach filmy pornograficzne obliczone na nerwowe pohukiwania, z aktorami i aktorkami, których podupadłe, workowate, smętne i anemiczne atrybuty ludzkie zachęcają do szyderstw taką

widownię, jaka jest, młodą i niedoświadczoną.

I tak na drugim roku, po lecie spędzonym w brygadzie mierniczej i nieudanych randkach z Elsie – która na pierwszym roku pensylwańskiego uniwersytetu stanowego nabrała powściągliwości, nieskora już szafować sobą – Owen wrócił do marzeń o Phyllis, mimo że nie zamienił z nią nawet słowa. Okazało się jednak, że Phyllis wybrała te same zajęcia: Wstęp do programowania maszyn cyfrowych i ich układów logicznych. Przegląd zasad projektowania logicznego oraz elementów programowania wielkich maszyn cyfrowych, z punktu widzenia użytkownika. Zwięzłe opisy struktur logicznych maszyn cyfrowych stosowanych w MIT i innych ośrodkach. Interpretacja sekwencji operacji arytmetycznych i logicznych w poleceniach stosowanych w maszynach cyfrowych wraz z wybranymi przykładami typowych problemów inżynierskich, naukowych i biznesowych oraz aplikacji kontrolnych działających w czasie rzeczywistym. Techniki upraszczania i ulepszania programowania komputerów i użytkowania ich za pośrednictwem standardowych podprogramów. Zastosowanie na komputerze MIT Whirlwind I przykładów omawianych na zajęciach, w celu uzyskania bezpośrednich doświadczeń w pracy z maszynami cyfrowymi o wielkich szybkościach.

## 5. ZDOBYCIE PHYLLIS

– Potrafisz się połapać w tym wszystkim?

Tak zabrzmiała niezręczna, "wyartykułowana półgębkiem próba przełamania lodów kierowana do wysokiej dziewczyny o włosach koloru piasku; w długim holu w powykładowym zamieszaniu Owen przyłapał dziewczynę na chwilowej samotności; przyspieszywszy kroku, znalazł się przy niej, ramię w ramię.

Spojrzała zaskoczona, lecz uprzejma, błękit jej oczu tak złagodniał, że przemienił się w szarość w odcieniu jej zimowego płaszcza, który z dala wydawał się Owenowi gołębi. Brwi i rzęsy Phyllis były niemal bezbarwne, kiedy mówiła, jej usta miały jakiś intrygujący rys zmrożenia, swoistego opóźnienia ruchu, twarz zaś była tak delikatna, jak narysowana srebrnym stylusem, chociaż mieniła się żywymi odcieniami różu; różowe były powieki, różowy czubek nosa i różowy grzbiet skośnych kości policzkowych.

– Chyba tak – odrzekła ostrożnie. – W sumie to coś wspaniałego.

Odpowiedź była jakimś delikatnym odzewem, wskazówką, że Phyllis już czekała, aż Owen się zbliży; wyczuwała, że Owen tego chce. Od paru tygodni chodzili na te same zajęcia; liście zmieniły już kolor, na mniej poważnych uniwersytetach toczyły się rozgrywki futbolowe, na nosie Phyllis wciąż widniała opalenizna,

skutek wylegiwania się na kocu na trawniku Wielkiego Dziedzińca albo nad rzeką. Dziwne, pomyślał Owen, że tak często czciciele słońca cierpią z powodu jasnej cery.

– Nie spodziewałem się tej trochę koszmarnej logiki matematycznej – ciągnął dalej tonem, który w jego własnych uszach brzmiał jak narzekanie – tych paradoksów Frege’a, Russella i Godła, tego całego rachunku zdań, mój Boże, istna burza w hipotetycznej szklance wody! Myślałem, że zaczniemy się tu uczyć programowania komputerów.

– Zaczniemy, na pewno. Lecz on ku czemuś nas prowadzi – niełatwo było nadążyć za mamrotliwym, spazmatycznym wywodem adiunkta nazwiskiem Klein – to całkiem nowy sposób podejścia do liczb, postrzegania ich tak, jak postrzegają maszyny, nie my.

– Nie mogę się doczekać – powiedział Owen bardziej sarkastycznie, niż zamierzał. Wyszedł na malkontenta, na gburowatego ciemniaka; po całym tym wpatrywaniu się z dala mógł tę cudowną dziewczynę stracić w pierwszej minucie podrywu. Miał na haczyku delikatną, niemal przezroczystą rybę, która potrafi się odezwać zaskakująco i bystrze. Sprawiała, że poczuł się (i tak już zostało) tępawy, mułowaty, niemrawy, przyciężki.

– Bierzesz to zbyt użytkowo – powiedziała. – Pan Klein chce, żebyśmy pomyśleli o tym, jak my myślimy. Nasze tak zwane myślenie to jednak bezład, z tymi licznymi drobnymi przedustawnościami, mniej więcej jednoczesnymi, tymczasem maszyny nie mają intuicji i

nie uginają się pod ciężarem doświadczeń. Normalne ludzkie irracjonalności nie mają tu zastosowania. Dla maszyn nie jest oczywiste nic, czego nie da się zapisać co do przecinka.

– „To tylko mogą zrobić, co umiemy im nakazać i wiemy jak”, powiedziała lady Lovelace. – Owen przedrzeźniał Kleina, to jedwabiste ucieleśnienie inteligencji, w którego słowach wibruje chęć wycofania się, jakby wyrażenie czegoś mogło przyprawić o wstrząs delikatną mózgownicę wykładowcy. – Jak na kobietę była kimś w swoich czasach, prawda? – dodał mało przekonująco; co chwilę potrącany, usiłował dotrzymać kroku Phyllis sunącej przez hol. – Numerantka, nie? – dodał; to miał być dowcip i może miał zmyć z ust flirciarski posmaczek; przywołując Adę Lovelace, córkę Byrona, zarazem pomocnicę Charlesa Babbage’a w wynalezieniu maszyny analitycznej, Owen chciał pośrednio skomplementować tę oto inną kobietę o skłonnościach matematycznych.

– Była kimś – zabrzmiała bezbarwna odpowiedź. Phyllis oddalała się; Owen nie zdołał przykuć jej uwagi.

W tym ponumerowanym labiryncie doszli do Sali 7, czyli holu wejściowego z dziesięcioma filarami, skąd trasy rozchodziły się pod kątami prostymi. Widząc, że muszą się rozdzielić i że ten obcy zdobył się na jakiś wysiłek, Phyllis sięgnęła po żywszy ton:

– Anie spodobał ci się ten sposób, w jaki Klein przedstawił dziś na wykresie inferencję? Te wszystkie



„eleganckie” reguły na coś, co wydaje się nam takie oczywiste, zanim pomyślimy dwa razy?

Nie może jej utracić; musi spróbować jej sprostać, dorównać jakąś prowokacją, czymś, co utkwi jej w głowie do następnego spotkania.

– A ty nie masz podejścia użytkowego? – zapytał.

Stali nieruchomo w strumieniach grubo okutanych, przyszczatych, rozkrzyczanych ciał, niknących na następny wykład.

– Chyba nie – odpowiedziała łagodnym, przygasającym głosem. – Przepadam za tym, co czyste i nieużyteczne. – Ledwie widocznie wzruszyła ramionami, przepraszając całą sobą, całą rozciągłością bladego, różowego i niepewnie obnoszonego ciała.

– I to jest w tobie piękne – rzekł Owen. Zdanie po prostu mu się wymknęło, zbyt toporne jak na komplement; dostrzegł jej grymas i pośpieszył zatrzeć wrażenie: – Słuchaj, może się kiedyś spotkamy na kawie, co?

W jaśniejszym świetle holu zwieńczonego wysoką kopułą Owen dostrzegł, że staje się kolejnym jej brzemieniem; odprawiała już wielu konkurentów, licznych potencjalnych współlamatorów kawy. Owen postawił więc na jeszcze jeden żart, dotyczący maszyny Turinga.

– Nie chodzi o żadne „Jeśli/to” – zapewnił. – Zero nieuniknionych konsekwencji. To raczej  $n$  plus jeden. Ty jesteś  $n$ , przy czym  $n$  oznacza „wie to wszystko”, a ja to

jeden, co oznacza „głuptak”. Jestem burakiem, prostym stypendystą, który umrze, jeśli cię nie spyta o – sięgnął po jeszcze jeden zwrot z wykładu, po końcowe słowa Kleina – „prymitywną rekurencję”.

– Wszystko do tego zmierza, do prymitywnej rekurencji – przepowiedziała Phyllis i odwróciła się, spojrzawszy wpierw w górę na zegar. To było dla niej charakterystyczne, jak się przekonał, podszyta żalem wesołość w chwili rozstania, bo to właśnie przekazywała przez ramię; nigdy nie była bardziej urocza, nie wkładała więcej uczucia w uśmiech niż w chwili pożegnania. – Ale ja nie wiem wszystkiego – dodała, pozostawiając bez odpowiedzi główne pytanie Owena.

Kiedy do uczelni dobrała się zima, Phyllis wypła jednak z Owenem kawę – na początek, jak się okazało. Dlaczego? Co w nim polubiła? Była od Owena o rok starsza, jak Elsie o rok młodsza; Owen postrzegał Phyllis jako istotę stojącą wyżej, bez trudu poruszającą się po królestwach oświecenia. W lesie faktów i koncepcji, a tym był MIT, Owen czuł się wpierw zagubiony, niemniej stopnie miał dobre, a z czasem, w miarę wrastania w uczelnię i sprecyzowania zainteresowań, jeszcze lepsze. Był wysoki, szczupły, z jedwabistą strzechą na głowie, ciemniejszą niż postrzępione włosy ojca, szatyna; w owych czasach rygorystycznego strzyżenia się Owen swoim włosom pozwalał rosnać do woli. Tam, gdzie studenckimi sławami często bywali skośnoocy Amerykanie w okularach i tłuści Żydzi, Phyllis musiało

się spodobać, że grubokościsty Owen jest od niej wyższy; na wspólnym spacerze prezentowali się wcale nieźle. W pensylwańskich szkolnych czasach Owen nigdy się nie zaliczał do sportowych asów, był jednak żyłasty i sprężysty, czego się dopracował podczas marzycielskich lat na farmie dzięki skromnym wyczynom zręcznościowym: umiał żonglować trzema piłkami tenisowymi, skakać przez miotłę trzymaną przed sobą w wyciągniętych rękach, bezboleśnie zjechać na czterech literach po stopniach o stalowych krawędziach, czym teraz wprowadził Phyllis w pierw w panikę, a potem rozśmieszył, kiedy zobaczyła, że nic mu się nie stało. Przepadał za jej rumieńcem wywoływanym przez niespodzianki, kiedy krew barwiła jej bladą twarz o cienkiej skórze. Udawane kontuzje Owena były parodią pragnienia, żeby się przed nią ukorzyć, zresztą rzeczywistego: oto klaun i ośmiela się wystąpić przed księżniczką, którą chce zdobyć.

Zima zabrała studentom przestrzenie pod gołym niebem, więc po wykładach i wieczorami tłoczyli się w barach przekąskowych, knajpkach samoobsługowych, w tanich chińskich i hinduskich restauracjach przy Rendali Square – który jeszcze nie był krainą Oz zaawansowanych technologii, lecz niemal czarną pod stuletnią warstwą brudu strefą przemysłową włókienniczej tandety – i południowym skraju Central Square. Wchodzący otwierali drzwi i wpuszczali porcje ostrego powietrza zmieszanego z płatkami śniegu, a lustra

potniały, kiedy ciepło bijące ze stłoczonych ciał stykało się z wyziębionymi ścianami. Zaklinowany przy okrągłym stoliku o blacie z formiki, wraz z trójką lub czwórką osób z paczki Phyllis – Anne-Marie Morand z Montrealu, Amy Toong z Bostonu, Jakiem Lowenthalem z Flatbush czy Bobbym Sprockiem z Chicopee – Owen zachwycał się tym, jak Phyllis słucha; mówi tak mało i tylko nie żałuje papierosów swym bladym, odrętwiałym wargom, wydycha dym w górę, wprost w piaskową grzywkę. W Phyllis tkwił magnetyzm tych ludzi, którzy przyciągają innych, nie czyniąc najmniejszego wysiłku, żeby błyszczeć; to ona skupiała gromadkę, tych wielu aktorów grających dla jednego widza. Hałaśliwy, trajkocący Jake szydził z pierwszych komputerów: harwardzkiego Marka I, ENIAC-a z Filadelfii i Whirlwinda z Lincoln Laboratories, ulokowanego o parę przecznic dalej.

– Góry, które nie urodzą myszy – zapewnił. – Tysiące przełączników, skrzynek, czytników kart perforowanych, całe mile okablowania, tony sprzętu, a wszystko po to, żeby zrobić coś, co można załatwić w trzydzieści sekund jedną półkulą mózgu i suwakiem logarytmicznym.

– Jake, sam w to nie wierzysz – skarciła go Phyllis tak obojętnie i spokojnie, że Owen poczuł ukłucie zazdrości; wykorzystała jakieś wypróbowane łącze.

– O rany, Phyl, dlaczego mam nie wierzyć? Zanim wybudowano ENIAC-a, wojna się już skończyła i wojsko

nie mogło go wykorzystać. To bydlę waży trzydzieści ton. Żeby działać, pobiera dwieście kilowatów mocy. Nawet kiedy nie działa, żre prąd; samo chłodzenie lamp kosztuje majątek, bo jest ich osiemnaście tysięcy. Osiemnaście tysięcy lamp. Nie licząc dziesięciu tysięcy kondensatorów i sześciu tysięcy przełączników.

– Ono odrabia te słupki, które tysiące ludzi musiałyby zliczać na piechotę – mówi Amy Toong i śpiesznie zerka w bok, żeby sprawdzić, czy Phyllis, do której przemawiał Jake, coś odpowie.

– Zasuwasz przedpotopowe historie – zapewnia Jake’a Bobby Sprock. – Lampy wychodzą z użytku. W tej chwili blok pamięci Whirlwinda działa na bazie rdzeni magnetycznych, nie lamp. Taśmy magnetyczne zaczynają wypierać perforowane. W laboratoriach Bella wprowadzają jakieś tranzystory, i to-to dokonuje przełączeń półprzewodnikowymi paskami krzemu z domieszką germanu. Wkrótce powstaną obwody z wydruków cienkowarstwowych. Lada chwila będziemy mieli komputer nie większy niż lodówka.

– Jasne i polecimy na Księżyc na nitce babiego lata – zadrwił Jake. Owen zastanawiał się, czy skrzyknięcie się wszystkich przeciw Jake’owi to już antysemityzm czy nie, lecz upór i agresywność Jake’a jakby zapraszały do napaści, do napawania się nią. Jake mówił dalej: – Istnieją granice molekularne cienkości warstwy i do tych granic już dotarto. Spójrzcie prawdzie w oczy, drodzy chłopcy i dziewczęta, komputery to w zasadzie marne prądożerne

bydlaki, tak kosztowne, że mogą liczyć tylko na jednego klienta, czyli Wujka Sama. Spójrzcie na UNIVAC-a. W Remington Rand mieli sęki, w końcu pozbyli się niedoróbek, przynajmniej większości, a teraz nie mogą go sprzedać. Te maszyny tak się grzeją w pracy, że musieli kłaść suchy lód na przewody.

– No dobrze – Owen, naśladowując Phyllis, zwrócił uwagę najłagodniej, jak mógł – ale UNIVAC bezbłędnie wykombinował, że Eisenhower wygra ze Stevensonem. Wyliczył to tak szybko, że nikt nie uwierzył; w rozgłosniach i w stacjach mieli wyniki, ale nie nadali!

– Prognoza wyborcza to sztuczka dla gawiedzi! – powiedział Jake.

– Pierwsze samoloty to też były sztuczki dla gawiedzi. Pierwsze powozy bez koni – dorzucił Bobby Sprock, wręcz jękając się, udręczony, jak ci, którzy w sporze czują, że racja jest bez reszty po ich stronie. – A pierwszy t-t-telefon, akurat w Bostonie, tutaj!

– Mogę zrozumieć komputery analogowe – przyznał Jake, którego język rozzuchwalał się pod wpływem stękania oponenta. – Wzmacniacze, układy różniczkujące, to uważam za inżynierię elektryczną. A ten binarny cyfrowy chłam to tylko zabawka, oczko lepsza od gry w kółko i krzyżyk.

– To ma być śmieszne, Jacobie? – spytała nie uśmiechnięta Phyllis.

Usłyszawszy ów łagodny, cichy ton, którym zwracała się do Jacoba, Owen poczuł – jak nagły wstrząs w piersi –

że tych dwoje wiąże coś więcej niż przyjaźń. Ona jest ujemnym, biernym biegunem dla licznych silnie naładowanych połączeń; ów wniosek – w tym obwodzie ciasno stłoczonych ciał i pomiętoszonych wełnianych okryć ściśniętych nad stolikiem z pachnącymi soją resztkami chińskiego jedzenia – nie rozładował dobrze izolowanej wiary Owena, że prądy jego życia muszą popłynąć przez tę właśnie dziewczynę, tę kobietę.

To, że Phyllis nie urodziła się w chwili, w której Owen utkwiał w niej wzrok po raz pierwszy, że już oplątywały ją więzi stare i nowe, mogłoby go wpędzić w przestrah, że oto zahipnotyzowany stanie się tylko narzędziem na usługach podstępnej Natury. Bo ich ciała wiedziały, że mogą wydać na świat dobre dzieci. W studenckim wrzeniu, w tej gadaninie, oboje byli egzotycznymi krewniakami, dziećmi pod kloszem szukającymi po omacku rzeczywistości, wyjątkowi w swej dumie, której nie umieją wyrazić, utalentowani lecz niepełni; odrębni. Byli oboje dla siebie obietnicą nowego początku genetycznego, rozpoczęcia prawdziwego życia. Owen nie miał żadnych powodów do zazdrości. Jak wiedzą komputery, przeszłość to zaledwie pamięć przechowywana, którą można przywoływać tylko wówczas, kiedy tego wymagają operacje terażniejsze. Gdy byli naprawdę sami, Owen nigdy nie dopraszał się o więcej informacji, niż skłonna była zdradzić sama Phyllis; ona zaś wybierała ogólniki.

– Och, parę razy gdzieś się wybrałam z sekcyjnym z

geometrii rzutowej, ale to było zeszłej wiosny i nie mam pojęcia, co mu strzeliło do głowy, że mam wobec niego jakieś zobowiązania. Nie mogę uwierzyć, że powiedziałam mu coś takiego.

– Skąd wiesz, co myśli? Że masz wobec niego jakieś zobowiązania?

– Wciąż przysyła listy, nieprzyjemne. Wściekły, że już nie chcę z nim chodzić. Teraz wściekły przez ciebie.

– Przeze mnie? – Pochlebiony i przestraszony; tę niekompatybilność zaraz rejestruje wrażliwy żołądek Owena. – Czemu akurat przeze mnie? Po prostu należę do paczki; czym się właściwie wyróżniam?

– No cóż – powiedziała Phyllis – jego zdaniem się wyróżniasz. – Jeśli była w objęciach Owena, wtulała się głębiej, jakby chcąc się skurczyć, oddalić od zagmatwań, w które ją wciąga jej bezpretensjonalna uroda, wciągając też Owena. – Oczywiście ma rację. Jesteśmy... poważniejsi?

– Czyżby? – Znowu ucisk w brzuchu, sprawka niekompatybilności. Owen pragnie życia, lecz się go boi. Łatwiej odwlekać i marzyć. Phyllis zaś, jak to ona, taktowna, roztargniona, jest mocna. – W porządku – powiedział Owen. – Więc co robimy... ? Jak ma na imię?

– Ralph.

– Ralph. Ze też możesz się przejmować kimś, kto ma na imię Ralph? Ralphy to kluchy, brzuchaci piwosze.

– Ten akurat nie. Krępy i nabity. Żeby być w formie, boksuje. W jednym z listów mowa o spraniu mi gęby.



– Boże! Twojej ślicznej twarzy? – Skóra Phyllis wydawała się Owenowi cieńsza niż skóra innych ludzi; Phyllis opalała się w kilka minut, natomiast rumieniec nie schodził z jej policzków przez godzinę; dotykając jej jak najlżej, Owen miał wrażenie, że to dotknięcie sięga jej ośrodków nerwowych, przeniknąwszy natychmiast całe ciało.

Zarumieniła się; rumieniec pokrył nawet opuszczone powieki.

– Użył tego samego słowa. Śliczna. Napisał, że gdyby zostawił na mnie ślady, zapamiętałabym go na zawsze.

– Rany, co to za sekcyjny? I jak wygląda ta jego geometria rzutowa?

Kiedy Owen próbował przypomnieć sobie tę rozmowę, miał kłopot z jej umiejscowieniem. Władze MIT nie wspierały par szukających zacisza. W MIT nie wiedzano, gdzie upchnąć studenterię żeńską; niektóre studentki mieszkały za rzeką przy Bay State Road 120, potem uczelnia udostępniła część Bexley Hall. Pokój Phyllis, w którymś z tych akademików, znajdował się w strefie zakazanej, ale przy Bay State Road w salce przy recepcji stały sofy kryte perkalem, a w kątach dostojne lampy o plisowanych abażurach i potrójnych żarówkach, których światło można było na tyle przyciemnić, że robiło się przytulnie. Tu mogli się rozsiąść studenci, rozciągnąć w półmroku: i ci ostrzyżeni na jeża i te z trwałą; chłopcy nosili wówczas białe buty z kozłej skóry i wąskie

rypsowe krawaty, styl Ivy League, ekskluzywnej ósemki uczelni Wschodniego Wybrzeża, jeszcze nie przegrał z wizerunkiem komputerowego szajbusa w dżinsach, a dziewczęta nosiły pojedyncze sznureczki pereł i sweterki w pastelowych odcieniach, z wełny wręcz rozpływającej się pod dotknięciem ręki. To było, zanim Phyllis, już na ostatnim roku, przeniosła się z powrotem do domu rodziców w pobliżu Garden Street, gdzie mogli być sami w czterech ścianach; z pewnością było to jednak później niż groźby słane przez Ralpa Finnerana.

– Wcale nieźle – odpowiedziała Phyllis – ale tak wsiadał na studentów, że musieli się poczuć głąbami. Pochodzi, jak ci powiedzieć, z bardzo prostego środowiska, spod Worcester, gdzie raz mnie zabrał na Święto Dziękczynienia. Kto żyw, miał tam w głowie jedno, mecz szkolnej drużyny futbolowej, tę cholerną rywalizację między dwoma starymi robotniczymi miasteczkami. Musieliśmy wszyscy iść, chociaż był straszny ziąb. Grał kuzyn Ralpa, nawet oberwał. To twardziele. W ogóle nie powinnam starać się być miła dla niego. To już wiedziałam po tym Święcie Dziękczynienia i próbowałam się wycofać. – Owen wydawał odgłosy dowodzące współczucia, ale Phyllis nie zwracała na nie uwagi, mówiła dalej, zapatrzona szarymi oczami w szary dzień przeszły: – To katolicy, a chociaż Ralph zdecydowanie odrzucał coś, co uważał za ludzkie próby czepiania się złudzeń, to kiedyś mi powiedział, że nasze dzieci powinniśmy, oczywiście, wychować po katolicku.

Kiedy okazałam, że jestem zaskoczona, bardzo się rozzłościł. A gdy był zły, ciemniał na twarzy; pojęcia nie mam, na czym to polegało. W każdym razie się bałam.

Phyllis, z tą jej jasną cerą i beznamiętną twarzą, próbowała odtworzyć morderczy wygląd Ralpa, lecz jej wysiłki przypominały lanie taniego piwa do kryształowego kieliszka na wino. Owen po raz setny pomyślał, jaki z niego szczęściarz, że jest z Phyllis, nawet jeśli tylko na jakiś czas. Phyllis to nauki.

– A ja? – spytał. – Jestem prostak i twardziel?

– Nie dopraszaj się komplementów, Owenie. Ty jesteś Ptakiem.

Dorastająca Phyllis i jej koleżanki z Buckingham School z niewinnym okrucieństwem szajki podlotków dzieliły kiedyś ludzi na trzy kategorie: Ptaki, Konie i Babeczki. Owen nie do końca umiał się w tym połapać, podobnie jak nie umiał rozgryźć opisanego przez Phyllis rytuału, którego nauczyła się jako trzynastolatka; leżąc w łóżku i nie mogąc zasnąć, kierowała wzrok w sufit, w każdy z jego czterech kątów, co wykonywała rygorystycznie, jak nakaz religijny. Znaczyło to dla niej więcej, niż zdoła i niż chce opowiedzieć.

– Milutka ptaszyna? – spytał Owen. – Ćwir, ćwir?

– Nic podobnego – odrzekła. W zamyśleniu ściągnęła wargi, uroczyście zmarszczyła niepomalowane ciało; Owen przepadał za tym widokiem. Robienie *moue*<sup>1</sup>; wyjaśniła, że tak się to nazywa, kiedy z zachwytem opisał ów wyraz jej twarzy. A teraz powiedziała: – Duży leniwy

ptak, który unosi się przez cały dzień, krąży, ledwie poruszając skrzydłami, a potem pikuje, żeby zabić.

– Do licha! Można się mnie przestraszyć.

– Nie bardziej niż innych. Zabij, zabij, zabij, zabij, zabij – powiedziała. I dodała: – To Szekspir – a potem: – Pomyśl o płukaniu ust, o tych wszystkich bakteriach, które mordujesz.

– Jestem wstrząśnięty tym – odrzekł – że w ogóle widzisz we mnie kogoś, kto coś zabija. Nigdy nie nadepnałem nawet pająka. Mam fobię, jeśli chodzi o pająki. – A jednak jej opis sprawił mu przyjemność, obdarzał go bowiem jakąś inicjatywą i siłą, chociaż w najgłębszych utożsamieniach czuł się niewinnym świadkiem wciągany do gry, lecz nie biorącym w niej udziału. Wtulił się jeszcze głębiej w chłodne ciepło Phyllis i spytał: – A ty? Kim jesteś? Bo wciąż zapominam.

O sobie Phyllis wstydziła się mówić, jakby dotykała zbyt czulej, zbyt intymnej części ciała lub jakby z trudem umiejscawiała własne ego.

– Koniem to nie jestem – odrzekła – wyglądam na Ptaka, ale naprawdę jestem w środku Babeczką.

– Na pewno nie.

To ją dotknęło.

– Nic złego być Babeczką. Są pozytywnie nastawione. Nie niszczą. Nikogo nie ranią.

Zobaczył, jak pikuje w jej wyobrażeniach, ciemny kształt obdarzony zdolnością ranienia.

– Nawet innych Babeczek?

– Nie spotykają innych Babeczek, bo Babeczki to prawdziwa rzadkość. Większość ludzi to Konie; nic, tylko człapią i człapią.

Wyrafinowana przechwałka rozśmieszyła Owena. Phyllis ceniła się wcale wysoko, lecz w miarach tak subtelnych, że dla niego niemal równie niedostępnych, jak wyższa matematyka bądź gramatyczne subtelności języka obcego.

Poirytowana odsłonięciem się, wróciła do poprzedniego tematu:

– Pokazałam ojcu najprzykrzejsze listy Ralpha, te z groźbami, a tato sam mu odpisał i ostrzegł przed krokami prawnymi.

Owen poczuł ulgę; więc nie musi sam się tym zajmować. Jej ojciec jest wciąż na posterunku.

– No dobrze. A czy gnojek się potem zamknął?

– Jeszcze nie wiemy. To było zaledwie parę dni temu.

– Biedactwo! Wciąż jeszcze w tym tkwisz, prawda? I co, czy ojciec musiał pisać także do innych twoich chłopaków?

Owen zapraszał do wybuchu śmiechu; nie spodziewał się, że w ten sposób wciągnie Phyllis w rozmyślenia.

– Owszem, zeszłego roku, ale to był pomysł ojca, nie mój. Chodziło o chłopaka, właściwie mężczyznę, starszego ode mnie, którego poznałam latem. Rodzice

uważali to za niezbyt odpowiednie.

– Uważali za niezbyt odpowiednie, a ty?

Znowu ściągnęła wargi, tym razem bez słowa. Po przekroczeniu pewnej granicy nie lubiła wypytywania; i tak już pozwoliła mu na znacznie więcej, niż mógłby przypuszczać przed rokiem w najśmielszych marzeniach, kiedy była dla niego tylko wizją płynącą przez korytarze.

– Za odpowiednie – wywnioskował.

Nie zaprzeczyła. A więc Owen miał rywali usadowionych w otaczającym świecie, jak Jake czy Ralph, i rywali usadowionych w jej sercu, jej istoty tajemne, jak ów wstrząsająco inteligentny Klein czy ów bezimienny ktoś, nieodpowiedni według jej rodziców. Owen uczył się zmieniać temat, kiedy natrafiał na zamknięte drzwi w korytarzach jej przeszłości.

– Czyj to był pomysł, żeby studiować matematykę, rodziców czy twój?

– Oni raczej byli przerażeni, to tacy humaniści, istne snoby. Ich obchodzi tylko literatura i sztuka, nic więcej. Dla nich fikcja jest życiem. A nauki ścisłe to przyziemność. Ojciec jest specjalistą od angielskiego renesansu, to szesnasty i siedemnasty wiek...

– Dzięki za dobre słowo – przerwał, poirytowany poprzednią wymianą zdań i letnią przygodą, o której nie chciała rozmawiać – wiem, kiedy był angielski renesans.

– Jasne. Ale niektórzy nie wiedzą. Ojciec nie jest tylko od poetów i dramaturgów powszechnie znanych, Szekspira i tak dalej, ale i od tych prozaików, których już

nikt nie jest w stanie czytać, Sidneya i Bacona, Lyly'ego i Lodge'a, zawsze piszących o Arkadii tą ich wyszukaną manierą – ojciec za nimi przepada. Stąd moje imię; w tych starych wierszach aż się roi od różnych Phyllis, Phyllis dziarskich, Phyllis niesfornych. Ze mnie wyrosła Phyllis marzycielka, raczej niewypał.

– Nie dla mnie. Ani dla wielu innych, tak to chyba wygląda.

– Jakieś dziesięć lat temu – Phyllis nie odstępowała od ulubionego tematu – gość, który wyklada prozę osiemnastowieczną, wziął urlop naukowy, a tato po nim przejął i to, Drydena i Bunyana, Addisona i Steele'a, Boswella i Johnsona, praca nad nimi wręcz go odurzyła, całe półki niewiarygodnie drętwych staroci. Tonął w książkach, mawiała matka.

– Mój ojciec tonął w liczbach.

– Zupełnie jak ja. Będę zachwycona, jeśli go kiedyś poznam. – Owen aż się zawstydził na myśl o nieszczęsnym, znękanym na groszowej posiadzie Floydzie Mackenzie o nadwrażliwym żołądku i tej oto rozpieszczonej księżniczce z Cambridge. Spotkanie byłoby równie krępujące i raniłoby jak tamto: jego matki i Elsie. Rodzice chuchają na nas, mimo to nie mogą uczestniczyć w naszym dopracowywaniu się świata. Phyllis próbowała sięgnąć do swego głębszego „ja” i wyjaśniała: – Nie sądzisz, że matematyka jest piękna? Jak nie mający kresu materiał utkany ze złotych łańcuszków, w których każde ogniwo zapina się na poprzednim?

Złożona z twierdzeń i funkcji, gdzie jedno czyni nieuniknionym następne. To unosząca się tu w przestrzeni muzyka, która nie oznacza nic prócz samej siebie, jakże wzruszająca, Owen! – Czy potrzebował tego szturchnięcia? Czyżby już przysnął obok jej długiego, kojącego ciała? Fakt, jest przy niej rozluźniony, jakby to wreszcie był dom. – Łzy stawały mi w oczach – mówiła Phyllis – kiedy mając do rozgryzienia problem, jeszcze jako nastolatka, widziałam, jak w pewnym momencie zaczyna się wszystko otwierać, wpierw to wszystko jest całkiem na zewnątrz, a potem zaczynasz to ogarniać i wchłaniać, jeśli tylko wierzysz równaniom i podążasz za nimi. To tak, jakby na plaży obrócić do góry grzbietem skrzypłocza, wszystkie nóżki wiją się, ogon szaleje, krab chce się odwrócić. Nie, rodzice mnie nie zachęcali. Uważali, że nauki ścisłe są dla kujonów, dla niedomytych facetów, na ogół ze Środkowego Zachodu. Próbowałam im wytłumaczyć, że matematyka to nie jest dziedzina użytkowa, że jest nieużytkowa. Co nie do końca jest prawdą: fizyka i technologia stoją rachunkiem różniczkowym. I teorią mnogości.

– Czy rozumiesz teorię mnogości? – spytał Owen; to pytanie pewnie wymagało bardziej prywatnej scenerii niż ów słabo oświetlony zakątek holu dla gości przy Bay State Road 120; mogło zostać zadane w pokoju Phyllis w Bexley Hall, wbrew przepisom, w któryś weekend, kiedy współlokatorka, Sally Fazio z Providence, wracała na Rhode Island albo jechała na narty do New Hampshire. –



Chodzi mi o to, co w niej takiego nadzwyczajnego?

– Chyba rozumiem. Bo jest nadzwyczajna, taka elementarna, oryginalna. Wyobraź sobie, że to wynalazek jednego jedyne człowieka. Newton i Leibniz odkryli rachunek różniczkowy niezależnie od siebie, tak samo Łobaczewski i Bolyai odkryli niezależnie geometrię nieeuklidesową, a gdyby nie odkryli, to by ją odkrył Gauss, ona po prostu była i czekała, aż ktoś się po nią schyli, ale teoria mnogości może nigdy by nie powstała bez Cantora. Hilbert powiedział, że nikt nie zdoła nas nigdy wypędzić z raj, który stworzył Cantor. Ładne to, prawda? Stworzyć raj, z którego nikt nie zostanie wygnany – mówiąc o matematyce, Phyllis ożywiała się, stawała bardziej precyzyjna, głos nabierał tempa, gesty beztroski i zamaszystości. Pod tą cienką, delikatną skórą krew przyspieszała.

– Fakt – musiał przyznać.

– A stworzył ją, znaczną część, w zakładzie dla obłąkanych. Mózg mu wysiadł, w teorii mnogości tkwi za duży ładunek.

– Mój mózg niezupełnie przyswaja – Owen nie rezygnował, przy okazji windując się na wyżyny kruchości umysłowej, na których rezydował Cantor – skąd ta cała wrzawa, kiedy Russell i Godeł wykryli wewnętrzne antynomie czy paradoksy, i to, co podkreśla Klein, że nieporozumienia mają głównie charakter semantyczny. Nie kojarzę, co nierozstrzygalność ma wspólnego z historią komputera?

– Naprawdę? – Phyllis nie całkiem zdołała ukryć zaskoczenie i rozczarowanie, jakby jasność jej umysłu powinna objąć też Owena, mianowanego jej chłopakiem na mocy jej królewskiego dekretu. Spotykali się oboje przed wykładem i na nowo spotykali po nim; wspólnie pili kawę na drugie śniadanie i wspólnie jedli późny, przeciągany lunch w Student Center po drugiej stronie Massachusetts Avenue; razem chodzili do kina przy Harvard Square bądź Washington Street w Bostonie, a sardoniczny Jake i groźny Ralph zostali zesłani na krawędź kręgu, w którego zacisznym środku Owen odnalazł teraz samego siebie. Wieczorami para niezdolna znieść rozłąki dłuższej niż cztery godziny spotykała się znowu pod zamglonymi lustrami zadymionych restauracyjek, gdzie zbierali się studenci, by gorączkowo dyskutować.

– Co z tego, powiedziałbym – upierał się przy tępcie i kłutł nią Phyllis – że może istnieć zbiór, którego podzbiory nie są swoimi własnymi elementami, sprawiając, że ten zbiór zarazem jest i nie jest swoim elementem?

– Ależ mój drogi – powiedziała Phyllis – antynomie, te paradoksy, podważają logikę klasyczną, ale sposób, w jaki muszą zostać sformułowane, prowadzi nas do logiki symbolicznej, ta zaś doprowadza do algebry Boole’a, maszyny Turinga i algorytmów. Z nierozstrzygalnością jest tak: wiesz, że musisz coś zbudować na bagnach i musisz wynaleźć sposoby budowania mimo wszystko,

mimo bagna. To przypomina Back Bay na tym całym palowaniu. – Była taka zadowolona z porównania, że przez chwilę miała twarz bardziej podobną Ptaka niż Babeczki.

Phyllis zamieszkiwała eteryczne królestwo, Owen pragnął zaś dołączyć do niej w tym królestwie. Spowijająca ją niefałszowana aura oderwania przyciągała go i prowadziła. Czasami miał uczucie, że pustka, którą u korzeni matematyki odkryły rygory logiki postarystotelesowskiej, jest obecna też w Phyllis – pod nieśmiałą, uległą powierzchnią sprzeciw wobec bycia oczywistym, nieugięta odmowa.

– Wiesz, jeszcze cię nie kocham – powiedziała, kiedy chodzili ze sobą już przez rok, uważani przez rówieśników za parę.

Owen był wstrząśnięty, zwłaszcza po tym, że gdzieś już leżeli rozciągnięci razem, na łóżku czy podłodze; to już musiał być jej ostatni rok, kiedy wróciła do rodziców, co zapewniało im trochę ukradkowej prywatności. Nie zrzucali z siebie przegrzanych ubrań, lecz w owych podszytych zahamowaniem, zapiętych pod szyję czasach pozwalali sobie na „macanki”. Owen uznał, że jest kochany, mimo że nie dorasta do względów żadnej na świecie Ginger Bitting. Kochały go i matka, i Elsie.

Nie dał po sobie poznać, co czuje, po prostu mocniej przytulił Phyllis i powiedział:

– Naprawdę? Cóż, a ja cię kocham. Może i ty mnie kochasz, ale jeszcze o tym nie wiesz. – Jednocześnie

poczuł, że jego własne ciało dryfuje, odsuwa się, odpychane przez myśl, że Owen nie pokieruje swoim życiem tak, żeby popłynęło przez to drugie, odrębne ciało.

– Możliwe – nieprzekonująco zgodziła się Phyllis; żał, że za bardzo się odsłoniła, przyprawił ją o chrypkę.

W półmrokach pokoju twarz Phyllis dzieliło od twarzy Owena ledwie parę cali; przypominając sobie tę chwilę, miał wrażenie, że to było na piętrze, może w pokoju brata Phyllis, w domu jej rodziców. Owen całował Phyllis, całował te odętwiałe, nieumalowane wargi, jakby chciał wycisnąć z nich krew, przywołać na powierzchnię, tymczasem pasemka jej potarganych włosów łaskotały go po twarzy, delikatnie, drażniąco, nieustępliwie jak musze łapki w parny dzień. Chwilami zdawało się, że to ona czuje łaskotanie; nieraz, kiedy popychany miłosnym spazmem nagle okrywał deszczem pocałunków jej wargi, lśniące kości policzkowe, ledwie widoczne brwi, targane impulsami powieki, tę jej całą cudowną srebrnostylusową precyzję, Phyllis śmiała się głośno, zaskakując go i deprymując. Powodu tych chwil odrzucenia upatrywał we własnym niezdarnym przebijaniu się przez bariery, które Phyllis wznosiła przez dwadzieścia jeden lat bycia taką wspaniałą, taką samotną. Próbował sobie wyobrazić jakiś jej gest wewnętrzny, jakąś maleńką zmianę jej nastroju, które zdołają ją przekonać, że kocha Owena. Jeszcze w czasach ich konkurów pozwalała, żeby jej się wymykało coś, co

Owen zapamiętywał jako rozjaśnienia jej okrytego mrokiem życia wewnętrznego: że Phyllis i jeszcze jedna dziewczyna z Buckingham School miały zwyczaj trzymać się za ręce, że jakiś okropny chłopak, co do którego rodzice Phyllis zgadzali się, że w ogóle nie wchodzi w rachubę, był na swój sposób – na wspomnienie o nim ręce Phyllis frunęły na boki – „ogromny”. Był produktem letniego obozu i może w jej oczach stał się wcieleniem gór, zmitologizowaniem wielkich sosen o szorstkiej korze, odległych mas granitu, burzowych frontów płonących w cichy letni dzień gdzieś nad ciemnym wiecznie zielonym pasmem górskim. Hank – Phyllis wypsnęło się też imię chłopaka – był szefem zaopatrzenia obozu, dowódcą poobijanego pick-upa, władcą wysypiska śmieci i dróg pokrytych sosnowymi igłami, a chociaż zaliczył parę semestrów na uniwersytecie stanu New Hampshire, nie wykazywał innych ambicji prócz współżycia z Przyrodą, rąbania, wożenia i rozsiewania DDT przeciw komarom i meszkom. Braki ambicji Hanka obejmowały i taki brak, że Hank nie rościł sobie praw do Phyllis, chociaż ich znajomość ciągnęła się przez kilka wakacji. Może to ona była tym, kto się ubiega, nieśmiałą napastniczką, jak Owen ustawiający plansze do monopolu dla Buddy’ego Rourke. Kiedy Phyllis myślała o Hanku, na jej twarzy malowały się wyobcowanie i nieporadność, i jakiś rodzaj gotowości, chociaż starała się ukryć uczucia za zadumanym *moue*. Owen pocieszał się, że jeśli nawet jest mniej inteligentny niż Phyllis, to z Hankiem nie ma

porównania.

Już nie studiowali wspólnie układów logicznych i programowania maszyn cyfrowych. Phyllis na ostatnim roku zanurzyła się w sprzecznej z intuicją egzotyce, w zaawansowanej topologii, w rozmaitościach różniczkowych, niezmiennikach Bettiego zanurzonych w przestrzeni euklidesowej, w twierdzeniach o dyfeomorfizmach. Temat jej pracy magisterskiej brzmiał równie podejrzanie jak geometria rzutowa: Phyllis powiedziała, że praca ma coś wspólnego z rozmaitościami<sup>2</sup> w przestrzeniach o liczbie wymiarów większej niż dwa.

– Do ilu może rosnać liczba wymiarów? – spytał.

– Do  $n$ , rzecz jasna.

– Nie umiem sobie tego wyobrazić.

– Ty nie, ale liczby umieją. W rachunkach możesz jednak ogarnąć wiele wymiarów. Nie patrz takim krzywym okiem, Owenie. Nie jeź się. To eleganckie, zabawne.

– Dla ciebie zabawne, prawie w to wierzę.

– Znalazłam się teraz w takim punkcie, że nie jestem pewna, czy Riemann ma rację w sprawie niektórych krzywizn lokalnych.

– Ten nieśmiertelny Riemann od przestrzeni riemannowskich? Chcesz udowodnić, że się mylił? Kochanie, to chyba przesada.

– Nie miałby nic przeciw temu. Na swój sposób był świętym. Jego ojciec był luterańskim pastorem. A on sam

umarł w czterdziestym roku życia na gruźlicę. Zostawił notatki i papiery z koncepcjami, których już nie zdążył opublikować. Widzisz, w myśl ogólnej teorii względności cały wszechświat to coś w rodzaju przestrzeni riemannowskiej.

Jej spojrzenie można by nazwać stalowym i zarazem naznaczonym nieobecnością; w ten sposób broniła się przed tymi, których szczerze, intuicyjnie kochała. Zbiór, wobec którego Owen był elementem wyłączonym – przez biologię i społecznie – wchłonął oboje. Kiedy podróżowali wspólnie przez ciernisty powszedni świat, Phyllis zawsze hołubiła wspomnienia Arkadii zamieszkaney przez brać subtelnych wzniosłych duchów, matematyków bądź poetów, Spensera lub Cantora, Hilberta czy Keatsa, którym Cambridge był tak oddany duchowo. Owo oddanie wprawdzie nie zapewnia porywów twórczego natchnienia, które zostaną uhonorowane pośmiertnie, ale wytyka wszelkim układniejszym klimatom drugorzędność i czyni świat rzeczywisty dość rozczarującym, nierealnym miejscem wygnania.

Kiedy Phyllis randkowała sobie z Riemannem wśród zakrzywionych przestrzeni w  $n$  wymiarowości, Owen wkuwał praktyczne przedmioty prowadzące do uzyskania stopnia w dziedzinie inżynierii elektrycznej: analizę systemu energetycznego, oporności nieliniowe jako regulatory mocy, wzmacniacze szerokopasmowe, transformatory fotoelektryczne, izolatory, tranzystory,

triody mikrofalowe, klustrony refleksowe, stosunki sił w wiązce elektronów pobudzonej słabym sygnałem i takich formuł, które czynią niewidzialne elektrony widzialnymi, słyszalnymi i nadającymi się do użytecznej pracy. Dzięki pewnym zaawansowanym zajęciom Owen spędził tydzień w Raytheonie w Waltham, dzięki innym bywał w Harvardzkim Laboratorium Obliczeniowym, którym władał Mark I w aurze wyniosłej, kolosalnej, przegrzanej przestarzałości. Kiedy „akcja policyjna” w Korei ugrzęzła w zimnie i krwawym błocie, Owen i jego uczelniani koledzy zachowali zwolnienie z poboru, zaliczywszy rządowy test, na którym mógłby się położyć tylko kretyn: w sali wykładowej 10-250 na sygnał podnosili wysoko ołówki, jak małe zastępcze karabiny. Wojnę wygrywają mózgi. IBM werbował siłę roboczą w zmasowanej kontrofensywie przeciw tryumfującemu UNIVAC-owi, dziełu korporacji Remington Rand; to był świt, przed komputerami otwierały się na równi rynek biznesu i wojskowo-przemysłowy. Wśród tych uderzających do głowy widoków na przyszłość, kiedy przełomy technologiczne następowały szybciej, niż profesorowie inżynierii elektrycznej byli w stanie to wyłożyć, przeciążone programami neurony Owena zaczynały buczeć z przemęczenia. I było to jak sygnał z siatki sterującej, kiedy Phyllis w tydzień po uzyskaniu dyplomu (jej wyróżnioną pracę kwestionującą pewien niuans riemannowskiej topologii zacytowano, podkreślając oryginalność i ścisłość) powiedziała mu przy



dwuosobowym stoliku w zadymionej indyjskiej restauracyjce, tuż przed wyjazdem Owena na kolejne pomiary z brygadą geodezyjną i wybadanie oddźwięków u Elsie:

– Moi rodzice wciąż mi wiercą dziurę w brzuchu i wypytyują, co teraz zamierzam począć, więc im powiedziałam, że jestem zaręczona. Z tobą.

– Tak powiedziałaś? – Fala gorąca napłynęła do twarzy Owena, gwałtownie zanurzonego w życiu, jego własnym i jedynym.

– No cóż, kochanie, czy nie jesteśmy zaręczeni? Wciąż o tym mówiłeś. – Oczy Phyllis, teraz z odcieniem nerwowości i wyzwania, poszukały jego oczu.

Próbując przekonać Phyllis o swoim oddaniu, Owen często snuł na głos wyobrażenia, jak wyglądałoby ich wspólne życie, gdyby byli małżeństwem. Nie przypominał sobie jednak żadnych konkretnych oświadczeń; obawiałby się odmowy i tego, że wraz z nią przepadną z trudem zdobyte przyczółki na zaczarowanych terytoriach Phyllis.

– Cóż, chyba jesteśmy zaręczeni – przyznał. – Coś niesamowitego.

Co powie matka? Elsie? Trudno, dobrze im tak. Natura to strumień i przekształcanie, tego nauczył Owena MIT.

## 6. SEKS W MIASTECZKU III

Na trzecim roku Owen spotkał kilka razy rodziców Phyllis. Dom stał przy cienistej ulicy w Cambridge, wówczas na pewno spokojniejszej niż potem, kiedy odkryto, że w godzinach szczytu może ona posłużyć za skrót między Garden Street i Massachusetts Avenue. Był to typowy duży dom na małej parceli, z niepokojącym ładunkiem książek dosłownie wszędzie, szafki pięły się nawet wzdłuż schodów i zapełniały przejścia na drugim piętrze. Pokoje na tym piętrze wynajmowano studentom Harvardu jeszcze przed pięcioma laty, do chwili, w której pojawianie się młodych mężczyzn obok dorastającej Phyllis zaczęło jej rodziców drażnić. Colin, młodszy brat Phyllis, zanim wyniósł się do Andover, zawłaszczył jeden z wynajmowanych wcześniej pokoi i zamienił we własną gawrę, dodając do umeblowania – materaca, komody i biurka z żółtego dębu – białe plastikowe radyjko, gramofon na czterdziestopięcioobrotowe single, parę klejonych modeli przestarzałych machin wojennych; wszędzie leżały porozrzucane i nie tchnące świeżością sportowe koszulki oraz buty do koszykówki, na paru półkach z surowej sosny piętrzyły się sterty komiksów z Batmanem i Plastic Manem, czasopisma science fiction, broszury z bejsbolowymi tabelami i statystykami, podręczniki Shady Hill oraz dziecięca encyklopedia, przy czym grzbiety jej piętnastu tomów, zaprojektowane od

fioletu do czerwieni jako tęczowa gama, składały się tu w krzyczący bezład. Matka Owena miała parę książek, inne wypożyczała z biblioteki publicznej w Alton, do której jeździła tramwajem; tu książki stanowiły spotworniałą narośl; grzyb z materii do czytania zarastał w domu każde wolne miejsce.

Phyllis była wyższa od swych rodziców; jej widok – zarumienionej, górującej nad obojgiem, z głową przechyloną, jakby to przechylenie pomagało się skurczyć, zmaleć – po prostu podniecał Owena. Szczupła, lecz z okazałymi piersiami, miała długą szyję; kark i pocące się miejsca okrywał bujny piaskowy puszek; to ciało, tak szcudrze obdarzone hormonami, przywołali na świat, we dwoje, ludzie wyrafinowani i wysuszeni. Ciało było chyba ostatnią rzeczą, o którą troszczyli się państwo Goodhue. Oboje opatuleni w warstwy wełny o mysich odcieniach, wydawali się niemal tacy sami. Pani Goodhue, Carolyn Goodhue, nosiła proste tweedowe spódnice, brązowe buty na płaskim obcasie i porozpinane swetry, w których jedna połowa zawsze zwisała rażąco niżej od drugiej. Wyblakła kolorystyka i aura roztargnienia przypominały córkę, natomiast niecierpliwość i nawyk przerywania – jeśli ktoś się wysławiał jej zdaniem za wolno lub prawił oczywistości – różniły ją od Phyllis, rozmówczyni wyrozumiałej.

Podczas pierwszych odwiedzin Owen rozglądał się, zachwycony bogactwem politurowanych gałek, gzysików, balustrady, masywnych podwójnych drzwi,

ciemnych orzechowych schodów wyniośle zdążających ku podestowi, na który przez wysokie smukłe okna o szybach oprawnych w ołów sączyła się przebarwiona, stłumiona poświata.

– Ten dom... – zaczął.

– ... jest przeładowany książkami. Wiem. Wciąż to powtarzam Eustace'owi, on jednak mówi, że to jego narzędzia i nigdy nie wiadomo, które okaże się potrzebne. Książka może czekać przez dwadzieścia lat nietknięta, aż nagle, w połowie mało powabnego naukowego artykułu, człowiek potrzebuje akurat tej. Straszne, jeśli pomyśleć o roztoczach w kurzu. Próbuję raz do roku odkurzyć książki, wyszukuję sprzątaczkę, tymczasem one się zwalniają.

– Wystraszyły się, mamó – cicho wtrąciła córka; zerknęła na Owena tytułem przeprosin.

Niepotrzebnie. Wszyscy rodzice wprawiają dzieci w zakłopotanie. Owenowi jego rodzice wydawali się nieznośnie smutni, dawali pokazy kłótności, rozgoryczenia i niedopasowania na całą Mifflin Avenue. W porównaniu z nimi rodzice Phyllis byli wzorowymi mieszkańcami Cambridge, tak wdrożeni w nawyki, jak sprzężone figurynki, które o pełnej godzinie płasają w szwajcarskim zegarze. Owen lubił panią domu, żwawą a drobną, o krótko obciętych siwych włosach i załamanych nad rzęsami górnych powiekach. Jeśli chodzi o drobne kobiety, jak babcia czy Elsie, doświadczenia Owena były na ogół dobre.

– Phyl mówi, że tam u was jesteście kapitalny.  
– Skądże, jestem tylko jednym z tych, którzy jakoś  
brną przez inżynierię elektryczną. To pani córka...

– ... zagina profesorów – skończyła za niego Carolyn Goodhue. – Dziwne to dla nas, dla Eustace’a i dla mnie, bo uważaliśmy, że matematyka to tylko faza, którą Phyl przechodzi w trudnym wieku. Dziewczęta, rzecz jasna inaczej niż chłopcy, umieją wynaleźć takie pokrętne metody buntu, zawsze ze słodkim uśmiechem, że nie sposób się przyczepić. A mówiąc poważnie, złotko – to adresowała do córki – ojciec i ja jesteśmy ogromnie dumni. Chełpimy się. Zachowujemy zimną krew, kiedy nam dokuczają przyjaciele i pytają, dlaczego dziewczynie, która by mogła śpiewająco zdać do Radcliff, Wellesley czy też Biyn Mawr, jeśli nie lubi chłopaków, akurat się zachciało ruszyć w dół rzeki, w miejsce tak...

– ... niechlujne – dokończył za nią Owen.

– Mamo – wkroczyła Phyllis – jesteśmy niechlujni, bo musimy całe noce wkuwać na pamięć fakty, a większość chłopaków ćwiczenia przeprowadza rękami.

– Mam nadzieję, że nie wszystkie – odpaliła pani Goodhue i szybko zamrugła, kiedy Owen się roześmiał; nigdy nie słyszał z ust Phyllis pieprznego żartu, jakoś nie przychodziły jej do głowy.

To po profesorze Goodhue Phyllis odziedziczyła zgarbienie, ów nieśmiały i niedbały sposób noszenia się. W jego wypadku nie chodziło jednak o próbę ukrycia nadmiaru urody, postura była naturalnym skutkiem

tkwienia przy biurku oraz czytania po zwinieciu się w kłębek na krześle. Wbity w pierś podbródek sprawiał, że głowa tkwiła na czymś, co się wyzbyło wszelkiego podobieństwa do szyi, środek postaci był zaś tak wzdęty, że przypominała staroświecki gliniany dzbanek, przy czym wydawało się, że z wychylonej do przodu głowy może się zaraz wylać wykład. Głos słaby i piskliwy powstawał na wdechu podobnym do pociągania fajki. Z ograniczonego punktu widzenia Owena wyglądało na to, że profesor jest raczej wejściem niż wyjściem, chociaż rozlegający się niekiedy kaszelek, jak trzask zeschniętego kleju w oprawie starej książki, mógł uchodzić za miły sygnał wychodzący. Wydawało się, że obecność Owena w domu i przy stole krępuje profesora, który wygłosił nawet uwagę na ten temat, wykazując, że skrepowanie wynika z pogrążenia się w sprawach wyższych. Kiedy w składzie pasz ojciec Elsie Seidel podchodził niegdyś do Owena i szczyrzył zęby w przesadnie szerokim uśmiechu pod przyciętym w kant wąsikiem, kiedy zbyt przyjaźnie i żarliwie ścisnął mu dłoń, sygnalizował wrogość i męską wiedzę, czego właściwie Owen chce od jego hożej córy. Podejście Eustace'a Goodhue nie było takie konfrontacyjne, właściwie nie było żadnym podejściem, lecz aurą uprzejmego zakłopotania; Goodhue przypominał człowieka, który z zatkanym nosem pracuje w szklarni i nie pojmuje, dlaczego w oknie wciąż uwijają się trzmiele. Phyllis już wcześniej wabiła w gości chłopaków; ojciec chyba nie zdawał sobie sprawy, że

córka – której kariera w college’u dobiega końca, a widoki zawodowe dla kobiety matematyczki są w najlepszym razie nikłe – osiągnęła wiek, w którym podejmuje się decyzje i składa dozgonną przysięgę. W Ameryce Eisenhowera ten wiek osiągało się wcześniej; w owej pionierskiej erze konsumeryzmu wychowywanie kobiet przypominało sianie posiłków na kresy. Urządzić dom, wychowywać dzieci i kupować znaczyło tyle, co razić nieprzyjaciela, owych niechlujnych ciemieców, antykapitalistów zza żelaznej kurtyny. Owen był gotów do służby, przekonany, że znalazł dla siebie kobietę: matkę swych dzieci, opiekunkę kariery, anioła czuwającego nad domem lepiej wyposażonym niż wysłużone przybytki, których się dorobili Rauschowie i Mackenzie w mizerniejszych, mniej zelektronizowanych czasach.

W Owenie raczej wzbudziło to pogardę, że profesor Goodhue nie zdobył się na twardszą obronę swego skarbu. W ciągu dwudziestu z górą lat, kiedy Owen i profesor byli członkami tej samej rodziny – a kiedy starszy stawał się dziadkiem dokładnie w tym czasie, kiedy młodszy ojcem, po wielekroć – przez pierwszych dziesięć zięć niewiele okazał szacunku teściowi profesorowi, którego pieszczochowata a drugoplanowa rola we własnym domu widoczna była jak na dłoni. Fakt, że w ostatecznym rozrachunku ów bezlik książek w domu i eklektyczne, malownicze umeblowanie były owocem trudów intelektualnych profesora; pozwalały na podróż do

Europy co drugi rok oraz na wyszarpięcie świata z gardła letniego domku w Truro. Wydawało się jednak, że profesor za wiele przebywa w świecie książek, wśród ich górnolotności i zmyśleń, żeby móc odcisnąć wyraźniejszy ślad w świecie zwykłym.

W drugim dziesięcioleciu bliskiej znajomości Owen, pogłębiwszy już wiedzę o życiu, potrafił lepiej docenić wycofanie się teścia z pierwszej linii rodzinnych poczynań i tę jego badawczą pasję, sprawczynię tylu wykładów, starannie przemyślanych niedługich artykułów, z początku zamieszczanych w szarozółtych akademickich kwartalnikach, potem zebranych w grubych, zacnych tomach tego samego uniwersyteckiego wydawnictwa, w którym ukazało się też parę antologii ułożonych przez profesora i jego biografia krytyczna George'a Herberta. Ów czas, przejścia z wieku średniego do lat emerytury, nie odbił się szczególnie na wyglądzie Eustace'a Goodhue, o wiele bardziej zmienił się Owen, przechodząc od naiwnej młodości do nasączonego doświadczeniem wieku średniego. Z grubsza rzecz biorąc, stali się obaj mężczyznami równymi, połączonymi owym ciepłym uczuciem tych, którzy wyszli cało ze wspólnej ryzykownej podróży. Owen, wówczas już ojciec dwóch córek, w końcu zobaczył, jak słabną więzy, nadwątlane przez biologię i wyniesioną z miasteczka znajomość ludzkiej natury; każda komórka w starzejącym się ojcowskim ciele pragnie, by przekazać córkę innemu mężczyźnie z jej pokolenia, który nie zważając na żadne



tabu, wykona te pierwotne czynności, których domaga się następstwo pokoleń.

Spoza grzeczności profesora Goodhue, splecionej z roztargnieniem, niewyraźnie prześwitywało też coś, co Owen, adresat tej grzeczności, ledwie dostrzegał: dwuznaczna przyjemność czerpana z seksualnych przedsięwzięć innych, jakiś wielopostaciowy udział widoczny nie tylko podczas ślubów, kiedy płaczący rodzice i oniemiałe z wrażenia dziewczę sypiące kwiaty jednoczą się we wprowadzaniu panny młodej w tajemnice małżeństwa, lecz także podczas kulturalnych przyjęć dla dorosłych, kiedy to zwyczaj każe sadzać małżonków nie obok siebie, lecz cudzych żon i mężów, co skłania do zagmatwań i egzogamicznych nadużyć. Krótko mówiąc, kopulacja jest wydarzeniem takiej mocy, o takim stopniu uprzywilejowania, że czerpiemy z niej przyjemność nie tylko wówczas, kiedy sami się jej oddajemy, lecz także kiedy oddają się jej inni, nawet wówczas, kiedy żona lub córka odchodzą od nas w seksualnym oszołomieniu. Phyllis o powściągliwej urodzie była owocem na węższej, niż się zdawało łodydze; dostając się Owenowi, przyprawiła go o zamęt, bo stawiała mniejszy opór, niż się spodziewał bądź na jaki liczył w głębi ducha.

Mogło się to rozświetlić tylko w retrospekcji, w długiej perspektywie. Kiedy powrót Phyllis do domu stworzył im więcej intymnych okazji, niż mogły zapewnić akademiki przy Bay State Road 120 czy Bexley Hall, poczuli się śmiali i dobrze ukryci; roili sobie, że ich

widok wstrząsnąłby rodzicami, ba, Panem Bogiem, gdyby Ten zechciał się im łaskawie przyjrzeć. Zresztą Owen, skrycie religijny, co było spadkiem po pobożnych dziadkach, nie zaręczyłby, że Bóg nie patrzy, skoro czuwał nad domem w Willow, w ośnieżonej krainie bezpieczeństwa. Teraz, jak drgająca zielona wiązka z promienistej broni rodem z science fiction czy rubinowych laserów, które rzeczywistość naukowa miała stworzyć w przyszłym dziesięcioleciu, wzrok Boga może przenika przetykany świetlikami dach domu państwa Goodhue i sięga pokoju na drugim piętrze, wciąż wypełnionego zapachem brudnych skarpetek brata Phyllis i wymiętoszonymi komiksami.

Owen odkrył, że Phyllis lubi głaskanie po lekko wilgotnym, pokrytym jasnym puszkim karku; rozluźniało ją. Sinawe wewnętrzne strony ramion odsłaniały się posłusznie, podobnie wnętrza ud; okrywały się gęsią skórką, kiedy Owen, zgiąwszy palce, leciutko wodził po nich paznokciami. Rozbierał ją nie bez szamotania, celem była nagość przyprawiająca Phyllis o rumieniec, lecz pilnie dbał o jej dziewictwo; było czymś uświęconym, progiem, sprzed którego można jeszcze zawrócić. Nie to, że chciał zawracać; Phyllis była jego zdobyczą, pojmaną przezeń księżniczką. Wyższa i szczuplejsza niż Elsie, miała tę samą zachwycającą giętkość talii i większe piersi, tak obfite, że Phyllis – przynajmniej tyle zdradzały jej ruchy – jakby się ich wypierała, kiedy się kołysały, instynktownie się przed

tym broniła, zasłaniając je rękami. Jeśli usta Owena nie odrywały się od jej sutków, Phyllis odsuwała się, głucha na grad zachwyliwych komentarzy, jakby chodziło o dygresje mamroczonego wykładowcy. Będąc wytworem środowiska akademickiego, Phyllis umiała po akademicku zmarszczyć brwi, wytworzyć wrażenie, że prycha z przyganą. A jednak ścisła go z niejaką wprawą, mocno ujmując pośladki; robiła to już przedtem, pozwoliła jakiemuś chłopakowi przedostać się na poziom bioder, choć wydawało się, że niepewność opina jej ręce jak rękawiczka. Kiedy zaś trzeba się było wytrzeć, Phyllis sprawnie się przyłączała, dłonią owiniętą w chusteczkę Owena tropiła maleńkie kałuże nasienia na własnym brzuchu i we włosach łonowych, kręconych i ciemniejszych niż włosy na głowie. W noc poślubną, ogarniając wzrokiem spowite księżycową poświatą obszary ciała, w którego legalne posiadanie wszedł po południu podczas ceremonii mdłej, acz pełnej wdzięku, jaką mogą zapewnić unitarianie z Cambridge, Owen klęczał między nogami Phyllis i czesał jej bujnie zarośnięty wzgórek łonowy, teraz już jego, jakby przygotowywał ofiarę z kudłatego jagnięcia, aż zirytowana Phyllis zabrała mu grzebień i cisnęła w kąt; ze stukiem odbił się pod oknem od listwy przypodłogowej.

Znów odrzucony. Owen ledwie się odważył spytać, dlaczego to zrobiła; wzgardziła jego pełną dumy, grzebieniową adoracją.

– Co było źle? – spytał. – Bolało?

– To zakrawa na śmieszność – przyznała Phyllis. – Drażni. Jak teatr. Jakbyś dawał dla kogoś przedstawienie. Po prostu zróbmy to.

– A chcesz? Bo nie musimy. Mogę poczekać, aż zechcesz. Chociażby jutro, kiedy nie będziemy skonani, popodkręcani przez ludzi. Śluby potrafią dobić, nie? – Byli w domku letnim w Truro, który na tydzień oddali im rodzice Phyllis. Owen zrobił dyplom, sklasyfikowany w górnej jednej trzeciej rocznika; Phyllis spędziła smutny rok na studiach doktoranckich, bez entuzjazmu zaliczając podyplomowe kursy z teorii liczb, topologii i po omacku szukając tematu pracy, skonfliktowana z promotorem. Oboje mieli wrócić latem do Cambridge, Phyllis, żeby na letnich kursach zdobyć trochę punktów, Owen skierowany staraniem wydziału inżynierii elektrycznej na ośmioletni staż przy komputerze Whirlwind. Z dala dobiegał szum fal łamiących się u podstawy piaszczystych klifów na plaży, wraz z nim zapach skarłowaciałych sosen. Szum i zapach, obecne bez względu na to, czy są tu we dwoje czy ich nie ma, nadawały mrokom za oknem ogrom, którego ich świeżo splecione życia nigdy nie zdołają zapełnić.

– Dlaczego się uważa, że każdy lubi szampana? – spytał Owen, spłoszony milczeniem Phyllis. – Mnie się zawsze wydaje kwaśny.

Nie mógł dostrzec wyrazu jej twarzy, bo obróciła głowę do okna, widział tylko arabeskę: smukłą linię zuchwy i długiego ścięga szyi. W okiennej ramie

widniał księżyc przecięty listwą, nieco mniejszy niż w pełni; światło wyłuskało płatek ucha z ciemnej masy włosów Phyllis. Co robi, utkwivszy wzrok w oddali? Żegna się z księżycem? Pusty domek, obcy dla Owena, pełen był letnich wspomnień Phyllis z czasów dziewczęcych, pełen uroczych pamiątek – książek, muszli, nieporadnych akwareli w blaknących taniutkich ramkach – minionego rodzinnego życia. Może słone i stęchłe zapaszki domku letniego są dla mózgu Phyllis szeptami w jakimś języku. Chyba cała krew z mdlejącego mózgu Owena odpłynęła do wzwiedzonego kutasa; obdarzony mężowskimi przywilejami Owen wciąż klęczał, ogarniał wzrokiem lśniące w księżycowej poświacie bogactwo Phyllis: półksiężyc twardego ramion, obojczyk wystający ze skośnych zatok cienia, piersi spłaszczone na kruchych pochyłościach żeber. Odwróciła się i spojrzała w górę ku niemu.

– Nie, zróbmy to – usłyszał jej cichy głos. – Dlaczego grzebać tradycję?

– Powiedziałaś: jebać tradycję?

– To nie było śmieszne, Owene.

Coraz mocniej zdawało mu się, że patrzy w dół na kogoś jakoś zamordowanego. W księżycowej poświacie słabe cienie krzyżujących się listew w oknie tworzyły na białym kształcie kratę. Nieszczęsny palant Owena, twardy do bólu, wydzielał niepokojący zapaszek. A potem od jej boku oderwała się biała ręka, uniosła się i delikatnie, na próbę, potarła jądra Owena i trzon. Phyllis uniosła kolana,

przyjmując dokładnie pozycję z rysunku wydrapanego na tyłach szopy koło placu zabaw, potem chłodnymi koniuszkami palców, jakby leniwie, naprowadziła go do środka. Natrafił na przeszkodę i przepchnął się przez nią. Nie przypuszczał, że zaboli to także jego, nie tylko ją. Skończył, lecz wcale nie było jasne, czy Phyllis w ogóle zaczęła. Jej śluzowate ciepło paliło go. Inaczej niż w czasach dorastania, w łóżku, kiedy pod wpływem tego doznania zdawało mu się, że cały jego wewnętrzny świat koziółkuje, terażniejsze doznanie było już nie tak czyste ani gwałtowne jak wówczas, kiedy zdążył do niego za pomocą lewej ręki. Phyllis uległa, taki był początek. Z mięśni Owena uszło napięcie, on zaś z zachwytem rozmyślał, ileż jeszcze razy czeka ich wspólne robienie tego, coraz lepiej, kiedy oboje będą coraz mniej nieporadni i nieśmiali.

Do zasłony na oknie w łazience przyłgnał słony, żywiczny zapach; drzewa rosły tuż obok, żywe, oddychające byty, nie tylko karłowate sosny, ale i karłowaty dąb i krzaki woskownicy. Owen obmył genitalia, spłukał nasienie i zawołał z oświetlonej łazienki w ciemność:

- Co zrobimy z prześcieradłem?
- Nie zauważyłeś? Podłożyłam ręcznik pod biodra.
- Mój Boże, nie zauważyłem – powiedział Owen przejęty czułością, jakby ów dowód chłodnej rozwagi i dalekowzroczości otworzył przed nim Phyllis szerzej niż samo posuwanie.

Spiesznie wrócił do niej, żeby na własne oczy zobaczyć ręcznik, zrobić z niego coś w rodzaju relikwii. Takiej relikwii inni – Hank, Jake – mogą mu tylko pozazdrościć. Phyllis, wciąż w tej nieprzyzwoitej pozycji M, nagryzmołonej kiedyś na ścianie szopy, wpatrywała się znowu w księżyc. Pewnie też oszołomiona, uniosła biodra na tyle, żeby mógł wyciągnąć poplamiony ręcznik; Owen całował frotę, wtulił twarz w owego świadka wygasłej potyczki ciała i krwi.

– Owen, naprawdę – powiedziała, machnęła nad nim nagimi nogami, stanęła na podłodze i zabrała biały ręcznik do łazienki. – Wszystko wypiorę – oznajmiła.

Wyszła potem z łazienki w wełnianej koszuli nocnej w grochy, on zaś, wciąż nagi, klęczał na łóżku i wtulał twarz w zakamarek, w którym przetrwało jeszcze jej ciepło, od chwili, w której stała się, po defloracji, jego kobietą. Wraz z wejściem Phyllis poczuł się głupio, teatralnie, jakby właśnie próbował czegoś religijnego. Pod nocną koszulę, zauważył, Phyllis włożyła majtki z wkładką w kroku.

Poprzedniego roku w pokoju jej brata Owenowi zdarzało się wycofać z jakichś wspólnych zapasów graniczących ze stosunkiem i wyjrzeć przez dachowe okno na zwariowane zafalowanie dachów Cambridge, na wąskie podwórka za domami, na rdzewiejące grille na małych patiach obmurowanych cegłą czy dobudowanych tarasach, poczuć wspólnotową siłę tego wszystkiego, zbiorową dumę. Uważał za przywilej ów dostęp z wysoka

do przekładanej drewnem panoramy miasta – tylu okazałych domostw wzniesionych na rzecz przedsiębiorstw myśli i nauki. Przez jedną z dziewcząt zapewnił sobie tu pozycję, miejsce przy mahoniowym stole w jadalni państwa Goodhue, wraz z ich jadłospisem, cierpkimi plotkami i liberalnymi oburzeniami w owych czasach złego Joego McCarthy’ego i niefrasobliwego Ike’a. Mimo to Owen nie czuł się pełnoprawną częścią tego wszystkiego – był praktyczny, co Phyllis wyczuła od początku; a w porównaniu z jej ojcem był nieokrzesany. Te dachy ze świetlikami, nieprzeliczone złociste okna odsłaniające widok na szczelnie zastawione książkami półki, na spłowiałe orientalne dywany, kuchnie ozdobione garnkami o miedzianych spodach i fantazyjnie pozszywanymi z różnych kawałków materiału łapkami do gorących naczyń, na łazienki wytapetowane okładkami „New Yorkera”, na wąskie, rozgrzebane studenckie łóżka – za tym wszystkim stał pewien etos; Owen mógł go wielbić, mógł się weń nawet wżenić, lecz nigdy nie zdołałby uczynić go własnym. Wysoki i żylasty, miał uśmiech łatwo odsłaniający krzywe, wrażliwe zęby chłopaka wychowanego daleko od tego zachwyconego sobą miasteczka.

Ich pierwsze mieszkanie w Cambridge, w którym spędzili sześć miesięcy, zanim Owen otrzymał powołanie do wojska, mieściło się nie na żadnym wysokim piętrze, lecz w suterenie ceglanego domu przy Concord Avenue, z widokiem na poziome oka na zacieniony spłachetek



porośnięty runianką i mirtem, berberyssem i irgą. Niewidoczny z ulicy, zbyt gęsto obsadzony skrawek ziemi był miejscem kocich schadzek, zarazem kocią sypialnią i ubikacją. Podczas upałów owego lata przeciągających się w jesień młodzi Mackenzie musieli zdać się, zamiast klimatyzacji, na zostawianie otwartych okien bez siatki; Owen budził się czasem w towarzystwie żółtawego kocura o łbie jak cebrzyk, którego oboje obdarzyli mianem Kociowuja Wstręta; kocur siedział Owenowi na piersiach i mrucał, sine kocie fafle znajdowały się tak blisko ludzkiej twarzy, że zapach zjełczanego rybiego tłuszczu przyprawiał Owena o mdłości. Phyllis, niezdecydowana i rozdrażniona po raz pierwszy od kiedy się poznali, siłą rozpędu zaliczyła rachunek prawdopodobieństwa (kombinatoryka, zmienne losowe, wydarzenia rekurencyjne, łańcuchy Markowa, prawa wielkich liczb, teoria prognozowania) i rozglądała się niepewnie za tematem pracy doktorskiej, nie umiejąc w gigantycznej płataninie osiągnięć matematycznych odnaleźć jakiegoś niesformułowanego jeszcze skrawka, który mogłaby uczynić swą własnością; tymczasem Owen, kiepsko opłacany praktykant Harwardzkiego Laboratorium Obliczeniowego – dożywał wówczas zmierzchu ocieężały Mark I, niewolny od kłopotów w przechowywaniu danych na dysku, o prymitywnym systemie programowania znanym jako kompilator A-O – zmagął się z innowacją, która powinna uwolnić maszyny od zapisywania programów na niewygodnych kartach

perforowanych czy szpulach taśmy magnetycznej. IBM już wprowadzało do instytucji rządowych i wydziałów badawczych pierwszy komercyjny komputer 701. Perspektywy jeszcze bardziej intrygujących sposobów działania na małych obwodach drukowanych, jakie się otwierały dzięki tym osiągnięciom, widoki na abstrakcyjne przetwarzanie nie tylko szybsze – w postępie geometrycznym – i gładziej od ludzkiej myśli, lecz także jednotorowe, kiedy iskra mknie bezustannie po algorytmicznych pętach, by dotrzeć na zaprogramowaną pozycję dziesiątą na poziomie równoważności – oto czysty, szybki jak błyskawica proces, będący przeciwieństwem wielotorowego ludzkiego myślenia, owej mgły złożonej z nieprzewidywalnych czynników emocjonalnych, egotystycznych i zmysłowych.

W dwóch ciemnych i wilgotnych pokojach w suterenie, o okienkach wychodzących na zielony koci motel, Owen i Phyllis ostrożnie zanurzali się w sobie wzajemnie. Uczyli się wydawanych przez sen odgłosów, poruszeń, woni wynikających z ruchów kiszek, nawet jeśli drzwi do łazienki były szczelnie zamknięte, nawet jeśli wirował wentylator pod sufitem. Mieli tak ciasną sypialnię, że jedno mogło spać tylko wparte w ścianę; ponieważ to Owen musiał pięć razy w tygodniu wstawać i iść do pracy, Phyllis odstąpiła mu miejsce z brzegu, co oznaczało, że jeśli sama musiała wstać w nocy – może przy stole rodziców wypłała za wiele wina, może pod wpływem zbyt pikantnych dań w greckiej restauracji,

gdzie byli wraz z inną młodą, świeżo dyplomowaną parą – to ostrożnie przepelzała nad Owenem; był to przetaczający się po nim zbiór dotknięć. Owen znów zasypiał, wyjaśniając sobie w snach, że jest żonaty i że przepelzające ciało należy do jego żony. Phyllis była wstydliva, byle przechodzień mógł zerkać przez te ich okienka, niemniej w najbardziej duszne noce spała nago. Ciało żony niezmiennie wzruszało Owena, zawsze. Kochali się rzadziej, niż to sobie wyobrażał w czasach dziewiczych, a winę za to – miał wrażenie – ponosił na równi z nią; po nocach uczył się, tak jak i ona, z odbiornika na rogu komody w kącie dobiegała muzyka klasyczna ze stacji WCRB. Symfonia Beethovena czy sonata Schuberta nawet słuchane jednym uchem są trudne, nie można przy nich nic powiedzieć, najwyżej westchnąć bądź wreszcie zamknąć z trzaskiem książkę. Kiedy w przeddzień skierowania Owena do Fort Devens, gdzie miał zostać wcielony do wojska, Phyllis oznajmiła brak miesiączki, mogło się wydawać, że zaszła w ciążę raczej w wyniku osmozy niż na skutek konkretnego stosunku.

Zawsze Owen inicjował to coś, czym były ich kontakty. Zważywszy na jego ówczesną niezręczność splecioną z nadmiarem podniecenia, zwłaszcza kiedy w użytku była mocno uciskająca prezerwatywa o nieprzyjemnym zapachu gumy, a jako alternatywa zakładanie przez Phyllis sfatygowanej wkładki (Phyllis wychodziła wtedy z łazienki z rumieńcem na twarzy),

Owen nie mógł winić żony. Nie mógł winić Phyllis nigdy i za nic; może to była jakaś wada w ich stosunkach, jakieś upośledzenie. Była o rok starsza i Owen był przekonany, że ma rację; Owen był nieprzerwanie pod wpływem owego pierwszego wejrzenia, kiedy z nabożnym podziwem patrzył na Phyllis na korytarzach MIT, w ruchliwym labiryncie ponumerowanych budynków, na Phyllis należąca do tamtejszej śmietanki. Jakże się wydawała nieosiągalna! Sama myśl, żeby z nią porozmawiać, żeby wedrzeć się w krąg jej uwagi, zakrawała na bluźnierstwo. Podczas tego tygodnia na Cape Cod, który musiał starczyć za miesiąc miodowy, wędrowali plażą w stronę Provincetown, trasą z repertuaru jej dziecięcych letnich wspomnień; chociaż wciąż było za zimno na kostiumy kąpielowe, to przy jakimś spokojnym płytkim miejscu Phyllis ściągnęła buty i weszła do wody; dzięki podwiniętej spódnicy odsłoniła uda do połowy, a w całości białe łydki, kragłe, smukłe, długie. Jacyś spacerowicze, młodzi mężczyźni zmierzający z Provincetown na południe, zatrzymali się, żeby popatrzeć; przysadziści i hałaśliwi. Owenowi ani przez chwilę nie przyszło na myśl, że mogą to być na przykład homoseksualiści. Był pewien, że pragną jego żony; pragną ją schwytać i zgwałcić na tej pustej plaży. Zdał sobie sprawę, a było to jak cios zadany znienacka zza węgła, że nie potrafi jej bronić – swego ukrytego skarbu, swej niewinnej ekshibicjonistki, swej byłej dziewicy z nad morza. Żaloszny pan młody. Zamglone

niebo było wysoko i nie znało litości. Za Phyllis, za jej głową o włosach w odcieniu piasku – pochyloną, bo Phyllis przyglądała się właśnie muszłom i krabim dziurom w płatach piany zostawionych przez odpływ – były tylko lodowaty ocean, a dalej Portugalia.

## 7. W DRODZE DO MIDDLE FALLS

Ostatni sen przed przebudzeniem to przyjęcie, znów w Middle Falls, chociaż w jakimś, zdaje się, drapaczu chmur; przyjęcie ma błysk i jaskrawość filmu, ściślej filmu z lat pięćdziesiątych, albo retro o tych latach: zbyt szykowne kobiety w pastelowych kolorach, w taftach – spódnicach rozszerzanych u dołu i ciasno ściągniętych u góry – z lokami trwałe. We śnie Owen z wolna dostrzega, że jego dwie rozmówczynie na przyjęciu – jedna siedzi przy nim, druga stoi – ubrane są w malowaną porcelanę, w sztywne skorupy z lśniącoymi, rzeźbionymi rąbkami, jak osiemnastowieczne figurynki. Patrząc na malowidła Copleya, Gainsborough czy Ingre’a, Owen potrafi się pogрузić w studiowaniu fałd jedwabiu, półsztywnych spadzistości i zafalowań, rozjaśnień i zagłębień, którymi z taką pasją zajmuje się pędzel malarza, tuż koło uróżowanych a niemrawych twarzy; stroje z przyjęcia jakoś to przypominają, są zastygłą ceramiką, chociaż ramiona kobiet wyglądają na miękkie i żywe, swawolne w geście, głosy kobiet są śmiałe, pełne wdzięku, jak ich zachowanie, ruchów nic nie kępuje, nie znać śladu zażenowania. Ponaglony zawiścią, bo w porównaniu z kobietami czuje się źle ubrany, Owen trafia przed szafę gospodarza (licho wie kto nim jest), gdzie między rzędami wypucowanych butów i tweedowych marynarek szuka sobie porcelanowego garnituru. Ale w

poszukiwaniach przeszkadzają hałasy przyjęcia: jakiś starszy gość zemdłał, ma wokół głowy aureolę ze śpiących psów, po domu chyba buszuje lis. Młodsza córka Owena, Ève, z płaczem broni zwierzęcia. A więc to jego dom, wielki, licowany deskami dom przy Patridgeberry Road w Middle Falls, w Connecticut. To on jest tajemniczym gospodarzem, poniżej żle ubranym, który nie ma porcelanowego garnituru. Owen się budzi.

Julia już wstała, w łóżku stygnie po niej ciepłe wgłębienie. Z każdym dniem Owen coraz trudniej znosi nienaturalność wstawania, ruszania do tego samego ponurego śniadania z płatków zbożowych i otrąb, z całą garścią witamin, które trzeba przełknąć, do gazety, żeby się zmierzyć z katastrofami samochodowymi, pożarami w kamienicach czynszowych na przedmieściach Bostonu, z nieustającymi rewelacjami na temat księżych wybryków seksualnych – których ofiarą kiedyś padli ludzie dziś w średnim wieku i skorzy do pieniactwa bądź jakieś niezbyt ujmujące dzieci – z kolejnymi sensacjami na temat misternych matactw w szacownych biurach korporacji i funduszy inwestycyjnych, z nekrologami różnych zagadkowych zasłużonych, z nieuchronną wojną. Owen nabawił się częstego mrowienia lewej dłoni, co by wskazywało na zwyrodnienie kręgosłupa bądź zbliżający się zawał; w tejże dłoni miewa bóle u nasady jednego z paznokci i, co trudniej zlekceważyć, w stawach kciuka, słowem artretyzm usadowiony w anatomicznych głębinach ręki. Bóle, sądzi Owen, wiążą się z sezonem

golfowym; boli palec serdeczny, który Owen bardzo mocno zaciska na kiju, przez całe lata za mocno – przez takie zaciskanie nadwężają sobie kciuk mechanicy – przez co w skrajnej fazie zamachu przypada nań za duże obciążenie. Przez dziesiątki lat Owen próbował uprosić zawodowych graczy, żeby mu pokazali, co robi źle, tymczasem oni, ledwie rzuciwszy okiem, mówili tylko, że chwyt jest w porządku, i zaraz zabierali się do krytykowania stóp Owena, ramion, nadmiernego obrotu bioder, jego nieszczęsnych leworęcznych skłonności, zbyt wyprostowanej postawy na zbyt sztywnych nogach, co się wiąże z innym błędem, osławionym „odwrotnym C”. Lecz Owen wie swoje: to nie tak, że pod koniec każdej partii kciuk musi boleć. Owen już zużył kości, już się ich nie naprawi; uszkodzenia i bóle będą mu towarzyszyć do grobu. W ślad za odczuciem ciepła, świadczącym, że Julia tu była, na tym prześcieradle, pod tym kocem, ogarnia go fala miłości do niej. Była z nim, będzie, nawet wówczas, kiedy Owen stanie się żalonym, odpychającym, nieporadnym kaleką.

Nie zwracając sobie głowy myciem zębów ani sikaniem, Owen omija łazienkę i rusza na poszukiwanie Julii. Nie ma jej w telewizyjnym pokoju na piętrze ani przy biurku w gościnnej sypialni. Ukłucie w żołądku to panika. Julii nie ma w kuchni, do której Owen cicho zmierza od strony tylnych schodów; nowy chodnik ugina się sprężysto, otula bosc stopy Owena. Ekran telewizyjny, na którym zwykle skrzy się ulubiony



program Julii, Kanał Meteo, jest martwy, pusty, zielonkawoszary. W gardle Owena wzbiera już okrzyk „Julia?”, kiedy szelest papieru zdradza jej obecność w bibliotece na parterze. Przycupnąwszy na czerwonej sofie, Julia wyjada jogurt z plastikowego kubka i czyta „New York Timesa”. Niebieskie klapki spoczywają na krawędzi stolika do kawy, a spod krótkiej koszuli nocnej i rozchylonego szlafroka wyglądają uda. Owen pada na fotel z wysokim oparciem naprzeciw żony, z uczuciem ulgi godnym podróżnika, który odnalazł wreszcie drogę na pustyni. Ustaje paniczne trzepotanie w żołądku. Z perspektywy Owena palce nóg Julii wyzierające z kłapek przypominają dwa ciągi różowych kóleczek. Mięśnie nóg wzmocnione na pokojowej bieżni ścigają się płynnie, jak rozhasane delfiny. Owena zachwyca, że uroda Julii wciąż działa na niego tak żywo; żona spogląda teraz na niego spod czarnych łuków brwi, tymi szeroko osadzonymi oczami koloru akwamaryny, na jej wargach lekko połyskuje jogurt. Wargi Julii nigdy się nie wydawały odrętwiałe ani przemarznięte.

– Zdejmij ten idiotyczny kapelusz – mówi Julia.

Od kiedy włosy mu się przerzedziły, Owen zwykł zakładać do snu marynarską wełnianą czapkę, sypiał tak jeszcze wiosną. To samo robiła jego matka, kiedy już na dobre zdziecinniała. Nawet w letnie upalne noce Owenowi brak tego okrycia głowy i sięga po nie, jeśli mu się przytrafią kłopoty z zasypianiem.

Owen posłusznie ściąga drażniącą część ubioru,

wtyka pod pachę wygniecionej w łóżku piżamy i myśląc z czułością o stopach żony, wyciąga w jej stronę własne, bosc; ukladą je na chippendale'owskim krzesle po swojej stronie stolika do kawy. Wyściełane, paskudnie wypłowiałe siedzenie dawno temu wyhaftowała któraś z Wethersfieldów, babka czy prababka Julii.

– I zabierz te brudne kopyta z mojego zabytkowego krzesła – w głosie Julii brzmi coś zakrawającego na szczere oburzenie; to samo oburzenie każe jej wstać z sofy i z pustym kubkiem po jogurcie pomaszerować przez hol do kuchni.

Owen idzie za nią krok w krok i niepewnie protestuje:

– Są czyste. Bose.

– Dlaczego nigdy się nie nauczysz – Julia nie odwraca się; pytając, powściąga ton głosu – że trzeba się uczesać? Miałeś kiedyś mnóstwo włosów, nie brakowało ci ich, puszystych, miłutkich, byłeś szatynem; teraz masz tylko tę okropną białą myjkę na czubku głowy.

– Dopiero co wstałem – oponuje Owen – i zaraz zacząłem cię szukać. Nie chciałem marnować czasu na czesanie.

W dzieciństwie w Willow włosy dostępowwały czesania tylko przed pójściem Owena do szkółki niedzielnej bądź po stryżeniu; i nikt się nie skarżył. A może matka? Zastanawiającego się Owena nawiedza słabe wspomnienie: grzebień, który jak grabie drapie skórę na głowie, może to matka szorstko doglądała jego

włosów, zanim wysłała go do szkoły z paczką dziewcząt z Drugiej Ulicy. Nawet teraz odczuwa lęk przed matczynym dotknięciem, chociaż matka nie żyje od dziesięciu lat.

Julia włącza w kuchni telewizor. Prezenter prognoz pogody, młody, o bujnym wąsie, wręcz przesadnie tykowały – wysocy średnio wypadają w telewizji – wyjeżdża za daleko tym białym magicznym elektronicznym wskaźnikiem, który sunie i coś gryzmoli po Ohio; to strefa wysokiego ciśnienia przesuwająca się ku Nowej Anglii przez stan Nowy Jork.

– Po co oglądasz te brednie? – Owen ostrożnie kontratakuje. – Pogoda będzie, jaka będzie, czy dowiesz się o tym czy nie.

– Cicho! – ostry ton Julii przypomina tamten, matczyny, gdy zabraniała: „Nie dotykaj tego!”-Przez ciebie teraz nie połapię się, co z tym frontem!

– Nie przejmuj się, front zjawi się, gdzie mu się spodoba. Nawet ty nie zdołasz upilnować frontów. Co piszą w „Timesie”?

– Przeczytaj.

– Ja czytam „Globe”.

– Czysta głupota, Owen. Poza gwałtami w Medford i morderstwami w Dorchester nic tam nie ma.

– Pewnie, ale w przeciwieństwie do świętojebliwego „Timesa” w „Globe” nie twierdzą, że wiedzą, która akurat wiadomość nadaje się do druku. – Zdenerwowany podchodzi do pojemnika na chleb i z głębokiej szuflady

wyciąga paczkę „Czysto Newmanowskich tradycyjnych cienkich precli”, sądząc z zapachu, lepiej przypieczonych niż inne, nie obdarzone tak podniosłą nazwą; nadgryza jeden. Pierwszy kęs jest najlepszy. Paul Newman uwieczniony z córką Neli na celofanowej torebce też kompletnie posiwiął. Owen przypomina sobie, że w *Hud* Newman był równie młodzieńczy, niebezpieczny i w pół senny jak nieboszczyk James Dean.

– Jedz nad zlewem! – krzyczy Julia. W jej głosie brzmi rozpacz. – Zapaprzesz podłogę, akurat tam, gdzie się przyłożyły sprzątaczk!

Chodzi o parę świeżych imigrantek z Brazylii; nie są siostrami, chociaż identycznie zbudowane, z ruchliwymi szerokimi tyłkami. Czasami występują w trio, ta trzecia, szczuplejsza, ma cerę jak masło orzechowe, wielkie czekoladowe oczy i ni w ząb nie rozumie po angielsku.

– Ależ flejtuch z ciebie! – wykrzykuje żona Owena. – Matka niczego cię nie nauczyła!

Gdyby Julia była w lepszym humorze, Owen by się pospierał. Matka mnóstwo go nauczyła, chociaż teraz, pod koniec życia, trudno powiedzieć czego. Jej mądrość na ogół obywatela się bez słów, była zaś dostosowana do życia w Willow, jak się tam uchować, kogo słuchać, kogo unikać, jak zdobyć zaufanie, stworzyć wrażenie własnej wartości, co kiedyś mogło posłużyć Owenowi za broń wszędzie. Niewiele mu przekazała, jeśli chodzi o uczesanie ani, szerzej, o dobre maniere, więc i Owen nie bardzo się przejmuje takimi subtelnościami. Owszem,

flejtuch z niego; ale wrażliwy. Nie lubi jadać nad zlewem; czuje się wtedy jak pies nad miską. Chce jadać, jak jadał jako dziecko, wędrując po dziadkowym domu z łydzą selera lub z kruchym batonem orzechowym w błogiej nieświadomości, że sieje okruszki. W porze posiłków bywało przykro: kiedy pogorszył się stan babci chorej na parkinsonizm, krztusiła się przy stole, matka czerwieniała na twarzy i dąsała w najlepsze, a ojciec ze zboląłą twarzą księgowego, na pozór bezkrwistą, może sumował w myśli, ile kosztuje go wyżywienie tylu gąb. Owen odkrył wówczas, że potrawy smakują najlepiej, kiedy się je samotnie, w biegu, po kątach. Wspomina radośnie i dokładnie pamięta zajadanie w drodze do szkoły na popołudnie batonu tastycake za sześć centów albo, kiedy był starszy, spacer po śródmieściu Alton i pogryzanie orzeszków ziemnych z papierowej torby, jeszcze ciepłych po zdjęciu z rusztu.

Owen nie ma do żony pretensji o ruganie, o te napaści. Julia chce, żeby był doskonały, w przeciwnym razie okaże się, że popełniła życiowy błąd. Każde z nich drogo zapłaciło za to drugie, nie zawsze z własnego rachunku. Kiedy Julia wyraża swe niechęci, Owen godzi się na to jako na dowód, że chce go oceniać najwyższą miarą. Chce, żeby Owen był idealnym mężem i żeby tym samym mogła się usprawiedliwić. Julia nie ma ochoty słuchać o wyśnionym przez Owena przyjęciu w Middle Falls z figlarnymi kobietami w kolorowych porcelanowych skorupach.

Być może małżeństwu Owena z Phyllis zadały cios te dwa lata spędzone przez Owena w wojsku tuż po wojnie koreańskiej, kiedy napawał się towarzystwem gwałtownie starzejących się komputerowych kolosów – z ich żalosną pamięcią, milami telefonicznego okablowania – obliczających trajektorie rakiet oraz tworzących w połączeniu z radarem prymitywne prapoczątki systemu kontroli lotów. W szpitalu Mt. Auburn Phyllis rodziła ośmioletniego Gregor/ego pod nieobecność Owena, bo on stacjonował wówczas w Fort Benning w Georgii. Siedmioletnia Iris przyszła na świat w Niemczech, gdzie po dołączeniu Phyllis do Owena zamieszkali w wojskowym osiedlu pod Frankfurtem. Owego tygodnia, już na koniec służbowego objazdu, Owen musiał się niestety zmagać z usterkami w tajnej bazie w Turcji, znów z dala od porodowego mozołu Phyllis.

Rosjanie mieli wtedy samolot dalekiego zasięgu zdolny przenieść bombę jądrową nad biegunem północnym, wobec czego skoordynowana obrona powietrzna uzyskała wysoki priorytet i status ścisłej tajności. Dzięki pamięci rdzeniowej rozpędzono Whirlwinda do szybkości pozwalającej działać w czasie rzeczywistym, a jego prototyp, elementarny hardware z czasów edukacji Owena na MIT, stał się produkowanym fabrycznie IBM AN/FSQ-7, instalowanym w Centrach Kierowania w całym kraju jako część SAGE, półautomatycznego środowiska naziemnego<sup>1</sup>.

Elektroniczne dinozaury ważące dwieście pięćdziesiąt ton, posadowione w czteropiętrowych betonowych ohydztwach i kryjące czterdzieści dziewięć tysięcy lamp próżniowych karmiono danymi z globalnej sieci źródeł zasilanej przez Siły Zbrojne USA; oddelegowany do lotnictwa Owen stał się wyszkolonym technologicznie wojskowym, jakich setki skierowano do lamp katodowych, do rozszyfrowywania ich pulsacji.

Źle odczytane sygnały i awarie na wejściu mogły oznaczać katastrofę w delikatnie zrównoważonej grze obserwacyjnej; Owena jednak uderzyło, nawet wzruszyło, że na tych maszynach w zasadzie można było polegać, chociaż wydadzą się pewnie pokraczne, kiedy ma się za sobą czas chipowej miniaturyzacji, zmniejszający ich rozmiary, kiedy języki programowania czynią z tych maszyn łatwiejszego partnera w dyskusji. Wciąż było mnóstwo przełączników, mnóstwo migających światełek na konsolach. Owen zaczął przykładać rękę do doskonalenia i wymyślania programów: nudnych linijek kodów assemblerowych, w których w razie błędu należało sprawdzać znak po znaku w wydrukach zrzutów pamięci, co wymagało wyteżania wzroku i ćmiło myśl. Owen wykazał tyle umiejętności, że zaproszono go do przedłużenia służby, już w stopniu oficera, czym miałyby wspomóc trzymanie Ruskich w narożniku, którzy w wiedzy komputerowej zostali daleko w tyle.

Phyllis nie znosiła jednak życia wojskowego, niezbyt pacyfistycznej natury wojska i buro-ponurej mundurowej

codzienności.

– Tu rządzą reguły najniższego wspólnego mianownika – orzekła. – A te żony, takie prostackie, widzą tylko swoje gniazdeczka i seks; to wszystko, co mają do zaoferowania.

Owen nie sądził, że to mizerna oferta, ale nic nie powiedział. Szanował zdanie żony. Kiedy rozmawiali o przedłużeniu służby, musiał wydobywać z Phyllis opinie; blade policzki żony rumieniły się, w miarę jak poważniały jej argumenty. Phyllis na pozór nie wdawała się w zgłębianie psychiki Owena, ale umiała w nią wnikać.

– Nie rozumuj jak twój ojciec, nie stawiaj na rzeczy bezpieczne – nalegała. – Jemu się wydawało, że fabryki włókiennicze to coś pewnego, i popatrz, co się z nimi stało. Nie ma dziedzin bezpiecznych. Ameryka to bastion kapitalizmu, tylko o to tu chodzi, prawda? Jeżeli komputery chociażby w połowie są takim cudem, za jaki je uważasz, doprowadzą do zbiccia fortun, a ty w tym tkwisz od początku.

Owen wiedział, że Phyllis, jak zwykle, ma rację; trochę go jednak dotknęło, kiedy zdał sobie sprawę, że ona niekoniecznie się wznosi ponad uwzględnianie materialnych perspektyw. Chciała, żeby zarabiał, jeśli nawet nie dla niej, to dla jej dzieci. Chciała się wynieść z wojskowego osiedla i ulokować w mieszkaniu, na skrawku stanowiącym ich całkowitą własność. Po urodzeniu dzieci Phyllis przytyła; twarz równie delikatna



jak niegdyś, wciąż jak nakreślona srebrnym stylusem, teraz sadowiła się na szerszej kolumnie, koszula nocna opadała znad wezbranych mlekiem piersi prostymi doryckimi fałdami.

Miała rację; to, czego się Owen nauczył w SAGE, gładko doprowadziło go w pracy – w kompleksie IBM przy Madison Avenue w Nowym Jorku – do zajęcia się czymś znanym później pod nazwą SABRE, czyli ogólnokrajowym systemem rezerwacji miejsc opracowywanym wspólnie z American Airlines. Największe jak dotąd cywilne zadanie komputeryzacyjne wymagało około miliona wierszy kodu programowego, dwustu techników, dziesięciu tysięcy mil wynajętych linii telekomunikacyjnych i około tysiąca pracowników posługujących się biurkowymi terminalami połączonymi z dwiema centralnymi maszynami IBM 7090, zainstalowanymi na północy miasta, w Briarcliff Manor. Jeden z komputerów pracował, drugi, jego sobowtór, trwał w pogotowiu na wypadek awarii. Maleńki ułamek owego miliona linijek kodowych był dziełem Owena; po przejściu bramek AND bądź OR, a także rozwidlenia IF... THEN numery lotów, skrócone nazwy lotniczych terminali, ceny, oznaczenia poszczególnych foteli lądowały pod właściwym adresem o pół kontynentu dalej – dzięki Owenowi. Wrodzona szkocka oszczędność Owena zmieniła się w namiętność do elektronicznej gospodarności – przeformułowanie pozwalające obejść wymyślny podprogram standardowy bądź nadmiarową

pętlę i oszczędzić okruczeń czasu Owen odczuwał wręcz namacalnie, kiedy monitor, niczym ślaniający się bokser, ustępował pod naporem uderzeń w klawisze.

Wieczorem, gdy w końcu dwójka dzieci zasnęła, a talerze pochłonięła po kolacji zmywarka, Phyllis w wolnych wreszcie godzinach mogła wsłuchiwać się w objaśnienia Owena, chociaż to akurat nie była jej gałąź matematyki, te elektrony wciąż przemierzające w kółko algorytmiczne obwody jak konie człapiące w kieracie; czasami potrafiła podsunąć, lotnie i przenikliwie, nowy sposób obejścia jakiejś liniowej trudności; Owen doznawał wtedy olśnień i przeżywał na nowo napad miłości do niej.

Kiedy na zatłoczonych korytarzach MIT wypatrzył płynącą nimi Phyllis, nie mógł przewidzieć rosnących obciążeń, które wniesie: bagażu mokrych pieluch, łóżeczek i wózków, śliniaczków i słoiczków z przecierami Gerbera, wrzasków i żądań, które ani myślą usnąć, cykli niepokojących chorób, z bakteriami skaczącymi z jednego członka rodziny na innych, zwielokrotnionej odpowiedzialności w sprawach sięgających w przyszłość aż po college i dalej. Za drugiej kadencji Eisenhowera obrodziły mieszczańskie wygody: wozy z wielkimi płetwami, wysokie lodówki w pastelowych kolorach, głodne prądu, ryczące i ciekące klimatyzatory. Lotna inteligencja Phyllis nie miała co z sobą począć w ospałej, dławiącej codzienności, w sekwencji mieszkań z dwiema sypialniami. Z hałaśliwej

55 Wschodniej, między Lex i Trzecią Aleją, przeprowadzili się na 63 Wschodnią, wciąż jednak tkwili w metropolitalnym zgiełku, który nie pozwalał Phyllis zasnąć, przez co dni z raczkującymi szkrabami upływały jej w lunatycznym transie. W labiryncie pod ulicami centrum trwał nie kończący się remont; z krainy tej buchały kłęby pary i wciąż zstępowali do niej ludzie w kaskach, by tydzień w tydzień rozpruwać wiertarkami to samo.

Jakimś trafem Phyllis znów zaszła w ciążę. Owen nie umiał sobie wyobrazić, jak do tego doszło, godziny spędzane nad projektem dla linii lotniczych zdawały się bowiem nie mieć końca, był to morderczy czas. Nazwa SABRE, z 1960 roku, została zapożyczona z modelu buicka, przy czym miała uchodzić za akronim: Semi-Automatic Business Research Environment<sup>2</sup>. Zanim system ruszył, podpisały umowy z IBM inne linie lotnicze, Delta i Pan American; ocknęły się też banki i biura obrachunkowe w całym kraju, z nadzieją na skomputeryzowanie przyszłości. Nawet w mniejszych przedsiębiorstwach gwałtownie wzrastał popyt na programy przyśpieszające obieg faktur, tworzenie listy płac, inwentaryzację. W roku 1960 w całym kraju było może pięć tysięcy komputerów, większość na uniwersytetach i w laboratoriach badawczych; programiści pracowali z czytnikami i dziurkarkami taśmy perforowanej, nie kładli się całymi nocami, wykorzystując czas komputera. Pojawiło się słowo

„software” oraz słowa „bug” i „debugging”<sup>3</sup>. W IBM wypracowano FORTRAN, głównie do pracy badawczej; COBOL 60 – Common Business Orientated Language I960<sup>4</sup> – otworzył komputerom drogę do programów służących przedsiębiorczości. Świat powszechnie dostępnych pecetów wciąż był odległy o dwa dziesięciolecia, ale jeszcze jeden pieczoszek IBM zatrudniony w ulu przy Madison Avenue, Ed Mervine, zaczął czarować Owena podczas lunchów w firmowej stołówce o ścianach jak skorupki jajka, przy czym każdą zdobił śmiertelnie poważny znak ze sławnym nakazem prezesa Watsona<sup>5</sup>. Pochodzący z Bronksu Ed prowadził rozmowę w sposób cięty, bez ceregieli, z lepszym skutkiem niż mogło się wydawać w pierwszej chwili. Nad tackami zjedzeniem zwierzył się Owenowi:

– Wiesz, O, jest już cała kategoria średnich firm płacących po paręset tysięcy dolarów za hardware, z którym nie umieją sobie poradzić. A kiedy ceny zjadą, liczba tych firm podskoczy, i to jak. Producenci, dystrybutorzy, te nowe koncesje, mniejsze linie lotnicze, banki, pracownie architektoniczne. IBM ani Sperry Rand nie mogą sobie nimi suszyć głowy; zlecają to komuś, jakimś dupkom.

Ed był pierwszym dorosłym, który zainteresował się Owenem aż tak, że obdarzył go przydomkiem, „O”. Przypominał Owenowi Buddy’ego Rourke – te same sztywne włosy, tak najeżone, że czoło pod nimi wydaje się niskie, te same duże zęby, chociaż u Eda w

dzieciństwie naprostowane kłamrą, po której zęby wydają się trochę sztuczne, jakby nie takie, jakich pragnie twarz. Ed był też wyższy od Owena o cal lub dwa, lecz w przeciwieństwie do Buddy'ego młodszy; na tyle, że czuł się o wiele bardziej za pan brat z ideą maszyn wspomagających ludzkie myślenie, z tysiącami maleńkich myśli czy transakcji bitowych na sekundę. Dla Owena to był cud; dla Eda fakt z życia.

– Więc co chcesz powiedzieć? Ze mamy zagrać takich lepszych dupków?

– No proszę, przyswajasz. Masz łeb. Programowanie zlecane i usługi doradcze. IBM ssie z nas krew, aż wreszcie wyszcie. Ta firma jest już, kurwa, ogromniasta. Co mniejsze, to lepsze, zwinniejsze. Hardware zmniejsza rozmiary wykładniczo. Tylko przy niskich kosztach można nadażać i wciąż dostrzegać możliwości. Zorganizuj przedsięwzięcie o niskich kosztach i zobacz, co wyniknie.

– A gdzie te niskie koszty?

– Poza strefą codziennych dojazdów. Poza Stamford. Nawet poza New Haven. Na zadupiu Connecticut.

– Kto to robi, Ed? My? Ty i ja?

Ed nie był żonaty. Spowijała go asekualna aura maniaka komputerowego czystej krwi: zaduch, chińskie dania na wynos w kartonowych pudełkach, batoniki i cola o drugiej nad ranem. Miał lepłą skórę, dwadzieścia funtów nadwagi, węzeł przekrzywionego i brudnego krawata przysparzał zmarszczek zapinanemu na guziczki

kołnierzowi koszuli. Zęby – wyglądające na sztuczne kłapacze – czyścił palcami i językiem, unosząc górną wargę jak szympan.

– A czemu nie? – odrzekł. – Twojej żonie znów coś dochodzi w piekarniku. Sam wczoraj mówiłeś, jak to nie możesz znaleźć mieszkania, które by dogadzało Phyllis, a na które cię stać.

Owen uświadomił sobie, że Ed składa propozycję. Od owego popołudnia, kiedy Buddy Rourke wyszydził rozstawienie planszy do monopolu, stał się kimś bardziej pożądanym.

– Ed – powiedział Owen – nie jestem chłopakiem z miasta, jak ty. Jestem z dziury i nie mam ochoty tam wracać. Brud, robactwo, Jezu. Totalne odmóżdzenie. – Tracił rozpęd. Pomyślał o Elsie, o nocy w lasach jej ojca, o jedwabistym, uległym ciele przepojonym wołą seksu, o pohukujących i szeleszczących wokół szuru-burach. Dziury bywają atrakcyjne. – Zaczęliśmy się zastanawiać z Phyllis – przyznał – nad jakimś przedmieściem. Może Westchester czy New Jersey na północ od Paterson.

– Nie o to wam, Chryste, chodzi. Takie samo dno, tylko bez żółtych taksówek i jazzu w Village, taka sama szarpanina jak w dużym mieście plus dziadowskie podwóreczko za domem i dwa razy dziennie godzina w pociągu. Równie to kosztowne, kiedy wszystko dodasz. Kosztowniejsze, kiedy policzysz straty psychiczne: oni cię tam wessa, wciągną w udawanie, o rany, w bycie miłymi sąsiadami. Wypełnianie szabloników, oszczędź

mi tego. Oszczędź nam. Posłuchaj, nie znam za dobrze Phyllis, ale mam wrażenie, że sra na ten wyścig szczurów. Jest wolnym duchem, tak uważam. Musi nosić głowę wysoko, tego jej trzeba, musi się wydostać z tych zapluskwionych mieszkań, ona i te dzieci. A co do ciebie, to spytaj siebie samego: do końca życia chcesz układać dla Tommy'ego Watsona juniora algorytmy rezerwacji lotniczych, marzysz o tym, prawda?

– IBM nie traktuje nas źle, Ed. W zeszłym roku zarobiłem trzy razy więcej niż mój ojciec w swoim najlepszym roku, a wtedy była wojna, zasuwali po nocach i mieli boki.

– Och, O, rzeczywiście, jesteś z dziury, jak widzę. Myślisz stąd dotąd.

– Zupełnie jakbym słyszał Phyllis. – Owen musiał się roześmiać, skoro Ed naciskał tak mocno, tak żarliwie. – Ale Phyllis lubi duże miasto. Oboje lubimy.

Ed odsłonił w uśmiechu zębiska; wyczuł nowy klimat. Zaczynało być z górki; to był klimat połaskocz-mocniej, postaraj-się.

– Naprawdę? A co w nim tak lubicie?

– Muzea. Koncerty. Restauracje.

– Często chodzicie?

– W zasadzie w ogóle nie. Jest problem z kimś do dzieci. Zresztą jesteśmy wiecznie skonani.

– No właśnie. A tam leżą miliony, O. Gruba forsa, trzeba się tylko schylić po szmalec dla tych, którzy wykażą trochę inicjatywy. Trochę wyobraźni. Pomyśl, co

wciąż nam powtarzają? Nie myśl pod sznurek.

– Ed, proszę. Jeszcze nie mamy milionów. Założenie firmy kosztuje. Jak możemy napisać program, skoro nas nie stać na komputer?

Pytanie uradowało Eda; już się nad nim zastanowił.

– Nie trzeba komputera, wystarczy użyć maszyny klienta albo wynająć czas w firmie usługowej. To, czego naprawdę potrzebujesz do kodowania, to bloczek papieru i ołówki. Tak było z jednym znajomym gościem, facet był tutaj, w IBM, w programowaniu naukowym. Teraz jest w CUC, czyli Computer Usage Company, w śródmieściu. Zaczynali w prywatnym mieszkaniu, pięć lat temu mieli guzik, nul, ani grosza, teraz są na rynku i mają na czysto sto osiemdziesiąt sześć kaflów. Kupili komputer, mają własny. Elektroniczne przetwarzanie danych, tak się nazywa ta gra. Komu do szczęścia potrzeba seksu, skoro może mieć software?

– Ed, naprawdę przesadzasz – podniecony i zdenerwowany perspektywą, która się otwierała, Owen za dużo zjadł; na deser zamówił ciastko z orzechami pekanowymi, na które nie miał ochoty. Miał dwadzieścia siedem lat i to, co zjadł, już się ujawniało w postaci brzuszka. – Powtórzę Phyllis, co mówiłaś. W jednej sprawie masz rację: coś musimy zrobić, bo nowy dzieciak oznacza w sumie trójkę poniżej czterech lat. Ale powiedz, co cię tam ciągnie? Kawaler, miasto jak stworzone dla ciebie. Jesteś z miasta.

– To nie tak. W Bronksie znajdziesz znacznie więcej



przyrody, niż ludzie sądzą. Ogród Botaniczny, park Pelham Bay. Lubię się wybrać na ryby, skoczyć na wycieczkę. Manhattan zżera człowieka. Jest pełen, kurczę, nerwowych, ambitnych bab. Moja matka nie była taka. Przypuszczam, że była jak twoja, zadowolona; zawsze łuskała groch nad żółtą miską z niebieskim szlaczkiem.

Sięgając w przeszłość, Owen postrzegał jednak matkę inaczej; większość kuchennych zajęć spadała na babcię, póki podnosiła się z łóżka. W przeciwieństwie do Eda Owen miał żonę, a wybrał kobietę całkowicie różniącą się od matki, z jednym wyjątkiem: obie spowijał lekki zapaszek niezadowolenia. Ów zapaszek dogadzał Owenowi, potwierdzał bowiem jego pierwszą myśl o życiu, że ma szczęście, urodziwszy się chłopcem. MIT i IBM ani trochę nie przyczyniły się do zmiany tego spostrzeżenia.

Kiedy opowiedział o tej rozmowie Phyllis, okazało się, że nie jest niezainteresowana. Była w siódmym miesiącu ciąży, po mieszkaniu wciąż się krzątała między dwoma pokojami, pozwalając też sobie na wypadki do maleńkiej kuchenki i łazienki, godnie odchylona, wysoko nosząc głowę na tej pięknej długiej szyi, co zauważył Ed. Kiedy właściwie zauważył? Raz, może dwa, zaprosili go na obiad, w rewanżu pojawił się z trzema biletami na *Camelota* z Julie Andrews.

– Ed ma rację – powiedziała. – Powinieneś dać szansę swojej inwencji twórczej.

– Jakiej inwencji twórczej?

Wobec Phyllis czuł się zawsze kimś niższym w sprawach matematycznych, przyziemnym, myślącym raczej mętnie, chociaż wcale przyzwoicie zaliczył MIT i otrzymywał przyzwoite podwyżki z IBM, nawet kiedy wzrosły koszty kolosalnego projektu New Product Line, stanowiącego czyste ryzyko. W jakimś zakątku serca czuł żal, ale i ulgę, że Phyllis swą pracę doktorską zdegradowała do dziadowskiego poziomu starych programów Symphony oraz kart raportów Brown & Nichols; nikt sobie nie życzy bystrzejszej od siebie żony.

– Masz coś z artysty – powiedziała z rumieńcem na twarzy, wywołanym przez rzadką okoliczność, jaką było ocenianie męża. – Przepadasz za błąkaniem się po schodach Met i Modem.

W cielesnym zamięcie ciąży twarz Phyllis powleczone cienką skórą i delikatnie okrywającymi kości mięśniami czerwieniała bardziej niż poprzednio. Chociaż to jej chroniczne chodzenie z brzuchem utrzymywało rolę Owena jako żywiciela, lubił wygląd jej wydętego ciała; brzuch, który nacierała oliwą, żeby zmiękczyć rozstępy, sposób, w jaki jej zwykłą aurę roztargnienia wchłaniały hormonalnie sterowane zadumy, jej poszerzenie, obejmujące twarz, piersi i pośladki. Kiedy ciało Owena zbytnio już ciążyło Phyllis, kładła się na boku i w taki sposób pozwalała mu się rznąć. Przybliżali się, oboje, do tego trzeciego; zresztą przybliżali się też Gregory i Iris, ostrożnie poklepując rączkami o kwadratowych dłoniach

błyszczącą wypukłość, w którą zamienił się brzuch matki z wywróconym pępkiem i brązową linią pośrodku. To była rzeczywistość – biologia w akcji, tętniący, pluszczący proces, którego można posłuchać. Nieznany zwierz wewnątrz Phyllis kopał dłoń Owena. Był odległy zaledwie o kilka warstw Phyllis. Przez głowę Owena przemykało wrażenie, wówczas niejasne, potem bardziej wyraziste: jaka szkoda, że młodym parom – zatroskanym, zajęтым sobą – zdarza się przeoczyć ów cud, jakim są one same. Kiedy zajmowali się wydawaniem na świat potomstwa, jeszcze nie nastąpiły czasy wspólnych kursów rodzenia i wymyślnej prenatalnej opieki nad płodem; Phyllis paliła wieczornego papierosa, trzymając go w ręce wspartej na wypukłości brzucha, a kieliszek wina utrzymywała w równowadze, wygodnie opierając go w tym samym miejscu. Owen był dumny, że jego żonie tak łatwo i naturalnie przychodzi wydawanie na świat dzieci; a póki trwały ciąży, myśl o niewierności wydawała się czymś potwornym. W Owenie coś pierwotnego czciło Phyllis za tę jej płodność, chociaż dla obojga oznaczało to zawisłość od następnego pokolenia.

– Ed twierdzi – powiedziała Phyllis – że masz nadzwyczajny talent do wizualizacji, do stosunków przestrzennych. Wyobrażasz sobie programy jak rysunki.

– Chyba każdy tak to widzi?

Zamyśliła się, wsysając policzki i ściągając suche wargi.

– Z wieloma ludźmi chyba jest tak, że matematyka

wyprowadza ich poza to, co mogą uzmysłwić sobie jako obraz. Ty, Owenie, jesteś bardzo przywiązany do zmysłów.

Słuchał tego z przykrością, bo wraz z posiadaniem dzieci odżyło w nim dziecięce przeczucie śmierci, w którym to wydarzeniu niewątpliwie jest jedno: nieprawdopodobieństwo zabrania ze sobą zmysłów. MIT pokazał Owenowi wszechświat wymieciony do czysta nie tylko z niebiańskiego umeblowania, ale i wymieciony do czysta z niewygasającej energii, z wszelkiego niewygasania we wszelkiej mierzalnej postaci. Każdą postać porządku, nawet proton, czeka koniec; w życiu codziennym Owen wolał nie pamiętać o tym tragicznym przygwożdżeniu termodynamiką. Niemniej słowa Phyllis były ziarnem, które już w Middle Falls – kiedy z Edem chuchali na raczkujący, uruchamiany właśnie programu przetwarzania danych – wydało w końcu owoc w postaci DigitEyes, pomysłu wówczas będącego przez chwilę przełomem.

– W takim razie, co, jesteś skłonna zostawić miasto?  
– spytał, a w dole na Manhattanie, na 63 Wschodniej buczały i ryczały samochody. – Pozwolisz spróbować Edowi i mnie? Jeśli się wyłożymy, przełkniemy straty i wrócimy do pracy za pensję.

– Dlaczego macie się wyłożyć? – Pytanie Phyllis było jedną z tych jej przypadkowych, retorycznych odzywek, które stały się wyznacznikami życia Owena. – Moim zdaniem to się fajnie zapowiada. Ed to prościuch –

dodała – ale solidny. I wie, co w trawie piszczy.

Czyli że Owen nie wie?

– Wspaniała jesteś – powiedział żonie. – Co powiesz na Connecticut? Jest tam miasteczko, Ed je zna, dosłownie w szczerym polu, godzinę jazdy od Hartford, z tanią powierzchnią fabryczną i dobrymi szkołami publicznymi. Stamtąd pochodzi ciotka Eda; pracowała w miejscowej fabryce żarówek, kiedy jeszcze robiono tam żarówki. Małomiasteczkowa niewinność, słonko. Kościółek kongregacjonistów z białą wieżyczką. Kule armatnie i posąg na miasteczkowym skwerze. Dla Grega i Iris bractwo do zabawy.

– No dobrze, a ile wam trzeba powierzchni fabrycznej?

– Jeszcze nie wiemy, ale musimy mieć adres; trzeba coś wydrukować na firmówce. Ed nawet ma dla nas nazwę, od inicjałów. E-0 Data Management.

– Nieźle – powiedziała Phyllis, z akcentem entuzjazmu szczerego lub udawanego. – Robi wrażenie.

System DigitEyes, trzeba tu wyjaśnić, polegał na rysowaniu świetlnym piórem na ekranie monitora. Owen był kiedyś zafascynowany tym, że lampy katodowe Whirlwinda potrafiły wyświetlać literę T na oznaczenie słowa „target”, a F na oznaczenie słowa „fighter”<sup>6</sup> oraz podążać ich torami; tę nowość skonstruowano po to, żeby do projektu SAGE wprowadzić obserwacje radarowe. Owen przeczuwał, że lampa katodowa, plamkowa podstawa telewizji, to naturalny, działający w czasie

rzeczywistym interfejs dla użytkownika komputera, pomijający przełączniki, taśmy perforowane i linie komend w języku kodowania. W początkach lat sześćdziesiątych układy tranzystorowe uzyskały znaczny stopień złożoności; służyły grom komputerowym komponowanym przez studentów i tworzeniu grafiki wektorowej, pozwalającej na powiększenie i opracowanie, następnie na zapis i przechowanie. Obrazy zestawiane wyłącznie z linii prostych można było powiększyć i opracować szczegóły, następnie przywrócić do podstawowej skali, cudownie ulepszone. Jeszcze nie można ich było obracać w wirtualnej trójwymiarowości, lecz Owen potrafił sobie wyobrazić nadejście tego, w miarę kolejnych podwojeń mocy komputerów. Pierwszymi nabywcami programu były firmy projektanckie i pracownie architektoniczne, lecz wielkie komputery wciąż były poza zasięgiem możliwości finansowych większości przedsiębiorstw, a wspaniała przyszłość interakcji graficznych, której przeblyski Owen dostrzegał, musiała czekać na potężniejsze procesory. Kiedy pokazał żonie pierwszy, prymitywny jeszcze program pióra świetlnego, Phyllis, rzuciwszy nań okiem, powiedziała:

– Pewnego dnia każdy piksel będzie miał własny adres i posłuży za punkt komunikacyjny.

Nawet Owenowi trudno było wyobrazić sobie taką otchłań obliczeń, taki przestwór informacji elektronicznej; jakby każdy atom we wszechświecie okazał się jednostką,

z własną prywatną historią.

## 8. SEKS W MIASTECZKU IV

Middle Falls dzieli od Hartford kawał drogi, taki sam dzieli miasteczko od Norwich; jedzie się bez końca, przekracza granicę z Rhode Island, raz po raz w światłach samochodu widać kolejną Main Street, licowane deskami domy, z których obłazi farba i zwisają jaskrawe strzępy wyborczych sztrajf; stara droga stanowa to wznosi się, to zagłębia w zafalowaniach pagórkowatej, niegdyś farmerskiej krainy. Wierzchołki wzgórz są przez pół roku błękitne, w bezlistnych drzewach na tle śniegu widać przymieszkę purpury; potem nastaje zieleń. Miasteczko wzięło nazwę od drugiego z trzech huczących i wzburzonych wodospadów na bystrej, mknącej w skalnym korycie rzece Chunkaunkabaug; w osiemnastym wieku poruszała ona kamienie młyńskie mielące pszenicę, w dziewiętnastym napędzała generator fabryki zbrojeniowej zaopatrującej oddziały Unii i nabierający sił Zachód w strzelby i rewolwery; chaotyczna ceglana budowla przeistoczyła się potem w fabrykę żarówek, następnie opustoszała, a kiedy Eisenhower przekazał urząd Kennedy'emu, zagnieździła się w jej murach chmara małych firm; odgrrodzone ściankami działowymi z płyt gipsowych pomalowanych wałkiem, wynajmowały części wielkiej połaci pokrytej dębem, podłogowymi deskami pełnymi drzazg, porytymi, podziurawionymi przez bolce, poczerniałymi od gumy z zelówek roboczych



butów, których użytkownicy już dawno temu spoczęli w ziemi. Ed z Owenem zajęli na początek parę takich boksów, potem pierwsze piętro, w końcu całą budowlę. W ślad za wytwórcami i detalistami, za bankami i inwestorami, towarzystwa ubezpieczeniowe z Hartford także chciały mieć programy komputerowe dostosowane do własnych potrzeb, a firmie E-0 wiodło się coraz lepiej. Ed i Owen przystali do miejscowej klasy średniej.

Ludzie, których poznali tu Mackenzie, na ogół byli przyjezdnymi. Jedni – uciekinierzy z Nowego Jorku, na wpół przegrani artyści – lizali rany i pracowali w domu; inni dojeżdżali do Hartford do pracy w instytucjach publicznych lub w branży ubezpieczeniowej; było trochę ludzi wolnych zawodów, prawników i przedsiębiorców budowlanych, pediatrów, którym mimo skromnych w tych stronach dochodów dogadzała w zamian krzepiąca aura wolności, właściwość tego starego miasteczka będąca wynikiem długiego lekceważenia, bycia miasteczkiem omijanym i jak dotąd mało zepsutym, bycia żadnym szczególnym miejscem, zatem tryumfalnie amerykańskim. Ci wszyscy przybysze żywili przekonanie, że ich miasteczko niezwykle się wyróżnia, jest ponadprzeciętne, zgrabne i szykowne; na jego tle takie Lower Falls właściwie było widmem: stacja benzynowa, targ i mała ceglana poczta wśród chaotycznie rozrzuconych, sypiących się stodół, szop, straganów warzywnych i rdzewiejącej maszynarii, pamiątek po dawnej żywotności prowincji; z kolei ponure

osiedle Upper Falls grało rolę sypialni na dalekich obrzeżach Hartford, z płaskimi połaciami domów-rancz z lat pięćdziesiątych i tandetą pawilonowych „domów na początek”. Rezydencje federalistów w Middle Falls wyczekujące na warstwę świeżej farby, bezpieczniejszą instalację elektryczną i nowe ogrzewanie stały przy trójkątnym trawiastym polu, niegdyś gminnym pastwisku, wciąż zresztą nazywanym Błonie. Dalej za nimi można było, za rozsądną cenę w dolnej strefie liczb pięciocyfrowych, kupić urokliwie spartańskie domy farmerskie ze schyłku dziewiętnastego wieku wraz z kawałem ziemi pozwalającym trzymać konie lub urządzić kort tenisowy. Przetrwało tu trochę domostw sprzed roku 1725, z wielkim centralnym kominem, małymi okienkami, z dwuspadowym dachem, piętrowym frontem i parterowym tyłem; w większości przerobiono je na sklepy ze starociami bądź restauracyjki o niskim stropie, pełne migocących świec. Był też maleńki country club z polem golfowym na dziewięć dołków, cztery ziemne korty tenisowe i jezioro zwane Czaplim Stawem, z nawiezionym piaskiem, płycizną dla szkrabów odgrodzoną liną i wysokim białym krzesłem ratownika, zastrzeżonym dla opalonej na mahoń, fokowatej nastoletniej córki dyrektora miejscowego liceum. Klucz do apteczki nosiła na kostce nogi, na czerwonej elastycznej opasce, a długie włosy, proste i matowe, o czerni etnicznych Amerykanów, spinała z tyłu inną, równie praktyczną gumką. Miała nie tylko foczą figurę

podszytą tłuszczem, lecz także foczy styl pławienia się w słońcu, z półprzymkniętymi oczami, ponad matkami, dziećmi i wyrostkami; wodne burdy i harce nad rozkołysaną liną zmuszały ją od czasu do czasu do podniesienia się, spomiędzy przebarwionych maścią cynkową warg niósł się przeraźliwy sygnał gwizdka.

Tu, na łagodnie omywanym półksiężycu plaży nawiezionej ciężarówkami doskonalily opaleniznę tryskające życiem młode matki w bikini, pod jesień zaś, kiedy woda stygła, wciąż jednak wabiąc dzieciarnię, plotkowały przy ogrodowych stolikach, paliły papierosy i skubały kąski z drugich śniadań, które zapakowały dzieciom.

– Przysięgałam, że już nie tknę tej słodkiej pianki, proszę bardzo, jestem uzależniona, bezradna! A masło orzechowe i galaretka? Nie chcę słuchać, co powiecie, po prostu tyję od tego! A przecież kiedy się robi dzieciom kanapki, łatwiej zrobić jeszcze tę jedną dla mamusi!

Tak przemawiała, powiedzmy, Alissa Morrissey do, na przykład, Faye Dunham i Imogene Bisbee. Nowicjuszeki w macierzyństwie, także nowe wobec siebie nawzajem, szybko weszły w zażyłość pozwalającą dzielić się tym, co ślina przyniesie na język. Owen uznał, że cechuje je ten sam zbiorowy urok co Ginger Biting i paczkę jej brązowonogich satelitek z czasów blaknącego już Owenowego dzieciństwa. Teraz był jednak lepiej osadzony wśród tych kobiet, tak jakby wówczas przeniósł się z Mifflin Avenue na Drugą Ulicę. To właśnie grono

uzupełniła żona Owena, miłośniczka opalania i matka trójki małych dzieci; najmłodszy Floyd wziął imię po dziadku ze strony ojca.

– Są jak żony wojskowych, ale nie takie toporne, nie takie banalne – opowiadała potem Phyllis. – Miłe, chociaż trochę powierzchowne. Chyba mają w głowie tylko jedno: innych ludzi, swoje dzieci i mężów. I siebie nawzajem. Niech tylko któraś z nas się nie pokaże, zaraz ją wezmą na języki. W najmiły pod słońcem sposób.

W Middle Falls wszystkie postaci były zgłębiane, hołubione, upiększane. Rej wodziły kobiety; żony przybierały mężów we własne fascynacje. Mężowie i żony byli tworamami dwupostaciowymi i półprzezroczystymi; każde było po części zasłonięte przez to drugie i postrzegane niedoskonale. Ta osobliwość była częścią magnetyzmu ich i całej komedii złożonej z przyjęć, zebrań, gier, pikników, przypadkowych lunchów, biesiad, amatorskich przedstawień, prób kościelnego towarzystwa śpiewaczego, podglądania ptaków, splotów kanadyjkami, wycieczek na narty i sennych, łagodnie zakrapianych popołudniowych spotkań niedzielnych, co razem stanowiło zadośćuczynienie za odcięcie miasteczka od rozrywek metropolii. Dla większości imprez pretekst stanowiły dzieci, dla nart, łyżew, kwietniowego puszczenia latawców, sierpniowych pikników; w większej jednak mierze chodziło, odwrotnie, o wymknięcie się dzieciom, nawet kiedy były z nimi, kiedy pętały się pod nogami, popychały i sprzeczały bądź

siedziały zmordowane, w skwarze, na skraju trawnika, a tymczasem rodzice skakali do wody i nurkowali bądź na przykład grali w siatkówkę. Z mężczyzn grały żony; ich podatne na siniaki ciała narażone były na zderzenia, nadzianie się na łokieć, mimo to kobiety nie rezygnowały, grały – bose, lekko ubrane – by zająć należne miejsce, jak w miasteczkowym tanecznym korowodzie. Te rytuały, dotychczas Owenowi nie znane, oczarowały go.

W Middle Falls dowiedział się, że jest, co tu gadać, okropnym ignorantem i człowiekiem niepełnym. Udział Owena w życiu zbiorowości niewiele wykroczył poza plac zabaw w Willow. W MIT i IBM istniały raczej braterstwa broni; każdy, jak żołnierz, pochłonięty był walką o przetrwanie, zbrojny w kartkę papieru, monitor, tablicę logarytmiczną czy suwak. Nowy Jork ograniczył Owena jeszcze bardziej, wtłoczył w ramiona kobiety, która – nie bez nacisku zbiorowości – kochała go, lecz nie postrzegała, jak postrzegała matka, widząca w nim w jakimś zapamiętaniu bezcenny skarb: siebie samą przeniesioną w męskość i obdarzoną szerszymi możliwościami. Nawet babcia z przyciemnionymi oczami, w przekrzywionych okularach w srebrnej oprawce dostrzegała go i kochała bez konkretnego powodu. Kiedyś, w krótkich spodenkach, wracał przez podwórko za domem; zaczęły mu się burzyć kiszki i poczuł, że nie odeprze żądań natury; pobiegł z płaczem do domu, a babcia tylko cmoknęła i nic nie mówiąc, starła mu z nóg żółte pozostałości biegunki. Nieraz w snach

Owena jego ekskrementy wypełniały muszlę, wylewały się na podłogę, oblepiały mu ciało, zapełniały smrodem pokój, w którym inni siedzieli tuż obok, na proszonej kolacji. Na pierwszym roku MIT, mimo dobrych stopni i zaliczonych testów, tak dalece nie miał pojęcia o podstawowych sprawach, że całymi tygodniami nie zmieniał poszewki na poduszce i idiotycznie zastanawiał się, dlaczego materiał coraz bardziej szarzeje. Babcia i matka prały; nigdy się nie zastanawiał, w jaki sposób skarpetki trafiają do komódki czyste i zwinięte, skoro po ściągnięciu z nóg rzuca je na podłogę. Nigdy nie przyszło mu na myśl, żeby nauczyć się gotowania. Pozostawiał je Phyllis z dwójką pędraków uwieszonych u kolan i trzymającej na biodrze maleńkiego Floyda. W rodzinie Owena nigdy nie było pieniędzy na alkohol; Owen nie rozumiał powabów picia ani nie miał pojęcia o alkoholowych miarach czy zwyczajach. Podczas tych rzadkich okazji, kiedy w Nowym Jorku czy – z większym zadęciem – w osiedlu wojskowym w Niemczech gościli jakieś małżeństwo, które prędzej czy później miało im zniknąć z oczu, przyrządzanie drinków pozostawiał Phyllis.

Teraz mieli tu wciąż rozrywki i rozgrywki, przez cały weekend. Owen znał tylko gry, których się nauczył na placu zabaw w Willow: minihokeja i chińskie warcaby, ponadto dwadzieścia jeden i konia, polegające na eliminacji, które mogą rozerwać paru próżniaków pod koszem. W pierwszych latach spędzonych w Middle Falls

Owen, przekroczywszy trzydziestkę, nauczył się podstaw tenisa i golfa, ping-ponga i nart – do biegu i do zjazdu. Nauczył się pływać, zanurzanie głowy już nie wprawiało go w panikę, wznosił się z nartami na wyciągu w Berkshires spokojny nawet wówczas, kiedy krzeselka kołysały się nad granitowymi zalodzonymi urwiskami. Z hokeja i jeździectwa chętnie zrezygnował, chociaż okazywało się, że nowo poznani mężczyźni wynieśli z dzieciństwa biegłość w tym pierwszym, a kobiety w tym drugim. Nauczył się grać w brydża i trochę tańczyć, chociaż nigdy się nie czuł swobodnie z kobietą w ramionach, kiedy musiał radzić sobie z utrafianiem stopami między jej stopy. Od tańców kontaktowych uwolniła go jednak moda na twista, a potem fruga; te dogadzały luźnym stawom Owena i nawykom odludka.

Middle Falls było dla Owena instytutem, w którym przyswoił sobie know-how klasy średniej. Chunky, czyli Jock Dunham o czerwonej twarzy, który miał ładną, gibką, śmiejącą się donośnie żonę, nauczył Owena przyrządzać martini, brandy stingerà, szprycera na białym winie i old-fashioned (cukier rozpuść w odrobinie wody, zanim dodasz burbona i lód)<sup>1</sup>. Zamyślony, pykający fajkę Henry Slade, który przerzucał papiery w Wydziale Podatkowym stanu Connecticut, nieoceniony a metodyczny jako złota rączka, opowiedział Owenowi, jak trzyma na dworze przez rok świeżo porąbane drewno w sągu, a potem jeszcze przez dwanaście miesięcy w specjalnej suszarni w piwnicy, żeby sobie zapewnić

czysty płomień w kominku. Jego żona, Vanessa, nieładna i aktywna w sprawach publicznych, miała szerokie ramiona, gęste brwi i zaskakująco bezpośrednie, taksujące spojrzenie; objaśniała młodemu małżeństwu, jak głosować w lokalnych wyborach, kiedy wystawiać śmieci i jak je sortować, Ian Morrissey, żyjący ze zleceń ilustrator, właściciel leciwego thunderbirda kabrioletu i nowego zielonego jaguara, dzielił się wiedzą samochodową; Mackenzie, którzy nigdy nie mieli auta, sprawili sobie studebakera larka kombi, który kiepsko się prowadził na śniegu i nie zawsze zapalał na deszczu. Po początkowych dwóch latach wynajmowania licowanego deskami bliźniaka tuż przy podupadłej i ruchliwej Common Lane uznali, że mogą sobie pozwolić na kupno domu, nieco na uboczu, w okolicy bukolicznej Partridgeberry Road, z dużym podwórkiem dla podrastających dzieci oraz zagajnikiem po drugiej stronie stawu zarośniętego liliami wodnymi, ozdobionego drewnianym mostkiem w stanie rozkładu. Roscoe Bisbee, niegdyś chłopak ze wsi w Vermoncie, podjął się kierować Owenem podczas odbudowy mostku, wytłumaczył, jak należy zasilić wapnem trawnik, jak wytruć mlecze, gdzie kupić najlepszą kosiarkę samojezdną. Jeden za drugim pojawiały się nabytki: kosiarka, rozsiewacz nawozu, koparka do słupów ogrodzenia, szpadle i grabie. Zagajnik i drzewa na podwórku oznaczały nabycie piły łańcuchowej, piły do cięcia gałęzi i szwedzkiej piły taśmowej. Naprawy domowe wymagały nie tylko



młotków i śrubokrętów, lecz także przytwierdzonej do blatu piły tarczowej do precyzyjnych cięć kątowych, niebieskiego klamrownika i elektrycznej wiertarki ze skrzyneczką pełną różnych końcówek, z których najmniejsze miały przekrój nitki, największe ołówka, o średnicy nasad od trzech szesnastych do trzech czwartych cala. Wkrótce piwnica Owena doczekała się tak znakomitego wyposażenia jak te kryjówki w Willow, niegdyś przygotowujące go o zazdrość, z boazerią, podłogami wyłożonymi linoleum i stojącymi na kozłach na płacie sklejk bożonarodzeniowymi krajobrazami.

Miasto wydało się Owenowi jakąś doksztalającą zabawką – z ratuszem jak z piernika, wysokim masztem flagowym, śródmiejskimi sklepami o zafałszowanych piętrowych fasadach, z uroczym zakretem River Street, na którym ulica odrywa się od rzeki i wspina na wzgórze w stronę kościołów, cmentarzy i blaknących ceglanych rezydencji dawnych bogaczy, jankeskich fabrykantów. Śródmieście cechowała przedmarketowa roztropność w rozmieszczeniu sklepów i usług: były dwa sklepy ze sprzętem i narzędziami, plac z tarcicą, dwa banki, trzy zakłady fryzjerskie, jubiler, sklep Woolwortha, staroświecki sklep Acme o wąskich przejściach między półkami, sklep z podstawową odzieżą, także dla dzieci, sklepik z gazetami, gdzie sprzedawano też tytoń, cukierki, kolorowe czasopisma i książki w broszurowej oprawie, był nawet sklep meblowy powyżej opuszczonej stacji kolejowej, tuż obok lokalu, w którym sprzedawano

rowery i sprzęt sportowy; w sumie niewiele powodów skłaniało do wyjazdów z miasteczka, Owen zaś wyjeżdżał coraz rzadziej. Bywało, że z jasnych, tętniących życiem pomieszczeń E-0 Data w starej fabryce wylaniał się z oczami piekącymi od dymu i mdłościami od nikotyny; w takich chwilach wszystko – ceglany narożnik, ukośny cień znaku drogowego – wydawało się problemem, który można zredukować do kodu programowego. Kiedy miał już szczęśliwie za sobą sukces DigitEyes, kroczył po lśniących kwadratowych płytach chodnika i czuł się młodzieńczy, pełen mocy i pewności, że w ślad za skromnym osiągnięciem nadejdą inne, zapewnią jeszcze większy tryumf. Skręcał za rogiem, szedł River Street i jadł lunch w jednej z trzech dostępnych knajpek, pozdrawiając po drodze – w letnim słońcu czy zimowej brei – coraz więcej znajomych twarzy. Na chodnikach Middle Falls napawał się krzepiącym poczuciem, że jest znany, że czuwają nad nim czujne oczy, jak w Willow w czasach dzieciństwa, kiedy postukując po chodniku, jeździł na wrotkach lub hulajnodze, ciągnął wózek pełen kasztanów bądź pedałowal na zardzewiałym schwinnie do kamieniołomu: nie tyle czuł się jakąś znakomitością, ile kimś, w tej mierze, w jakiej dostatecznie małe miasteczka czynią kimś każdego. Kiedy spostrzegł na chodniku kobietę z ich niewielkiej paczki, znajomą swoją i Phyllis, prowadzącą dziecko do fryzjera, sklepu odzieżowego czy salki z zabawkami i świecidełkami zwanej Knacks, miał wrażenie, że jej powitalny uśmiech to kwiat przypinany

mu do piersi. Napór szczęścia z głębi jestestwa sumował się ze wzrostem i płynnością ruchów; Owen czuł się widziany, nawet nie wiedząc, kto patrzy, na ile uważnie. Dojrzał; co nie w pełni sobie uświadomił, ale wyczuli to inni. Nastął czas na nowy etap edukacji.

W maju Dunhamowie lubili wydawać duże przyjęcie, na odchodne zimy. Pogoda wciąż była niepewna, lecz dom Dunhamów za wysoką palisadą – rozległy i pełen zakamarków, ze schyłku dziewiętnastego wieku – dzięki długiej werandzie mógł w razie czego pomieścić nawet setkę gości; przyjęcia były żywiołem Dunhamów. Jock lubił się napić, Faye zaś wystroić w rzeczy własnego pomysłu. Śmiech Faye brzmiał wysoko i przenikliwie, kręcone włosy miały kolor miedzi, zdawało się, że szczupłe dłonie z czerwonymi paznokciami nie mogą ani na chwilę zastygnąć w bezruchu. Faye rozświetlała wnętrze.

Ta majowa sobota okazała się ciepła i słoneczna; na trawniku widniały już kępy jaskrawej, dziewiczej zieleni, w górze dęby nie rozwinęły jeszcze w pełni liści, ale kwitnące azalie zdążyły już uronić trochę różowych płatków. Pod koniec ubiegłego roku zastrzelono prezydenta Kennedy'ego, a Phyllis wydała na świat czwarte dziecko, bystrooką, słodką Ève; oba wydarzenia wtrąciły Owena w stan nieco chybotliwy, przypomniały mu o własnej śmiertelności. Ève przyszła na świat o tydzień wcześniej, niż zapowiadano; kiedy zaczęły się

skurcze, Owen był w Kalifornii, w półprzewodnikowej odnodze koncernu Fairchilda – żeby nie tracić kontaktu z najnowszymi obwodami scalonymi i ocenić, jak mogą wpłynąć na sztukę programowania – więc Phyllis do szpitala w Hartford musiał zawieźć Ed. Pielęgniarki wzięły go przez pomyłkę za ojca.

Kiedy cienie pod dębami pogłębiły się, a wszyscy już mieli w czubie, Faye Dunham podeszła do Owena i powiedziała:

- Ostatnio jesteś jakiś markotny.
- Markotny? Co ty mówisz?

Faye w espadylach na sznurkowej podeszwie, jakby chcąc zachować równowagę na miękkim trawniku, oparła czubki palców prawej ręki na przedramieniu Owena, na rękawie w szkocką kratę. Owen sprawił sobie tej wiosny madrasową marynarkę; prawdę mówiąc, po raz pierwszy włożył tę nowość na przyjęcie u Dunhamów. Wciąż się uczył ubierać.

– Zwykle jesteś taki żywiołowy – powiedziała. – Rozentuzjasmowany. Zadowolony z pobytu tutaj. – Miała na sobie mieniący się brązowy top bez rękawów i długą spódnicę, którą uszyła sama z płata filcu na stół bilardowy. Kędzierzawe gęste, luźno zebrane włosy o miedzianym połysku, bardziej jaskrawe w złocistym skośnym świetle popołudniowego słońca, utrzymywał w porządku wysoki hiszpański szylkretowy grzebień, inkrustowany arabeską ze srebra. Faye promieniała, cała ona; tej kobiety nigdzie nie dało się przeoczyć, zwłaszcza

kiedy nagle rozlegał się jej dziewczęcy przenikliwy śmiech. Owen zwrócił na nią uwagę już w pierwszych tygodniach w Middle Falls, przy czym miał wrażenie, że Faye i Jock poruszali się po nieco innej orbicie, na wyższych poziomach konsumpcji, podróży i dogadzania sobie.

– Czy w Middle Falls, czy tu, *chez* Dunhamów?

– Może tu i tu?

– Czy ten grzebień – Owen chciał odwrócić niepokojące, skupione na nim spojrzenie błyszczących oczu – wypatrzyliście z Jockiem gdzieś w Hiszpanii?

Wybuchnęła śmiechem, który szybko zgasł, może pod wpływem niechętnej refleksji; spojrzała w bok, ukazując ostry nos z profilu.

– Jock nie znosi Hiszpanii, mówi że to sami Cyganie i faszyci. Naprawdę lubi tylko Anglię, gdzie mówią jego językiem, chociaż twierdzi, że godziny otwarcia pubów to idiotyzm. – Mówiąc to, Faye patrzyła na Owena szeroko otwartymi oczami; może wyjaśniała w ten sposób, że wcale nie chce rozmawiać o Jocku. Twarz Faye, wąska i szczupła, wydawała się nieco za drobna jak na to, co się na nią składało, na duże orzechowe oczy, na ruchliwe usta, na wygięte w łuk brwi, pociągnięte ołówkiem w ciemniejszym odcieniu niż włosy. Ale biodra Faye w tym bilardowym filcu były szerokie, a ramiona nagie, białe, poznaczone maleńkimi piegami jak nakłuciami szpilką; była kimś całkiem rzeczywistym, żadnym Owenowym snem.

Odważył się na wyznanie, żeby ją zatrzymać:

– Może i zmarkotniałem. Nie byłem przy urodzeniu córki, a prawdę mówiąc, to już musi być ostatnie dziecko.

Faye pokiwała głową i sucho zauważyła:

– Nie wygląda na to, żebyście ty i Phyllis mieli problemy z płodnością.

Czyżby takie problemy dotyczyły Faye i Jocka? Mieli dwoje bladych dzieciaków, z wyglądu wątych i nieśmiałych, zwłaszcza w porównaniu z żywotnymi, nie oszczędzającymi się rodzicami.

– To nie tak, że rżniemy się przez cały czas – odrzekł Owen. – Właściwie nie wiem, jak to się dzieje. – Pewnie za daleko zabrnął w wyznaniach. Miał wrażenie, że się wychyla nad niewielką przepaścią: u stóp świeża trawa, świetlistość po trzecim dżinie z tonikiem. Lecz Faye, o oczach tak dużych jak oczy małej Ève, przyjęła to z powagą i rozchyliła wargi, zaintrygowana. Owen zaś ciągnął: – Wtedy, tam w Kalifornii, zobaczyłem, jak te nowe firmy zjadają się nawzajem, podmieniają sobie ludzi. To się nazywa Dolina Krzemowa. Jechałem z myślą, że akurat tam się powinniśmy ulokować z Edem; zastanawiałem się, czy może hardware to jest to, nie software, do czasu, aż we wszystko wkroczą Japończycy.

– Fascynujące – powiedziała Faye tonem zaczerpniętym chyba z innej rozmowy; u boku Owena pojawiła się Phyllis.

– Dziecino – odezwała się żona – wiem, że spędzasz tu niezapomniane chwile na rozmowie z naszą czarującą

gospodynią, ale obiecaliśmy opiekunce, że będziemy o szóstej. Stęskniłam się za Ève. A ona za mną. – Piersi Phyllis wprawiały Owena w zakłopotanie, były takie duże, wezbrane pokarmem, aż opinała się na nich góra luźnej bawełnianej beżowej sukienki, prosto skrojonej, okrywającej ciało wciąż trochę rozdęte po porodzie. Niemniej aura księżniczki wciąż towarzyszyła Phyllis, która nie bez wyższości odezwała się teraz do Faye: – Co za cudowny dzień, Faye, co za wspaniały pomysł z tym majem. „Sumer is icumen in”<sup>2</sup>.

– Nie możecie jeszcze poczekać? Zostanie trochę ludzi, kiedy większość wyjdzie. Jest jakaś szynka. Proszę.

– Och, Faye, kochanie, po prostu nie możemy, ze stu powodów. Za dużo spraw mamy w domu. Opiekunka na pewno nie da dzieciom nic porządnego dojedzenia. Ale jesteś taka urocza. – Do Owena odezwała się tonem niższym i mocniej: – Pożegnaj tylko od nas Jocka, jest na werandzie. Spotkamy się przy wozie.

Kiedy odeszła, Faye odezwała się do Owena oskarżycielskim tonem:

– Narzekasz, ale nie widzisz sam siebie, kiedy ona jest w ciąży albo cała wezbrana mlekiem; napawasz się, aż cię rozpiera. Sam urok.

– Przykro mi, że nie możemy zostać.

– Nie ma rady, dziecino. Słyszałeś, co mówi żona. Cycki ją bolą.

Owen ominął Faye i ruszył do wyjścia, Faye zaś obróciła się i poszła z nim przez trawnik w stronę

podjazdu przez skrzącą się, świeżo skoszoną wiosenną zielenią. Po drodze przecinali szerokie pasma późnopołudniowego słońca, padającego pomiędzy drzew, przecinali długie cienie ludzi, rozprawiających na stojąco, rozgrzanych i hałaśliwych, na luzie, jaki po dwóch godzinach może zapewnić dobrze rozkręcone przyjęcie. Nieoczekiwanie ramię Faye objęło w pasie Owena, jego zaś ramię objęło ją; poszło to dużo płynniej, niżby wynikało z wewnętrznego Owenowego rozchybotania. Szli aż na skraj trawnika, do brukowanego podjazdu; ich biodra ocierały się o siebie, opuszczone twarze zdawały się mieć na baczności wobec zdradliwych poczynań tego, co niżej. Pod ręką Owena talia Faye wydawała się mocna i giętka. Faye była też dobrana wzrostem; Phyllis zaś trochę za wysoka. Pobudzony wewnętrznym dreszczem Owen nagle zobaczył siebie i Faye schodzących po trawniku jako parę z hollywoodzkiego musicalu, gotową zmienić krok stosownie do narastającego tła muzycznego, parę otwierającą już usta do duetu bądź właśnie wzbijającą się dzięki sztuczkom filmowym w powietrze, prosto w słońce, które rzuca pod ich stopy smugi, jak śliskie złote stopnie.

Musiało minąć lato, zanim się przespali. Za dużo było zamętu; wyjazdy dzieci na wakacje, plany urlopowe małżonków, wciąż żyjący rodzice, których trzeba było udobruchać odwiedzinami. Babcia umarła, lecz dziadzio



wciąż żył i *wysiadywał* sofę; przechyliwszy głowę, wyczekiwał na pocztę, którą doręczano coraz później, bo przy trasie łączącej niegdyś rzadko porozrzucane skrzynki, do których trafiała prowincjonalna korespondencja, teraz wyrastały gęsto dom za domem, natomiast farma za farmą znikwały, rozparcelowane na działki budowlane. Raz do roku Owen i Phyllis wraz z dziećmi odwiedzali ów wiejski dom, ale żona i matka Owena nie zdołały się nigdy dopasować, nawet milcząc, mówiły różnymi językami, a Floyd Mackenzie, jeszcze bardziej blady i wychudły, spoglądał na gości jakoś ponuro, jakby mu przyszło utrzymywać jeszcze sześć osób. Czuł się traktowany jak ktoś gotów na byle skinienie i wyzyskany przez tego kolegę z Norristown – niegdyś z college’u – który wyciągnął go z bezrobocia. Tusza i ciśnienie krwi matki wzrosły alarmująco. Kiedy po raz pierwszy matka zobaczyła Phyllis, jeszcze zanim się młodzi pobrali, z walizki Phyllis jakimś trafem wyłoniło się kilka par skarpetek i majtek Owena, które Phyllis, w przyпіływie najniewinniejszej w świecie zaborczości, uprała w rodzicielskiej pralce maytag; przyszłą teściową przyprawiło to o napad zasepienia, które w ciągu następnych lat nie zmalało, mimo że synowskie małżeństwo oznaczało wnuki, prezenty bożonarodzeniowe, a w końcu niezawodną pomoc finansową. Matka Owena nie była nadmiernie religijna, niezbyt dbała o pozory, mimo to obrażały ją liberalne poglądy Phyllis, swobodny strój noszony bez zahamowań

i wyniosłe uwolnienie dzieci od rygorów. Obie kobiety zapełniły ów niewielki i zagracony dom złymi fluidami; intruzi, nie witani szeroko otwartymi ramionami, szukali ucieczki w samochodowych wypadach i zabawach na podwórku. Podczas tych krótkotrwałych wizyt opór matki wobec Phyllis – która w przeciwieństwie do Elsie pozbawiona była miejscowego zmysłu wdawania się w sprzeczki – wzmagał synowską lojalność, a w głębszej mierze, już po powrocie do Middle Falls, udzielił błogosławieństwa nieuchronnej zdradzie.

Gdy prezydentem został Lyndon Johnson, poszły w rozsypkę stare normy i zasady przyzwoitości. Johnson nakazał bombardować Wietnam Północny po tym, jak w Zatoce Tonkińskiej zaatakowany został amerykański niszczyciel<sup>3</sup>. Ponad dwieście osób odniosło rany w filadelfijskim buncie czarnych przeciw brutalności policji. Malcolm X nazwał amerykański ideał amerykańską makabrą. Przebojami roku były między innymi *Hello, Dolly*] w nagraniu Louisa Armstronga, *Oh, Pretty Woman* Roya Orbisona, *Baby Love* Supremes, *A Hard Day's Night* Beatlesów i *Everybody Loves Somebody* Deana Martina. Owen i Faye widywali się na licznych spotkaniach w mieście, planowanych i przypadkowych, dużych i małych, ukrywając całe napięcie pod płaszczkiem grzecznej a zwięzłej wymiany zdań i delikatnych dotknięć – kiedy sądzili, że dbają o dyskrecję i nikt ich nie widzi. Zresztą, gdyby ktoś zauważył, wszystko byłoby w porządku; w tej społeczności nikogo

akurat nie dziwiło, że niektórzy mężczyźni mogą szczególnie i ze wzajemnością lubić niektóre kobiety. Wszyscy potrzebowali wzajemnego lubienia się, żeby uporać się z mazołem wychowywania dzieci, prowadzenia domu, zarabiania na życie godzina po godzinie. To było ich udziałem, zamiast tego, co mieli młodszy: zamiast wyzywających strojów ściągniętych ze stracha na wróble, zamiast prochów, mat, sypiania, gdzie popadnie, w czyichkolwiek ramionach. Jock i Phyllis do pewnego stopnia nawet przyzwalałi na to, co mogli zauważyć bądź czego się mogli domyślać, bo jeśli w małżeństwie druga połowa nęci kogoś innego, tym samym przybywa ponętności tej pierwszej; rośnie jej wartość wnoszona do grona wspólnych znajomych.

Na przyjęcia u Morrisseyów, gdzie zagracenie i artystyczny nieład domu ilustratora ośmielały tłumioną lekkomyślność, Faye zagadnęła Owena zza ściśniętych zębów, jakby należało czytać tylko z jej warg:

- Mój psychiatra chce, żebym cię o coś zapytała.
- Naprawdę? O co?
- Zgadnij.

Owen zdumiony wieścią, że Faye chodzi do psychiatry, wdał się posłusznie w przetrząsanie pamięci, ale poszukiwania spełzły na niczym.

- Nie potrafię.
- To jasne, Owenie. Każe mi zapytać, dlaczego nie chcesz się ze mną przespać.

Poczuł, że się czerwieni na całym ciele, jak oblany

wrzątkiem.

– Chcę, oczywiście, ale...

– Ale jest twoja urocza żona. – Na twarzy Faye, małej, ale o dużych komponentach, pojawiło się coś zwierzęcego, kiedy ściągnęła wargi przy ostatnim słowie.

– Zamierzałem powiedzieć: „... ale jak to zorganizujemy?”

Chciała się roześmiać, otworzyła już usta, ale śmiech uwiązał jej w gardle. Ją także oblał wrzątek.

– Mówią, że masz taki nadzwyczajny łeb, że radzisz sobie z komputerami. Mógłbyś na przykład zadzwonić, czy to za proste dla ciebie?

Nie było jednak takie proste: telefon nie gwarantował dyskrecji w E-0 Data, gdzie biurko Owena dzieliła od biurka Eda ścianka sięgająca piersi, w domu zaś po wyjściu Phyllis zostawali przecież ośmioletni Gregory i niemal siedmioletnia Iris z wyostrzonym dziecięcym słuchem i szczerą ciekawością. Telefon do Faye to był krok poważny, po nim w odróżnieniu od flirtu nie było odwrotu; to był krok, którego się nie da tłumaczyć na opak, przejść nad nim do porządku jako częścią zwykłego życia. Owen przez parę dni zwlekał, brnął przez codzienne czynności z mrowieniem w ciele i otępiałą głową pełną poczucia winy: winy wobec Faye, z powodu zlekceważenia jawnej uwertury. Kładł się do snu u boku Phyllis, w głowie zaś tańczyły mu ułamki tamtej kobiety: krągłości dwóch nieśmiałych niewydatnych piersi, odsłoniętych w jakiejś wydekoltowanej sukience, śmiałe,

szkliste spojrzenie zielonkawych źrenic, kiedy wypięła o szklaneczkę za wiele, nerwowa wilgotność dłoni dotykającej jego dłoni, wygląd Faye podniecone lub rozbawionej, kiedy jej twarz zamieniała się w same oczy i usta, kpiarskie zmarszczenie zaciśniętych warg z przyklepionym uśmiechem. Miał kłopot z zasypianiem i winił Phyllis. Zdawało mu się, że mógłby natychmiast zasnąć tylko u boku Faye. Przypominało to pragnienie, żeby wyciągnąć się obok Ginger Biting na dachu szopy przy placu zabaw. Po Middle Falls rozsiane były automaty telefoniczne; Owen w końcu wybrał budkę przy autostradzie na skraju miasta po stronie Upper Falls, niegdyś obszarze sadów i mlecznych farm, teraz wypełnionym przez pawilony fast foodów i parterowe budynki z pustaków, gdzie po promocyjnych cenach sprzedawano dywany lub glazurę. Tuż obok przejeżdżały ryczące ciężarówki, wzbijały z szosy kłęby letniego kurzu, grzęznącego w płucach Owena, i zagłuszały ledwie słyszalne słowa dobiegające z drugiego końca linii wśród trzasków.

– Hallo? – To na pewno była Faye; głos oddzielony od ciała osunął się w rejestr kontraltu, miał wiolonczelową barwę, czego Owen dotąd nie zauważył, biegunowo przeciwstawną w porównaniu z nietoperzowo wysokim, krzykliwym śmiechem Faye.

– Tu Owen Mackenzie – powiedział na wszelki wypadek, gdyby rozmowy słuchał ktoś inny. O takiej sytuacji powiadomiłby Owena zdrewniały głos Faye,

wówczas Owen mógłby zapytać, czy ubiegłego wieczoru nie zostawił przypadkiem u Dunhamów okularów do czytania, kiedy po partii siatkówki pod wpływem nagłej chętki wylądowali u nich całą czwórką i siedli z dziećmi do pizzy. A nóż, a widelec, tak mogła się potoczyć telefoniczna rozmowa, ale szukał już wszędzie, te okulary doprowadzą go do szau. Faye milczała, więc Owen zaczął: – Dzwonię, żeby zapytać, czy przypadkiem nie zostawiłem okularów...

– Owen – Faye dyszała. – Nareszcie.

– Kazałaś, żebym zadzwonił.

– A nie zadzwoniłeś. Przez tydzień!

– Bałem się.

– Dlaczego? To takie naturalne, Owenie. Przytrafia się na każdym kroku. Nie dzwoniąc wcześniej, zraniłeś moje uczucia. – W kontralcie Faye brzmiał nowy dla Owena kołysankowy zaśpiew.

– Przepraszam. Jak ci mówiłem...

Owen myślał nad tym, jak się nie powtarzać, lecz Faye przerwała:

– Chcesz się spotkać?

– Na Boga, chcę.

– Możesz się urwać w przyszły wtorek?

– W przyszły wtorek! A może teraz, kiedy się dodzwoniłem? Będziesz w domu?

– Jestem i będę, ale w każdej chwili ktoś może wpaść. – Przerwała, potem wyrzuciła z siebie pośpiesznie, nie owijając w bawełnę: – Chcę, żeby to się stało, ale nie

w domu, nie u mnie i u Jocka. Nie ten pierwszy raz.

– Och? To coś, jak mówisz, wcale się nie musi stać; chcę cię tylko przez chwilę objąć. Zobaczyć. Przekonać się, że istniejesz naprawdę.

– Wiem. Wszyscy tak mówią.

– Kto?

– Mężczyźni. Nie odstawiaj niewiniątka, Owenie. A teraz słuchaj. We wtorek o dziesiątej przychodzi opiekunka. Ja mam wizytę w Hartford u psychiatry, potem wybiorę się pewnie na zakupy do G. Fox and Sage Allen i zerknę, co grają w Wadsworth Atheneum. Możesz uciec od Eda na parę godzin? Powiedz, że umówiłeś się z dentystą. Zrobimy sobie piknik. Znam miejsce. Znajdę cię przy nowym centrum handlowym przed Ames. Pamiętasz wóz – kasztanowy mercedes. Gdybyś miał problemy, zadzwoń w poniedziałek. Gdyby odebrał ktoś inny, powiedz, że już znalazłeś okulary.

– To wszystko tak na zimno! – zaprotestował.

Faye roześmiała się, potem odrzekła uroczystym tonem:

– Musisz, Owenie, uczyć się praktyczności. Życie to nie sen, w którym można się błąkać. – Faye okazała się nauczycielką, czym zachwyciła Owena.

Miejszem na piknik był dwudziestoakrowy rezerwat przyrody zwany Skałą Whitefielda. Podobno nauczał z tej skały znamienity kaznodzieja, w co uczeni teraz powątpiewali; po przestudiowaniu topografii przypuszczali, że nauki dobiegały z podobnego występu

skalnego położonego parę mil dalej. Jednak celem wyprawy Faye i Owena nie była owa skała, doszczętnie wygładzona stopami, o szczelinach zapchanych niedopałkami i patykami po lodach; Faye i Owen znaleźli kawałek przestrzeni z dala od ścieżki, osłonięty przed wrześnie wietrzykiem i, jak uznali, dobrze ukryty przed wzrokiem jakiegoś zbłąkanego spacerowicza. W rezerwacie z religijnym piętnem nigdy nie bywało tłoczno, a po Święcie Pracy obszar właściwie pustoszał<sup>4</sup>. Ukryty zakątek odnaleźli przed nimi, już po lecie, jacyś ludzie; w krzakach lśniła puszka po piwie, w miękkiej, ciągle ocienionej i żółknącej przez to trawie widać było wygniecione płyty. Faye przyniosła koc i piknikowy posiłek w solidnie zaopatrzonym koszyku, ale oboje nie mieli apetytu, nawet nie mieli ochoty na portugalskie ros, w przysadzistej pękatej butelce zamykanej nakrętką. Objęli się, wtulili w siebie, jakby chcieli się nawzajem ukryć przed własnymi spojrzeniami. Owen nie mógł uwierzyć w ten cud, niesamowity, że oto jakaś kobieta, nie Phyllis, całuje go, liże w ucho, wzdycha w jego ramionach i nie opiera się, kiedy Owen zaczyna rozpinąć jej bluzkę.

Faye ubrała się na wyjazd do Hartford w tweedowy kostium w odcieniu jasnoczerwonej papryki, pod spodem miała kremową jedwabną bluzkę, na nogach szpilki w dwóch odcieniach, które w aucie zmieniła na stare mokasyny, odpowiednie na spacer. Zestawiła koszyk z koca, żeby zrobić obojgu więcej miejsca. Owen zdjął z



niej bluzkę, a potem – podniosła ramię, żeby łatwiej mu było sięgnąć do haczyków i oczek – stanik. Nie widywał tak szczupłych pleców; żeby rozluźnić stanik, Faye ściągnęła na chwilę łopatki, jakby wykonywała na siedząco jakieś ćwiczenie gimnastyczne. Letnie piegi przebarwiły jej ramiona na brąz, na płaskim brzuchu widniała opalenizna tam, gdzie Phyllis miała ciało ziemiste, naznaczone rozstępami. Niemal rozplakał się na widok oswobodzonych piersi Faye, mniejszych i jędrniejszych niż piersi jego żony, gotowych na dotknięcie jego drżących rąk i czułych warg. Wokół nich drzewa tworzyły zielone ściany, dygocące i szemrzące na wietrze, odsłaniające srebrzyste spody liści; ściany, w których tu i ówdzie liść klonu czy buka już żółkł.

Kiedy uporali się ze stanikiem, Faye rzeczowo uniosła biodra nad kocem.

– Spódnicę też – zarządziła. – Bo się pogniecie. – Owen pociągnął tweed, lecz przez biodra Faye, szersze od ramion, spódnica nie chciała się zsunąć. – Z boku są guziki! – w głosie Faye zabrzmiał ten sam kategoryczny i nieprzyjemny ton, którym kiedyś odezwała się matka: „Nie dotykaj tego!”

Owen rozpiął guziki, zsunęła się spódnica, potem, z leciuteńkim zapaszkiem genitalnym, jedwabne majtki, jaśniejsze niż stanik. Zsunęły się jak z Elsie, ale zanurzonej wówczas w głębokich ciemnościach, ta zaś chwila tonęła w świetle. Odkrycia pojawiały się za szybko, żeby się z nimi oswoić, jak prezenty na

ekspresowym przyjęciu urodzinowym. Włosy łonowe Faye były bardziej skąpe niż Phyllis; dwie zwiewne fale układały się w miedziany półksiężyc zachodzący pod szczyt wzgórzka łonowego. Owen chciał zobaczyć twarz Faye; przyglądać się Faye przyglądającej się jemu, który po raz pierwszy widzi tę jej esencję, sedno jej kobiecości; czy od tej chwili ich przyszłość potrwa długo czy krótko, pierwszego razu nie będzie nigdy więcej. Jej twarz wydawała się senna, zadowolona, przez na wpół przymknięte oczy Faye jakby chłonęła wraz z Owenem widok siebie samej, wierzch swej szczeliny widziany przez skąpe rudawe włosy; Faye – ze sceptycznym i pełnym dumy wyrazem twarzy – chłonęła widok Owena chłonego jej widok. Zachwyciła go jej niewinna lubieżna próżność. Faye lubiła być nago, jak się przekonywał, nawet w tej zdradliwej otwartej przestrzeni, w której Owen wciąż nadstawiał ucha w obawie, że usłyszy trzask łamanej gałązki bądź stłumiony szelest w lesie. Skóra Faye, olśniewająca, nie całkiem bezwłosa, była poznaczona tu i ówdzie różowymi plamkami i nitkowatymi żyłkami. Faye naga, jeśli nie liczyć spinek do włosów, mokasynów i paru pierścionków, uklękła, by rozpiąć Owenowi spodnie, bo, zaintrygowany odgłosami lasu, nie wykazał dość refleksu. Ocknął się wreszcie na tyle, żeby się pozbyć rozpiętych już sztruksów, a w ślad za nimi majtek, pętających mu członek w stanie potężnego wzwodu. Faye spojrzała tam w dół, jak w twarz dziecka, i delikatnie dotknęła Owenowego palanta

tymi samymi czubkami palców, które po tamtej stronie lata tak delikatnie spoczęły na Owenowym przegubie.

– Słodki – powiedziała. – Przeróżający.

Zawsze uważał, że jest w tej mierze przeciętny, zważywszy na to, co widywał w szatniach i na świńskich filmach już za czasów MIT. Teraz w stosunkach Owena z Faye pojawiała się nowa przestrzeń, obszar, który zawłaszczy sobą. Głos Owena nabrał chrapliwości, stał się szeptem uwodziciela.

– Możesz nim pokierować, myślę. Ale – to już powiedział głosem bardziej własnym, zbyt lekko i niepewnie – czy chcesz? Nie musisz. I tak już sporo zwojowaliśmy, jak na pierwszą randkę.

– Owen – złajęła go – chcę się z tobą kochać. Rozgniewam się nie na żarty, jeśli tego nie zrobisz.

– No to cudownie. Zabrałem to dla nas. – Zaczął grzebać w kieszeni sztruksów tak niezgrabnie, że oblał się rumieńcem; zmietoszone spodnie wciąż oplatały mu kolana. W kieszeni krył się cynfoliowy kwadracik zabrany z domu z szafki w łazience, gdzie nikt nie zauważył ubytku w paczce.

– Och, kochanie. Biorę pigułkę. A Phyllis nie? Nic dziwnego, że wciąż robicie dzieci.

Wrony, szóstka czy ósemka, rozwrzeszczały się na siebie na wierzchołku dębu, u skraju kwadratu nieba. Ta napaść z wyżyn smagnęła serce Owena; zerknął w dół na palanta, błagając go w milczeniu, żeby się nie rozpraszał; sam Owen zmagiał się z myślami to o wronach, to o lesie,

to o dzieciach, to o Phyllis, tymczasem kutas spoglądał na Owena jedynym okiem, zamroczonym kropelką napierającego nasienia, czystej żądz. Owenowi zdawało się, że tkwi zawieszony u szczytu łuku. Faye położyła się na wznak na kocu, ułożyła nogi w wyrażającym gotowość zarysie M, Owen zaś ukląkł między nimi jak najnędzniejszy i najnikczemniejszy suplikant, gotów wystawić goły tyłek na bystre spojrzenia stada wron.

Faye ujęła go w rękę. Wsunął się. Został cudzołożnikiem. Wepchnął się do końca, do ostatniego cala. Faye stęknęła, pochłonięta odkryciami. Dla Owena odkryciem była jej pochwa, odczuwana inaczej niż u Phyllis. Gładsza, jakoś prostsza, wilgoć mniej gęsta, mniej maziowata, bardziej szklista. Wkrótce było po wszystkim. Zbyt podniecony, zbyt dumny, zbyt podenerwowany Owen nie zdołał pokierować sobą. Kiedy skończył, otworzył oczy i zobaczył tę obcą twarz koło swojej, na pozór senną, z ledwie dostrzegalnym pulsem na zamkniętych powiekach, z długimi wargami, wygiętymi, jakby ukołysała sama siebie.

– Przepraszam, przepraszam – tłumaczył się Owen. – Nie miałaś szansy. Następnym razem sprawię się lepiej. Jeżeli pozwolisz na następny raz.

– Byłeś uroczy, głuptasie – odrzekła. – Tak intensywnie cię czułam.

– Intensywnie? Mnie? – Mogła porównywać; miewała innych mężczyzn, wiedział to chociażby po sprawie, z jaką urządziła schadzke.

– Tak. – Teraz naga Faye poczuła się bezbronna; zmarszczyła usta, na których pojawił się leciutki akcent dezaprobaty, zaczęła się rozglądać na boki, chłonąc obraz zielonego, poruszanego wiatrem otoczenia.

Owen jednak nie śpieszył się zsunąć z Faye.

– Opowiedz mi o tym – domagał się leniwie cichym drapiącym w gardle pomrukiem. – O moim orgazmie.

– Powiedział mi, że to dla ciebie ważne.

– Chyba jest ważne dla każdego mężczyzny?

Faye zmarszczyła brwi, może z powodu ugniatającego ją ciężaru, bo Owen wciąż na niej leżał.

– Nie – powiedziała. – Dla niektórych... – Wzruszyła ramionami, nie kończąc.

Owen domyślił się, że do tych niektórych zalicza się Jock.

Opowiadała mu różne rzeczy. Postrzegala jako mężczyznę wymagającego szkolenia, bo z Phyllis prowadzi życie nienaturalnie poprawne i powściągliwe. „Powinieneś więcej pić”, powiedziała kiedyś, jakby jego opanowanie wynikało z niedoborów diety. Chciała, żeby ją wziął na gołej ziemi, czym by się bardziej upodobnił do Jocka. Doceniała jednak, że jest inny niż Jock. Później mu opowiedziała, że owego dnia, już po wysadzeniu go na parkingu przed Ames – w mercedesie z tym nienaruszonym piknikowym koszykiem, a potem w domu – płakała na myśl, że zawsze będzie go miała tak samo: na chwilę, potajemnie, pełna obaw.

Jeszcze później, po latach, Owen zastanawiał się,

dlaczego tak bardzo pokochał Faye: nastawioną na efekt, bez serca, płytką, jak ją opisała Phyllis. Przez parę miesięcy marzył o małżeństwie z Faye, żeby ją zawsze mieć u boku; wszystko, co się z nią wiązało – dwoje chudych, mizernych dzieci, rozległy wiktoriański dom, radosne, wymyślane naprędce stroje, całkowicie przypadkowo dobrane meble (odziedziczone przez Jocka antyki oraz jej wymyślne gięte krzesła i sofy z pianki), zdjęcia ze strychu, które mu pokazywała, Faye dziewczynka, Faye na pierwszym roku studiów, Faye jako panna młoda w welonie – było świętością. Dodała światu nowych barw, rozsiewała tęczowe plamy, dodawała skrzączącej się, przejmującej wspaniałości nawet zapiaszczonym parkingom służącym im za miejsce schadzek. Potem, bywało, zajeżdżał w te same miejsca – zatrzymywał się tam, gdzie parkowali i gdzie jeden z kierowców ukradkiem zamieniał się w pasażera – ale wówczas czuł wokół pustkę, jałowość. Faye sprawiła, jak mocne promienie słońca, że zblakły ważne niegdyś obszary życia: dzieci, nowinki w kodzie programowym, rozwój i batalie E-0 Data, nawet prasowe depesze, że marsze wolności wstrząsają Południem i że daleki okruch Azji zajmuje coraz więcej miejsca na pierwszych stronach; teraz Owen przemierzał bez wrażenia dziedzinę dawniej pasjonującą. To przebarwienie, ta słodka choroba miłości zaległa w jego jestestwie na lata; nierównowaga stała się dlań czymś cennym. Faye skurczyła się, zmaląła do wymiaru wewnętrznej rany, ale tę gorzką pozostałość

Owen wcisnął głębiej, w odczuwanie samego siebie. Faye dała trzydziestojednolatkowi wolność, którą inni (powiedzmy, Marty Naftzinger) poznali dużo wcześniej – wolność ciała. Był wdzięczny, lecz nie mógł się odwdzięczyć; źle się odwdzięczył. Kobiety, które mu doradzały – w tym Phyllis – zapewniały, że się odwdzięczył aż nadto. Kobiety wykorzystują okazję, ryzykują, czasem przegrywają. Faye przegrała.

Owen, jeden jedyny, wiedział jednak coś jeszcze: że zawiódł kogoś o rysie dziecka. Naga Faye miała białe, pełne biodra i uda, chociaż od pasa w górę była szczupłą, wręcz chuda; co do twarzy, to wydawało się, że różne jej części usiłują z niej uciec. Faye była bardziej doświadczona seksualnie niż Owen, lecz cudzołóstwo nie odebrało jej niewinności. Seks z Faye był bezpośredni, szczery, nie był starannym wypracowaniem, którym gotowe były się popisywać inne. Uścisk jej pochwy miał w sobie coś dziecinnego, chwytającego za serce, jak nieśmiałe i ufne dziecinne pytanie. Przekonywała go, że to on zna odpowiedź. W ciągu miesięcy, w których trwała przygoda Owena i Faye, Owen kochał się z Phyllis z większą pewnością siebie, natarczywiej. Rozmawiał z dziećmi głośno i ciepło, kiedy już ujrzał je wyraźnie spoza swych mgieł i zabłąkań. Na zdjęciach z tego okresu Owen jest potargany, rozgorączkowany, istny maniak. Miał wrażenie, że podoba mu się cały świat: to stare fabryczne miasteczko, jego udogodnienia i służby, miejscowe postaci pogodne a zapracowane, zimowa

pogoda i kłopoty z odśnieżaniem, przytulny krag przyjaciół. Szczególną słabość żywił do Jocka; pragnął objąć faceta, tego czerwonoliciego Jocka z wypalonym na twarzy alkoholowym uśmiechem, za utrzymywanie i użyczenie dachu takiemu pięknemu zjawisku, budzącemu taką pożądlivość. Z trudem ogarniał cudowność tego wszystkiego: owa świetnie zadbana kobieta w tak kosztownych i fantazyjnych strojach podejmuje takie ryzyko, by robić z nim to, co Phyllis robi niechętnie, z domieszką ironii, rozglądając się na boki, bezpieczna we własnym domu, przy czym społeczeństwo pod każdym względem wspiera każdy Owenowy ruch.

Dla Owena wciąż pozostawało zagadką, dlaczego Faye – bądź jakakolwiek kobieta – zachowuje się tak beztrosko a zachwycająco. Uznał, że oczekiwała czegoś w zamian, Owena jako męża, i że w tej mierze zawiódł; żar piekący na myśl o zawinionym rozczarowaniu utrwalił i zahartował obraz Faye w jego oczach. Na scenie swego wewnętrznego teatrzyku Owen okazywał lojalność, kiedy mógł. A zawsze mógł przypomnieć sobie, jak wyglądała w pewnych chwilach, do których tęsknił, tę jej do gruntu kobiecą piękność pożenioną z czymś szczególnym i zawiłym rozgrywającym się na jej twarzy: z podszytą smutkiem świadomością przeciwnych prądów i półkłamstw. „No cóż, cieszę się, że to byłeś ty”, powiedziała na końcu, próbując odegrać niezapomnianą scenę, dać lekcję, która utkwi w pamięci na zawsze.

Pod koniec stali się nieostrożni. Pewnego razu na



polnej drodze, przy której szukali zacisznego zakątka, jej mercedes ugrzązł w marcowym błocie i musieli ściągnąć pomoc, dzwoniąc z domu właściciela posiadłości, na której się znaleźli. Zmęczeni obskurnymi motelami i sekretnymi wypadami dopuścili do tego, że Owen wkradał się do jej domu pod nieobecność Jocka, kiedy dzieci były w szkole i nie zanosiło się też na żadną wizytę hydraulika czy sprzątaczkę. Kiedy w chwilę po wszystkim Faye wybierała się po coś dojedzenia czy picia, paradowała po domu nago; przemierzała prześwietlone w zimie pokoje, pewna siebie jak jelen w skrywającym go lesie. Kiedy wracała do Owena ospale leżącego w skotłowanym łóżku w sypialni dla gości, czasem wybuchiała śmiechem na widok czegoś na jego twarzy; czegoś wyrażającego bezgraniczny zachwyty i wdzięczność. Usta Faye pozostawały otwarte jeszcze przez sekundę po zamarcu tego jej wysokiego dziewczęcego śmiechu. Nawet teraz ten leciwy mieszkaniowiec Haskells Crossing, który rozgląda się w jedną i w drugą stronę, zanim roztropnie zmusi skrzypiące ciało do przejścia przez ulicę, czuje w piersi podskok serca na widok jakiejś młodej kobiety z napiętą twarzą o wydatnych kościach policzkowych, wyłaniającej się z 7-Eleven lub czekającej przed nowym Starbucks i obdarzającej kogoś nagle dostrzeżonego szerokim uśmiechem, odsłaniającym zęby aż po dziąsła – jak witała go Faye na jednym z przyjęć u niej i Jocka. Wracała do niego.



## 9. REKONWALESCENCJA

To Faye zakończyła przygodę; opowiedziała o wszystkim mężowi. Owena powiadomiła przez telefon. Zmiażdżony tą zdradą, niemal bez tchu, zapytał, dlaczego, ale Faye unikała konkretów.

– Mój psychiatra uważa, że kompletnie się pogubiłam. To za daleko zaszło, Owenie. Nie wiedziałam, o co ci chodzi; dobijało mnie to, naprawdę. Przykro mi. Gdybym cię tak bardzo nie kochała, mogłabym wszystkim lepiej pokierować.

– Ale nigdy nawet nie wspomniałaś o niczym. Zawsze byłaś taka radosna, taka... oddana i pogodna. Jakbyś nie pragnęła nic więcej. Nawet kiedy ugrzęźliśmy, a ty, po tym telefonie po pomoc zaproponowałaś z zimną krwią, że zapłacisz za naprawę tamtej dróżki. Byłaś cudowna, Faye – miał na myśli, że cudowna we wszystkim, a mówił bardzo cicho. Siedział przy biurku, w sąsiednim boksie tkwił Ed, obok przechodzili pracownicy z kawą i papierami. Rozmawiał szeptem, odchylony, półleżąc na oparciu obrotowego ergonomicznego fotela na chromowanej podstawie o pięciu rolkach, twarzą zwrócony do okna rozkrawanego pajęczyną przewodów po tamtej stronie. Gdyby wstał, zobaczyłby Chunkaunkabaug: wzburzoną rzekę w skalistym korycie mknącą do wodospadu.

– Byłam przerażona, myślałam, że facet wygada się

przed Jockiem – wyjaśniał głosik Faye uwięziony w słuchawce jak owad pod wklęsłą podstawą szklanki. – Albo że ktoś nas zobaczy razem w aucie. To się mogło zdarzyć w każdej chwili, a Jock miałby mnie wtedy na widelcu; potrafi być bardzo cwany, jeśli chodzi o pieniądze. A tak dowiedział się przynajmniej ode mnie: zbłąkana żona wyznaje. Owen, nie mogę mówić bez końca; całą noc nie spaliśmy, może z wyjątkiem paru godzin; teraz Jock wyszedł po papierosy i „Wall Street Journal”. Uważaj w mieście na niego.

Owen nie zmartwił się na myśl, że rozmowa potrwa krótko. Po raz pierwszy od siedmiu miesięcy otaczająca go codzienność stała się światem bardziej realnym od owego potajemnego dodatku, niż ów potajemny dodatek, do którego słał teraz słowa przez przytkniętą do ust dziurę nadzianą elektroniką.

– Niemniej – szukał punktu oparcia w nagle odmienionej sytuacji – powinnaś to przedyskutować ze mną.

– Spierałbyś się, a ja pogubiłabym się jeszcze bardziej. – Faye roześmiała się: krzyknęła jak uszczypnięte dziecko. Jakby czytając z kartki, powiedziała: – Mężczyźni wybiegają myślą nie dalej niż do następnej dupy.

Może próbowała go obrazić rozmyślnie, żeby złagodzić cios? Tak czy owak, rozzłoszczony Owen odrzekł:

– Wysłuchujesz takich mądrości od Jocka?

– Nie, on ode mnie. Przeżyjesz to, Owenie. Wszyscy przeżyjemy. Z ludźmi tak już jest.

Jej efektowne stroje, dziecięca, szczęśliwa nagość, szeroko otwarte orzechowe oczy, głos o teatralnej skali od sopranu po kontralt, wszystko to wymykało się, osuwało na zawsze w otchłań.

– Wielkie dzięki za krzepiące słowa – powiedziała tonem tak sarkastycznym, że odłożyła słuchawkę.

Kiedy po godzinie w boksie zjawił się Ed, powiedział, spojrzawszy na Owena:

– Może chcesz wcześniej wyjść do domu? Wyglądasz, jakbyś dostał kopa w brzuch. Jakby cię obsrało.

– Chyba złapałem wiosenne przeziębienie. O tej porze roku nigdy nie wiem, jak się ubrać.

Jednak wyszedł wcześniej z firmy, nie mógł się doczekać powrotu do domu. Wyciągnął Gregory’ego i Iris na wydeptane błotniste podwórko i ku zaskoczeniu dzieci pograł z nimi w softbola. Podszyte zdumieniem dziecięce wysiłki, żeby mu sprawić przyjemność, trafić w piłkę szaleńczym, niewprawnym wybiciem, raniły mu serce. Niczego nieświadome dzieci starały się wypracować usprawiedliwienie dla grzesznika z powrotem przeistoczonego w ojca. Miał ochotę zostać na tym podwórku na zawsze, zamknięty w bąblu życia rodzinnego, nic nie mówić Phyllis, nigdy nie odbierać telefonu, ale zrobiło się ciemno, zimno i wszyscy weszli do ciepłego domu, gdzie Phyllis przygotowywała kolację;

wstawiła do piekarnika klops, niemal niewidocznymi jasnymi rzęsami trzepotała, żeby pozbyć się łez, skutku, jak sądził Owen, krojenia cebuli. Nie całkiem była sobą; podczas rozmowy przy stole z dziećmi, podczas karmienia musem jabłkowym i tartą marchewką maleńkiej Ève siedzącej na wysokim stołku jej wesołość była jakaś wypalona, wystudiowana.

Tego wieczoru, kiedy już czwórka dzieci znalazła się w łózkach, Owen zabrał się do wyznań, lecz Phyllis przerwała:

– Wiem. Był tu po południu Jock i opowiedział. No dobrze, chcesz rozwodu?

– Nie.

Partia softbola z dwojgiem starszych dzieci – z taką determinacją przyjmujących pozycję na wyimaginowanym boisku, naśladujących gesty zawodowych graczy podpatrzone w telewizji, tak unoszących kij, że mierzył w pokryte mknącymi barankami kwietniowe niebo, potem tak wzruszająco wybijających piłkę – zatarła w głowie Owena to uporczywe, gorączkowe marzenie o życiu z Faye.

– Więc lepiej zrobisz, jeśli to powiesz im, zanim oni się rozpędzą i rozwiodą.

Jeśli chodzi o późniejszą kotłowanąinę – raz cała czwórka spotkała się na ponurej, w końcu mocno zakropionej naradzie w domu, w którym Owen nieraz bywał potajemnym gościem, potem zaś, w miarę jak sprawa nabierała rozgłosu, doszło jeszcze do różnych

tête-à-tête: Jocka i Phyllis, Jocka i Owena, Phyllis i Owena, Faye i Phyllis, we wszystkich kombinacjach z wyjątkiem tej jedynej, stanowiącej sedno sprawy – to Owenowi umykały z pamięci najbardziej zenujące sytuacje. Nie chciał zapamiętywać. W głowie utkwiły mu szczegóły, chwile, natomiast kontekst rozplynął się, rozmył; oto w staroświeckiej restauracyjce przy szosie na Lower Falls Jock pyta przez stół:

– Miewała z tobą orgazmy?

Wtedy Owen uznał pytanie za gruboskórność, za napaść, jakąś drwinę rogacza i odmówił odpowiedzi, ale po jakimś czasie przypomniał sobie tę łzawą powagę w oczach Jocka, te znękane przez alkohol białka. Jak brzmi uczciwa odpowiedź? Nie był pewien, zbyt kłopotliwa historia. Faye, taka urocza, taka uśmiechnięta, zapewniała ich schadzkom (dramatycznie rzadkim, jeśli się zastanowić) aurę zadowolenia, podniecenia i wyzwolenia, więc Owen mógłby przytaknąć, nie oglądając się na inne dowody niż jego własna, bez trudu osiągnana satysfakcja. Faye leżała pod nim z przymkniętymi oczami o leciutko pulsujących powiekach, otworzywszy zaś oczy, obdarowywała go szerokim, szczodrym uśmiechem, a jej głos brzmiał wyżej i bardziej nieśmiało niż zwykle. Phyllis, chociaż Owen uważał ją za zimną i tylko rzadko zaangażowaną, wyraźniej sygnalizowała orgazm. Tłumaczył sobie jednak (chodziło zaś o dziedzinę, w której jego wiedza dopiero miała się poszerzyć), że kobieca seksualność na pewno się wyraża rozmaicie:

wyobrażał ją sobie jak harfę, której struny zawsze wydają delikatny cichy dźwięk, chociaż znacznie się różnią długością czy grubością. W każdym razie podejrzenie, że Faye odgrywa orgazmy, że bezproblemowo udaje zadowolenie, że – mimo zapału na pokaz – jest oziębła, zadało cios wyobrażeniom, które hołubił Owen; Faye go zwodziła.

Na dłuższą metę także Phyllis zdołała odczarować wizerunek Faye i pogodzić Owena ze stratą.

– Czyżbyście, moje dzieci, ani razu nie rozmawiali poważnie o rozwodach i nowym małżeństwie? – spytała.

Dokładnie nie pamiętał. Nieraz mówił, jak by to było cudownie, gdyby Faye była jego żoną, ale to nie jest propozycja, prawda? To tylko marzenie, rodem z alternatywnego świata.

– Chyba to oczywiste, że chciała małżeństwa – łagodnie ciągnęła Phyllis, jakby roztrząsała zagadnienia topologiczne. – Jock o nią zadbał finansowo, ale moim zdaniem już go nie potrafiła idealizować jako męża. Wyczerpało się.

– Więc idealizowała mnie? – Wówczas czuł jedynie, że Faye przypisuje mu prawdziwą wartość. Cała ta ich przygoda, od pierwszego razu w lesie pod Skałą Whitefielda, rozgrywała się pod znakiem prawdy – świeżej prawdy, prawdy świeżego spojrzenia. Brudne okno spryskano i umyto do czysta.

Ślęcząc nad jakimś zleceniem dla firmy – programem danych towarzystwa ubezpieczeniowego z



uwzględnieniem marginesów ryzyka w postępie logarytmicznym bądź programem księgowości, wypłat i kontroli zapasów dla wytwórni kapeluszy w Danbury – Owen uświadamiał sobie, że gorzej niż zwykle wiąże i splata łańcuchy logiczne, że doznał jakiegoś zmętnienia komórek nerwowych, może przegrzanych wspomnieniami seksu z Faye i oczekiwaniem na ciąg dalszy. Był jednak pewien, że to pogrążenie się w przygodzie miłosnej zapewni mu w końcu nową siłę ducha. Małżeństwo z Phyllis z czasów świeżości – kiedy po prostu leżał przy niej, śpiącej, nieświadomie towarzysząc jej oddechowi i snom – zaowocowało burzą myśli, której ostatecznym rezultatem było stworzenie prawdziwie nowatorskich DigitEyes. Ale po paru latach liczni konkurenci wprowadzili na rynek podobne produkty, natomiast Owenowej wizji graficznego interfejsu dla użytkownika wciąż nie można było urzeczywistnić z powodu ograniczeń i kosztowności sprzętu.

Koszty, otóż to. Przyszło mu właśnie do głowy, że mógł uznać Faye za zbyt kosztowną jak na niego; mógł się nią dzielić, lecz nie mógł jej mieć.

– Oczywiście; to właśnie ludzie robią – Phyllis oświeciła go z westchnieniem, nawet czule, pełna cambridgeańskiej mądrości, którą nasiąkla jako dziewczynka. – Idealizują. W przeciwnym razie to się wyda obrzydliwe. Pierdolenie – dopowiedziała. Niegdyś Phyllis nie używała tego słowa, ale kontrkultura zrobiła

swoje. Phyllis lubiła *faux-pauvre*<sup>1</sup> stroje młodych, ich brak makijażu, skłonność do radykalizmu, żyłkę teoretyzowania i wiarę w swarliwe debaty; dla niej to było swojskie, sama była częścią czegoś takiego, zanim E-0 Data wpisała ją w przeciętność Middle Falls. – Rzecz nie w tym, że trzeba cię idealizować, Owenie, bo jesteś atrakcyjnym facetem.

– Teraz mi to mówisz.

– Mówiłam od początku, najlepiej jak umiałam. Nie potrafię się ślinić jak Faye. Jesteś facetem atrakcyjnym, wzięła cię też za bogatego.

– Jeżeli tak, to się nabrała. Nowa wersja DigitEyes rozchodzi się bardzo powoli. W ten segment rynku wszedł Sketchpad z Lincoln Laboratories. A Ed się martwi, że nowy minikomputer DEC za osiemnaście kawałków położył na łopatki PDP-8. Każdy może sobie taki kupić, więc otworzy się rynek programów standaryzowanych. I nasze programowanie na miarę pójdzie w ką. – Ich małżeństwo przybrało postać otchłani pod nogami, więc był szczęśliwy, znajdując ucieczkę w technologii. Przez chwilę Phyllis też.

– Naprawdę? Bo mnie Ed opowiada co innego. Ze im więcej ludzi ma komputery, tym lepiej będzie stała cała branża software'u. Zresztą Faye o tym nie miała pojęcia. Chciała cię mieć jako męża, kochanie, jak któryś ze swoich ślicznych kostiumików. To istna tragedia kobiet, nie uważasz? Jedyne, co możemy przehandlować, to dupa, a od czasu pigułki cena spadła na łeb.

– Nie mów tak, proszę. Nie do twarzy ci z tą twardością. Nie jesteś sobą.

– Myślałam, że lubisz twarde kobiety. A przynajmniej chamowate. I to ja, Owenie. Taką ze mnie zrobiłeś w tym obskurnym miasteczku, z tym groteskowym durzeniem się w Faye. Najpierw musiałam znosić twoje oszustwa, a teraz szczeniackie trucie tyłka po fakcie. Moja matka się nie myliła; nie nadawałeś się dla mnie. Zanadto byłeś chłopcem. Tylko ojciec cię lubił, chociaż nigdy nie słyszałam, żebyście zamienili więcej niż sześć słów. Chyba uważał, że jest mi kogoś winien po utraceniu Hanka.

Policzki Phyllis zabarwiły się, krew nabiegła od szyi; spokojne oczy, w szczególnym oświetleniu srebrzyste, zapłonęły rzadkim u nich oburzeniem. Owen poskromił pełen zachwytu chichot; Phyllis miała niespotykany talent widzenia spraw na wskroś, do szpiku kości. Biedna Faye, cóż, kazała mu być praktycznym i udzieliła takich lekcji, na jakie było ją stać; teraz dla Owena jej praktyczna wartość sprowadzała się do podboju, swego rodzaju odznaki, którą można obnosić wśród tej małej miejscowej społeczności, gdzie seks w coraz mniejszej mierze jest tajemnicą czterech ścian. Brak Faye go bolał, to prawda, lecz życie z nią na co dzień zamieniłoby wszystko w zwyczajność, w nudę z cherlawymi dziećmi, w połowie wyposażonymi w geny Jocka, z żoną co chwilę myślącą jak Jock.

– Jak mógłbym się z nią ożenić? – płaczkliwie spytał

żonę, spragniony pogadania o tym z kimś bezstronnym. – Mam czworo dzieci, najmłodsze to roczniak!

– Niektórych to nie powstrzymuje – odrzekła Phyllis. – Widziała w tobie, Owenie, kogoś nie oglądającego się na nic, bo masz zmysł twórczy, a prawda jest taka, że bardzo na siebie uważasz; jesteś stuprocentowym Pensylwańczykiem, wszystko krocze po kroczeniu. Poganiała cię, a ty nie znosisz poganiania.

Uznał te spostrzeżenia za komplement, a przynajmniej za dowód wnikliwości i uwagi.

– Ed twierdzi, że dzisiaj nadmiar twórczej żyłki w programowaniu to kłopot. – Zafrasowaniu towarzyszyła nutka zadowolenia. – Przy dzisiejszych wbudowanych systemach operacyjnych i tych nowych obwodach scalonych mnożących potencjał hardware’u programowanie powinno być nie tyle sztuką, ile dyscypliną inżynierską.

– Tego się boisz? – spytała Phyllis, wciąż jego żona. Bez względu na wiosenne rodzinne horrory, skandal, możliwy rozpad małżeństwa, znalazła czas na kąpiele słoneczne za domem, koło stawu z odnowionym mostkiem, zarośniętego liliami; koniuszek jej nosa zabarwił się na różowo.

– Nie – odrzekł z ulgą, znów stając się mężem. – E-0 do czarnej roboty ma młodzież, do kodowania, szukania błędów, to u nich zakrawa na drugą naturę; nie mają pojęcia, że coś istniało przed FORTRAN-em czy COBOL-em. Moim zadaniem raczej jest marzyć, i to na

wielką skalę. Mam tu swój pogląd. Uważam, że kluczem do ogromnego rynku jest grafika. Jeśli znajdzie się sposób obejścia tych wszystkich wierszy komend, których trzeba się uczyć na pamięć, i sięgnie się zamiast tego po proste, sprzężone z intuicją obrazy jako interfejs, to każdy potrafi się tym posłużyć. A wtedy można robić gry.

– Czy ludzie naprawdę potrzebują jeszcze większych możliwości marnowania czasu? – Phyllis rzuciła przez ramię, wychodząc z pokoju.

Dunhamowie mieli rodzinnego prawnika i Jock przez moment rozważał skarżenie Owena o rekompensatę za szkody uczuciowe bądź zmuszenie Mackenziech do opuszczenia miasteczka; Owen i Phyllis przedstawili wobec tego swojego prawnika i Dunhamowie uznali w końcu, że najkorzystniejszym rozwiązaniem będzie sprzedaż rozległej rezydencji z werandą i przeprowadzka do Norwalk bądź Wilton, bliżej metropolii, gdzie dzieci trafią do lepszych szkół, Jockowi będzie bliżej do miejsc, w których pieniądze Dunhamów dotrzymają kroku lunchom nie ograniczającym się do trzech martini, a co do Faye, to tylko pięćdziesiąt minut będzie ją dzielić od manhattańskich sklepów, pokazów i wystaw. Owen wyobrażał sobie, jak Faye kroczy przez miasto, które on sam opuścił pięć lat temu, jak Faye radośnie chłonie jego blask, i poczuł ulgę podszytą zazdrością. Zawsze będzie ją kochał, była jego jedynym wyskokiem, wypadem w wyśnioną krainę seksualnej szczęśliwości, niestety

niepraktycznym: pozostawiającym w ustach posmak metalu, przyprawiającym o lęk, bo ów wyskok wpłynął na życie innych, spowodował ich przemieszczenie się, doprowadził do czegoś tak poważnego jak zmiana adresu i szkół dwojga oszołomionych, delikatnych dzieci Dunhamów. Do poślubienia Phyllis doszło pod nadzorem dorosłych; do przyjścia na świat jego własnych dzieci – tego jawnego wmieszania się w światowe statystyki – doszło pod nadzorem Phyllis. Ale rżnięcie się z Faye to był jego pomysł, a może jej, chętnie zaadaptowany przez Owena, owego dnia samotnego, jednego jedyne tylko z nią pod kwadratem nieba, z wronami, na łożu z miękkiej trawy za świątobliwą skałą.

Rekonwalescencję rozpoczął od skupienia się na domowych sprawach, na nadwreżonych więziach. Czwooro dzieci przewiercało materię świata jak dżdżownice; rozbijały czasem nosy o kamień w rodzaju złych stopni czy śmierci ulubionych zwierząt, lecz parły niepowstrzymanie, rosnąc, mówiąc coraz pełniejszymi, coraz bardziej złożonymi zdaniami. Okazało się nagle, że skończywszy dziewięć lat, Gregory ma głowę pełną sportowych statystyk. Iris, która skończyła siedem i pół, chętnie rozbierała swoje laleczki Barbie, żeby się potem przekonać, że nie potrafi z powrotem włożyć na oporne plastikowe ciała ciasnych maleńkich strojów. Owen wykazywał więcej cierpliwości niż Phyllis przy naciąganiu i zapinaniu tych skrawków; niektóre stroje przypominały mu te, w które radośnie ubierała się Faye.

Był dobrym ojcem, jak zapewniały Phyllis matki z ich kręgu, co ona powtórzyła z kolei jemu; lecz wiedział, że jest inaczej. Jako beznadziejnie zapatrzony w siebie jedynak nie potrafił zapewnić tym czterem małym istotom – z których każda była inną kompozycją genów Owena i Phyllis, każda wchodziła w odmienne stosunki z otaczającą kulturą, wszystkie zaś wtargnęły, jak intruzi, w wyniosły wszechświat – tej chorobliwie przesyconej oczekiwaniami troski rodziców i dziadków, którzy odarci z własnych nadziei, przenieśli je na niego. Byli w liczebnej przewadze, czworo dorosłych na jednego dzieciaka, a teraz czwórka dzieci miała liczebną przewagę nad nim. Owen mniej czuł się ich ojcem, bardziej bratem i ta sfraternizowana lekkość, miłość przetykana bądź rozrywką, bądź sadystycznymi ukłuciami cechowała jego ojcostwo w dobrym i złym. Z jednej strony Owen nie ciążył dzieciom, nie wsiadał im na kark, z drugiej nie dążył do kształtowania ich losów, do wpajania wzorów zachowań. W życiu jego dzieci niewiele było czegoś podobnego do męczących, dokuczliwych, a jednak pasjonujących spacerów niedzielnych, na które zabierali Owena rodzice. Zamiast tego był tylko wielki harmider: krzyki i przypiływy nawoływań o sprawiedliwość. Telewizja oraz inne dzieci – wpięrow z ludnego sąsiedztwa przy Common Lane, potem, przy Partridgeberry Road, dzieci przyjaciół dowożone i odwożone – wypełniały czas po lekcjach i burzliwym zajmowaniu się rodzeństwa sobą. Lata nauki Phyllis w całości upłynęły w szkołach

prywatnych, natomiast Owena w publicznych; postanowili wysłać na początek dzieci do tych ostatnich, co było dogodniejsze i bardziej demokratyczne, a w razie potrzeby nie odbierało szansy przejścia do płatnej szkoły prywatnej. Był dumny, że domownicy, których ma na utrzymaniu, mogą liczyć na jego, Owena, wsparcie niejako z wyżyn, chociaż prawdę mówiąc, Owen tkwił wśród nich, dzieląc zarówno rozrywki – były nimi *Captain Kangaroo*, *The Sound of Music* – jak i moralne tarapaty epoki, kiedy to rosnąca polityczna wściekłość usunęła w cień wakacyjne odurzenie. W każdym razie po czasach Faye znacznie wyraźniej znać było w Owenie ojca; przez całe lato raz czy dwa w tygodniu zjawiał się w porze lunchu nad Czaplím Stawem, wśród ważek, kanapek z masłem orzechowym i rozplotkowanych, niemal nagich matek.

Starał się też na nowo poświęcić pracy, cierpliwie nizać te długie, lecz skończone łańcuchy binarne, montować chwiejne rusztowania przypadkowości, które raz wprowadzone do użytku zapewniały firmom, w oparciu o elektroniczne migotanie, informacje ściągnięte z kartek zapisanych ręcznie czy na maszynie. Przypominało to robienie na drutach: jedno błędne oczko wymagało sprucia dziesiątków rzędów kodu, ale też całe łąty poprzednio udoskonalonych podprogramów standardowych mogły zostać wszydełkowane w świeżo dostosowany do zamówienia projekt. Wyjąwszy nagłe olśnienia, pomysły logicznych przegrupowań czy



skrótów, które mógłby docenić tylko inny programista, praca Owena wydawała się czymś pospolitym; ten rodzaj przekształcania danych, do którego Owen wdrażał duży komputer za dwieście tysięcy dolarów, można też było w większości systemów działających w firmach przenieść na karty perforowane; działał wtedy wolniej, niezgrabnie, lecz bez widocznej różnicy jakościowej. Nazywano to czule pożeraniem liczb, ubarwiając istotę sprawy: mozół.

– Ed, chyba musi być coś następnego, prawda? – Owen zagadnął kiedyś partnera podczas lunchu.

Dbali o to, żeby raz w tygodniu zjeść razem lunch tylko we dwójkę, bo sukces firmy, mnożenie projektów, przybór pracowników coraz bardziej wdzierały się między nich, jakby myślak w nazwie E-0 nieubłaganie się wydłużał. Ta restauracja była względnie najlepsza z trzech ostańców przy River Street. Śródmieście walczyło od lat. Puste sklepy wynajmowano, przerabiając je sprytnie na butik, na pseudoartystyczne sklepy papiernicze bądź sklepy z zabawkami edukacyjnymi, które po zaspokojeniu ciekawości klientów powoli więdły i znów pustoszały, z szybami wystawowymi zaklejonymi grubym papierem. „Brzydkie Kaczątka” miało na szyldzie łabędzia. Tylko dwa okna z tyłu wychodziły na rzekę, lecz wewnątrz wystylizowane na starą tawernę – dębowe, ciemno bejcowane belki, grubo ciosane klonowe stoły, kelnerki w fartuszkach z falbankami zasłaniającymi dzinsy – zapewniało przytulność i było litościwe dla uszu. Do mięsno-ziemniaczanego menu zakradły się włoskie

sałatki i zupy makrobiotyczne, niemniej Ed zamówił grubego reubena, z serem i tłustym pastrami, frytki i heinekena<sup>2</sup>. Od czasów IBM przytył dwadzieścia funtów. Sukces w zarządzaniu i droższe ubrania dodały powagi jego tuszy. W kontaktach z klientami, grając rolę twarzy firmy, przekonał się do garniturów, koszul i krawatów; Owen pozostał wierny studenckim spodniom khaki z lat pięćdziesiątych, miękkiej koszuli flanelowej uzupełnionej zimą o podkoszulek. Przygoda z Faye i bolesne następstwa wyszczupliły go o pięć funtów; teraz, pyszniąc się smuklejszą sylwetką, starał się trzymać z dala od nadwagi. Czuł się teraz zwinniejszy, groźniejszy. Zaczął nosić czarne golfy i zapisał się do halowego klubu tenisowego w Upper Falls. Kiedy mężczyźni już nie strzygli się tak krótko, Owen mógł się pochwalić sprężystymi, niemal kręconymi włosami.

– O co ci chodzi? – spytał Ed. – O życie prywatne? Już zdążyłeś zaliczyć coś następnego.

Owen oblał się rumieńcem; chciał wierzyć, że przygoda z Faye, jeśli nawet nie jest tajemnicą, to będzie tabu w rozmowach z Edem, który tak długo znał ich oboje z Phyllis, że zaczął się wydawać częścią ich małżeństwa.

– O komputery – burknął. – Ten OS/360 IBM zamienia się w jakąś sakramencką katastrofę. Kosztuje ich dziesiątki milionów, a wciąż nie mogą wypuścić go na rynek z powodu tych wszystkich dziur. Posadzili do niego tysiąc programistów w Poughkeepsie, a jak słyszę, mają coraz większy bajzel.

– Co mają robić? – spytał Ed z pełnymi ustami. – Muszą się przez to przeczołgać, jeśli liczą, że im się zwróci. Próbowali multiprogramowości i stał sęki. Im większy program, tym łatwiej może pierdyknąć. Wystarczy jeden błąd.

– To co innego niż sęki, Ed, to zasadnicza nierównowaga. Możliwości wciąż się podwajają, a oprogramowanie nie nadąża. Hardware rozwija się jak przemysł, to tkalnie. A software to wciąż stare krosna i chałupnictwo. Płatne od sztuki.

– Software nadrobi. Wszyscy dziś studiują elektronikę, wszyscy się w to bawią. Przypomnij sobie, jak to kiedyś rajcowna była metalurgia. Nie mówiąc o fizyce jądrowej. Czemu się mamy pietrać? Bo robimy na sztuki? Płacą nam.

– Płacą, ale zobacz, kogo na nas stać: banki, firmy ubezpieczeniowe, linie lotnicze, Pentagon. Najgorsze sztywniała pod słońcem.

Ed przerwał jedzenie i palnął przez stół, zgrywając się na uroczysty ton:

– Z bólem słucham, co wygadujesz, O, z bólem. Powiedz, dostałeś od życia wszystko, czego chciałeś?

Owenowi stanęła przed oczami Phyllis, bo wiedział, że stanęła też przed oczami Edowi. Czego jeszcze może chcieć od życia mężczyzna, zdobywszy Phyllis? O to pytały Owena sobie oczy Eda zza okularów tak grubych, że ciąg odbić nasaczył skośnie cięte krawędzie kolorem skóry. Owen nie wiedział, co odrzec, lecz wiedział, że Ed

w ocenie Phyllis nie stąpa twardo po ziemi.

– Właściwie chcę jednego, małego azylu oddzielonego od dupereli – odrzekł. – Moje biurko stoi akurat tam, gdzie największy ruch; wszyscy wciąż o coś pytają, proszą, żeby jeszcze raz sprawdzić tę czy tamtą metodę, przejrzeć schematy. Możemy tak zostawić to biurko, będę przy nim przez większą część czasu, ale może mógłbym mieć inne, w miarę własne, w kącie? Muszę gruntownie pomyśleć o przeróbkach, o nowej wersji, żeby DigitEyes znów były na topie.

Ed wrócił do jedzenia; reuben przysparzał mu kłopotów. Tłuszcz z pastrami wsiąkł w cienki chleb ryżowy, ten stał się śliski i wymykał się z rąk. Ed schylił wielką głowę, żeby ulokować usta pod wstążkami ciekącego sera, a pod tym dziwnym kątem dużo wyraźniej można było zobaczyć, jak jego włosy odsunęły się od czoła; kiedyś sterczały zjeżone, po chłopięcemu, jak włosy Buddy'ego Rourke. Edowi udało się wreszcie przełknąć kęs i odzyskać kontrolę nad reubenem, znów leżącym na talerzu obok frytek i papierowego kubka z surówką.

– Na tym polega ta twoja nowość? – powiedział. – Żeby się odciąć od głównego nurtu firmy? Dzieciaki, które zatrudniamy, nie umieją pisać programów gospodarczych. Wszystkie ich dyspozycje to GO TO, GO TO. Im się wydaje, że pojemności są dzisiaj nieograniczone.

– Już prawie mają rację. I mogą mieć rację.

– Zacznie wystawać za duży wór tych GO TO, a wyleżą na wierzch sprzeczności logiczne.

– Nauczają się, Ed. Wszyscy się uczymy, to wciąż młoda branża. Proszę tylko o odrobinę spokoju i jeden z tych nowych mini DEC. Chciałbym też PDP-8 i ekran do grafiki CRT, do tego teleksowy czytnik assemblerowy. Daj mi sześć miesięcy i skróć o połowę tkwienie w tych żarnach.

– Na tym polega ta twoja nowość. Wycofujesz się, odcinasz od nas.

– Ed, w ten sposób będę najbardziej wartościowy dla firmy, trochę z boku. Teraz jestem po prostu czołowym urzędasem. Cała ta zbratana fasada jest bezproduktywna, doprowadza mnie do szału. Mózg się starzeje. Czas ucieka. Spójrz na przełomowe odkrycia – większości dokonali faceci młodszy niż my. Einstein w wieku dwudziestu pięciu lat. To samo Turing. Phyllis twierdzi, że teraz już chyba nie da rady zrobić doktoratu z matematyki, bo za bardzo zgłupiała.

– Smutne, że Phyl tak sądzi. – Wysmarowanymi palcami Ed dotknął luźno zawiązanego krawata; ruch zbiegł się w czasie z kiepsko stłumionym beknięciem. Ed, jak szympan, wybrzuszył wargę nad górnymi zębami, usiłując pozbyć się kawałka pastrami.

– A może jesteś ciekaw, na czym polega moja nowość?

– Pewnie. Nie wiedziałem, że masz coś takiego na zbyciu. – Owen spiesznie zabrał się do sałatki z

cieczycy i makaronu w kokardki, żeby nadrobić straty wywołane zbyt długą przemową.

Pokoik, który miał na myśli – starą szatnię dozorców z jedynym okienkiem w metalowej ramie, za wysokim, żeby przez nie wyjrzeć, i rzędem sfatygowanych zielonych szafek, z których dawno poginęły zamki – znajdował się u szczytu stalowych schodów z betonowymi stopniami zbiegającymi do drzwi, które wychodziły na zniszczony chodnik prowadzący na mostek dla pieszych na rzece, na stałe zamknięty. Tędy za czasów starej fabryki zbrojeniowej przekraczali rzekę ludzie z dzielnicy robotniczych szeregowców. Teraz nikt nie używał tych drzwi obitych blachą pomalowaną na czerwono, żeby pasowały do cegieł; w ciągu dnia były jednak zawsze otwarte jako awaryjne wyjście przeciwpożarowe. Owen mógłby z nich korzystać niewidziany. Te drzwi, schody, osobny pokój zobaczył w myśli w świetlistej wektorowej formie, projekcja obracała się, jakby ją Owen przemierzał, geometryczne kształty przeobrażały się w rytm zmian matematycznych wyznaczników.

– Żenię się – powiedział Ed.

Cieczycowa miazga utknęła Owenowi w gardle. Zdołał ją przełknąć, popijając wodą, a potem wykrztusił:

– Fantastycznie. Najwyższy czas. Kto to? Znam ją?

– Mam nadzieję, że nie, rozpustniku – powiedział Ed, po raz drugi mając za nic Owenowe rygory poprawności seksualnej. – Osiem lat młodsza ode mnie, dziewięć od

ciebie, po prostu dziecko, O. Niewinne dziecko. Zmiłuj się.

Owena zakłuło serce. Phyllis była o rok starsza. Może ich problem polega na tym, na zwykłej biologii: mężczyzna powinien górować. Owen nigdy nie górował. Ed wykazał fantastyczną cierpliwość, wyczekał, aż będzie mógł się ożenić z kimś o tyle młodszym.

– Poznaliśmy się na konferencji – opowiadał Ed – tej takiej w Seattle, pamiętasz, byłem tam w zeszłym roku. Obwody scalone. Stacey była przedstawicielką Texas Instruments.

– Obwody scalone – powiedział Owen, chcąc udowodnić, że uważa. Nigdy nie pomyślał o Edzie jako ewentualnym mężu. Głupota. Do tego się nadaje prawie każdy, tak to jest w przyrodzie, z jej normalnym, monstrialnym marginesem błędu.

– Tak, jest właśnie od tych maleńkich układów. Zeszłego roku Texas Instruments wypuściły aparat słuchowy. W przyszłym będą promować kalkulator na biurko, lżejszy od kurczaka. Opowiadała mi to, jakby każdy wiedział, ile waży kura.

– Teksanka? – Czemu się czuję taki zdradzony? – pytał sam siebie Owen. Co mnie obchodzi, że Ed się żeni?

Liczył na to, że Ed pozostanie lojalny wobec firmy, a tymczasem wyobraźnia Owena mogłaby się błąkać wśród spraw wyższych bądź niższych. Bo Owen chciał się czegoś dowiedzieć o życiu.

– Nie taka, żebyś zaraz zauważył – odrzekł Ed. – Tak

naprawdę jej starzy są z Zachodniego Wybrzeża; tato pracował u Grummana. Stacey zawsze mówi „tatuś”. Przeprowadzili się do Dallas, kiedy miała dziewięć lat. Podłapała akcent i, co ważniejsze, postawę.

– Tekszańską.

– Właśnie; coś fantastycznego. Stacey uważa, że amerykański ideał wciąż żyje. Mnie już, kurwa, tak umęczyły te przemądrzałe dupki, te wschodnie smutasy, które uważają, że wszystko, co warto zrobić, zrobiono przed 1750 rokiem, które na każdym kroku się przypieprzają do Ameryki i Johnsona.

– Też Tekszańczyka.

– Racja, cholera jasna. Johnson w dwa lata zrobił więcej dla czarnych niż święty Franklin Roosevelt przez dwanaście, a te wszystkie trzęsące się liberalne zgniłki walą w niego, wyzywają od kowbojów i buraków.

Do Owena dotarło, że Ed sam uważa się za kowboja, z Bronksu. Tymczasem dziewczyna z Teksasu widzi w nim wbitego w garnitur twórcę imperiów elektronicznych godnych iglicy Empire State.

– Kiedy ją poznamy? – zapytał Owen.

– Wkrótce. Chciałbym, żebyś był moim drużbą.

Owen się zarumienił.

– Z przyjemnością, Ed. Jestem wniebowzięty, jak to się mówi. – Odsłaniał się rąbek nadziei; może się doczeka po przygodzie z Faye przywrócenia do łask towarzyskich. Nie wiedział, czy tego chce.

– Kiedy się odbędzie to radosne wydarzenie?



– Nie chcemy zwlekać, może w maju. Później robi się tam gorąco jak cholera. Potem przyjedziemy tutaj, zaliczymy wschodnie lato, zanim nastanie długa zima. Ona nie ma pojęcia o północnej zimie. Śnieg widziała tylko na szczytach gór, w paśmie San Gabriel. – Już i Ed podłapał górnołotny ton znawcy geografii i klimatów.

Zjawiała się kelnerka, by zaproponować deser lub kawę. Ed uznał, że warto spróbować ciasta śliwkowo-figowego z bitą śmietaną i cappuccino. Owen pozostał przy herbacie miętowej.

– Jak ją poderwałeś? – spytał Eda. – O niczym nie miałem pojęcia.

– Nie bardzo się interesowałeś. – Ed po raz trzeci poczęstował Owena szpiłą na tle prywatnych spraw. W Middle Falls zgodnie uznawano, że Owen Jeszcze nie ma za sobą” Faye. – Bywałem na Południu, ona bywała tu parę razy. Poznały się z Phyllis.

– Z Phyllis? – Przed Owenem wylądowała herbata miętowa, czyli gorąca woda podbarwiona na zielono. Ciasto Eda wyglądało tak solidnie i obficie jak torcik czekoladowy, w czapeczce z bitej śmietany. Owenowi ślina trysnęła do ust. Tak to już ma wyglądać do końca życia? Wyrzeczenia? – Phyllis nic mi nie powiedziała.

– Boją o to prosiłem. Phyllis bardzo polubiła Stacey. – Ed spojrzał na Owena z ukosa, jakby pytając, czy partner poważy się na sprzeciw.

Ed szukał przyzwolenia u Phyllis i je otrzymał; to wszystko za plecami jej męża. W każdym z nas toczy się

jego własne życie, pomyślał Owen, kryją się tajemnice, które musimy chronić. To spostrzeżenie wpasowało się najwyraźniej w jakąś część Owenowego wyzwolenia.

Okazało się, że Stacey to sam powab. Szczupła, o delikatnych kościach, w ruchu i podczas mówienia wydawała się wiotka. Bieg jej słów pozornie opóźniały miękkie, szerokie usta, wydawały się jakąś po dziecinnemu ujmującą przeszkodą. Była o tyle młodsza od Eda, Owena i Phyllis, że nie знаła ich niektórych zahamowań. Lubiła pływać nago w basenie z podgrzewaną wodą; nieco pretensjonalny dom z tym basenem Ed kupił na nowym osiedlu na stoku przy Wilson Drive. „Woodrowa, Charliego czy Dona?” – spytał kiedyś Owen, lecz Ed tak był zauroczony stanem małżeńskim, że nie usłyszał sarkazmu<sup>3</sup>. Już drugiego lata Owen i Ed zdążyli się przyzwyczaić do nagości Stacey, a przytrafiały się wieczory, w których towarzyszyła jej Phyllis. W końcu to nic gorszego od łaźni, która podobno wychodzi na zdrowie. Co do figury, to starsza z kobiet, o jędrnych piersiach i brzuchu – od kiedy przestała bezustannie zachodzić w ciążę jak zaklęta – nie wyglądała ani trochę gorzej niż Stacey, wprawdzie młodsza, ale zwiotczała. Ed i Owen nie rozstali się z kąpielówkami.

– Słodziutcy, jak się ślicznie wstydzą, prawda? – powiedziała Phyllis do Stacey.

Basen nie tylko był podgrzewany, miał też podwodne światła, które uwydatniały kształt rozkołysanych bioder i

kotłujących wodę nóg. Głowy obu kobiet na pozór zmalowały, bo włosy przylgnęły do skóry.

– Chyba mają rację! – odkrzyknęła Stacey z nosowym teksańskim akcentem. – Boją się, żeby im kto nie odrąbał tych malutkich wacków.

– Albo nie wyśmiał – Phyllis podsunęła mniej krwawą wersję.

– Właściwie na jedno wychodzi – zapewniła Stacey.

Mężczyźni, którym dokuczały, siedzieli w mroku na aluminiowych krzesłach, zbrojni w puszki piwa, tymczasem ich syreny to pojawiały się w światłach basenu, to znikały. Stacey postanowiła wyjść; młócąc wodę, dopłynęła do drabinki, stanęła na skraju basenu, przekrzywiła głowę i wykręciła długie czarne włosy jak ręcznik. Chociaż światło miała za plecami, Owen mógł zobaczyć wodę spływającą z trójkąta włosów łonowych, jakby między smukłymi udami rosła kozia bródka. Bez pośpiechu, zostawiając na płytach okalających basen ślady dużych stóp, wybrała się na poszukiwanie ręcznika, żeby się owinać. Wolną ręką, nie tą, którą przyciskała do piersi materiał, wywlokła papierosa z paczki leżącej na białym ogrodowym stoliku, a potem, wciąż z głową przekrzywioną jak przy wykręcaniu włosów, zdołała mokrymi palcami zapalić. W tej pozie wygląda najbardziej efektownie, pomyślał Owen, patrzy spod przymrużonych powiek, wypuszcza dym, a podświetlone od tyłu schnące włosy przypominają płonący stóg siana. Wraz ze Stacey wtargnął do Middle Falls powiew

kontrkultury. Jakoś umiała się wystarać o trawkę w małych celofanowych kopertach, o bibułkę i cała czwórka, zazwyczaj w niedzielne wieczory, raczyła się w saloniku Mervinów. W piątki i soboty albo zapraszano na kolacje, albo na nich bywano, czasem organizowano tańce z takiego czy siakiego ważnego powodu, dom Mackenziech zaś był zbyt krępujący, z tą całą dzieciarnią nadstawiającą uszu na piętrze. Ed i Stacey nie chcieli mieć dzieci, przynajmniej na razie. W jakiejś mierze był to wstrząs dla Owena; Phyllis go uraziła, bo chyba to akceptowała.

– Pewnie, lepiej się nie śpieszyć – powiedziała, robiąc skromną chłodną *moue* wyrażającą troskliwość. – Teraz dzieciaki patrzą na to zdrowo, seks owszem, byle się nie dać przyskrzynieć.

– Przyskrzynieć? – spytał dotknięty Owen. – A któż to niby przyskrzynia?

– Nikt, serduszko, po prostu tak bywa. Bywało. Podasz wreszcie komuś tego skręta? Czy będziesz się z nim wciąż cackał, czyś ty zgłupiał?

– Naprawdę myślisz, że Owen zgłupiał? – słodkim teksańskim głosem pytała w zwolnionym tempie Stacey. – Nie sądzę, żeby zgłupiał, po prostu jest oszołomiony.

W wyobraźni Owena ostatnie słowo wyciągnęło się jak lasso. Od kiedy to kobiety zaczęły mówić o nim jak o kimś nieobecnym? Oskarżany niemal o pomieszanie zmysłów otrzymał oto status dowodu rzeczowego.

– Chodzi ci o to... – zaczęła Phyllis, lecz kiedy

zrzekła się skręta i przekazała go Edowi, myśl jej umknęła; Ed przybliżył kopący obiekt do oczu krótkowidza i przyglądał mu się jak jakiejś obrzydliwej zagadce.

– Jaranie – oznajmił – zżera komórki mózgowe.

– Fakt – zgodził się Owen, jak zawsze pragnąc dochować męskiej solidarności – ale tak samo działa starzenie się. Komórki mózgowe umierają przez cały czas, mimo to mózg wciąż ma ich więcej, niż wymaga większość zadań. – Wyartykułowanie tak rozbudowanej myśli wydawało się cudem, jak łańcuch DNA.

– Posłuchaj ich – powiedziała Stacey do Phyllis. – Przejmują się wielkością swoich mózgów. Istni macho, prawda?

– Mężczyźni – podjęła Phyllis – wdają się zawsze w liczby i miary. O to ci chodzi, że Owie, jak go nazywasz – mówiła uroczo, lekko, niefrasobliwie; Owena zawsze przyciągał ten jej niepewny siebie głos; jeszcze za czasów MIT zamieniał się w słuch, usiłując wyłowić z gwaru to brzmienie – wciąż jest oszołomiony z powodu przygody, którą miał przed wiekami z tą śmieszną kobietą? Już zapomniałam, jak się nazywa.

– Faye Dunham – podrzucił Ed; zaciągnął się ostrożnie, skręt zmieniał się w niedopałek. W te niedzielne wieczory brano na tapetę komplet plotek z Middle Falls, dzięki czemu Stacey była na bieżąco, łącznie z przygodą Owena, przeważnie przedstawianą przez Phyllis nie tylko jako dramatyczne naruszenie

przysięg małżeńskich, lecz także psucie dobrze pojętych własnych Owenowych interesów, nie wspominając już o braku szacunku do siebie. Stacey wyglądała na zainteresowaną, co Eda wprawiało w zakłopotanie; dawał mu wyraz, milknąc lub wygłaszając lakoniczne oświadczenia. – Faye była OK – powiedział. – Tylko się łatwo nudziła. Popadła w burzliwy okres; bądź co bądź wyszła za takiego gazmajstra.

– Ty, złotko, nigdy popadniesz w taki okres? – zamruczała Stacey.

– Ja? Jakim cudem? – zapytał.

Nikt nie znał odpowiedzi. Czy chodzi o to, że jest za gruby? Czy o to, że Stacey jest żoną aż nadto doskonałą? Kobiety były już ubrane. Stacey usiadła na podłodze na dużym indiańskim dywanie, stanowiącym część jej posagu. Wokół Stacey wibrowały pasy czerni, czerwieni, zieleni i ugru, tradycyjne wzory Nawahów. Siedziała w pozycji jogi, minispódniczka podsunęła się jej na udach, ledwie zakrywając majtki. Obok zgarbionego Eda siedziała na jasnej sofie wyprostowana Phyllis; zaciągając się, wydłużała i tak już długą szyję. Owen rozsiadł się w dużym, tekowym sprytnie zaprojektowanym duńskim fotelu, zapewne własności Eda jeszcze sprzed założenia firmy. Popijali mocno rozcieńczonego wodą sodową burbona; z tym że Ed wolał piwo. Phyllis podała Stacey pozostałości skręta. Stacey wykrzyknęła z podłogi:

– Jak się wam udało tak zmoczyć tę nieszczęsną resztkę? Kto się tak ślini, złotko?

- Ja nie – oparł Ed. – Ja podałem dalej.
- Teraz będę musiała skrócić następnego – poskarżyła się jego żona.
- Jeśli dla mnie, to pas – powiedziała Phyllis. – Dziwnie się czuję.
- Po sporej, jak się zdawało, chwili odezwał się Ed:
  - Przyda ci się trochę powietrza. Chodź, przejdziemy się.
  - Na czym polega to „dziwnie”? – spytał Owen.
- Miał wrażenie, że w pokoju pojawiła się jakaś osobliwa dwoistość czasu, który biegł bardzo powoli, kiedy mówiono, a potem w chwilach ciszy mknął, w sekundach gęsto wypełnionych śpiesznym pulsowaniem.
  - Flaki mi się wywracają – uściśliła Phyllis i rzuciła w powietrze pytanie: – Kto by pomyślał, że ten kraj skończy na zrzucaniu w Indochinach napalmu na chłopów i dzieci?
  - Nie gorzej potraktowaliśmy Indian – powiedziała Stacey.
  - To sami chłopcy i same dzieci? – Owen zapytał Phyllis, jakby nie mieli w domu czasu na wymianę poglądów, co było po części prawdą. – Czy też trafiają się między nimi ci z Wietkongu, którzy zakopują żywcem naczelników wiosek głową w dół i usiłują narzucić południowym Wietnamczykom jakiś groteskowy bezrząd?
  - Dobre pytanie – przyznał Ed.
  - Owen, biedactwo – powiedziała Stacey; kiedy

usiadła na podłodze u stóp Owena, zdawało się, że jej twarz pływa w falach włosów, przez szklany blat stolika do kawy Owen mógł przyjrzeć się opalenźnie na jednym z jej kolan. – Taki patriota. Jak Teksasczycy pełnej krwi.

Phyllis wstała; westchnęła głęboko i zaszeleściła materiałem, co przypomniało Owenowi, że jest taka okazała i że była taką partią.

– Chyba mi dobrze zrobi trochę powietrza – powiedziała. – Zresztą, Owene, trzeba już wracać do domu, ratować opiekunkę.

– Racja – przyznał, lecz ani drgnął. Życie smakowało także tutaj, z tym obiecującym nowym małżeństwem, w mieszczańskim dostatku. Nie dawała mu spokoju myśl o zapodzianym skrećcie, miał nadzieję, że nigdzie nie wypalił dziury. Przytknął do warg szklaneczkę z rozcieńczoną whiskey i pociągnął; w jego wyobraźni szklana krawędź przeistoczyła się w zimny, kruchy łuk.

Ed podniósł się ciężko, powtarzał ruchy Phyllis o tempo później. Toczyła się między nimi jakaś dyskusja, dla Owena równie mętna i niedorzeczna jak debaty rodziców, które podsłuchiwał w dzieciństwie, jako trzy-lub czterolatek. Mógł słuchać i pojmować chłodną i jasną połowę umysłu; ale uwagę Owena skupiała druga połowa, doświadczająca właśnie niecodziennej szczęśliwości; ta szczęśliwość runęła na Owena, przeszywała go jak chmura neutrin, które bilionami wylewają się ze Słońca, nawet teraz, nocą. To była rozkosz: pod palcami gładka faktura tekowego drewna,



czarne, czerwone, ugrowe i kaktusowozielone zygzaki Nawahów na grubej wełnie na wprost oczu; te, a nie inne słoje drewna w szerokich, wyblakłych deskach na podłodze, pozwalające poznać cykle przyrostu w dalekiej puszczy świerkowej; styk czystej białej płaszczyzny sufitu z pomalowanymi na biało ceglami odsłoniętego komina Mervinów; koński zapach wilgotnych włosów siedzącej w pobliżu Stacey; ciche, podobne do dziobnięć strzępy rozmowy dorosłych; poczucie własnej świadomości rozciągające się wzdłuż ciała, jakby świadomość była jedwabną długą szatą leciuteńko potracającą skórę Owena zawsze z tej strony, w którą Owen zechce skierować uwagę; powietrze zawarte w tym pokoju, ów jeden jedyny równoległoscian wykrojony z bilionów stóp kwadratowych domowej przestrzeni całej Ameryki, ciasno a swobodnie wypełniony ludzką miłością, Owena do żony, Owena do partnera, a teraz i do partnerki partnera, której mocno opalonego kolana już nie było widać przez szklany blat stolika do kawy, bo Stacey tymczasem przysunęła się bliżej, pod duński fotel, na którym siedział Owen. Owe szczegóły, ożywione i nieożywione, osiadły w neuronowej strukturze Owena obdarzone tą utraconą czystością rodem z najzupełniej realistycznego cudu: choroby w dzieciństwie, kiedy człowiek tkwi w łóżku zwolniony ze wszystkich obowiązków z wyjątkiem jednego – istnienia, przetrwania, kontynuowania siebie. Jak mógł zapomnieć na tak długo o tym fundamentalnym skarbie, o wymiarze

rozkoszy i olśnienia zaklętym w rzeczach?

Rodzicielskie głosy przenikały się w holu; po odgłosach otwierania i zamykania drzwi rozległ się warkot ruszającego samochodu i cichł w miarę odjeżdżania.

– Co się stało? – spytał Owen Stacey, której twarz znalazła się teraz tuż koło jego kolan.

– Phyllis poprosiła Eda, żeby ją zawiózł do domu. Bała się, że puści pawia.

– Nie może puścić tutaj?

Zdawało mu się, że twarz Stacey jest szersza, niż sądził do tej pory, bardziej inteligentna; że dobroć formuje każdą cząsteczkę kragłych beztroskich warg. Znali się już dwa lata, a Owen nigdy nie zauważył tego opiekuńczego, anielskiego rysu Stacey.

– Phyllis martwi się też o opiekunkę – powiedziała.

– To kto odwiezie opiekunkę, skoro Phyllis zrobiło się niedobrze?

– Ed.

– A co ze mną? – spytał Owen. – Dlaczego z tego wszystkiego zostawili mnie tutaj?

– Nikt cię nie zostawił, dziecino. Phyllis prosiła, żebyś z nią pojechał do domu, ale nie chciałeś.

– Odmówiłem?

– No dobrze, po prostu nie odezwałeś się. Siedziałeś tu, normalnie narąbany, a według Phyllis to chyba idiotyzm, żeby zostać i się wykłócać.

– Myślałem sobie, jakie to wszystko cudowne, tu,

między nami czworgiem. A Phyllis też ma swoją negatywną stronę.

– Wiem, że ma, słonko. Wiem. Wiem wszystko o was. Ed wciąż o was mówi. Phyllis nie powinna ci była pozwolić na Faye; no a ty sobie odpuściłeś. Mogę być szczerą?

– Możesz być szczerą.

– Kiedy patrzę, jak to jest, że sobie odpuszczasz, smutno mi się robi. „Smuuutno”. Owen, kurczę, to pic, co ty wyprawiasz, to zmyłka, zwykłe zachowywanie pozorów.

– Naprawdę? Skąd mam to wiedzieć? Nie sędzę, że tylko dbam o pozory. Nie czuję nic takiego. Tak samo z komputerami, kiedy wszyscy pytają, czy komputer myśli. No dobrze, a ludzie? Można o nich powiedzieć tylko tyle, że myślą, że myślą. – Zbijał zarzuty; chłodno myśląca połowa mózgu podpowiadała, że te stanowcze sądy o Owenie Stacey głosi z wyrachowania, chociaż ogólnie rzecz biorąc, może coś w nich jest.

– Taaa – powiedziała Stacey. – Piękny, uwięziony biedaku.

Ciepła szeroka twarz Stacey przysunęła się jeszcze bliżej, między uda Owena, rozmarzonego, rozciągniętego na tekowym fotelu Eda. Oparła twarz o wnętrza ud Owena; czuł przez materiał spodni wypukłość jej policzków, kiedy się śmiała.

– Uwięziony? – spytał, usiłując jakoś dostosować słowo do tych powierzchni, do ścian i mebli, które

zaledwie przed paroma sekundami były takimi skarbcami szczęścia. Trzeźwą część mózgu Owen odczuwał jak drzazgę tkwiącą w substancji minionego objawienia. – A kiedy wraca Ed? – zapytał. Ludzie są w niewłaściwych miejscach i Owen musi to naprawić.

– Jeszcze nie teraz, moje ty słodkości – powiedziała Stacey, wciąż uśmiechnięta; doskonale białymi kalifornijsko-teksańskimi zębami nagryzła dolną wargę, jakby chciała pokosztować własnego uśmiechu. – Chcę coś zrobić, Owenie. Będiesz tylko musiał okazać cierpliwość. – Środkowym palcem i kciukiem złożonymi jak do rozwiązania kokardki, pociągnęła końcówkę suwaka i rozpięła Owenowi rozporek. – Tylko się nie denerwuj, po prostu chcę go zobaczyć, sama i tylko sama – głos brzmiał kojąco, ale z odrobiną rozdrażnienia.

Za oknami było ciemno. Ustał ruch na Wilson Drive; niedziela, późny wieczór. Właściwie byli sami, lecz potem do Owena nie całkiem wyraźnie dotarło, że przecież jest świat, te wszystkie atomy, neutrina, elektrony; one są z nami zawsze. Zręczna ręka Stacey znalazła rozporek w bokserkach, a potem na wolność wydostał się ten zaspany mały członek i znalazł w jej ciepłych miękkich ustach. Owen poczuł, że twardnieje.

– Nie – powiedział.

– Nie? – powtórzyła zaskoczona; cofnęła się o cal lub dwa, jej usta zdawały się wciąż zachowywać kształt tego, co przed chwilą w nich było, wilgotnych, ciepłych. Należy do innego pokolenia, pomyślał Owen jakby z

oddali, to dla niej żadna sprawa. Obciągnięcie druta to tylko życzliwy gest. W nozdrzach wzbierał mu zapach jej wilgotnych włosów, tego końskiego ogona. – Z powodu starej Phyllis?

– I Eda. Pomyśl o Edzie, tego mu nie możemy zrobić – poprosił. – Ani Phyllis. Ona potrzebuje twojej przyjaźni, Stacey, naprawdę nie może sobie pogadać z tutejszymi kobietami. Widzę, że jest na luzie tylko tu, z trojgiem nas. Bardzo cię lubi.

– Naprawdę? – Palant ani myślał słuchać Owena; obudził się i coraz bardziej twardniał. Dostrzegła to Stacey i powiedziała: – Spójrz na tego miłego przyjaznego wacusia. Faye opowiadała o nim cuda przyjaciółkom, a one mnie.

Z trudem mógł to sobie wyobrazić i w końcu dał spokój.

– Nie możemy narobić zamętu – upierał się. – W E-0 Data i w ogóle.

Skarcona Stacey przysiadła na gołych piętach i zaczęła się tłumaczyć:

– Owen, ja cię po prostu tak lubię, szkoda mi, że miałbyś się marnować; no nic, to pewnie przez trawkę.

Z obrzydzeniem spostrzegł, że sam sobie wmówił odstąpienie od całkiem niezłego układu. Miękł, słuchając tej jednej strony.

– Możesz zrobić trochę więcej, jeśli chcesz – podsunął. – Mnie tylko o to chodzi, że na dłuższą metę...

– Nie, nie, kochanie. Schowaj go – powiedziała,

miętko podniosła się i obciągnęła spódniczkę, rozprostowując fałdy; na tych dużych opalonych stopach kołysała się w przód i w tył, żeby zachować równowagę, a jednocześnie gniewnie wpatrywała się we własny pokój, jakby ściany były świadkami jej odtrącenia.

– Posłuchaj – powiedział – to było fantastyczne, ale...

– Owen, masz sto procent racji, nie wiem, co mi strzeliło do głowy.

– Żałowałaś mnie – przypomniał Owen.

– Może coś w tym rodzaju. Ale, złotko, nie powinieneś dziewczyny zwodzić. Zostaniemy przyjaciółmi. A ilekroć poczuję mrówki w cipie, zaraz jej powiem: Hej, ty tam, zamknij paszczę.

Owen roześmiał się, zajęty chowaniem spłoszonego penisa w opornych spodniach, potem zaciągnął zamek.

– Mówisz coraz bardziej z teksańska.

– Staram się nad tym panować, bo denerwuję tym Eda. Jest bardzo niepewny siebie.

– Nigdy nie zauważyłem.

– A tak. Nie lubi być taki gruby, ale mu powiedziałam, że samo z siebie nie minie.

– Karm go sałatkami – podsunął Owen. Ta połowa głowy, która była chłodna i trzeźwa, została zepchnięta na bok i ściśnięta tuż nad prawym uchem. – I łóżkiem. – Czy to ostatnie zdanie w ogóle mu przyszło do głowy? Stacey nie zareagowała; kręciła się po saloniku, zbierając brudne szklanki i kieliszki, czyszcząc popielniczki. Czy jest aż tak homoseksualny, żeby dbać o życie łóżkowe Eda?

Kiedy ze Stacey ujdzie podniecenie, pewnie dostrzeże, że nią wzgardzono, i wkurzy się, co się zowie. Już wpadała i wypadała z pokoju, kręciła się po kuchni z nadmiarem energii godnym zamykania sklepu. Owen nie mógł oderwać myśli od jej ciepłych, miękkich ust, z żalem i cierpkim przeświadczeniem o racji. Stacey jest Eda, Phyllis jest jego; czy sprawy muszą wyglądać tak prosto?

Zabiegi domowe Stacey wkrótce powinny się sprowadzić do pytania, jak spławić Owena, lecz oto druga para otworzyła wejściowe drzwi. Wrócili.

– Co się stało? – spytał Owen, zerknąwszy w dół, by sprawdzić, czy rozporek został zapięty. Phyllis podążyła za jego wzrokiem, ale jak zwykle pełna godności nie zniżyła się do niczego.

– Ed podwiózł mnie w stronę domu, ale jak wyszłam na dwór i przejechałam się przy otwartym oknie, poczułam się lepiej, więc pomyślałam, że powinniśmy wrócić. Tęskniliście za nami?

– Tęskniliśmy – powiedział Owen. – Czuliśmy się porzuceni. Już nam zabrakło tematów do rozmowy.

– To wracajmy do domu, kochanie. Czy jesteś zbyt podcięty, żeby prowadzić? Bo ja, zdaje mi się, wciąż za słabo kontaktuję.

Ed i Stacey szeptali między sobą, więc Owen miał wrażenie, że został okrutnie odtrącony od tej pary. Wstał, zgarbiony na wszelki wypadek, gdyby coś jeszcze można było dostrzec. Po pantoflarsku wywinał się z ust żony współnika, ale jej natarczywość odsłoniła mu na nowo

sferę możliwości. Poczul zew życia wielopostaciowego. W modzie byli mroczni bogowie. Postanowił w duchu, że stanie się uwodzicielem. Już nigdy nie potraktuje tak okrutnie swego nieszczęsnego palanta.

Był rok 1967. Walt Rostow<sup>4</sup> zapewniał, że „zwycięstwo jest tuż za rogiem”. Robert McNamara, nie taki pewien, zrezygnował ze stanowiska ministra obrony i został szefem Banku Światowego. Rap Brown utrzymywał, że bunty czarnych w Newark i Detroit to tylko próba kostiumowa przed rewolucją. Świetlana Allilujewa, córka Stalina, uciekła właśnie na Zachód. Wystrzelono satelitę Lunar Orbiter V, żeby sporządzić dokładną mapę powierzchni Księżyca, włącznie z odwrotną stroną. Mistrz świata wszechwag Muhammad Ali oświadczył: „Osobiście nic nie mam przeciwko tym ludziom z Wietkongu”. W San Francisco około stu tysięcy hipisów zapewniało: „Haight Is Love”, a Golden Gate Park grał rolę gopodarza w wielkim „połączeniu”<sup>5</sup>.



## 10. SEKS W MIASTECZKU V

Owen wraca we śnie do Middle Falls; krąży między domem przy Partridgeberry Road, centralnie posadowionym biurkiem w E-0 Data i swym ustroniem na tyłach starej fabryki broni nad Chunkaunkabaug, pokoikiem wyposażonym w komputer DEC PDP-8 i lampę katodową, w biurko, telefon i sofę obitą skajem. Między tymi życiowymi biegunami rozpina się sieć ulic, z trzema restauracjami, dwoma bankami, Woolworthem, pralnią chemiczną i warsztatem szewskim, który zaczął nieźle prosperować dzięki popytowi na skórzane hipisowskie sandały i chodaki. W czasach poprzedzających stworzenie CVS miasteczko miało rozliczne sklepy spożywcze, drogerie i apteki<sup>1</sup>; w najstarszej z nich, leżącej na wzgórzu Armoryś Pharmacy, na paru odleglejszych półkach wciąż trzymano cudowne leki z wyblakłymi już nalepkami z końca XIX wieku, wystawę zaś zdobiły dwa wielkie flakony z symbolicznymi barwnymi cieczami, jodynowoczerwoną i lakmusowoniebieską, tradycyjnie, od średniowiecza stojące tam, gdzie śpieszy uzdrawiać farmakologia. W innej, bardziej prywatnej sferze sieć wytyczali dentysta, następnie małomówny i antypatyczny lekarz, który umiał się tylko żalić, po nim pediatra od licznych pomniejszych dolegliwości dziecięcych, wreszcie okulista, wysoki i łysy Żyd, którego bolały plecy, więc krzywił się podczas

copółrocznej wizyty, kiedy nachylony zakrapiał oczy płynem rozszerzającym źrenice, na koniec widywany raz w roku ostronosy kretopodobny doradca podatkowy, który gwałtownie machał rękami, kiedy pojawiała się groźba, że Owen wyjawi coś, czego doradca wolałby nie słyszeć. Były też szkoły – publiczne do chwili, w której Gregory skończył trzynaście lat – co oznaczało powtarzające się wywiadówki, recitale, szkolne przedstawienia, koncerty chóru i rozgrywki drużyn sportowych, zazwyczaj w słotę. Były też komitety: Owen chodził na zebrania Izby Handlowej oraz Komitetu do spraw Potrzeb Budynku Szkolnego; Phyllis na zebrania Klubu Ogrodniczego i Towarzystwa Rewaloryzacji Śródmieścia, ponadto na próby zespołu madrygalistów i lekcje jogi.

W tej gęstej sieci, śni Owen, rozkwita gdzieś gwałtownie związek z Julią; niewielką, mocną, stanowczą, zaskakująco seksowną Julią, lecz Owen wciąż ją traci, po prostu za trudno przychodzi podtrzymywanie tej potajemnej, niebezpiecznej znajomości; pośpieszne rozmowy przez telefon, podczas których brak tchu, podszyte paniką schadzki gdzieś na obrzeżach miasteczka przenikających się z obrzeżami innych siedlisk; we śnie upływają tygodnie, ale nie udaje się nawiązać kontaktu; przedmiot miłości Owena pogrąża się coraz głębiej, przytłoczony codziennością, szacownym i grubym splotem powinności obywatelskich, pracy i ojcostwa; związek, który powstał w gorącym rozbłysku namiętności

podobnym do letniej błyskawicy i był wzajemnym odnalezieniem się, teraz stygnie, obraca się w nicość, jak letnie więzy dzieciaków rozpadające się wraz z końcem wakacji. Mijają dni, nieosiągalna Julia więdnie i coraz bardziej maleje, w końcu wypada z tej sieci, na zawsze utracona, przywalona jałową krzątaniną „normalnego”, cnotliwego życia. Przestach wyrывa Owena ze snu; osamotniony, oszołomiony, dopiero po chwili zaczyna sobie powoli uświadamiać – wpatrzony w tapetę, w szparę pod roletą, gdzie już widać blask bezlitosnego nadmorskiego słońca – że utraconą kobietą jest Phyllis; to ona zapadła się pod powierzchnię wydarzeń, a Owen i Julia, dawno temu prawowicie poślubieni, już od dwudziestu lat mieszkają razem w Haskells Crossing w stanie Massachusetts.

W Middle Falls do miejsc kluczowych zaliczała się plaża z piasku nawiezonego nad Czapli Staw. Z nadejściem lata młode matki – znajome Owena już bliskie półmetka na drodze do siedemdziesiątki, lecz jego zdaniem wciąż urocze – zabierały tu dzieci, szalejące nad wodą przez parę południowych godzin, potem częstowały je lunchem i odwoziły do domu na drzemkę; czasem wracały jeszcze po południu, kiedy cienie się wydłużały, a czas nieśpiesznie osuwał ku porze kolacji dla dzieci: po piątej. Wyrośli już z tego dwunastoletni Gregory i dziesięcioipółletnia Iris; już ich nie wabiła ciepła brązowa woda ani piłka na uwiezi u kiwającego się słupa na środku kręgu wydeptanego do gołej ziemi, już nie wabiły

piknikowe ławki, stoły z wyciętymi nożem inicjałami, pomalowane na zielono beczki po oleju opatrzone napisem „śmieci”, skorodowana aluminiowa zjeżdżalnia nad brzegiem ani krzesło ratownicze, wciąż zajmowane przez dyrektorską córę o prostych włosach i mahoniowej cerze – też już nie nastoletnią. Dawniej pulchna, teraz nabita, wręcz groźna, ze śladem wąsa nad wargami przebarwionymi bielą cynkową, o podejrzenie włochatych grubych nogach, co mogło uchodzić za oświadczenie polityczne. Włosy stanowiły wśród młodych znak rozpoznawczy; rozkwitło owłosienie pod pachami, chłopakom zaś zniknęły uszy. Gregory ze swą strzechą stał się mini-Beatlesem, a przed strzyżeniem bronił się, jakby chodziło o napaść lub bolesny zastrzyk. Posłusznymi bywalcami plaży nad Czaplím Stawem pozostawali drugoklasista Floyd oraz Ève; kiedy Owen podjeżdżał tam na lunch czerwoną corvette stingray (na ten wóz, tylko dla siebie, zdecydował się w roku 1968), widok dwojga malców i Phyllis wydawał mu się jakimś świeżym odkryciem. Lubił patrzeć na żonę na plaży; białe bikini podkreślało jasną, różowawą opaleniznę. Prawie naga, lecz wciąż majestatyczna Phyllis wydawała się tą, o której kiedyś zamarzył, a zaniedbana plaża na jeziorze, pełna brązowonogich chłopczyc przypominała jakiś raj utracony. Matki rozkładały koce na trawie i podjadały z dziećmi; jak zwykle Alissa Morrissey pokpiwała z bomby kalorycznej, jaką w istocie jest słodka pianka. Przy niewielkim wzroście Alissy rzucał się w oczy każdy

nadprogramowy funt, ale Alisę przenikały jakiś niepokój, nerwowość czy dwuznaczność i nie pozwalały tyć, trzymały sylwetkę w ryzach, Ian, jej mąż, stawał się podobno coraz trudniejszym człowiekiem. Wbrew ówczesnej modzie na długie ciemno farbowane włosy, Alissa pozostała przy naturalnym odcieniu tabaki z jaśniejszymi pasemkami; strzygła się krótko, włosy, które szcztokowała do tyłu, wyglądały jak uformowane przez pęd powietrza na mknącym motocyklu. Nawet podczas wylegiwania się na plaży nie zdejmowała okularów w plastikowej oprawce cielistego koloru; szaroniebieskie oczy, jakby spłowiałe, w odcieniu spranego dżinsu, zerkwały ku Owenowi częściej, niż wypadało, i dostrzegł to. Mężczyźni stanowili nad Czaplim Stawem rzadki widok. Kiedy Alissa uśmiechała się w odpowiedzi na jakąś uwagę Owena, jej wargi wyginały się, jakby miały go ogarnąć – jakby Alissa czytała w myślach Owena i wiedziała o tamtym mrocznym zajściu ze Stacey oraz o prostym postanowieniu podjętym zaraz potem. Owen był osiągalny.

Któregoś wieczoru, może sylwestrowego, kiedy w domu Morrisseyów wypito za wiele, już w tej końcówce po północy, w zamieszaniu, spotkali się w holu na piętrze; Alissa zajrzała właśnie do gorączkującego dziecka, Owena ponaglił pęcherz, a jedyna łazienka na parterze przylegała do studia Iana, które dla gości stanowiło strefę zamkniętą. Co do tego Ian był wyzbytym poczucia humoru rygorystą. Przyciągani do siebie, jak planety

wytracone z orbity, Owen i Alissa pocałowali się. Alissa napierała tak mocno, że zderzyli się zębami; Owen był zdumiony, jak przed laty z Alice Stottlemeyer. Ale to już nie była zabawa w butelkę. Oszołomiony rytualnym szampanem, podniecony wieczorowym strojem Alissy złożonym z przezroczystej bluzki i wiśniowych orientalnych spodni, przeciągnął prawą rękę wzdłuż jej boku i na chwilę wsunął w krocze. Odskoczyła jak oparzona.

– Nie, nie rób tego – powiedziała twardym tonem fordanserek grywanych przez Barbarę Stanwyck bądź Ann Sheridan w czarno-białych filmach wyświetlanych w dawno zlikwidowanej Szeherezadzie. Owen odkrywał, że istnieją poziomy dostępu do Alissy, jak i do wszystkich kobiet; dowcip w tym, żeby utrafić we właściwy poziom, na którym czeka życzliwe powitanie.

Morrisseyowie często zapraszali, co z reguły zwiastuje małżeńskie zgrzyty; potrzebowali gości, żeby łatwiej znosić własne towarzystwo, Ian Morrissey starszy od Alissy o dziesięć lat był rysownikiem magazynów ilustrowanych. W miarę jak kurczył się świat pism dla klasy średniej zatrudniających rysowników, Ian posepniał, stawał się coraz bardziej sarkastyczny. Upływ lat obdarzył go większą porcją siwizny, niż się należy mężczyźnie niewiele po czterdziestce, wprawił w drzenie palce poplamione tuszem i poźółkłe od nikotyny, przygarbił postać i naznaczył wklęsłą piersią, Ian wbił sobie do głowy przeświadczenie, że kiedy jego świat

zawodowy – malowniczo wyidealizowanych kobiet na stronach romantycznych opowiadań zmierzających do szczęśliwych zakończeń – ustępuje pola sensacyjnym kawałkom dokumentalnym i fotografiom ocierającym się o pornografię, to Owena i Eda winduje nieprzerwanie wzbierająca fala technologii. Kpił z nich, wyzywał od „technołuków”. Owen próbował mu wyjaśnić, jak nieprzewidywalny i ryzykowny jest świat komputerów, jak gwałtownie się zmienia, jak Ed i Owen muszą się mierzyć z coraz młodszą i bardziej pomysłową konkurencją, czym tylko utwierdzał łanowe ego w przekonaniu, że Ian stanowi wcielenie dogorywających tradycyjnych sztuk pięknych, teraz po chamsku wykańczanych przez zalew muzyki rockowej, robotów przemysłowych i psychopatycznej przemocy, Ian wyhodował krótką kozią bródkę; nadawała mu wygląd osobnika nieogolonego, rozmemłanego pod wpływem niepowodzeń.

– Wy, technołuki, nie pojmujecie, absolutnie nie pojmujecie – któregoś wieczoru powiedział Owenowi – że te wasze maszyny nie są nadludzkie, ale podludzkie. Wszystko, co czyni nas ludźmi, wymyka się przez szpary.

– To tylko urządzenia – powiedział Owen, czując natarczywy wzrok Alissy i pilnie dbając o życzliwy ton. – Jak setki innych, jak maszyna parowa, samochód czy kamera filmowa.

– Zgadza się i to wszystko zmieniło nasze tempo, tak je podkręciło, że już nie sposób żyć.

– Więc zmalowaliśmy coś takiego, Ianie? – spytała Phyllis.

Byli tylko we czworo, na improwizowanej kolacji w domu Morrisseyów z 1730 roku w starej dzielnicy miasteczka. W przeciwieństwie do Mackenziech, którzy kiedyś mieszkali tu po sąsiedzku, Morrisseyowie pozostali lojalni wobec centrum i sąsiedztwa Błoni. Kiedy Owen majstrował przy pierwotnej wersji DigitEyes, Ian tkwił na dachu i fugował ceglany komin; pełen werwy i optymizmu skrobał i wypalał starą minię z deskowego licowania, a potem je bejcował. Zapewne bejcowanie było najbardziej odpowiednią tradycyjną technologią, lecz pociemniałe deski wyglądały obskurnie, jak tania prowizorka, w zestawieniu z niskimi sufitami, popękkanymi gipsowymi ścianami i zleżałymi resztkami ludowego rękodzieła – wabikami na kaczkę, drewnianymi lalkami o drucianych zawiasikach, blaszanymi chorągiewkami na dach z sylwetami mężczyzny w kapeluszu i kobiety w czepcu – wypatrzonymi niegdyś w przydrożnych sklepach Connecticut, kiedy małżeństwo, porzuciwszy Manhattan, rześko i ochoczo wtapiało się w prowincję. Całe domostwo, nawet to schludne, oświetlone jarzeniówkami studio Iana, sprawiało wrażenie zakurzonego; domowi zabrakło serca i tym trudniej przychodziło wymówić się od zaproszeń Morrisseyów. Dzieci Mackenziech niechętnie przychodziły tu się bawić, chociaż dwójka dzieciaków Morrisseyów była równolatkami Gregory’ego i Iris.



Cichy, beztroski głos Phyllis przyciągał uwagę. Trzeci kieliszek wina lub intelektualna podnieta sprowadziły na jej policzki rzadko widywany rumieniec. Chłodna piękność Phyllis – o jasnowłosej głowie noszonej wysoko nad mrowiem wypełniającym pogmatwane korytarze życia – rzucała cień na zaokrąglone, rozedrgane powaby Alissy; Owen miał wrażenie, że te powaby spowijają jakąś gorycz, jak pióra wokół puszystego ptasiego gniazda. Owen uświadomił sobie, że od dzieciństwa jego żywiołem są cudze zgryzoty; ich bliskość wyostrzała mu wzrok, pobudzała.

– Sprzęgamy się – bez zwłoki odpowiedział Ian. – Sprzęgamy się z tymi sakramenckimi machinami, a po ich wyłączeniu sami zamieramy. – Obie pary wciągnęły się w te wspólne wieczory; na górze dzieci i mamrotanie telewizora, a za oknami, w których rozbłyskiwało światło samochodów wjeżdżających w zakręt na Common Lane, kojące szacowne sąsiedztwo, Ian nie odstręczał Phyllis; przez całe życie garbił się nad kartką, a mroczne, prorockie klimaty może przypomniały Phyllis jakąś katastroficzną gadaninę w uniwersyteckich kręgach Cambridge, Ian to wyczuwał i odezwał się właściwie do niej: – Zdajesz... zdajecie sobie sprawę – poszerzył audytorium o Owena i Alisę – że jeszcze niedawno, bo w pokoleniu naszych dziadków, wśród ludzi o jakiej takiej pozycji powszechna była umiejętność gry na instrumencie, poprowadzenia basu harmonicznego w śpiewającej grupie, umiejętność rysowania, szkicowania

w plenerze, a przynajmniej malowania akwareli? Ci wszyscy wiktoriańscy podróżnicy umieli rysować; wszyscy pisarze też, nie tylko Thackeray. Teraz nie umieją rysować nawet zawodowi artyści. Chlapią te kolosalne abstrakcje, które są obrazą, kpina. Przeciętny człowiek ma aparat fotograficzny przeznaczony dla żeńskiej drużyny zuchowej. Zresztą to aparat nawet nie dla zuchów, lecz dla mnie. Bo u zuchów zdobywa się zbyt wiele sprawności, zuchowa drużyna nie jest należycie zautomatyzowana.

Na starej sofie – obitej niegdyś aksamitem, teraz pokrytej płótnem żaglowym i ozdobionej paroma obszarpanymi szydełkowanymi szalami – Alissa, zniecierpliwiona nie milknącą mężowską przemową, to zakładała nogę na nogę, to przekładała.

– Pamiętam – wtrąciła, niepewnie przenosząc spojrzenie wyblakłych oczu z twarzy na twarz – jak ojciec z kodakiem w ręce odmierzał krokami odległość. W ten sposób fotografował mnie i braci. Wychodziły zdjęcia zadziwiająco ostre. Nie było też tego maleńkiego trójkątnego celownika; odpadł. Więc kadrował na wyczucie. Urzekały mnie te zdjęcia; nie było ich za wiele, to nie to co dziś. Trzymał je w starym pudle po słodyczach; po otwarciu wieczka wciąż się czuło zapach czekolady.

– Posłuchaj – powiedział Ian – przy tych wszystkich ograniczeniach twój stary perfekcyjnie opanował narzędzia. Dzisiaj już nikt się nie posługuje narzędziami.

Ludzie wszystko muszą dostać gotowe, zrobione przez tak zwanych specjalistów, płatnych po dwadzieścia pięć baksów za godzinę. I nie szkodzi, że te wszystkie gotowce są zrobione koszmarnie. Jeden z niewielu plusów tej tak zwanej dzisiejszej rewolucji polega na tym, że dzieci rodziców z klasy średniej biorą się do jakiegoś fachu, ciesielstwa i tak dalej, w buncie przeciwko kluchorękim ukrawatowanym starym.

Owen zdawał sobie sprawę, że za męczącą tyradą stoją coraz większe kłopoty Iana w zdobywaniu zamówień na efekciarskie, sprawiające wrażenie wymuszonej brawury ilustracje o niewykończonych marginesach; niejedna, reprodukowana niegdyś w „Post”, „Collier’s” czy „Redbook”, wisiała teraz w ramce na którejś z popękanych gipsowych ścian studia. Owen na tyle się wyznawał na sztuce, że prac Iana nie traktował ze zbytnim nabożeństwem, lecz nie chciał tego lekceważenia wpisywać w obronę własnej dziedziny.

– Komputer to narzędzie – powiedział. – Ruchomymi częściami są tu impulsy elektroniczne; tego samego mogłyby dokonać części mechaniczne, i robił to rzeczywiście Babbage, a przed nim Pascal, lecz takie maszyny stałyby się zbyt skomplikowane, żeby działać. Skąd się bierze, Ianie, ta twoja potrzeba wymyślania rzekomego nowego, demonicznego ładu? Czy odczuwasz to, korzystając z tosterka z czujnikiem, zamiast przysmażać chleb na patelni?

– O, kochanie, pozwól Ianowi mówić – wtrąciła się

Phyllis. – Chcę jeszcze trochę o tym posłuchać, jak się stajemy wszyscy podludźmi.

– Skoro mowa o jeszcze, to może ktoś ma jeszcze ochotę na drinka? – spytała Alissa; w głosie słychać było nadzieję na odrzucenie propozycji.

– Jeszcze jedna szkocka z lodem, złotko, znacznie rozjaśni mój wgląd w tę czarną jak smoła przyszłość – zapewnił sardonicznie Ian.

– Dla mnie, Alisso, bardzo słaby burbon, z wodą – dała się namówić Phyllis. – Chcesz, to pomogę.

– Mnie wystarczy woda – powiedział Owen, żeby skarcić Phyllis i sprawić przyjemność Alissie, którą martwił coraz gorszy stan męża. Spojrzenie Alissy podsuwało Owenowi myśl, że oto ich dwoje, trzeźwych, stawia czoło reszcie.

Alissa zdjęła nogi z obitej żaglowym płótnem sofy i wstała; widok pełnych, gołych nóg poruszył wyobraźnię graficzną Owena: wypukłe uda wznosiły się po stromej krzywej, w górze zbiegały się i przekształcały – nie naruszając podstawowego homeomorfizmu jej ciała – we wklęsłość określoną przez inny rodzaj przestrzeni, dalej niż to wrażliwe „V”, którego kiedyś dotknął w elektryzującym, przelotnym spotkaniu<sup>2</sup>. Było już późno; na tle niskiego sufitu dzielonego belkami pomalowanymi po williamsbursku na kolor jajcznokremowy dym papierosów układał się w spiralne pasma.

– Kapitalizm – oświadczył Ian – żąda od nas tylko jednego: bycia konsumentami. Im jesteśmy głupszy, tym

lepsi z nas konsumenci, nie tylko tych krojonych trocin zwanych chlebem, nie tylko detergentów do zmywarki trujących potem ryby w rzece, lecz także konfekcjonowanej rozrywki.

Im mniej podczas wchłaniania drażni nasze oczy czy uszy, tym więcej możemy wchłonąć i tym więcej zapłacić. Już nie ma sztuki w staroświeckim znaczeniu czegoś, co zostało zrobione przez artystę odpowiedzialnego tylko przed własnym okiem, przed własnym poczuciem piękna. Zgarbiony nad sztalugami, usiłując uzyskać odpowiedni odcień, dajmy na to kamieni w Wenecji bądź kępy kwiatów polnych, przetwarza coś zewnętrznego w coś ludzkiego; zabiega o zrozumienie tego, a my możemy to zrozumieć wraz z nim, wczuwając się w jego proces odkrywania, podążając za nim krok po kroku. Muzyka przekłada tę regułę na wymiar czasu: wędrujemy z kompozytorem, towarzysząc mu przy rozgryzaniu problemów, przy modulacjach, rozwiązywaniu akordów. Przed telewizorem można nic nie rozumieć: tu się żąda takiego stopnia głupoty, żeby człowiek nie przestał się gapić na reklamy.

– Kto wie, może młodzież dlatego jest taka zbuntowana, że my tak zgłupieliśmy – odezwała się Phyllis. – Może dlatego chcą powrotu do natury, dlatego chcą wysadzać w powietrze banki. Wszędzie usiłują stłuc skorupę głupoty.

– Dziękuję, Alisso – odezwał się Owen do gospodyni, która postawiła przed nim smukłą, opatrzoną

solidnym dnem szklanę wody z lodem; zewnętrzne ścianki były śliskie i spocone na skutek różnicy temperatur. Czy nachylona Alissa, kładąc podstawkę pod krążek, tylko przypadkiem pokazała mu piersi w parabolicznym dekolcie luźnej chłopskiej koszuli? U góry były brązowe, lecz była też biała skóra poniżej, pogrążona w głębszym cieniu i było to ciemne wgłębienie między nimi, gdzie mógłby wsunąć palec, język, a nawet wyprężonego penisa. Kiedy nad Czaplim Stawem Alissa i Phyllis wylegiwały się w dwuczęściowych kostiumach, kostium Phyllis sprawiał na wyprostowanym ciele wrażenie dwóch wstęp bieli, tymczasem obie części bikini Alissy, małe marszczone trójkąty, umocowane kolorowymi kokardami, wyglądały jak łuki przylegające do ciała.

Ian nie kwapił się odpowiedzieć Phyllis, co uraziło Owena. Siedział w fotelu z postrzępionym kraciastym obiciem o poplamionych podłokietnikach, wybrudzonym tam, gdzie zwykle opierał głowę – o włosach w artystycznym nieładzie, długich i niedomytych – pożółkłymi palcami zacisnął szklanę z nowym drinkiem i przemówił do Owena, nie raczywszy nawet obrócić głowy; równie dobrze mogło też nie być kobiet na sofie. Widziany z profilu z tą kozią bródką, ni blady, ni kamiennoszary, warczał jak w transie:

– Technołuki jedne. Wyciskacie z życia sok. Dla was jesteśmy wszyscy tworamami statystycznymi, przedmiotem manipulacji. Nie winię Eda, nic nie poradzi

nieszczęsny burak, jest technofukiem, bo gdyby nie był, byłby nikiem, może kucharzem od szybkich zamówień w jakiejś całonocnej knajpie. Ale ty, O, stary koniu, rozumiesz z tego więcej. Masz duszę, a przynajmniej kiedyś miałeś. Pozwól, że tak to przedstawię: wiesz, że czegoś tu brak, mimo to zaciągnąłeś się na wierną służbę do Molocha; podpisałeś kartę werbunkową. Nazywaj to, jak chcesz. Przemysł. Kompleks militarno-przemysłowy. Wojsko, śmierć, skażenie i masowo wytwarzany chłam dla mas – dla gawiedzi.

Owenowi nie przeszkadzało to ujawnianie się wrogości; uważał, że coraz mniej powodów może go odwieść od posunięcia tamtemu żony – Prawdę mówiąc, większość naszej roboty polega dziś na przerzucaniu zapisów ubezpieczeniowych na taśmy czy na coś nowszego, na dyski, albo konstruowaniu systemów pozwalających okroić papierkową robotę w szpitalach. Czy szpitale i towarzystwa ubezpieczeniowe to dywizje armii Molocha? Tego, czego brak, Ianie, zaczęło już brakować bardzo dawno temu, biorąc pod uwagę i Kopernika, i Lutra; nie możesz teraz oskarżać technologii, że tego czegoś nie zwraca. Technologia działa w obrębie, jak powiedział Wittgenstein, przedmiotowego odniesienia. Nawiasem, ktoś mógłby powiedzieć, że kobiece magazyny, dla których rysujesz ilustracje, są wiernymi oddziałami Molocha, bo służą sprzedawaniu kosmetyków, tamponów, zmywarek, seksownej bielizny i w ogóle wszystkiego, co zdołają wmówić kobietom jako

rzekomy przedmiot ich pragnień. To ten diabelski pakt, Ianie: medycyna, elektryczność i technologia raketowa w zamian za puste niebo. Te umowę podpisaliśmy wszyscy, a zgraja dzieciaków, która wędruje w głusze Vermontu i radzi sobie bez skanalizowanych klozetów, nie unieważni paktu. – Zdziwiło go własne rozgorączkowanie, sam nie chciał w to wszystko wierzyć. Chciał mieć i technologię, i złudzenia, bo jedno i drugie to uszlachetniający owoc ludzkiej wyobraźni.

– Owen nie jest ślepy na sztukę – oznajmiła lojalnie Phyllis. – Zawsze chodzi do muzeów. Z tego się kiedyś wzięły DigitEyes; jako sublimacja.

Owen wzdrygnął się na to „kiedyś”. Phyllis miała rację; program stawał się przestarzały, a on ugrzązł przy tworzeniu nowej wersji, szukając po omacku czegoś nowego. Dzisiejsze wieczorne rozmowy – które z winy Iana wdającego się w pompatyczne roztrząsania i wdzięcznie podpuszczającej go Phyllis przeciągały się do północy – przestały go interesować; Owen zadowolili się przekonaniem, że ani on, ani Alissa nie są Ianowi nic winni. Alissa ukryta za tymi okularami w oprawkach cielistego koloru, skulona na sofie, jakby miała się wtopić w poduszki, walczyła z sennością. Miała zaróżowione powieki, jakby otarte; uśmiezek wyrażał cierpliwą chęć zemsty. Już w samochodzie, w drodze do domu, nie sprowokowana Phyllis powiedziała:

– Nie znosi go.

Czyżby czytała w jego myślach, wędrujących



właśnie, jak skanujący promień, po zapamiętanych okrągłościach Alissy? Był zaskoczony, lecz wierzył, że jego żona zawsze ma rację; odkąd się przebił z własną firmą, groziło mu, że całkiem zapomni, jaki jest kod dostępu do tej skarbnicy mądrości.

– Naprawdę? – spytał. – To ten sam stary rozgadany Ian. Czemu ma go nie znosić?

– Z tego samego powodu, dla którego nienawidzi sam siebie. Impotencji.

– Naprawdę? – Ciemna przestrzeń, przeszywana światłami wozu, jakby się pogłębiła. Owena poruszyło to, że Phyllis wspomina o czymś takim jak potencja lub brak satysfakcji, o sprawach przyziemnych, które zwykle uważała za niegodne wzmianki.

– W przenośnym znaczeniu na pewno. Okłada batem zdechłego konia, o czym dobrze wie. Trzask-prask i już nic nie jest tym samym. Czasopisma dla klasy średniej, które karmi, skończyły się albo właśnie konają. Ludzie się gapią w telewizję, a jeśli coś czytają, to jakiś tabloid przy wyjściu z hipermarketu. Zmienił się nawet „The New Yorker”. Zaostrzył się, co do Wietnamu.

– Wszyscy się w ogóle zaostrzyli – powiedział Owen w nagłym, przelotnym przypląwie czułości – ale nie ty.

– Zaostrzyłam się w środku. – Głos Phyllis zabrzmiał płasko, z nutą rezygnacji; w światłach wozu, za na wpuł ukrytym, określonym podjazdem przy Partridgeberry Road pojawił się w całej okazałości ich dom licowany białymi deskami, za którymi spała czwórka ich dzieci.

Również Alissa była niespełnioną artystką; w każdym razie kochała się z Owenem tak, jakby za każdym razem musiało to być arcydzieło. Kiedy co pewien czas udawało im się wykorzystać okazję – w zamkniętym pokoiku Owena na tyłach fabryki bądź w motelowym czy hotelowym pokoju albo w sypialni Alissy pod niskim, uginającym się stropem położonym jeszcze przed rokiem 1750, jeśli z rzadka Ian znalazł się w bezpiecznej odległości w mieście, gdzie starał się sprzedać rysunki, a dzieci tkwiły w szkole – zatracala się w łóżku, jakby chodziło o zbawienie duszy. Podobnie w obciąganiu – Owenowy palant w ustach wprowadzał ją w trans; nieustrudzenie kiwała głową raz po raz, jak te popijające ptaki, które się przytwierdza do brzegu szklanki z wodą. Była oralistką; siedziała na kolanach Owena nadziana na niego, Owen pieścił językiem jej sutki, ona zaś wkładała do ust dwa palce, zamykała oczy i tak rozpoczynała wewnętrzny wzlot. Orgazm nie przychodził Alissie łatwo; była artystką, zatem musiały zostać dochowane warunki, niezakłócone skupienie, a członki Owena – język, penis, palce – wykorzystane tak, jak sobie życzyła. Owen czuł się jak tłumacz, potrzebny, żeby Alissa mogła coś sobą zakomunikować. Ale w przeciwieństwie do uśmiechniętej Faye o lekkich lędźwiach, orgazm Alissy nie budził wątpliwości, nadchodził wraz z coraz szybszymi, wysokimi, tłumionymi okrzykami, po których – kiedy kochankowie niemal w rozpaczy osiągnęli szczyt –

następował zniechęca niski jęk, jak po przyjęciu jakiegoś ciosu, tymczasem ręka, która nie tkwiła głęboko w ustach, tłukła plecy Owena jak panicznie trzepocące skrzydło. Owen był dumny, że po kilku początkowych niewypałach, spowodowanych poczuciem winy i lękiem, może przemierzyć całą drogę wraz z Alissą, władając swym udziałem w tym wszystkim. Jej ciało – kiedy na tyle dojrzał, żeby to zauważyć – miało osobliwą właściwość, promieniowało ciepłem tam, gdzie Alissa pragnęła dotknąć, więc ręce i usta Owena zmierzały ku tym miejscom jak po swoje. Powoli i lękliwie uświadamiał sobie – kiedy siedziała nadziana na niego, on zaś pieścił jej sutki – że Alissa chce, by wetknął jej palec w odbyt, głęboko, w szczytowej chwili. Stał się katalizatorem, współsprawcą, zespolonym z Alissą w słodkich przewinach, w przekraczaniu linii nakreślonej przez ich protestanckich przodków, którzy nigdy nie wyzbyli się do końca tych czarnych jak okładka Biblii ubrań, a kochali się po ciemku w chatach z bali.

Owen odkrył w sobie zdolność do chłodu w czasie seksu, nawet do zimnego, zdystansowanego patrzenia na ich spocone ciała, umiał zamrozić wspinanie się po orgazmowym łuku, sięgając do rozmyślnie aseksualnych wyobrażeń: cichego portu na Karaibach o zmierzchu czy eleganckiej zagrywki bejsbolowej. Kiedy Alissa przekraczała wewnętrzną krawędź, kiedy nic nie było już w stanie zawrócić jej ze wspinaczki na szczyt, mógł jej dać to, co z wysiłkiem powstrzymywał; ujmował

wówczas w dłonie jej tyłek i unosił, ani myśląc o delikatności czy oszczędzaniu. Jęk Alissy dobiegający z innego obszaru niż orgazm odnawiał się teraz w wyższym rejestrze; w tej chwili ulgi, słysząc swe powolne głośne tętno, Owen bał się, że Alissa zemdleje. Tymczasem jej ręka na jego łopacie przestawała trzepotać, Alissa okrywała zaś jego twarz słabymi pocałunkami.

Wdzięczność Alissy za to, że Owen nauczył się ją kochać – że odkrył tę głęboką, lecz wąską bruzdę podniet, na które czeka jej unerwienie – uprawniła go do pytań, na co może on sobie pozwolić, chociaż, znów, w określonych granicach. Gotowa wpadać w trans podczas stosunku oralnego, Alissa nigdy nie chciała wytrysku w usta, „jak to robią mężczyźni z prostytutkami”, a kiedy trzepotanie jej języka zaprowadziło go za daleko, przyjmowała wytrysk na brodę lub piersi, na których nasienie lśniło kłopotliwie. Dozwolony był zaś ponowny seks w dniach, w których mieli na schadzkę parę minut więcej; Alissa klęczała na podłodze czy łóżku, a obrazem, który utkwił Owenowi w pamięci na długo, kiedy już od dawna Alissa pozostawała nieosiągalna, było lśnienie na jej kości ogonowej, na twardej odrobinie, która przyjmowała światło tuż ponad kremowymi połączeniami jej pośladków. Z wyzyna swego punktu widzenia, po drugiej stronie kręgosłupa rozdzielającego jej plecy na pulchne złociste połowy, kręgi szyjne Alissy wynurzały się wzruszająco spod puszystych tabaczkowych włosów, krótko obciętych, jak lubiła. Oto szyja, jaką widzi kat,

myślał Owen. W dniu, w którym to pomyślał, przez wysoko umieszczone fabryczne okienko padało światło przesączone jeszcze przez brudną stalową siatkę. Cela Owena w E-O, przesiąknięta zapachem starych fabrycznych smarów, napełniona stłumionym przez ścianę szemraniem zespołu ludzi trudzących się pracą umysłową, podniecała oboje, zachęcała do bezwstydu, przeżywanego z zapartym tchem, artykułowanego szeptem, do fascynacji własnymi ciałami, może równie dogłębnej, z jaką się styka pacjent w szpitalu i jaka się staje udziałem w dniach poprzedzających śmierć.

Lecz i Owen był w jakiejś mierze przeczulony, także on wyznaczał granicę. Nie umiał powstrzymać zdumienia ani obrzydzenia, kiedy w jakiejś kradzionej półgodzinie w zaparkowanym samochodzie jego palec powrócił ze zwiadu pod jej spódnicą zakrwawiony, okryty czerwienią tej rzadkiej krwi jak jakąś odrażającą maścią. Miała okres i nie ostrzegła; czuł o to żal, zakrawało to na zdradę ich dobrego obyczaju, nawet gorszą od tej, kiedy jego nasienie znalazło się nad jej piersiami jak jakieś smarki.

Już później Owen dostrzegł, że nie zdołał się odwołać do jej uległości, do chwil całkowitego, niewolniczego podporządkowania jak w transie. Wprawdzie oboje przyznali się przed sobą, że podminowani bywają skorzy do masturbacji, ale nigdy się nawzajem nie onanizowali, chociaż powinno to być łatwe, jak sądził, leżąc z zamkniętymi oczami w ciemności obok Phyllis i tęskniąc do Alissy. W rzeczywistości jednak,

kiedy nadarzała się okazja, a ich skórę oblewał gorący miłosny rumieniec, wyglądało na to, że ich genitalia są tak stworzone, żeby poniekąd tkwić w ukryciu, jedno przy drugim, ciepłe i wilgotne zarazem.

W sumie nacechowana niewinnością Alissa – była kilka lat po trzydziestce, ale nie przypawiła dotąd Ianowi rogów – starała się przecież uwolnić Owena od dystansu, jaki czuł wobec ciała w ogóle. Kiedyś w przypiływie wstydu, wkrótce po tym, jak zostali kochankami, Owen klęczący między jej rozłożonymi nogami zasłonił rękami płomienną erekcję; Alissa powiedziała wówczas tonem lekkiej obrazy i jednocześnie łagodnego polecenia: „Nie chowaj się, Owenie”, jakby ta jego sino pożyłkowana rzecz o zafrasowanej minie była nim sam jon. Te przystrojone włosami dolne narządy, ulokowane tuż obok układów służących oddawaniu moczu i defekacji, są siedliskami bycia jako takiego; jeżeli przyjrzeć im się z zewnątrz, są brzydkie i nie pachnące, za to w zmysłowym odczuwaniu niedoścignione, cudowne. Owe znakomite przymioty są jednak doświadczane całkowicie wewnątrznie, inni muszą w tej mierze wszystko przyjmować na wiarę. Oszołomienie na tle podniecenia seksualnego zapewniło Owenowi taką wiarę, pozostawiło jednak w niepewności, dlaczego – pytanie takie zadawał sobie już przy szopie za placem zabaw – kobiety to wszystko znoszą. Tyle tu ryzyka, tyle możliwości narażenia się na wstyd, upokorzenie. Może upokorzenie jest częścią tej rozkoszy, tego olśnienia; jakby się było

wiadrem zanurzonym w ciemnej studni biologii, pamiętając jednak, że jest łańcuch i że na górze w świetle dnia czeka społeczność.

Kiedy już było za późno, wyobrażał sobie, że mógł być namówić Alissę na połknięcie nasienia. Mógł ją też skłonić, żeby mu pozwoliła całować się między nogami, aż do orgazmu. Elsie pozwalała na to tego ostatniego lata, kiedy oboje byli już źli, bo ich miłość zmierzała donikąd. Więc traktował ją jak dziewicę. Tkwił wciśnięty w siedzenie samochodu, zgięty w pół, a Elsie z zadartą spódnicą wokół pasa bez trudu osiągała orgazm w rytm swej niepowtarzalnej wewnętrznej perkusji. Owena bolały plecy i ramiona od tego zgięcia się nad nią na przedniej kanapie ojcowskiego chryslera. Lubił to, ów inny kontakt z nią, bez patrzenia w oczy, bez słuchania głosu. Alissa powiedziała, że nigdy w ten sposób nie doszła do orgazmu i nie dojdzie. Mógł się uprzeć. Popamiętałaby go. Lecz wydarzenia seksualne, jakże łatwe do intymnego wyreżyserowania w wyobraźni, w rzeczywistości natrafiają na przeszkody i granice w głowie tej drugiej istoty.

Transakcja seksualna jest transakcją psychologiczną; jedno musi wczuć się w to drugie, które wprawdzie idealnie uległe, jednak ma własną psychikę i umysł rejestrujący te wydarzenia poniekąd równoległe. W przeciwnym razie poprzestalibyśmy na nadmuchiwanych kobiecych ciałach, z gotowymi do użytku waginami i ustami, które reklamuje się na ostatnich stronicach

„Hustlera”. To musi być ktoś, nie coś – inna, odrębna świadomość. A wraz z innością do wymiaru psychologicznego wkracza wymiar polityczny. Owen nie musi się niczym przejmować, kiedy Alissa robi mu laskę, bo Alissa ma piersi; radość doznania – o które mógłby go przyprawić równie dobrze jakiś mężczyzna – uświęcona jest tym, że Alissa ma waginę, różową odznakę uprawniającą do obsłużenia samca. Alissa pragnęła zaś obejść się z nim metodycznie, uwzględniając i język, i palanta, i ręce, jak dziewczynka, która układa wokół siebie przed zaśnięciem poduszki i wypchane zwierzaki. Kiedy się kochali i w chwilę potem szaroniebieskie oczy Alissy stawały się zarazem błyszczące i ciemne jak mokry atrament. Potem znowu blakły, kiedy pozwalała mu już wyzwolić się ze splątania, kiedy Owen siedział obok jej kolan, ona zaś spoczywała, niczym Manetowska Olimpia, wpołleżąc, rozciągnięta na całej długości trzech poduszek sofy w Owenowym gnieździe w E-O. Sutki w stanie erekcji pobudzone, widoczne jeszcze przed chwilą, rozpląnęły się w jej piersiach. Owen zapalił dla niej parlamenta, a potem szperali w głowach, szukając tematu do rozmowy.

Bo to jest problem: co robić, kiedy ciała są już po wszystkim? Mężczyzna i kobieta o podobnej mentalności, z psychiką, fizjologią i wiedzą seksualną jako tako dopasowanymi, zgadzają się na wzajemne godzinne spotkanie: ale co potem? Po melodramatycznej katastrofie na tle rozstania z Faye Owen stanowczo strzegł się przed



ponownym zakochaniem, dla dobra wszystkich. Wyglądało na to, że Alissie dogadza taka emocjonalna profilaktyka; że współgra także z jej sytuacją. Alissa była wobec Iana lojalna, chociaż niewierna, podobnie Owen wobec Phyllis. To jednak ciążyło; w ich błogich zbrodniach Alissa była tak urocza, tak bezwstydnie jego, że ciało Owena wręcz krzyczało: chcę jej na zawsze.

Owen poczuł się aż tak blisko, że kiedyś spytał:

– Dlaczego kobiety się rypią?

Roześmiała się i zakrztusiła dymem papierosa jeszcze przed zaciągnięciem.

– A dlaczego się rypią mężczyźni?

– To jasne. Kobiety są takie piękne.

– A mężczyźni nie?

– Nie. W każdym razie ja tak to widzę.

– Może kiepsko wypadnę, Owenie. Pokochałam to chyba dzięki tobie. Wspaniały jesteś.

– Ty na pewno. Sprawiasz, że się czuję dowartościowany, nie mam ze sobą kłopotów. Ale to samo mogłaś osiągnąć, flirtując ze mną na przyjęciu.

– E tam, odchrzań się – powiedziała.

– Wiesz, o co chodzi – upierał się Owen. – Ktoś to coś kobiecie wpycha, ona ma to w sobie i od razu ryzykuje, że będzie dziecko, albo ryzykuje, jeżeli to puszczalska albo dziewczyna jakiegoś prymitywa, że ją zamordują. Codziennie można przeczytać w gazecie o jakiejś nieszczęśnicy, którą zamordowano, bo się rznąła z głąbem, który nie mógł odpuścić.

Słowo „różać” i jego krewni zawierało w tych czasach przyjemny ładunek intymności nad intymnościami. W tych samych czasach, rzecz nie do wiary, seks postrzegano jako coś bezpiecznego. W najgorszym razie następstwa można było łatwo odwrócić dawką antybiotyków bądź podróżą do bardziej oświeconego kraju, w którym przerywanie ciąży było legalne. Kobiety używały pigułki lub wkładki domacicznej; wszy łonowe były czymś, co może dokuczać hipisom w ramach ich radosnego, antyburżuazyjnego stylu życia, opryszczki w ogóle nie uważano za problem. Rzęsistki przechodziły z wagin na penisy i z powrotem do wagin, ale w dobrze wychowanym towarzystwie nikt o tym nie wspominał, wyjątkiem bywał lekarz, który zapisywał nieskuteczny balsam. Seks uważano zatem za coś niewinnego, nawet jeśli nie byli niewinni ci, którzy seks uprawiali. Owen i Alissa odkrywali pewne terytorium, mianowicie cudzołóstwo, które nie było im całkiem obce, ale na którym nie czuli się też zbyt swojsko. Na te dzikie obszary popchnęło ich lekceważące traktowanie przez małżonków bądź zirytowanie nimi; warstewka poczucia winy przylgnęła do kochanków jak sekrecje związane z uprawianiem miłości, jak coś, co trzeba zetrzeć z siebie przed wyjściem na ulicę. Warstewka, jak sekrecje, była częścią tego, częścią tkwiącego w tym bezwstydnego zdrowia.

– Zrobienie dziecka nie jest takie straszne. Ale nie

zabijaj mnie, Owenie.

– Wiem, jak się to dzieje. Czasami w nocy w łóżku dostaję szału z zazdrości, bo sobie wyobrażam ciebie z łanem w łóżku, że może się właśnie rzniecie.

– A ty i Phyllis nigdy?

– Nie to, że nigdy.

– No i dobrze. Mam męża, ty żonę, a to jest dodatek nadzwyczajny; lepiej się w to zbytnio nie wgłębiaj. Pytasz, dlaczego ludzie robią to, co robią. Oni tego nie wiedzą, to głębsze sprawy niż mózg. To feromony i cała masa zaprogramowanych zachowań; jak instynkt budowania gniazd. Chyba widziałeś ptaki budujące gniazdo i co, zapewne się zastanawiałeś, jak to jest, że dobierają właściwe gałązki i tak dalej? One też tego nie wiedzą.

– Witam w mym gnieździe – powiedział Owen, trochę nieswój w tym wysokim nieprzytulnym pomieszczeniu o ścianach z cegły. Może Ed go potrzebuje; może się w firmie przytrafił mały kryzys, taki czy inny, jakieś sęki, z którymi nikt prócz Owena się nie upora.

– Kobiety chcą być dostrzegane – wyjaśniła Alissa. – Nie mają tylu sposobów wzbudzania zainteresowania, ile mężczyźni. Więc robią, co mogą, z tym, co dostały.

– Po to się rzniesz, żebyś była dostrzegana?

– Głupio to brzmi w takim ujęciu, pewnie, ale coś jest na rzeczy. Kiedy jesteś ze mną, dostrzegasz mnie, chociaż wyczuwam, że się zaczynasz zastanawiać, jak by

mnie teraz splawić i wrócić do pracy.

– Wcale nie. Szaleję za tobą. – To była namiastka zatrutego kielicha, jakim jest zdanie „kocham cię”. Nie powiedział tego Elsie, teraz nie powiedział Alissie. Uwierzyli w to zdanie i Faye, i Owen, i tylko sobie zaszkadzili. – Daj mi dwadzieścia minut, a pokażę ci, jak bardzo. – Wyobrażał ją sobie na kolanach na twardej podłodze albo tyłem na sofie: kędzierzawy meszek na karku, lśniące występy kręgosłupa.

– Jakże jestem wdzięczna za tę myśl, miły panie – powiedziała Alissa, nagie nogi złożyła jak scyzoryk, obróciła koło niego i postawiła stopy na podłodze. – Ale muszę zrobić zakupy na kolację dla Iana i posprzątać, zanim się skończą lekcje. – Alissa i Ian mieli dwójkę dzieci, dziesięcioletniego Normana i Neysę; dziewczynka właśnie poszła do pierwszej klasy, co dało Alissie trochę luzu, jak powiedziała Owenowi, przynajmniej tyle, że mogła się wdać w przygodę. Śmiała się z powodu tego komicznego powiązania, a kiedy śmiech wybrzmiał, wargi Alissy jeszcze drżały. Wprawdzie był już listopad, lecz na jej ciele wciąż widać było złoto-srebrne różnice, ślady letniej opalenizny. Spięła się, żeby wstać, ale zaraz opadła na skrzypiącą sofę obitą skajem. – To chyba nie najzdrowsze dla kobiety, najpierw się grzmocić jak szalona, potem skoczyć na równe nogi i polecieć na zakupy – zauważyła. – Pewnie powinniśmy teraz wchłaniać nasienie, czy coś takiego.

Pieczołowicie przechowywał w pamięci takie

przypadkowe próby pojmowania, co znaczy być kobietą; tylko z rzadka mógł się ich spodziewać po Phyllis, która wprawdzie wiedziała, że jest istotą żeńską, ale nie raczyła się w to głębiej wgryzać; natomiast Alissa była w tym zakresie kimś w rodzaju miasteczkowego filozofa. „Już lepiej, żeby kobieta była prana po łbie niż ignorowana”, powiedziała kiedyś Owenowi. Nie potrafił sobie w ogóle wyobrazić bicia Alissy po głowie, ale ten motyw podsycił jego brutalną czułość, kiedy wpatrywał się w jej plecy, uprawiając z nią seks od tyłu, na obolałych kolanach.

Po drobnej sprzeczce na tle miesięcznej krwi Alissa wyznała:

– Kiedy dochodziłam do kobiecości, jako nastolatka, wyobrażałam sobie, że właśnie wtedy powinnam być najbardziej pociągająca dla mężczyzn, kiedy krwawię.

Chodziło o przeświadczenie tak intymne, o wymiar tak osobisty, że wstydliwie zamilkła, Owen zaś ledwie się odważył drażnić temat.

– I co myślałaś – spytał – że co z tym mają począć mężczyźni?

Jego kochanka zarumieniła się.

– Och, nie wiem, Owenie, nie dociskaj, to było tylko takie odczucie. Jak karmienie; odczuwa się je jako bardzo kobiece. Podniecające.

– Nawet ze skurczami?

– Skurcze nie są takie straszne – przyznała Alissa. – Ugruntowują związek kobiety i bólu. Człowiek to ma i to ukrywa. Jeśli się dobrze zastanowić, wszystko, co czyni

mnie mną, jest ukryte. Włącznie – melancholia zaczęła brać górę nad jej nagością i nad pragnieniem, żeby rozjaśnić nastrój – z kochankiem dzikusiem. – Wcale nie figlarnie, z rozmachem dźgnęła Owena w bezbronne wgłębienie pod mostkiem; z bólu stracił na moment oddech. Na widok jego zdumienia Alissa spojrzała gdzieś w bok i westchnęła. – Tyle się po mnie oczekuje, Owenie, jak po każdej kobiecie. To prawdziwa ulga, kiedy wiem, że przychodzę do ciebie z jednego powodu, w jednym tylko celu. To nie jest ta okropna mglistość małżeństwa; czy to zrobimy czy może nie, a jeśli tak, to może trzeba już iść do łóżka, zanim za bardzo się zachce spać? Z tobą przynajmniej wiem, że to zrobimy, że na to liczysz, że o tym marzysz; czuję, że ktoś o mnie wciąż myśli. Czasami na River Street, przed naszym spotkaniem albo po, nie umiem pozbyć się z twarzy uśmiechu; to mnie peszy, boję się, bo w biały dzień chyba każdy pozna, że się rżnęłam albo że właśnie po to idę.

– Nie czujesz czegoś takiego z łanem?

– Nie dopraszaj się o komplementy, kotku. Nie wypada. Już ci mówiłam, z łanem jesteśmy śpiący. Czasem jedno z nas zasypia, zanim skończymy, takie to nudne.

– Ostatnio Ian może być nudny – w głosie Owena zabrzmiała nieśmiało nuta okrucieństwa.

– Ian jest nudny – zapewniła żona Iana. – Próbuje wszystkim objaśnić w kategoriach ogólnych to, co uważa za klęskę osobistą: utratę możliwości twórczych.

– Znam to uczucie – powiedział Owen tonem, z którego wynikało, że na dzisiaj już dosyć.

Ciągnęli to ukradkiem ponad półtora roku, wręcz nie dowierzając dopisującemu szczęściu. Wyglądało na to, że Ian i Phyllis nic nie wiedzą, a chociaż wiedziało miasteczko – nie to, że grono przyjaciół, ale piesi na River Street patrzący na uśmiechniętą Alissę, pani z recepcji motelu przy autostradzie do Willimantic – to w miasteczkowym obyczaju nie leżało puszczenie pary z ust. Miasteczko utkane jest z tajemnic, z prawd, o których lepiej milczeć, wzniesione z domów, w których przeważają nie okna, lecz nieprzejrzyste ściany. Alissa i Owen mogli to ciągnąć dłużej – spotykając się najwyżej raz w tygodniu, w ciągu lata rzadziej, póki ciężar zwodzenia nie wykoślawiłby jednego z nich tak dalece, że drugie nie byłoby go w stanie kochać – ale Alissa zaszła w ciążę. Jej tęskna opowieść o dawnym naiwnym wyczekiwaniu na menstruację jako czasie, w którym będą ją adorować mężczyźni, przeistoczyła się w coś nowego: w paniczne wyczekiwanie na początek krwawienia. Z licznych gorączkowych telefonów wynikało, że nie nadchodzi.

– Czyja to sprawka? – Pytanie padło, kiedy okres spóźniał się o trzy tygodnie, Alissie zaś doskwierały poranne nudności. – Z kim się w tym czasie kochałaś? – Owen krzyczał do automatu telefonicznego przy autostradzie; usiłował coś dosłyszeć, wetknąwszy palec w

odsłonięte ucho, tymczasem kłęby soli i piasku, pozostałości po zimie zmielone na pył przez rozpędzone opony, chłostały go po twarzy. Użył zwrotu „kochalaś się” zamiast któregoś z ich zwykłych dosadnych określeń, jakby na linii nadstawiał ucha telefonista, ów staroświecki podsłuchiwaniec miasteczkowego życia.

– Czyja sprawka? Żadnego z was – dobiegła bezbarwna odpowiedź.

– Boże, spotykałaś się z kimś jeszcze?

– Nie, głuptasie. To może być jeden z was, ale nie wiem dlaczego. Po pigułce czułam się taka wzdęta, że wróciłam do kalendarzyka. Z łanem używaliśmy go z powodzeniem przez całe lata, zanim pozwolił mi urodzić Normana. Powiedział, że jest artystą i że dzieci mogą mu zrujnować karierę.

– To na pewno moje – dzielnie oświadczył Owen. – Zwłaszcza że grzmociliśmy się, aż szły skry.

– Kochanie, żeby zrobić dziecko, nie trzeba wielkiego grzmocenia. Gdyby to na tym polegało, demograficzny niż nie byłby żadnym problemem.

– Oczywiście, wolałbym wierzyć, że to Ian. Chyba mówiłaś, że jest impotentem. – Potknięcie: przypomniał sobie, że coś takiego powiedziała Phyllis, nie Alissa.

– Co mówiłam? Mogłam powiedzieć, że go do tego nie ciągnie. Ale Ian ma tylko czterdzieści trzy lata i nie jest staruchem.

– Przestań już opowiadać – błagał Owen. Coś odrażającego. Jej krew, jego nasienie, nasienie Iana. Miał



wrażenie, że łzawią mu wnętrzności; był na skraju zagłady, bezdennej, czającej się pod rozdartą powierzchnią codziennej szarzyzny. – Co chcesz z tym zrobić?

– A co chcesz, żebym zrobiła? – Musiała powtórzyć pytanie; obok przejechała pięcioosiowa ciężarówka.

– Możesz przerwać ciążę? – wykrzyknął przy tej zakurzonej autostradzie.

– Nie wiem jak – dobiegła słaba odpowiedź. – I nie wiem, jak wytłumaczę Ianowi. On już wie, że nie mam okresu. Gdzie się ruszę, nic mu nie mówiąc? – Jej głos brzmiał coraz słabiej; Alissa malała, tonęła w przezroczystych głębinach, daleka, na zawsze. – Owenie, urodzę to dziecko – krzyknęła. – Nie możemy się już spotykać.

Może te wszystkie rewelacje i postanowienia nie zawarły się w jednej jedynej rozmowie z przydrożnego automatu, może to była sprawa powtarzających się nieubłagane strzępków; nagłe wycofanie się Alissy dało Owenowi tak mało powodów do chluby, że wyparł z pamięci szczegóły. Późnym latem ciąża Alissy była już widoczna. „Po cóż ukrywać?” tak się streszczała nowa tendencja projektantów, dotycząca odwiecznego problemu mody. Miłe, podkreślające figurę dzianiny, poszerzone w pasie minispódniczki a nawet, nad Czaplim Stawem, elastyczne bikini okalały teraz nowe centrum. Pulchność Alissy nabrała świeżości. Ona sama, uśmiechnięta, z dołeczkami na policzkach, odbierała

dowody życzliwego zainteresowania przyjaciół. W ich kręgu ciężce stawały się rzadkością. Owen, przerażony niejasnym pochodzeniem rozwijającego się płodu, z przyjemnością by zamordował to stworzenie, maleńkie, a już przysparzające tylu trudności; tymczasem ono, opatulone w ciało Alissy, było jeszcze bezpieczniejsze, bo stało się już bytem uznanym społecznie. Miasteczko to wylęgarnia, która cieszy się na widok swych najmniejszych. Nowe narodziny to głos oddany za status quo; uwierzytelniają terażniejszość i stanowią zabezpieczenie na przyszłość.

Ostatnie lato lat sześćdziesiątych dostarczało więcej nowin niż powodów do zadowolenia. Nixon z Kissingerem bombami próbowali w Wietnamie torować drogę do kapitulacji na możliwych do przyjęcia warunkach, Ted Kennedy utopił w Chappaquiddick młodą rozmarzoną członkinię sztabu wyborczego, pierwszy człowiek na Księżycu wyglądał jak nadmarioneta, Judy Garland umarła, biskup Pike zaginął, w Los Angeles zadźgano ciężarną Sharon Tate, przez całe Stany Zjednoczone przelewała się fala oporu i nienawiści do rządu. Ale w stronach Owena nowiną była ciąża Alissy Morrissey, a skrywana więź Owena z tym wydarzeniem ściągała go w pobliże straszliwego, niszczycielskiego królestwa rozciągającego się poza nagłówkami prasowymi; królestwa, w którym ludzie stawiają na coś i ponoszą skutki. Było zniewagą dla najskrytszych pokładów niewinności Owena, że jego ciało

eksperymentujące z wolnością mogło znowu wyrzucić z siebie skutek tak nieodwracalny: żywą istotę, której komórki mnożą się co dzień, a biegnie to po majestatycznych rozgałęziających się trasach ułożonych przez DNA. Biedny Ian stroszył piórka, na przyjęciach wysłuchiwał żartów, a pretensjonalna kozia bródka kiwała się w rytm jego ripost, bo chociaż jeszcze się nie stał staruchem, był jednak starszy od reszty, ciąża Alissy, jak biblijnej Sary, okazała się dla wszystkich niespodzianką. Owena parzyło poczucie winy wobec Iana; w tym wydarzeniu biologicznym Ian, którego Owen nigdy nie lubił, wydawał się wyłącznie ofiarą, kimś potraconym, a pogrążonym w błogiej nieświadomości. Dlaczego tak boleśnie doskwierały Owenowi wyrzuty sumienia wobec Iana, dlaczego tak mało ich było wobec dziecka, którego Owen się obawiał, a jeszcze mniej wobec Alissy? Szybko oceniła sytuację, postanowiła rzucić kochanka, żeby zabezpieczyć dziecko. Owen wrócił myślą do tego pierwszego trójkąta: matki, ojca i siebie samego. Matka darzyła go miłością, była przewodniczką, zapewniła poczucie cudowności życia, lecz kiedy rodzice się kłócili, sympatia Owena zawsze zwracała się ku ojcu, ku mizernemu, skłopotanemu, pozbawionemu polotu, przegranemu ojcu. Mężczyźni rozumieją mężczyzn, ów mechanizm z naprawdę niewielką liczbą dźwigni, z paroma prostymi pragnieniami, atawistyczną dumą wojownika i stoicyzmem. Kobiety to marzycielki promienne,

księżycowe, raniące nas, kiedy się wycofują, i raniące,  
kiedy tego nie czynią.

## 11. JAK DOSKONALIŁ SIĘ SPRZĘT

Owen – uwodzony i uwodzący – rozsiewał teraz woń miłosną. W feromonowej domenie zdobył pozycję mężczyzny, który zna już smak tego, co mogą dać kobiety. I napierały na niego, dyskretnie szepcząc lub ściskając dłoń, żartując lub schlebiając. A czas napierał na ich pokolenie, chociaż wciąż uważały, że kwitną; że nadal czeka bezlik możliwości. Owen przyzwyczął się z wolna do widoku dawnej kochanki, niegdyś tak wyuzdanej ukradkiem, teraz ciężarnej publicznie; na bóle, o które przyprawia ją dziecko – bóle nóg i pleców, tych jej pięknych pleców – skarżyła się tak, żeby do wszystkich dotarło. W ostatnich miesiącach wiele godzin spędzała w łóżku, żeby zachować tego cudownie skomplikowanego zaborcę zagnieżdżonego w jej ciele. Po porodzie, przedwczesnym tylko o trzy tygodnie, wszyscy orzekli, że dziecko to kubek w kubek Ian. Maleńka wcześniaczka nie ważyła nawet sześciu funtów; miała ostre pomarszczone rysy i artystowskie przymrużenie oczu Iana, kiedy z niemowlęcego przenośnego łóżeczka w kolorze wanilii spoglądała badawczo w górę, może rażona nadmiarem światła. Owen pewien, że urodzi się chłopak, poczuł, że ramion już mu nie przygniata brzemię powagi.

– Cały tata – na werandzie domu Slade’ów wprost do ucha Owena odezwał się oparty o jego plecy Ed. Był jednym z gości stłoczonych wokół trzymiesięcznego

niemowlaka, wpatrzonych w czerwoną twarzyczkę i nieliczne jasne włoski.

Była Wielkanoc nowego dziesięciolecia; ostre słoneczne światło ledwie powstrzymywane przez bezlistne drzewa wdzierało się na werandę, na wiklinowe meble, a przemknąwszy nad koktajlowymi szklaneczkami, padało na zmrużone oczka małej Niny. Skłonność Morrisseyów do aliteracyjnych zabaw z imionami własnych dzieci wydała się Owenowi prostacka i nagle rzuciła złowrogie światło na radości tamtej przygody. Alissa jeszcze nie schudła po dziecku. Jej piersi – te w sam raz dla niego, mieszczące się w dłoni – teraz wraz z ich nowym ciężarem rozpierały jedwabną bluzkę i purpurowy kostium: wielkanocną kreację Alissy. Ludzie wystroili się, chociaż niewielu chodziło do kościoła nawet w Wielkanoc. Chodzili Slade'owie, z tutejszych małżeństw najbardziej staroświeccy; wdrożyli się też w wydawanie tego corocznego przyjęcia, późnego śniadania, z czasem już oczekiwanego, bo stało się częścią dorocznego cyklu imprez towarzyskich. Niemowlę pojawiło się tego roku jakby dla zapełnienia luki po dzieciach zanadto już wyrosniętych, żeby się pasjonować szukaniem wielkanocnego jajka, którą to zabawę Slade'owie sumiennie inscenizowali. Owen nie mógł dopatrzeć się żadnego własnego rysu w dziecku o rumianej twarzyczce i szeroko otwartych teraz stalowobłękitnych oczach. Na plecach ciążyła mu dłoń Eda, irytowała go wymowa dotknięcia; odwrócił się, żeby

się pozbyć tej dłoni, i spojrzął w oczy partnerowi.

– Jakoś nie widzę bródki – powiedział.

Ed ledwie się uśmiechnął. Także on przybrał na wadze, odstawiony od kielków i sałatek Stacey. Rzuciła go, żeby wrócić do Kalifornii. Znowu pętając się od domu do domu, zapraszany na kolacje jak kawaler, Ed przedstawiał sprawę jako coś zwyczajnego: Stacey była za młoda i należała do innej kultury. Kalifornia to nie inny stan, lecz inny kraj. Stacey zawsze uważała Connecticut – stan zbyt zielony, zbyt staroświecki, w którym wszystko leży za blisko siebie – za coś nierzeczywistego, a zważywszy na czas, który Ed musiał spędzać w firmie, była tu samotna. Tak przeformułował coś, co pewnie uważał za wstydlive niepowodzenie: brak werwy i czegoś, czym mogłaby się nacieszyć młoda kobieta. Gdyby tylko postarali się o dziecko, wywodził Owenowi, wszystko by wyglądało inaczej. Chciał dziecka, Stacey nie chciała. Owen często wracał pamięcią do wieczoru, kiedy popalali trawkę, a Stacey rozsiadła się na podłodze. Zastanawiał się, czy propozycja obciągnięcia laski skierowana została tylko do niego, czy też składała ją w Middle Falls częściej i z większym powodzeniem. Owen żałował, że Stacey już nie ma, bo teraz by propozycję przyjął. Już lepiej rozumiał sprawy: że w sumie to żaden problem. Stacey miała wylewną naturę z Zachodu, Ed był zaś tępym uczuciowo kołkiem z Bronksu, gdzie ulica uczy taktownej po gangstersku małomówności. Tu, w Middle Falls, gdzie ulubioną

zabawą jest plotka, część Edowego kodu nadal nakazywała więcej wiedzieć, niż mówić; Ed jakoś się dowiedział o Alissie, Owenie i dziecku, lecz wolał zachować to dla siebie.

Phyllis, która już zaliczyła trzy kieliszki wina, chciała wziąć dziecko na ręce. Dla okazania pogardy wobec tego najbardziej chrześcijańskiego ze świąt wbiła się w obcisłe dżinsy, w uszy wpięła małeńkie kolczyki z perłami, a rękawy pasiastej męskiej koszuli podwinęła zapewne po to, żeby nikt nie przeoczył szwajcarskiego zegarka za tysiąc dolarów, prezentu od Owena na piętnastą rocznicę ślubu.

– To było tak dawno – wyjaśniała; schylała się, a jej wysokie ciało o szczupłych biodrach cięło strugi słońca na werandzie; z przenośnego łóżeczka szybko wzięła na ręce ciało spowite w koce. Alissa nie zdołała ukryć przestachu, jej okulary błysnęły, uniosła się na krześle i niemal sięgnęła po dziecko, lecz Phyllis łagodnie posłała w dół ku matce promienny, pełen wdzięku uspokajający uśmiech. – Nie zapomniałam o główce – powiedziała i pokazała podtrzymującą główkę lewą rękę. – Jakież te małe łepetyny są gorące! – dodała i wpatrzyła się w twarz niemowlaka, jakby szukała tam jakiegoś sensu, jakiejś zagadki w tym nie skoncentrowanym na niczym spojrzeniu wybałuszonych oczu. – Jest nadzwyczajna, Alisso – ciągnęła cichym, lecz jakoś rozkazującym tonem; nigdy Owen starał się nie uronić ani jednej wypowiedanej w ten sposób zgłoski. Phyllis odnalazła



teraz jego twarz w stłoczonej, zamilkłej grupce i powiedziała: – Owenie, musimy mieć jeszcze jedno, zanim będzie za późno.

– Przegadamy sprawę – zapewnił Owen, zdumiony, że ta namiastka odpowiedzi wzbudziła śmiech przyjaciół.

Tym niesamowitym, iście lunatycznym zawłaszczaniem dziecka Phyllis wywołała napięcie. Tylko niemowlę go nie odczuło. Dziewczynka zamknęła niebieskie oczy, ciemniejsze niż wyblakłe matczyne.

– Kochana maleńka Nina – odezwała się do dziecka Phyllis. – Istne чудо. Pójdzie ci w życiu jak z płatka. – Pocałowała okrągłe czerwone czoło, na którym pojawiło się coś w rodzaju zmarszczki, i spojrzała na najbliższej stojące kobiety. – Która następna? – spytała łagodnym głosem; po małą Ninę wyciągnęło się kilka par rąk, żeby troskliwie przejąć niemowlę.

W drodze do domu w czerwonej corvette stingray Owen zdobył się na uwagę:

– Nie jestem pewien, czy Alissa przypuszczała, że tak porwiesz to dziecko.

– Była zachwycona – zapewniła Phyllis. – Wszystkie kobiety pragną podziwu dla swoich dzieci. Poczują się dotknięta, gdybyśmy nie uprosiły, żeby je pozwoliła ponosić. Ją ponosić.

– Widocznie przeoczyłem akt upraszania. Mam wrażenie, że żartowałaś, mówiąc o jeszcze jednym dziecku. Ève kończy siedem lat, dotąd przez całe życie była maluchem. Chcesz wrócić do pieluch, budzenia w

nocy i tego wszystkiego? Naprawdę?

– Tylko jeśli to nas bardziej zbliży.

– Jak może nas coś bardziej zbliżyć? Mój Boże, w gruncie rzeczy jesteśmy jak zespawani.

Phyllis na chwilę zamilkła, potem odrzekła:

– Pewnie, że żartowałam, Owenie. Wściekłbyś się na myśl o jeszcze jednym dziecku ze mną.

Zabrzmiało to bardziej kategorycznie, niż chciał, jak z przeciwległego bieguna w porównaniu z hipnotycznym zachowaniem na przyjęciu. Z coraz większym trudem przychodziło Owenowi lokalizowanie prawdziwej Phyllis. Ciszę w samochodzie znosił gorzej niż ona, więc podsunął:

– Pomyślałem, że teraz, kiedy Ève przez większą część dnia będzie poza domem, mogłabyś znowu gdzieś zaliczyć jeden czy dwa kursy, może w Trinity, nawet w Yale. Na rozgrzewkę, zanim wrócisz do pracy doktorskiej.

– Mogłabym też wrócić do lekcji baletu, które rzuciłam jako jedenastolatka – odrzekła tak pogodnie, że Owen przez chwilę nie zauważył ironii.

W dwudziestym pierwszym wieku w Haskells Crossing bogaci dopatrują się w Wielkanocy zalet. Nawet ci nie chodzący do kościoła robią dla Wielkanocy wyjątek, podobnie dla Bożego Narodzenia, jakby dla podtrzymania paktu z siłami nadprzyrodzonymi, którym zawdzięczają pomyślność. Kościół episkopalny jest tu

kościółem z wyboru w trzy i pół wieku po ustanowieniu przez purytan żelaznych zasad teokracji. Purytanie byli fanatykami; Stany Zjednoczone to kraj konserwatywny, wywiedziony z postaw radykalnych. W niejednym miasteczku Nowej Anglii biały kościół kongregacjonalistów popada teraz w ruinę – obłazi zeń farba, niewiele brakuje, żeby się zawaliła spróchniała wieża, tablica ogłoszeń zapowiada kazania o humorystycznych jak na ten gatunek tytułach w rodzaju „Ja i Bóg jesteśmy OK” bądź „Z zakazanego owocu wysmażysz wiele konfitur” – zwłaszcza w porównaniu z szachulcowymi konstrukcjami o stromych spadzistych dachach, przywiązany do eleganckich słów Cranmera i królewskich zachcianek Henryka VIII<sup>1</sup>.

Owen, wprawdzie wcale bogaty po podziale i sprzedaży E-0 Data w latach siedemdziesiątych, postrzegał bogaczy – tych bogatych od pokoleń – jako egzotyczne plemię. Był przekonany, że bogactwo Alton ufundowane na posiadaniu fabryki włókienniczej uciemieżyło jego ojca, a obrabowało dziadka. W Willow niektórym miejscowym fortunom włókienniczym towarzyszyło echo legendy Mellonów, Fricków bądź Carnegiech z Pittsburgha. Chociaż Owen wyteżał wzrok, żeby coś dostrzec nad piaskowcowym murem otaczającym posiadłość Pomeroy w pobliżu wzgórza Cedar, chociaż słyszał odległy chłupot znad basenu, nigdy nie spotkał żadnej z tych legendarnych istot. W Szeherezadzie – sali bez okien, o pochyłej podłodze, z

okładziną z blaszanych arkuszy, których wytłoczenia imitowały cegłę, ozdobionej paroma lampami stylizowanymi na chińskie lampiony i fryzami art déco; sali, przed której wejściem siedziała w budce kasowej siwa żona właściciela, a wyżej zwieszała się iluminowana markiza, przyciągająca latem masy ciem – bogaci grani przez Cary’ego Granta i Freda Astaire’a, Joan Blondel i Katharine Hepburn, Charlesa Coburna i Eugena Palette’a, odmalowywani byli ciepło, w srebrzystym świetle, jako gwiazdy komedii omyłek, na której pomyślne zakończenie wpływa zarówno powab seksualny, jak i nieograniczony zasób ważonych lekce pieniędzy. Cóż za triumf sztuki kapitalistycznej: odwieść biednych od nienawiści wobec bogatych, a na to miejsce podsunąć chichot i współczucie! Wystarczy uśmiech losu i oto biedny może się stać bogaczem, tak samo niemądrym i szczęśliwym. Nababowie produkujący te filmy nie uważali tego, rzecz jasna, za wymysł. Sami się wspięli w ten sposób w Ameryce. Na mniejszą skalę to samo dotyczyło Owena.

Teraz, podczas wielkanocnego nabożeństwa w Haskells Crossing u Świętego Barnaby o dziesiątej rano Owen może oglądać w naturalnych kolorach i trójwymiarowo klan Wainthropów wypełniający dwie pierwsze ławki. Głowa rodu, osiemdziesięcioletnia matrona, z dawien dawna wdowa, zasiada w majestacie na wózku inwalidzkim, zastawiając połowę przejścia między ławkami; w drodze do komunii przy barierce

wierni muszą ją obchodzić. Przed nabożeństwem wnukowie jeden za drugim – w klubowych marynarkach, rypsowych krawatach i popelinowych koszulach z kołnierzykami zapinanymi na guziczki – gną się, przeciskają obok rodziców, byle złożyć uszanowanie owej najstarszej o sztywnych niebieskich włosach pod czarnym słomkowym kapeluszem słonecznym, byle gdzieś bokiem przemycić pod szerokim rondem pocałunek. Żaden pasza, żaden mafijny don nie zdołałby przyjmować hołdów z większym dostojenstwem. Pieniądze blokowane przez to osiemdziesięcioletnie ciało Owen wyobraża sobie jako tony pszenicy w elewatorze na prerii czekające, aż się otworzy zsyp. Tymczasem sporo się już rozsypało; ubrani w marynarki chłopcy obnoszą miodową opaleniznę po zimowych wakacjach na Bahamach i po narciarskich weekendach, a dziewczęta, nawet te w trudnym wieku, z klamrami na zębach i trądzikiem, obnoszą kosztowne sukienki i żywe nadzieje na dobre szkoły oraz solidne notowania na rynku matrymonialnym. Kasa jest jak zdrowie.

Podczas czytania Pisma, zbiorowych modlitw, kazania (Zaprawdę zmartwychwstał, jak zmartwychwstaje w naszych losach, bo dla wielu jest to Wielkanoc w sercu!) ich rodzice, pokolenie pośrednie, siedzą z tym samym uprzejmym wyrazem twarzy i odrobiną uśmiechu, z jakimi uczestniczą w bezliku posiedzeń zarządów czy rad i szczerze podlewanych przyjęć, potwierdzających udział w układzie, z którego

czepią zyski. Owena zachwycają zwłaszcza dwa szczególne przymioty bogaczy płci męskiej: zdolność do stawania się coraz bardziej uprzejmymi, w miarę jak obiekt, do którego adresują uprzejmość, drażni ich coraz bardziej, oraz zdolność noszenia butów, wszelkiego rodzaju mokasynów na gołą nogę. Owen, niższego pochodzenia, nie umie ukrywać rozdrażnień ani nie znosi na gołych nogach lepiących się i brudnych butów; skarpetki im grubsze i bardziej miękkie, tym lepsze. Bogaci mężczyźni i chłopcy zapewne po to odmawiają sobie wygody skarpetek, sądził Owen, żeby obnosić te rasowe kostki u nóg. Owen podziwia też zdolność bogaczy obojga płci do czego innego: gdy na przyjęciu wrzucają do ust jakąś zagadkową przystawkę i okazuje się, że to coś nieludzko gorącego, nigdy nie wypluwają tych specjałów, lecz rażeni boleścią zawsze pokornie łykają, za co u kresu drogi płacą rakiem krtani.

Dwie ciasno zapełnione ławki ogarniają wszelkie etapy życia, od nieodwracalnego kalectwa, opuchlizny alkoholowej, skóry do głębi zrytej przez słońce, przez rzeźbione w siłowni mięśnie, wypielegnowaną w uzdrowiskach smukłość, przez nastoletni rozkwit i śpieszny wzrost, przez wiercenie się i chichoty podrostków, po dziecięcą pulchność w obłoczku dławiącej nudy, po ospałość raczkującego szkraba poprzedzającą nieuchronny wybuch, po okaz mlecznej szczęśliwości: świeżo ochrzczone niemowlę śpiące na kolanach młodej matki. Wainthropowie składają się na

obraz przedstawiający w skrócie tragiczne koleje życia, lecz na ów obraz nakładają się też wdzięk, dobre maniere i przeświadczenie, że wartość klanu przewyższa sumę poszczególnych składników. To nie dla nich, nie dla bogatych: jakaś bezładna wędrówka w pojedynkę, ucieczka z podszytej wiatrem rodziny-drobiny w bezkres amerykańskiej ziemi jałowej: rozrywkowej tandety, wielkich jak jeziora parkingów przed centrami handlowymi, obskurnych przydrożnych barów zapraszających na karaoke w środowy wieczór, pustoszejących centrów miast i wycinanych lasów, pętania się od pracy do pracy, od partnera do partnera, z tak nędznym elektronicznym wytchnieniem, jak filmy akcji nadziewane pirotechniką oraz rozbijanymi samochodami i te telewizyjne komedie, które jak w zamglonym, porysowanym lustrze odbijają niezdarną komedię naszych rozpaczliwych codziennych improwizacji, wymykania się nakazom Kościoła, społeczności i rodzinnej hierarchii. Tylko bogaci – i to nie wszyscy, bo niektórzy okazują się buntownikami, inni zaś, skutkiem zaniedbań, staczają się do niższych kast – mogą sobie pozwolić na to, żeby stare struktury wiodły ich od kolebki do grobu dobrze odżywionych, dobrze ubranych, szanowanych. Dla jedynaka Owena, który najbardziej czuł się sobą, kiedy z twarzą płonąca zimnym ogniem zatracał się w kodowej konwersacji z lampą katodową, posplatane klany z Haskells Crossing są paradygmatami społeczności, siecią mocniejszą niż ze

stali. Kobiety są przeważnie krwi anglosaskiej – jasnowłose, o podanej do przodu żuchwie wojowników – mężczyźni zaś tak grubokościści, że wydają się nieco zażenowani w tych szytych na miarę garniturach. Lecz tu i ówdzie sieć uwięziła oblubienice krwi azjatyckiej lub latynoskiej i oblubieńców z ras raczej śniadych, jakiegoś żydowskiego prawnika czy maklera o włoskich korzeniach, dla odświeżenia puli genów.

Korzystając z wieloletnich doświadczeń w tej mierze, Julia długo udziela proboszczowi rad po nabożeństwie, Owen zaś, tak się składa, stoi w pobliżu gromady Wainthropów, tuż obok młodej matki śpiącego niemowlęcia, które budzi się teraz z trudem, marudnie zaczyna się wiercić na matczynym kołyszącym biodrze. Kobieta okazuje się bardziej posągowa niż w zatłoczonej ławce. Ma długie błyszczące rozpuszczone włosy w stylu dzieci-kwiatów z lat sześćdziesiątych i nordyckie rysy, jakby większe niż w naturalnej skali. Ma długie i mocne stopy związane z butami na wysokim obcasie białym rzemieniem kilkakroć opasującym kostki; przeciwwagą dla jasnych włosów są niewyskubane ciemne brwi i wydęte szerokie wargi pociągnięte błyszczącą koralową szminką. Kobieta postanowiła ponaglić pory roku (niedziela zaczęła się słonecznie, ale teraz jest chmurno i zimniej), włożywszy minisukienkę w szerokie poprzeczne pasy w kolorach połowy tęczy, tak obcisłą, jakby jej ciało w każdej chwili i w każdym miejscu mogło się wyrwać z więzów ubioru. Owen przygląda się ukradkiem, jak



podchodzą do niej inni Wainthropowie, żeby pozachwytać się nowym niemowlakiem i – zwyczajem bogaczy – zwinnie wymienić pocałunczki w powietrzu. Owen musi odwrócić wzrok, lada chwila przyglądanie zamieni się w niedyskrecję; a jest tu jakieś pierwotne wielkie piękno, olśniewające jak rozłożystość nagiej matki w oczach jej kilkumiesięcznego syna; to piękno żąda od męskiego serca – starego, bo zestarzał się Owen – oddania czci, padnięcia na kolana w akcie czysto. pogańskiego uwielbienia na tym szczególnie chrześcijańskim obszarze Haskells Crossing.

Na pytanie „Która następna?” zadane przez Phyllis na werandzie Slade’ów Owen zdołał odpowiedzieć trochę później. Coraz częściej podróżował, w rytm bitew E-0 Data o zachowanie pozycji w branży wyraźnie ciężającej ku Zachodniemu Wybrzeżu. W 1968 roku wybrał się na konferencję komputerową do San Francisco, żeby zobaczyć, jak były technik radarowy nazwiskiem Douglas Engelbart zademonstruje urządzenie o nazwie „Wskaźnik pozycji x-y dla systemu monitorującego”, trzymane w dłoni, wkrótce zaś przezwane „myszą”. Posługując się komputerem oddalonym o dwadzieścia pięć mil, Engelbart pokazał podczas dziewięćdziesięciominutowego wykładu, jak można się obyć bez komend tekstowych, kierując polecenia poprzez ekran monitora podzielony na okna. Owen zrozumiał, że w tym się właśnie kryje przyszłość sprzętu; a

powróciwszy do E-O, eksperymentował, łącząc reguły x-y z piórem świetlnym, wciąż użytecznym narzędziem komputerowo wspomaganego projektowania. Ale niemożność przyszpilenia każdego piksela – czemu mogłaby zaradzić tylko odpowiednia wydajność komputera, pozwalająca przechować i przeanalizować zapis zeskanowany z lampy katodowej – sprawiła, że Owen przestał na drugim już udoskonaleniu DigitEyes (DigitEyes 2. 2) z użyciem pióra świetlnego, które poprzez ekran monitora kontaktowało się z adresem współrzędnych x-y. Powiększanie lub obrót naszkicowanego obrazu wektorowego wciąż wymagały bogactwa liczbowych linijek komend. Szybkość i precyzja pracy z tą grafiką były zdumiewające, możliwe były komendy pozwalające powiększać lub pomniejszać w skali  $10^3$ , lecz metody postępowania wciąż zależały od alfanumerycznego języka maszynowego wraz z jego kłopotliwym podręcznikiem.

W 1974 roku w należącym do Xerox Corporation ośrodku badawczym w Palo Alto, zwanym też PARC<sup>2</sup> – Xerox raczej wspierał badania związane z produktami masowego zbytu niż z rozwiązywaniem problemów wojska czy wielkich firm – Owen zobaczył pierwszy prawdziwie graficzny interfejs użytkownika tam właśnie zastosowany. Struchlał; interfejs z ikonami obsługiwanymi za pomocą myszy i schematem zwykłego biurka przekazywał wszystkie techniczne polecenia ukrytemu programowi. Po prostu użytkownik poruszał za

pomocą myszy wskaźnik na ekranie; upuszczał bądź przeciągał ikony albo fragmenty podświetlonego tekstu. Odtąd czasy interfejsu z linią wypisywania komend należały do przeszłości. Przyrastające w postępie geometrycznym możliwości procesorów sprawiły, że każdy piksel na przeszukiwanym liniowo monitorze miał odtąd własny adres: współrzędne, które zwykły ruch ręki – z towarzyszeniem bezgłośnej nawałnicy przeliczeń – przerzucał do następnego umiejscowienia wraz z pozostałymi pikselami ikony bądź zaznaczonego tekstu. Wynalazca, naukowiec z PARC nazwiskiem – stosownym bo elementarnym – Alan Kay, wpadł na ten pomysł, podpatrując dzieci z podstawówki, które pisały i stosowały własne programiki w ułożonym przez Seymoura Paperta języku programowania Logo, w którym wszystkie polecenia przybrały postać „żółwiej grafiki”: obiektów i ruchów. Drogę wskazały dzieci. Zawsze się znajdzie jakiś młodzik powiązany intuicyjnie z ową wspaniałą zabawką, z tym mózgiem w pudle, mózgiem, który nie tkwi w jakimś niepokładanym, nasączonym krwią zwierzęciu. Owen już nie był młody. Tam – na tamtym wybrzeżu, z klifami i palmami, z przeszklonymi, niskimi, zalewanymi przez słońce i odpornymi na trzęsienia ziemi ośrodkami badawczymi, z niedostępnymi dla kurzu halami, w których wytwarza się mikroelektronikę – zobaczył jakąś obcą przyszłość, świat komputerów sprzedawanych masowo jak maszyny do pisania, przy czym cała ich elegancka matematyka,

niegdyś dalekie obrzeże zainteresowań inżynierów elektryków i logików spod znaku Boole'a<sup>3</sup>, została teraz ukryta pod powierzchnią rysunekzków wulgarnych jak komiks. Czy w MIT, czy przed monitorami ulokowanej w Turcji bazy raketowej, czy w Nowym Jorku w IBM, czy w garażu licowanego deskami bliźniaka przy Common Lane, wynajmowanego wraz z Phyllis w pierwszym roku pobytu w Middle Falls, Owen miał zawsze wrażenie, że się znajduje w czołówce rewolucji, że jest częścią przełomu, fali nowej technologii; a teraz – chociaż E-0 Data wciąż mogła wykorzystywać rosnącą liczbę szefów nie mających pojęcia o komputerach z wyjątkiem tego, że współczesna firma musi je mieć wraz programami, żeby wykonywały pracę, do której już nie trzeba ludzi – przypominali wraz z Edem farmerów, którzy w pośpiechu oporządzają pola, zanim je zaleją wzbierające wody nowego sztucznego jeziora. Wkrótce byle biurowy goniec będzie mógł programować odarty z godności megakomputer, a minimalista z przystawką do unixa – uratowanego przez Laboratoria Bella po klapie, którą zrobił w General Electric Multics, a potem udostępnionego uniwersytetom po symbolicznej cenie – jeszcze gruntowniej zdemokratyzuje to, co niegdyś było sztuką dla wtajemniczonych. Od tej pory Owen musiał już myśleć w kategoriach nisz, projektów specjalnych, klientów z Europy i chwilowych, przelotnych mód.

W komputerowym świecie było teraz więcej kobiet niż przed dziesięcioma laty. Niektóre były

programistkami i inżynierami; znacznie więcej zajmowało się instalowaniem, zasilalo personel pomocniczy, nie brakowało też przedstawicielek handlowych rozhuśtanych gigantów: Sperry Randa, IBM, General Electric, Honeywella. Te młode kobiety – wiele pokończyło matematykę, jak Phyllis, chociaż inne trafiły do branży po anglistyce czy psychologii – pojawiały się na konferencjach i od czasu do czasu któraś z nich zgłębiała z Owenem możliwości, jakie stwarza noc spędzana z dala od domu. Jacqueline, Antoinette, Mirabella miały rys wspólny: fantazyjne imiona, zadbane ciała, krótkie spódniczki i wyemancypowanie. Zanim dobiegł końca Wietnam i zanim zrezygnował Nixon, lata siedemdziesiąte były wciąż przedłużeniem sześćdziesiątych, buntowniczej gorączki wywołanej rozdrażnieniem na górze. Lecz nowej dekadzie brakowało świeżości, spojrzenia nabrały chłodu. Kobiece ciała stwardniały, bo ćwiczenia fizyczne i dieta stały się swoistym wyznaniem feminizmu. Wcześniej droga do duchowego zdrowia wiodła przez narkotyki i promiskuityzm; teraz nadeszła kolej na kondycję fizyczną. Owen nie mógł się powstrzymać od zachwyty, kiedy klęcząc na kosmatym chodniku w pokoju hotelowym w San Jose ścigał rajstopy Jacqueline i patrzył na płaski splot ścięgien za kolanem, na krągłość łydki przechodzącą jak muzyczna modulacja w biceps femoris i gluteus maximus, jakże mocny w dotknięciu; całował jej słodki adductor longus<sup>4</sup>, lecz zmuszony był

przerwać, bo Jacqueline, nie do końca pozbywszy się rajstop, musiała złapać go za włosy dla zachowania równowagi. Rozebrana, okazała się drobnej, lecz mocnej budowy, mniej giętka, niż obiecywało rozbudowane umięśnienie. Skóra i włosy miały w sobie coś kwaśnego po całym dniu w odrzutowcu i dwunastogodzinnym wyśpiwywaniu na stojąco hymnów na cześć DEC PDP-11<sup>5</sup>, z oprogramowaniem wprowadzającym podział czasu<sup>6</sup> i urządzeniami peryferyjnymi na taśmę magnetyczną, wyższymi niż Jacqueline nawet z tą jej imponującą wielką fryzurą. Kiedy już się w niej znalazł, był zbyt zmęczony, żeby trzymać się w ryzach, ona zaś nie przyjęła przeprosin. Z tymi pośpieszonymi podbojami wiązał się brak snu, pozostawiał uczucie lekkiego zamroczenia przez tydzień, aż urok podboju blakł, wreszcie z dnia na dzień znikał.

Antoinette była niepokojąco szczupłą, nie przebierającą w słowach specjalistką od instalacji, poznaną na targach komputerowych w Saint Louis, czyli akraach jasnego metalu i wypukłych zielonkawoczarnych ekranów, umieszczonych w alei o kształcie wielkiego łuku, którym Lewis i Clark otworzyli drogę na Zachód<sup>7</sup>. Targi odbywały się w ogromnym pawilonie świeżo wzniesionym na miejscu zburzonego czarnego getta; mieszkańcy umknęli do East Saint Louis, natomiast sponsorzy targów właściwie nie wiedzieli, kogo ma uwieść blask przedsięwzięcia, ludzi wielkiego biznesu czy prywatnych hobbystów mających dość cierpliwości i

setki godzin czasu, żeby zmontować Altaira 88 00<sup>8</sup>. W owym półmroku poprzedzającym świt Apple, kiedy to komputery hobbystów stawały się produktem rynkowym, nawet Tandy TRS-80 z Radio Shack<sup>9</sup> kosztował więcej niż nowy buick, a najtańszego DEC-a, czyli PDP-8, sprzedawano „zaledwie” za osiemnaście tysięcy dolarów. Owen pilnował stoiska E-0 Data, sprzedając bez wielkiego przekonania zintegrowany program do gier, którego rozwijania uparcie domagał się Ed. Chcąc zarobić na przeboju, jakim się stał Atari Pong<sup>10</sup>, Ed stworzył zespół projektancki z młodszych pracowników i pominął Owena. Ale problemem Ponga wciąż była stufuntowa skrzynia stawiana w pasażu czy knajpce, do której gracze wrzucali, jak do flipera, dwudziestopięciocentówkę. W owych czasach komputer stał w jednym na sto tysięcy domów. Trudno było uwierzyć, że przyszłością urządzenia – zrodzonego przez wielką wojnę, teraz mielącego liczby na rzecz armii finansowych, przemysłowych i naukowych – stają się gry wideo wymagające dźwięku, koloru i joysticków. Typki w szarych i szarobrazowych garniturach, mundurkach wielkich zarządów, kręciły się między stoiskami, którymi zawiadywali komputerowcy o włosach zebranych w kucyk, ubrani w stare dzinsy i flanelowe koszule. Ten ostatni mundurek, innego już pokolenia, rozprawił się z tym pierwszym i stał się szczytem nadzianej mody; prawnicy i bankierzy ubierali się sportowo, żeby w ten sposób witać swych najcenniejszych klientów:

megabogaczy elektroniki.

Owen wypatrzył Antoinette na stoisku Cray Research, nowej firmy z Chippewa Falls w Wisconsin, zajmującej się komputerami wysokiej wydajności. Miała czarne włosy, jakby strzyżone na chybcika dziecinnymi plastikowymi nożyczkami, a otaczała ją naelektryzowana aura oskarżycielska, co rokowało nie najgorzej. Owen namierzył ją na mocno podciętym przyjęciu wydanym przez nowo powołane miejskie Stowarzyszenie Przemysłu Elektronicznego. Bardzo szybko, jak uznał, Antoinette poczęstowała go tyradą skierowaną przeciw koledze z pracy, w jakiejś mierze przełożonemu, „dupkowi”, którego „gówna” musiała znosić i była nimi umęczona. Te słowa przyprawiły o grymas delikatnego Owena, niemniej tkwiła w nich obietnica intymności. Powściągnął zbrzydzenie i powiedział sobie, że to po prostu kobieta z temperamentem, mieszkająca jak on w jakichś tam małych Falls, i oto los zderza ich ze sobą w samym sercu wielkiego wolnego kraju. Zostawili przyjęcie i ruszyli taksówką do znanej z befsztyków restauracji. Antoinette snuła opowieść dalej:

– To zachwycone sobą gówno, totalne, na imię ma Erie, swoją drogą czybyś pomyślał, że ktoś imieniem Erie będzie się tak wpatrywał we własny pepek; przypieprza się do mnie non stop, ale tak cwanie, że nikt się o to nie czepi, chyba tylko ja to mogę wyczuć, bo na okrągło wstawia pseudoeleganckie „pozwolisz, że”, „bądź aniołem i”, tratata-srututu, tymczasem chodzi o całą noc



nad kodem maszynowym, normalnie całą noc, sprawdzanie liczba po liczbie z głównym wzorem, dwadzieścia stron z hakiem z igłowej drukarki, z kompletnie zużytą taśmą, cud, że nie oślepiłam. A rano wiesz, co mówi, kutafon?

– Co? – spytał Owen, sącząc na wszelki wypadek drugie piwo w nadziei, że gdyby miało do czegoś dojść, to tymczasem rozcieńczy dwa solidne burbony z przyjęcia. Uczył się narzucania sobie odpowiedniego tempa w tych sprawach, na zasadzie odroczonej wynagrodzeń.

– Powiedział „dzięki, dzięki, Antoinette”, to wszystko, na co się skurwiel zdobył, kanalia jedna. Po prostu wziął te wydruki, które poznały, liczba po liczbie pozakreślałam możliwe błędy; siadły mi oczy, muszę sobie sprawić nowe okulary i założę się, że przez to. „Dzięki”, miał czelność powiedzieć: „dzięki, taka miła jesteś” i położył to między papierami na biurku, jakby chodziło o najzwyklejszą w świecie uprzejmość, głupie pięć minut, a wiedział, jebaniec, że prześlęczałam nad tym całą noc.

– To rzeczywiście zakrawa na grubiaństwo – zapewnił Owen; miał wrażenie wzdymania się mózgu, co uwalniało go od poczucia winy i obaw, że Phyllis właśnie dzwoni do hotelu.

– A jednocześnie wciąż odstawia te szowinistyczne męskie sztuczki, opowiada cuda nie widy, jakie to muszę mieć IQ, że o tyle szybciej od niego wyłapuję

nadmiarowość i śmieci, i że naprawdę powinnam pracować na jego miejscu, masz pojęcie, ma czelność palnąć coś podobnego, pracować na jego miejscu, jakbyśmy mieli równe szanse. To jeden z tych typów, którym się zdaje, że być wielkim feministą to najlepszy sposób, żeby ci ściągnąć majtki. No kutas, słowo daję. Zarozumiały, wazeliniański, komediancki chuj.

– Moja żona jest bardzo bystra – powiedział nieśmiało Owen. – A w każdym razie była.

Antoinette nie słuchała. Dalej opowiadała o Ericu, jak się ubiera do pracy, ho-ho-jak-sportowo-i-młodzieżowo, i że co pół godziny wyciąga grzebień, bo jest strasznie dumny z tych rudawych kręconych włosów, nosi szerokie paski z kowbojskimi sprzączkami, żeby pokazać, jaki to ma płaski brzuch; biega codziennie pięć mil, a pije tylko wodę sodową i białe wino, byle zachować figurę, zupełnie jak kobieta. Antoinette podejrzewa, że to w gruncie rzeczy ciota.

– Kiedy chodzi, to tak jest zajęty własną dupą jak kobieta, tą szczupłą małą dupką i długimi tykawatymi nogami. Dlaczego jakiś facet, no chyba że pedał, nosi takie obcisłe dzinsy, chyba bierze łyżkę do butów, żeby je wciągnąć?

I to nie żadne dzinsy niebieskie, skąd, to zbyt ograne, on nosi czarne z białym stebnowaniem na kieszeni. Boże, co za wał.

Nawet w hotelowym pokoju u Owena, już rozebrana

Antoinette, pełznąca przez cień jak rozdrażniony biały wąż – czuł chłód jej skóry na swojej, czuł ów podniecający dreszcz wrogości, czuł coś, co trzeba przeoczyć, przewyciężyć – nie zrezygnowała z jadowitych wypowiedzi wobec kolegi, który sobie wyobraża, że jest, kurwa, za świetny, żeby przyjechać na tę żenadę, te pseudotargi, więc zamiast tego wysyła ją i jeszcze oczekuje wdzięczności za rzekome wyróżnienie. Nie wyłączyła się nawet na czas posuwania, wywodziła, jak to niektórzy zależli jej za skórę, do czego, wie sama, nie powinna była dopuścić, a oni właśnie chcą tego, megapalanty, przyjaciółki radzą jej wznieść się ponad to, w ogóle nie dostrzegać obmierzłego sukinsyna; gadała nawet wtedy, kiedy Owen miał orgazm, a należała do tych cyrkówek, które zadzierają nogi aż do tyłu, na siebie, jakby je wystrzelono z armaty; Owen, który nie miał pojęcia, z czym może wówczas wejść w kontakt łechtaczka, chociaż to sprawa Antoinette, uzmysłowił sobie, że ona kocha tego znienawidzonego Ericka, czuje się wzgardzona i posługuje Owenem, żeby wzbudzić zazdrość tamtego. Myśli, że Erie może ją teraz zobaczyć; Antoinette przez cały czas jest z Erikiem. Była opętana na jego punkcie, rozgniewana, zwłaszcza po pijanemu, tym, że Erie o to nie dba; wisi gdzieś w kącie sufitu jak nietoperz i zupełnie się nie przejmuje, z kim to Antoinette odstawia numery w stylu akrobatycznym.

W końcu oprzytomniała. Leżeli obok siebie. Była rozgrzana i rozczarowana, niewyraźnie widząc tę

rzeczywistość, którą stanowił Owen przeciwstawiany tamtemu mężczyźnie z Chippewa Falls w Wisconsin, druzgocącemu jej miłość własną. Już innym, trzeźwiejszym tonem oświadczyła:

– Hej, jak się tam nazywasz. Niezły jesteś. Dzięki za to, że mnie słuchałeś. Moje przyjaciółki uważają, że na tym punkcie mam fiola.

– No tak – powiedział Owen, miękki i uległy, jakim chciał teraz być – mamy fiola. My wszyscy, w ogóle ludzie. Ten Erie to chyba interesujący gość.

– Nie. Kutas. To ja powinnam pracować na jego miejscu – powiedziała Antoinette takim tonem, jakby Owen w ogóle nie słuchał.

Leżeli obok siebie jeszcze godzinę, ziębił ich wysychający pot, więc naciągnęli cieniutkie hotelowe koce, żeby je potem zrzucić w drodze do łazienki. Białe twarde pośladki Antoinette lśniły w pasach światła i cienia rzucanych przez żaluzję w oknie wychodzącym na ciche, oświetlone podwórze, Owen zaś sennie rozmyślał, czy to prawda, co mówi Antoinette, że kobiety zawsze mają świadomość własnego tyłka. Po powrocie z łazienki Antoinette otarła się o niego, nawet szturchnęła go tam, gdzie był wiotki i jedwabście miękki, jakby miała sama sobie okazać, że to on jest tutaj, jakiś nie-Eric, zatem nie odnosi się do Owena żaden z żalów wobec Erica. Kiedy czerwone cyferki na hotelowym radiobudziku pokazywały porę poprzedzającą świt, zdobyła się na wysiłek i oddała mu sprawiedliwość, mężczyźnie, który

wytrzymał z nią, wygłaszającą tę podpita tyradę, ten katalog wyzwisk dedykowanych Ericowi; oddała sprawiedliwość mężczyźnie, który mimo wszystko kochał się z nią, zachwyił jej ciałem, giętkością, a zastrzeżenia wobec łechtaczkowych uników zachował dla siebie. Było jednak za późno, Stowarzyszenie Przemysłu Elektronicznego zwijało nazajutrz namioty, oni zaś ruszali z powrotem, każde do własnych losów, dla których owo intermedium nie było żadnym trwałym rozwiązaniem.

Rozwiązaniem nie, to fakt, niemniej było jakimś wydarzeniem, i to uwznioślającym. Kiedy spotkali się nazajutrz pod wysokim metalowym dachem hali wystawowej, zrobili sobie przerwę w pracy i na zapleczu w pomieszczeniu dla pracowników i wystawców popijali razem kawę ze styropianowych kubków, zagryzając darmowymi pączkami i obrzydliwie wysokokalorycznym ciastem. Nie mieli sobie wiele do powiedzenia, lecz kiedy senni i zakłopotani szukali słów, przyznawali w duchu – pewni, że więcej się nie spotkają – iż coś zapoczątkowali, otarli się o coś istotnego. Miało to jakiś zapach, smak – pomijając smak kawy i smażonego na tłuszczu słodkiego ciasta – jakiejś nieśpiesznej zwierzęcej beztroski i wzajemnie nabytej wiedzy o przełykaniu smutku, która to wiedza omija kochanków widzących przed sobą przyszłość. Na świecie są dwa rodzaje kobiet, pojął teraz Owen: te, z którymi się spało, i te – występujące w okrutnej dysproporcji, podlegającej wszakże zmniejszaniu

– z którymi się nie spało.

Przygody na jedną noc mają ciemną stronę, podszycie smutkiem, ale czy Owen był kiedyś tak szaleńczo szczęśliwy, przeżywał taki wzlot jak wówczas, kiedy Mirabella obciągała mu pałę, on zaś mknął z szybkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę przez płaską pustynię w Nevadzie wprost ku wschodzącemu słońcu? W wynajętym pomarańczowym camaro było dość miejsca, żeby wpasować głowę między kierownicę i Owenowe podbrzusze, którym się zaopiekowała. Słodkie jak miód odczucia w koniu, ubiegłej nocy wręcz zaharowanym, mieszały się z wyobrażeniami o jej odczuciach w tej ciasnej przestrzeni; tymczasem jadące na zachód wozy wyłaniały się z oślepiającego światła poranka i przemykały obok, a zsumowana szybkość sprawiała, że camaro aż drżał, zasysany ku środkowi drogi. Na wąskiej wstążce autostrady pojawiły się już kałużopodobne wibrujące miraże, słońce usadowione na niebie zaczęło spiekać całe mile szarofioletowej roślinności po obu stronach drogi, było widoczne w oddali pochylało łby nad pastwiskiem. Wiedział, że nieostrożny ruch kierownicą może unicestwić oboje, to samo wiedziała Mirabella, mimo to nieprzerwanie zapewniała mu zachwycające doznania, w tym – kiedy obracała głowę o tlenionych i tapirowanych włosach – ciepłe pocałunki w nagie podbrzusze, po wywleczeniu ze spodni koszuli Owena. Pieścił jej głowę, która pod dotykiem palców wydawała się sztywna i lepka od

nadmiaru lakieru. Spojrzawszy w dół, Owen dostrzegł ukośny promień przewiercający jej włosy, tak że zobaczył kredoworóżową powierzchnię czaszki, bezbronny naskórek, skórę i kość; musiał wtedy przez chwilę walczyć o zachowanie erekcji, opanować wstrząs wywołany widokiem.

Konferencja odbywała się w Las Vegas, w jednym z tych ogromnych luksusowych hoteli – może w Sands? może w Stardust? – które od tamtych czasów zburzono, żeby zrobić miejsce dla jeszcze większych. Włosy farbowała na platynowo, jeśli nie liczyć półcałowych swojsko brązowych odrostów. W tamtej porze zaawansowanych samookaleczeń miała uszy przekłute w dwóch miejscach i dwa komplety maleńkich kolczyków. Ubrana w króciutkie spodenki w gienzowym odcieniu i siatkowe zielone rajstopy, Owen wziął ją za jedną z hotelowych prostytutek, lecz Mirabella zaskoczyła go, zagadnęła z nazwiska i powiedziała:

– To ty wynalazłeś DigitEyes. Kiedy odwiedzałam ojca w biurze, a ojciec był we Fresno inżynierem budowlanym, pozwalał mi się bawić różnościami na ekranie. Obracały się nienaruszone, z wymiarami określanymi przez takie jakby druty, a wszystko za sprawą paru komend z klawiatury; to była czysta magia.

– Powiedziałbym, że pomysłowy wyrób z zamierzchłej przeszłości – odrzekł Owen. – Jak nóż do drażenia jabłek albo maszyna do szycia na pedał. – Owen zaliczył już parę kolejek; uczestniczył w panelu, a potem

na przyjęciu krążyły wśród gości hostessy z plastikowymi kubkami szampana.

– Przyszłość buduje się na przeszłości, tego ci nikt nie zabroni – dodała mu otuchy Mirabella o włosach w dwóch odcieniach, w zielonej sieci rybackiej na nogach, wyglądającej jak skurczony fragment większego kostiumu z Lasu Sherwoodzkiego.

– Chętnie bym tu zagrał – wyznał Owen – ale nie wiem jak.

Mirabella poprowadziła go do ruletki, lecz nie miał na to ochoty, kołem rządzi ślepy traf i dom gry ma tutaj wprost bezwstydną przewagę. Przy stolikach blackjacka Owen wygrał, ta gra polega bowiem na pewnym problemie matematycznym, a ludzie, na ogół mamieni głupim optymizmem, próbują poprawić kartę i dobierają jeszcze raz, na to zaś liczy dom gry. Najbardziej spodobały się Owenowi automaty, te kompletnie bezosobowe szczeliny, dostojne i jarmarczne zarazem, te roztkliwiające kolory, ów jedwabisty opór rączek, dobiegający ze środka cichy szmer przekładni, a od czasu do czasu wygrana: potok półdolarówek z Kennedym spływający sfatygowaną rynną.

W pokoju Owena, wysoko ponad świetlnym pasem hotelu, Mirabella pokazała mu coś jeszcze: smużkę białego proszku na szklanym stoliku do kawy. Ukląkł na dywanie – jak z Jacqueline w innym mieście, w innym hotelu. Mirabella o szerokiej, lśniącej i uśmiechniętej twarzy pokazała mu, jak zwinąć dwudziestodolarówkę i



możliwie najstaranniej wciągnąć proszek przez nos. Owen nigdy nie był mistrzem w zdmuchiwaniu świeczek na urodzinowym torcie. Nie spodobało mu się drażniące wrażenie, jakby włosów na wargach, tyle że odczuwane głębiej, gdzieś w głowie. Żyłką treet o jednym ostrzu Mirabella szybko i schludnie zgarnęła proszek, który nie dotarł do nozdrzy Owena, i sama zażyła, kwitując to minką wdzięczącego się dziecka. Mirabella była aniołem, z jakimś słowiańskim akcentem, widocznym w połyskliwości i szerokości twarzy.

Owen nie miał zaufania do narkotyków; potrzebował szarych komórek, lecz teraz jakiś sopel lodu pograżający się z wolna w mózgu doprowadzał ów szary organ do pełni możliwości, obdarzał mózg precyzją i szybkością, znaną zapewne nieśmiertelnym duchom. To samo było z ciałem: jeszcze nigdy tak mocno nie pragnął rznąć i nigdy w tym nie był aż tak dobry, twardy, opanowany, istny człowiek ze stali, w którym przez całą noc wzbierało od nowa pożądanie jak ciśnienie hydrauliczne, za każdym razem radośnie witane przez tę cudowną Mirabelle o ciele mocnym, sprężystym i odpornym, jakby była chłopką, o piersiach w całości opalonych i z mniejszą od papierowej serwetki nie opaloną plamką wokół przyszczyżonych włosów łonowych. Przypominała Alisę, lecz miała mocniejsze ciało, młodsze i nie chciała dziecka. Kiedy ją grzmocił od tyłu, widok pleców o głębiej ukrytym kręgosłupie nie był tak wzruszający. Te plecy po prostu były bez wyrazu. Za to pochwa była pełna Owena, tak

mokra, że coraz mniej odczuwał tarcie; przed świtem Mirabella przyznała się, że Owenowy pał przyprawia ją o ból. Przepraszał, czule całował całą, nawet kręgi tuż nad ziemistym przedziałem pośladków, lecz prawdę mówiąc, nie było mu przykro, napawał się myślą, że zadał jej ból po prostu sobą.

Powiedziała, że chce mu pokazać coś pięknego, i podsunęła pomysł wynajęcia wozu. Odrzekł, że o szóstej rano wszystkie firmy wynajmu samochodów są zamknięte.

– Otworzą każdą – powiedziała Mirabella. – To Vegas.

Nakoksowaną głowę Owena nawiedziła myśl, że Las Vegas to Las Sherwoodzki Mirabelli; w tym stanie zapomniał ją zapytać, dla jakiej firmy pracuje. Może zapytał, ale zapomniał. W każdym razie miała rację, tu wynajmowano auta po prostu w głównym holu hotelowym – u Dunesa? – gdzie w stanie zamętu i bezgranicznego szczęścia Owen bez namysłu wybrał zaoferowany wóz pomarańczowy, ponieważ uznał, że łatwo go znajdzie na parkingu. Ruszył na wschód wprost w słońce; z przeciwka nadjeżdżały samochody z szybkością, jak mu się zdawało, elektronów; były zaledwie czarnymi sylwetami, kształtami bez ludzi, niebezpiecznymi zakłóceniami wielkiej czystej tafli poranka. W jakimś lokaliku, który Mirabella chyba знаła, zatrzymali się na kawę i jajka, z nieuniknionymi smażonymi na cebuli tartymi ziemniakami, a potem w

wozie Mirabella najedzona, senna i wesoła nachyliła się nad podołkiem Owena, rozpięła mu rozporek, wywlokła ze spodni koszulę i zabrała się do obciągania. Teraz niemal nadwrażliwy, poczuł to jak ugryzienie; poprosił, żeby przestała, na co odpowiedział mu chichot, ani myślała przestać; to wtedy Owen pojął, że niektóre kobiety dlatego uprawiają seks, że umieją to robić, jak on umie pisać programy wypłat i rent. Są w tej dziedzinie zaprogramowane, nie ma tu żadnych tajemnic. Dlaczego Owen zawsze uważał, że tkwi tu jakaś tajemnica? Słońce wspięło się wyżej, przez loki podobne do waty cukrowej przypiekało Mirabelle, więc czuł pod palcami rozgrzaną skórę, kiedy lekko masował jej głowę wolną ręką; w oddali oświetlone od tyłu góry stopniowo wyzbywały się cieni, a palce i wargi Mirabelli dawały rozdzierająco słodki popis, Owen w końcu miał wytrysk prosto w przytulną różową ciemność tam, pod kołyszącymi się lakierowanymi lokami, w tym samym momencie, w którym z rykiem mijają ich pędząca w przeciwną stronę długa ciężarówka o burtach z drewnianych sztachet; w tej samej chwili Mirabella zacisnęła usta. Zachwyciło go to zaciśnięcie. Mógłby zatopić ją spermą.

W zawodnej pamięci utkwilo mu, że w mijającej ich z potężnym podmuchem ciężarówce jechało było o białych pyskach; zwierzęta wyglądały spomiędzy sztachet. Lecz jak zdołał je dojrzeć? Był skupiony na tym, żeby utrzymać na szosie to małe camaro; widocznie wóz z bydłem dostrzegł w jakimś innym miejscu, podczas tego

wspaniałego poranka w szeroko rozpostartej przestrzeni. Był ten ogrom alkalicznego nieba, były na wpół przejrzyste wieże chmur, były po obu stronach autostrady pastwiska powleczone purpurą; Mirabella uniosła głowę znad podółka Owena i zapytała głośno:

– Skąd ci się to bierze? Myślałam, że już jesteś wypompowany.

Twarz Mirabelli lśniła od potu po trudach. Usiadła, potem kciukiem i palcem wskazującym wytarła kąciki ust. Szkara. Rozprostowała się, oparła głowę na wyściełanym zagłówku. Wyglądała na zmęczoną i wcale nie taką młodą, jak się dotąd zdawało. W profilu widzianym na tle przesuwającego się fioletowego pustkowiecia widać było podwójny podbródek i kolagenowe zmarszczki przy kości policzkowej.

– Nie wiem – odrzekł. – Podniecasz mnie.

– Niewykluczone. Przydałaby ci się żona.

– Mam już jedną, dziękuję.

W miejscu wniknięcia owego sopła lodu, przemieniającego i rozjaśniającego, zaczęła go boleć głowa. Kiedy dotarli w malownicze miejsce, w którym Mirabella obiecywała piękny widok – ogromne błękitne jezioro pośród pustyni, stworzone dzięki zaporze wzniesionej ze środków federalnych – ów krajobraz z szybkimi motorówkami i mariną, na której jeszcze nie obeschła farba, wydał mu się częścią własnego bólu głowy, jeszcze jedną nienaturalną ingerencją. Owen zastanawiał się później, czy rzeczywiście była

prostytutką, którą koledzy z konferencji odpowiednio przeszkolili, dzięki czemu zapewniała, że w młodości wielbiła DigitEyes. Lecz jakoś nie mógł w to uwierzyć; jak na jego wyczucie była zbyt oblatana w komputerach i nic nie zażądała za usługi seksualne; aczkolwiek oznajmiła, że jest jej winien sześćset dolarów za kokainę.

## 12. SEKS W MIASTECZKU VI

W latach siedemdziesiątych w Middle Falls skróciła się droga do potajemnego seksu; zniknął szlaban. Zaostrzyła się woń tropów Owena, woń powiadamiająca kobiety, że Owen szuka tego, czym dysponują tylko one. A nie każdy szukał. W Middle Falls trafiali się mężczyźni bardziej zainteresowani następnym drinkiem niż następną kobietą; taki był swego czasu Jock Dunham. Inni, jak Ed Mervine, całą pasję wkładali w pracę, sprzęt, wypłaty, wyniki, w wepchnięcie ryzykownego projektu na urodzajne, chociaż zaminowane pole. Niektórzy mężowie – takim okazał się Henry Slade – byli po prostu zbyt sztywni, bezbarwni, zbyt pochłonięci szarym zarabianiem na życie i dogładaniem domu, żeby się wdawać w gry miłosne. Urzędnicze stanowisko w Hartford – w którymś z bezbarwnych okładanych marmurem pomieszczeń otaczających naszpikowaną wieżyczkami bazylikę, miejscowy kapitol, ze złotą opaską na kopule wąską jak blaszka na końcu ołówka – zarówno go określało, jak

zaspokajało, natomiast do życia towarzyskiego Middle Falls wnosił jakieś resztki, zwłaszcza w porównaniu z licznymi zatrudnieniami żony. Nie to, że Henry uchylał się od weekendowych spotkań, przeciwnie, bywał z Vanessą na każdym koktajl-party, bywał nad Czaplim Stawem na pływackich zawodach szkrabów, na improwizowanych piknikach i eleganckich dobroczynnych tańcach. Jeśli pominąć tłumiony kostyczny chichot, w ogóle nie okazywał, czy bawi go życie towarzyskie czy nie. Słuchając rozmówcy, pykał fajkę i kiwał głową, lecz rzadko ważył się na odpowiedź dłuższą niż dwa słowa, a zanim się na nią zdobył, wytrząsał fajkę bądź zacisnąwszy wargi, strzelał na boki rozbieganymi oczami. Stwarzał wrażenie, że się waha, że wybiera wśród marek i aromatów mądrości, których dostatek ma na składzie, lecz Owen po dziesięciu latach znajomości uznał, iż Henry nie jest milczącym mędrcom, przeciwnie, lata harówki i skrupulatności w służbie najbardziej błahych przepisów stanu Connecticut ogłupiły go. Był śniady i niewysoki; wyprostowany, jak z kijem w plecach, podając do przodu czoło i fajkę, włókł się jak chłop z wiązką chrustu na grzbiecie.

Trochę młodsza Vanessa, niegdyś podwładna Henry'ego w hartfordzkim biurze, sprawiała wrażenie szorstkiej; stanowczość jej ruchów nie zachęcała do liczenia lat, wiek Vanessy trudno było ocenić na oko. W androginicznej, mało urodziwej twarzy pokrytej opalenizną jak rok długi – bo Vanessa była zapaloną

narciarką, golfistką, tenisistką, ogrodniczką – pewien rys zaznaczał się wprost wyjątkowo: gotowość stawiania czoła; o ile Owen zawsze sobie wyobrażał Henry’ego z profilu, czymś zaprzątniętego, gdzieś zmierzającego, o tyle Vanessa śmiało patrzyła ludziom w oczy, niemal wymuszając mruganie lub nerwowy uśmiech. Z tym samym przywódczym nastawieniem, gotowa na wyzwania, kierowała licznymi miasteczkowymi komitetami, swoim kółkiem brydżowym i klubem ogrodniczym. U siebie w ogrodzie wyglądała imponująco, w rękawicach, w koszuli z długimi rękawami chroniącymi przed kolcami róż, w spodniach, zanurzona po biodra w ostróżkach, floksach i starannie podpartych piwoniach; słomkowy kapelusz o rzadkim splocie wprowadził ocieniał tę czujną, nieuśmiechniętą twarz, lecz tworzył też na niej równomierną siatkę słonecznych plamek. Owen miał wrażenie, że kwiaty zmiękczają Vanesę, dodają pierwiastka kobiecości, której brakowało w wyzywającym spojrzeniu, w szorstkości zachowań, w schrypłym niskim głosie. Slade’owie mieli jedno dziecko – rzadkość wśród tutejszych par, wskazująca na coś przesądzonego w ich małżeństwie, skrupulatnie uzgodnionego. Dzieckiem był Victor, poważny chłopiec o oliwkowej skórze. W Middle Falls w kręgu Phyllis i Owena nie było żadną osobliwością takie małżeństwo jak Slade’ów, w którym mężczyzna jest figurą komiczną, kobieta zaś nie. Kobiety zalecały się umiejętnościami, czarem, co najmniej cieniem urody. Vanessa nie była

pięknością – na ogół nie zwracała sobie głowy makijażem, a górne zęby, jak Owena, wyrosły za gęsto i wypchnęły ku przodowi kły – za to nosiła się z godnością, była też osobą rzeczową. Owen nawet się nie domyślał, jak dalece rzeczową, do chwili, w której Vanessa podeszła do niego, siedzącego na dwuosobowej sofie obitej pasiastym atłasem – antyku, nazywanym niegdyś gniazdkiem miłości – obok zaimprovizowanego parkietu tanecznego na przyjęciu u Dwighta i Patricii Oglethorpe, nabywców dawnego domu Dunhamów. Vanessa przysiadła się i odezwała przyciszonym głosem:

– Powinniśmy kiedyś zjeść lunch.

Zbyt zaskoczony, żeby wymyślić odpowiedź pozwalającą zyskać na czasie, Owen spytał:

– Z jakiej racji?

Skwitowała nietakt nieśpiesznym, wymuszonym uśmiechem. Nierówność zębów Vanessy naprowadzała na osobliwe źródło jej władzy: nieczęsty uśmiech.

– Zwykle jest tylko jedno „z jakiej racji”, prawda? Żeby się przekonać, czy mamy ochotę na następny lunch.

Teraz już zagrał na zwłokę; Owena rozpraszał widok własnej żony, wysokiej, o długiej szyi, tańczącej niespełna dziesięć stóp od niego ze zgarbionym i pozbawionym poczucia rytmu mężem Vanessy.

– Tylko czy to wypada? – zapytał.

Phyllis ze stoickim spokojem patrzyła gdzieś nad głową Henry’ego; jedne niebiosy wiedzą, o czym myśli ta kobieta.



Vanessa dała do zrozumienia, że się niecierpliwi; sięgnęła po pall malia extra long.

– Dlaczego zawsze grasz niewiniątko? Nie jesteś niewiniątkiem, Owenie.

– Nie? Wciąż mam wrażenie, że jestem. Skąd wiesz, że to nieprawda?

– Wszyscy to wiedzą, głuptasie. – Jej męski głos nabrał szorstkości. – Przestań ze mnie kpić, bo do niczego nie dojdziemy.

– Chodzi o Faye?

– A mało było po Faye? Ona posłużyła ci tylko za rozrusznik. Każdy musi od czegoś zacząć.

– Ty też?

Vanessa nic nie odrzekła; zaciągnęła się, potem wypuściła nosem strugi dymu, tuż nad oszczędnie uśmiechniętymi wargami. Owen zaczął się jej przyglądać: mały koci nos, gęste nie wyskubane brwi biegnące równo nad oczami; usta, w których aż się roziło od zębów, teraz wyładniały dzięki mimowolnemu uśmiechowi. Poczuł nagle, że dał się wciągnąć w zbytnią poufałość, co grozi tylko rozpetaniem paplaniny. Żeby się w ogóle odezwać, uczeplił się tego, co zaprzętało mu głowę:

– Pewnie się dziwisz, jak mogłem się za kimś oglądać, skoro Phyllis jest taka urocza.

– Wiemy, że myślisz, że jest urocza; to nawet wzruszające. I powiedziałabym, że owszem, jest urocza, chociaż nie w moim typie, szczerze mówiąc, za wiele w niej sawantki. Nigdy nie wyrosła ze szkoły. Ale tu w

okolicy nikt ci się nie dziwi. Bo gównem z niej masz. Ty czy ktokolwiek; z wyjątkiem jej dzieci, a i to do pewnych granic. Jest chyba najbardziej odizolowaną osobą, jaką znam.

- Odizolowaną.
- Opatuloną w siebie.

To Owena zafascynowało: kobieta, której na dobrą sprawę nie zna, podsuwa mapę drogową wskazującą, jak uciec przed poczuciem winy. Widok twarzy Vanessy i Owena dowodził, że rozmowa nabrała temperatury i głębi, więc inni goście zachowywali dystans wobec pary na sofie.

– W porządku, wybierzmy się kiedyś na lunch – Owen odezwał się spieszenie. – Gdzieś za miastem, ale nie w Hartford. Co myśli Henry?

- O czym, kotku?
- O Phyllis, o mnie i w ogóle.
- Henry i ja o niczym nie rozmawiamy. Na tym polega urok sytuacji.

– Często się zastanawiałem – przyznał Owen – na czym polega ów urok. – Spodobała mu się własna, jakże szybka i sucha replika; poczuł, że w ciągu paru wykradzionych minut uczy się tańczyć z tą kobietą.

– Nie ty jeden – odrzekła Vanessa, strząsając popiół z pall maila; ucichła muzyka, nadchodzili małżonkowie.

Henry i Phyllis śmiali się zadowoleni, że już po wszystkim, mrużyli oczy oślepienie błyskami stroboskopów, które to światła zainstalowali na wieczór

Oglethorpe'owie, do przesady przejęci dogadzaniem gościom.

Zaskakująca była lekcja, której Vanessa udzieliła Owenowi: seks z kobietami o cechach męskich bywa nadzwyczajny. Może nie przypadkiem chłopczyca Doris Shanahan pozwoliła Owenowi zajrzeć w głąb nogawki szortów. Z takimi kobietami seks jest bardziej, nazwijmy to, frontalny. Podchodzą do seksu wprost, rzucają się na orgazm jak jastrząb na przepiórkę. Chociaż Vanessa rzadko się uśmiechała w trakcie (w przeciwieństwie do olśniewającej Faye i pełnej dołeczków Alissy), to często wybuchała śmiechem, szorstkim, gardłowym, z chrypką. Zazwyczaj nosiła luźne rzeczy z grubych materiałów, przez co i tyłek, i piersi wydawały się płaskie, śladowe; lecz rozebrana miała sporo wdzięku. Poniżej ogorzałej twarzy ciało Vanessy, ni grube, ni chude, cechowała niczym skorupkę jajka gładkość gipsowego odlewu i jednolita tonacja, z którą wcale dobrze harmonizowały szaroczerwone sutki i kasztanowe włosy łonowe. Vanessa wniosła do seksu coś w rodzaju wesołej powagi; chciała sprawę postrzegać przede wszystkim fizycznie, jak mężczyzna, widzieć w niej coś w rodzaju dania i zwyczajem dobrych kucharzy zdawała sobie sprawę z potrzeby odmiany. Zgrabną dłonią, palcami o krótko obciętych paznokciach obejmowała wzwiedziony członek Owena, jakby to była nóżka jakiegoś ogromnego kielicha, a wyciągnięty mały palec spoczywał łaskotliwie u podstawy, w kędzierzawych włosach; z bliska, z

odległości paru cali uważnie przyglądała się tej błękitno pożyłkowanej nóżce i purpurowej żółędzi, rozważając, co zrobić. Jak dobry rzemieślnik myślała o zadaniu również poza warsztatem, więc podczas kolejnej schadzki mogła powitać Owena nowym pomysłem:

– Przyszło mi do głowy, że mógłbyś mi się spuścić między piersi, gdybyś się najpierw rozprawił ze mną ustami.

– Boski rozkład jazdy, Vanesso. A mógłbym do pewnego momentu być w środku?

– Gdzie w środku? Bo przecież są opcje.

– Na Boga, nie doprowadzaj mnie do szału opcjami. Po prostu zgwałć mnie, chyba dasz radę?

Pod okiem Vanessy znowu dochodziła do głosu kobieca część jego natury, stłumiona, kiedy Buddy Rourke wzgardził pomysłowym rozstawieniem planszy monopolu.

– Nie sposób cię zgwałcić – powiedziała – to jeden z uroków bycia mężczyzną. Możesz się wbrew woli podniecić, to fakt, lecz co do gwałtu, musi się na niego zgodzić twój koń, inaczej szkoda gadać. – Vanessa była nie byle jaką znawczynią męskich prerogatyw, o których często wspominała.

– Racja, jeśli nie liczyć tylnego wejścia – zauważył Owen.

– No tak, od tyłu. – Namyslała się chwilę. A podczas myślenia jej oczy, bursztynowe jak oczy lwicy, stawały się o odcień ciemniejsze; to samo działo się z

bladoniebieskimi tęczęwkami Alissy podczas kochania. Vanessa nie zapewniała Owenowi tego odczucia co Alissa: bezpiecznego pogrążania się i ukrycia w nieskończenie miękkim, puszystym wilgotnym schowku; Vanessa nie była tym bezpiecznym a nieprzyzwoitym miejscem, w którym się rozładowują straszliwe napięcia, umiała za to pierwszorzędnie przygotować zestaw innych atrakcji. – To by cię rajcowało? – Głos Vanessy stał się bardziej szorstki i gardłowy.

– Chyba nie. – Własny głos wydał mu się wysoki i piskliwy. – A ciebie?

Jako młodzik, w czasach dorastania, Owen nie miał przyjaciela, z którym mógłby podyskutować o tajemnicach seksu, nawet bez znajomości rzeczy; wtedy to by się bardzo przydało. Teraz, w dwadzieścia pięć lat później, takim szczerym przyjacielem stała się Vanessa.

– Nie powiem, że mnie to szczególnie kręci – odrzekła po namyśle – chociaż parę razy próbowałam. Wówczas się wydaje, że nie tędy droga. Chociaż powiedziałabym, że to jakoś podnieca; niewłaściwy sposób jak właściwy.

Pobudziła go. Wiedziała więcej niż on; wciąż mógł nadrabiać braki.

– To pozwól, żebym ci to zrobił.

– W porządku – powiedziała. – Po prostu, żebyś mógł wykreślić pozycję ze spisu. Pod warunkiem że ja ci to zrobię najpierw.

– Czym? – spytał przestraszony.

– Może językiem – podsunęła Vanessa. – Może palcem w chirurgicznej rękawiczce. A potem... zobaczmy.

– Rozmowa – musiał przyznać Owen – staje się coraz bardziej obleśna.

– Lecz zobacz, najmilejszy, jaki się twardy zrobiłeś! Taki, że się wyginasz do tyłu i gapisz we własny pepek.

– Obciągnij – poprosił.

– Może tak, a może nie. – Poważne usta złożyły się w grymasik, jak kiedyś *moue* Phyllis. – Najpierw się zastanówmy, co możesz dla mnie zrobić.

Ta cipa o sinawych zmarszczkach przypominających fałdy lawy stawała się jego, służyła do kontemplacji, penetrowania palcem, rozchylania płatków ukazujących po wewnętrznej stronie piwoniową różowość, nakłaniała usta do chuchania na łechtaczkę, tykania językiem tego lśniącego wilgotnego guzka. Nie dotykaj tego! Nie mów mi, czego dotykać. Gipsowo jasne ciało nabierało rumieńca między nogami i wyzbywało się tej dostojnej jednolitej tonacji. Surowa twarz miękła, kiedy Vanessa siadała na krawędzi łóżka i bawiła się brązowymi włosami Owena, miękkimi jak u chłopca, w których co pewien czas pojawiało się pasemko siwizny. Potem, jakby w nagłym przypływie przesytu, rzucała się na plecy na motelowe łóżko, z gwałtownością, która właczała mu w głowę wyobrażenie tego, co widzi ona: przez zamglone okienko nad łóżkiem kiść zielonych liści poodwracanych jak przez huragan. Zamknąwszy oczy, oparła na jego

ramionach rozwarte uda, odcięła się od światła dziennego, żeby być sam na sam z własnym przeżyciem, Owen zaś klęczał i służył jej w coraz głębszym transie oddania. W końcu rozległ się gardłowy jęk Vanessy, która w spazmie wepchnęła głowę Owena między własne uda, jak zrobiła to niegdyś Elsie; rozognioną twarz Owena do tego stopnia powlekły sekrecje Vanessy, że przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny starał się trzymać z dala od Phyllis, nawet wykręcił się od grzecznościowego dziobnięcia na dobranoc. Nigdy nie starczy mydła ani wody kolońskiej, żeby skutecznie ukryć zapach jednej kobiety przed nozdrzami drugiej.

Vanessa zdradziła Owenowi, że nie stroniła od kobiet. Robiła to z przyjaciółką z liceum, potem były inne w tym roku, w którym studiowała na uniwersytecie stanowym w Storrs, zanim rodzinna sytuacja finansowa – Vanessa miała braci bardziej niż ona potrzebujących pieniędzy na czesne – zmusiła ją do zamiany college’u na coś, co do dziś się nazywa szkołą sekretarek w Hartford. W biurze, w którym pracował Henry, została asystentką dyrektora. Nabyła sprawności. A dyrektorem, któremu asystowała, była kobieta, rzecz wtedy niecodzienna; szefowa próbowała ją odwieść od małżeństwa z Henrym, proponując w zamian, żeby Vanessa zamieszkała u niej. Lecz nie, Vanessa odmówiła; wiedziała, że potrzebuje mężczyzn, chociaż to gruboskórne prościuchy. Potrzebowała małżeństwa jako gruntu. Co do Henry’ego, wyczuła, że zawsze go zdoła obejść. Był starszy, mógł się

ożenić tylko na jej warunkach. Nigdy też jej nie uważał za jedną z tych milutkich przyklepanych pańienek, o które nietrudno. Była mu winna dziecko – jak się szczęśliwie okazało, syna – potem on dał jej wolną rękę. Nie wtykał nosa w jej dzień. Do niego należały weekendy.

– Jak to jest? – zapytał Owen. – Być z kobietą?

Zauważył odmianę w bursztynowych źrenicach, jakby pobudzonych przez przemykające wewnątrz tam i z powrotem obrazy.

– To jakby być ze słabym mężczyzną – powiedziała.  
– Lecz na co komu słaba imitacja, skoro można mieć oryginał? Zaprawdę, wszystko to polega – ciągnęła Vanessa, a nieświadome może nawiązanie świadczyło, że pogrzebana już Biblia nigdy nie została wymazana z naszych mózgów – na byciu poznany. Człowiek pragnie być poznany lepiej, niż sam siebie zdoła poznać.

– Dobijasz mnie – odrzekł – tak beztrąsko opowiadając o tych innych, które miałaś. Chcę, żebyś była tylko moja.

– Ależ skąd, Owenie, nie chcesz. Jesteś jak my wszyscy. Lubisz świństwo i nieład.

– Kiedy ostatni raz spałaś z kobietą?

– Raczej ci nie powiem.

– Czyli niedawno.

– Bez komentarza, najmiłszy.

– Ta kobieta jest stąd? No jasne. Musisz mi o tym opowiedzieć; może mógłbym zobaczyć? Może zrobilibyśmy to we troje?



Vanessa filozoficznie przyglądała się nachalnemu wciąż penisowi; w nagłym przypiływie rozbawienia i pobłażliwości szybko polizała czubek. Wydawało mu się, że język Vanessy jest bardziej szorstki niż innych kobiet, bardziej trójkątny, z bardziej muskularnym koniuszkiem.

– Nie sędzę – powiedziała. – Jeżeli masz ochotę na trójkąt, sam zorganizuj ten trzeci kąt. Ależ z ciebie ziele, nie spodziewałam się, moja śmiesznotko. Ależ z ciebie szczeniaczek.

Ów dziewiętnastowieczny, pełen zakamarków dom – schowany za palisadowym ogrodzeniem i krzakami bzu, kryty ząbkowanym gontem, zdobiony toczonymi balustradami – Oglethorpe'owie kupili od Dunhamów dla siebie, trojga dzieci i chyba jeszcze dla sfory golden retrieverów, co przychodziło na myśl, gdy luźnołape psy zbiegały pochyłym trawnikiem, żeby witać gości, wężąc im w kroku. Oglethorpe'owie byli wręcz komicznie chudzi; on życzliwie zmieszany, a wyglądało to, jakby rechotaniem nie w porę i kolistym drażniącym ruchem ręki chciał się wyzbyć kłopotliwego dlań wzrostu: sześciu stóp i czterech cali; ona, z kolanami ujmująco zwróconymi ku sobie jak u Twiggy, podkreślała ów urok przejrzystymi krótkimi sukienkami i przypominającymi szkolne mundurki kostiumami o wielkich guzikach, w sam raz dla dziewczynki idącej na zakupy z mamą. Włosy stanowiły coś w rodzaju błyszczącej czapeczki koloru cedru, czasem przyozdobione szeroką wstążką i kokardą.

Oglethorpe'owie prowadzili życie towarzyskie z takim niemal rozmachem jak ich poprzednicy, Dunhamowie. Może to wymuszał ów stary dom. Skala pomieszczeń przewidywała stałą pomoc służby, parowe ogrzewanie łomotało, jakby między ścianami uwiązał jakiś szalenciec z młotem. Kiedy Owen przemierzał dobrze znane pokoje – odnowione i na nowo umeblowane w stylu mniej swawolnym, mniej eklektycznym niż ten, któremu hołdowała poprzednia gospodyni – często przeszywała go myśl o Faye. Zdawało mu się, że ją widzi: radosne mignięcie w drzwiach; ubrana w któryś z jaskrawych, zaimprovizowanych kostiumów albo naga, cicha, bosa, już nie taka uśmiechnięta, bo niepewna i zaniepokojona, wychodzi ku niemu z łazienki na piętrze. Owen zdołał się oswoić z brązowymi zaciekami na porcelanie owego pomieszczenia z przełomu stuleci, a także z wysokim, solidnym jak armatura fabryczna, sztywno umieszczonym nad głową prysznicem wielkości kwiatu słonecznika. Kręcąc się na górze, kiedy u Oglethorpe'ów na dole szalało przyjęcie, zauważył, że ta osobliwa, wzruszająca hydraulika została bezlitośnie wyrugowana.

Oglethorpe'owie pozbywali się alkoholowych kalorii w trybie ćwiczeń fizycznych, spacerów z psami czy tenisa. Na korcie wyglądali komicznie, zwłaszcza podczas miksta, tyle tam było elementów kanciastych, łokci, kolan, stóp w białych adidasach przypominających długie stopy kangurze, zwłaszcza kiedy Oglethorpe'owie skakali to tu, to tam, czemu towarzyszyło czasem uderzenie

rakiety. Trish była pierwszą znaną Owenowi kobietą, która jogging uczyniła częścią życia; czymś podniecającym wydawało się widywanie jej w różnych nieoczekiwanych miejscach w miasteczku, nawet na Partridgeberry Road, o dobre dwie mile od jej domu. W deszczowe dni wkładała krótki żółty płaszcz przeciwdeszczowy, spod którego wyglądały gołe nogi; wywijała nimi po asfalcie, jakby były nogami marionetki, ogromny kapelusz przeciwdeszczowy na plecach przypominał zaś podobiznę dziewczynki na paczkach soli Mortona. Kiedy Owen podsunął Vanessie myśl o Trish Oglethorpe jako tej trzeciej – swawolnie rozwijając fantazje podniecające ich oboje – kochanka odrzekła:

– Nie za wiele mięsa na tych kościach, jak powiedział Spencer Trący.

Ponieważ Owen widział ten film w Szeherezadzie, dokończył cytat:

– Było nie było, to mój wybór.

– Nie wiem, Owenie. Ładnie, że się starasz, jednak ile razy z nią rozmawiałam, niewiele zdołałam wydobyć. Ona za szybko replikuje. Poza tym, co widzisz, nie czuje się żadnej głębi.

– A ileż ci trzeba głębi, zachłannico? Podoba mi się, że te repliki są trochę nie w takt, jakby nie do końca dosłyszała kwestię i rozpaczliwie próbowała sobie wyobrazić, co się chce od niej usłyszeć. Oboje wręcz żałośnie trzęsą się, żeby „być na czasie”. Myślę, że jest łatwo palna. Takie się ma wrażenie. Całe życie była

porządna i nie uważa, że ma poprzestać na tym, co się jej dostało. – Mówił śpiesznie, nawet z zadyszka, jak młodszy rangą oficer składający starszemu raport. Zastanawiał się, czy zwrot „łatwo palna” nie jest obraźliwy wobec kobiety, czy zbytnio nie zatraća o męskie plotkarstwo, czy nie należy do żargonu koleżków. Vanessa bez słowa kiwnęła głową, szorstko, nie przeszkadzając Owenowi trajkotać. – Dlaczego oni do nas przyłgnęli – spytał – skoro pełno tu nowych par, nudnych, ale bez zarzutu, akurat w ich wieku, nowych w tym mieście? Jak ich teraz nazywają? Yuppies? Tacy biali spadochroniarze<sup>1</sup>, którzy pracują w Hartford czy w Norwich. Nie, dla Oglethorpe’ów liczy się, żeby coś się działo. Przynajmniej dla niej. Nie mogłabyś jej jakoś pokochać?

– „Wybój” – odrzekła Vanessa. – Trący powiedział „mój wybój”. To fragment dowcipu.

Na kościach Vanessy mięsa nie brakowało; przypominała mężczyznę, szeroka w ramionach i talii. Od czasu do czasu Owena ogarniała niezaspokojona chęć, żeby Vanessie wykręcić ręce, żeby ją bić; był przekonany, że mogłaby na to przystać. Wywodziła się z biedy, jak Owen, i jak bezlitosne lustro pokazywała mu żalść jego pragnień. Uczył się niechęci wobec władzy, jaką nad nim miała. Można, odkrywał Owen, przyjmować wszelkie dary jakiegoś ciała, a jednocześnie znieubić mieszkańca tego ciała. Miał wrażenie, że niedostatecznie darzy Vanessę czułością. Był jej kochankiem przez rok, potem

drugi; z pewnością nie jedynym. Dzień Vanessy, nawet wypełniony działaniem, był długi.

Zrobiło mu się przykro z powodu tego, co powiedział o Trish, że jest łatwo palna. Ilekroć zobaczył na przyjęciu świecę, bał się o Trish, że się zapali. Scharakteryzował ją niegrzecznie, skutkiem czego wewnątrz ust okryła mu flegma, z kolei to sprawiało, że niełatwo rozmawiało mu się z Trish, zwłaszcza że musiał zdobyć jej zaufanie, być szczery, zabawny, dbać, żeby wprowadzić ją w sprawę tylko na tyle, na ile gotowa jest się zgodzić.

– Cóż – powiedział podczas jesiennego przyjęcia u Roscoe i Imogene Bisbee – jak ci się podoba nasz nowy prezydent?

– Wydaje się niezły, chociaż nie wiem, czy powinien ułaskawić Nixona.

– Chyba wszyscy potrzebujemy łaski?

– Naprawdę? – spytała Patricia, patrząc gdzieś dalej, jakby właśnie wydarzyło się coś za balustradą ganku Bisbeech, jakby z ciemności poniżej dobiegał chrzęst kroków na wysłanym grysem podjeździe, jakby ktoś chodził tam i z powrotem do samochodów.

– Może nie ty – zgodził się Owen. – Ale mówiąc serio, gdyby się go nie ułaskawiło, to zamęt i proces pochłonełyby całą naszą energię.

– To prawda – odrzekła; zgoda wydawała się za szybka, jakby miała służyć pozbyciu się Owena.

Przyglądał się Trish z profilu. Zobaczył jakąś różowość nozdrzy wynikłą z podrażnienia i cofnięty

podbródek, przez co pełna górna warga wystawała, nadając twarzy rys zamyślenia. Wyczuwał w Trish jakieś pęknięcie, zadawniony smutek, jak nadtłuczenie krawędzi filizanki na języku. A może też, kto wie, jakieś zniecierpliwienie, nadmiar pragnień, coś takiego, co Faye wyrażała poprzez stroje?

– Wszędzie cię widuję, jak biegasz – powiedział. – Ślicznie wyglądasz.

– Nic podobnego! – natychmiast wykrzyknęła i odwróciła się przy balustradzie ganku, poirytowana, wręcz zawzięta.

Wyczytał z jej zachowania, że uważa go za niebezpiecznego mężczyznę.

– W tych wielkich adidasach i w dresie – śpiesznie wyjaśnił. – Wciąż się zastanawiam, czy się nie boisz, że ktoś cię potrąci?

– Pilnuję, żeby zawsze włożyć coś białego. A buty do biegania mają teraz paski odblaskowe; widać je w światłach.

Oczy Trish o rzęsach rosnących tak równo, osadzonych tak gwiazdziście, że może sztucznych, same lśniły jak samochodowe reflektory. Spłoszył ją, był zbyt natarczywy, zbyt bezczelny.

– Jasne, pewnie – wycofał się śpiesznie. Doświadczenie nauczyło go, że podstawowe pragnienie kobiety, czyli chęć podobania się, nie opuszcza jej nawet po doznaniu zniewagi: tak było, kiedy Alissa odskoczyła jak oparzona, ze słowami nie, nie rób tego, a potem tak

cudownie przekonała się do niego. – Pogadajmy o czym innym – powiedział. – Co sądzisz o tym facecie z Kalifornii, który operacyjnie zmienił płeć, żeby występować w żeńskich turniejach tenisowych?

– No cóż – ostrożnie przytaknęła Trish – ciekawa historia.

Nie była zbyt bystra ani ładna. Dlaczego ją niepokoi, dlaczego wciąga w rozmowę, ryzykuje kłopotliwą sytuację z myślą o pewnej osobliwej fantazji, o tym, że tę naiwną kobietę przytaszczy Vanessie jak żywą łanię zarzuconą na plecy? Mogliby oboje z Vanessą nadgryzać ją z przeciwnych stron, żeby spotkać się w środku. Dwie kobiety mogłyby go wielbić, rywalizować o niego, prześcigać się w gestach poddaństwa.

– Skoro mówimy o ciekawych historiach – nie rezygnował – to czytałem, że w superstrzeżonym zakładzie w Iowa mają straż kobiecą.

– Co w tym dziwnego? – spytała zadziornie, z błyskiem oczu, który rozświetlił mrok na ganku.

– Nie wiem – Owen znów się wycofał – zresztą weźmy te wszystkie operacje zmiany płci. Czy to nie każe się zastanowić, czym jest właściwie kobieta?

– Zgoda – odrzekła. Tak to wypadło, jakby oboje szukali czegoś pod stołem, kolczyka czy szkła kontaktowego, i wreszcie znaleźli. – Człowiek się zastanawia, nawet jeśli jest jedną z nich.

Nadtłuczona krawędź filizanki pewnie miała coś wspólnego z seksem – z seksem i z tykwatym

niemądrym Dwightem o kłapiących kangurzych stopach, koszmarne rechocącym po babsku.

– Czasem to może kogoś rozjuszyc – Owen nie ustawał. – Teraz kobiety stają się coraz gniewniejsze. Weźmy taką Patty Hearst, wpierw ukochana córeczka taty, potem kochanka rewolwerowca.

– Przeszła pranie mózgu – odpaliła natychmiast, była to jedna z tych zagadkowo szybkich replik Trish. – Porwano ją, przeprano mózg, a teraz trwa pościg za nią. I mówi się, że kobiety mają równe prawa. – Była na tyle młodsza od Owena, żeby feminizm ssać z mlekiem matki; rówieśnice Owena musiały go sobie wynaleźć w rozlicznych wersjach.

Chrapka na podbój słabła. Owen nie lubił kobiet politycznie drażliwych; lubił u kobiet ironię wynikającą z dystansu w tej dziedzinie, lubił wierność królestwu spraw czysto osobistych, która jest przywilejem prawdziwie wolnego świata.

– A wiesz, co tak naprawdę spodobało mi się w tym roku? – spytał. Miał na myśli lądowanie sondy *Viking* na Marsie, który po stu latach gadania o kanałach wydawał się suchszy niż Arizona.

– Że Evil Knievel nie zdecydował się na skok<sup>2</sup> – zabrzmiała zaskakująco natychmiastowa odpowiedź, jakby Trish już wcześniej się nad tym zastanawiała. Wrogi ton rokował nadzieje; zaczynało ją drażnić zjawisko imieniem Owen.

Oddalony zaledwie o stopę wyobrażał sobie jej twarz



w łóżku, na poduszce; uświadomienie sobie tego trochę go zmęczyło, tak skutkują trudy życia na paru poziomach. Na twarzy Trish może się wtedy pojawić rozdrażnienie, gotowość wystawienia Owenowi rachunku za odwagę, za podjęcie ryzyka.

- Dlaczego akurat to miałyby mi się spodobać?
- Lubisz klapę. A niedola przepada za towarzystwem
- oświadczyła Trish, nieoczekiwanie klepnęła Owena w pierś i wyniosła się z ganku, porzucając listopadowy chłód dla ciepłego, jasnego wypełnionego gwarem rozmów saloniku.

Prywatna, iście klasztorna cela Owena w E-O, z wysoko umieszczonym brudnym okienkiem i starannie przemyślanym rozkładem wizyt z miasta, doczekała się w końcu najazdu od środka. Zatrudniona mniej więcej przed rokiem programistka niższego szczebla, Karen Jazinski, dostarczyła porcję papierów z biurka Eda: kontrakty do parafowania, budzące wątpliwości wydruki kodu maszynowego, żółto zaznaczone fragmenty „Computing Tomorrow”. Karen musiała przemierzyć nieużywany sektor na piętrze fabryki (stanowił memento w związku z niedawnym zastojem w firmie, bo projekt DigitEyes 2. 2 nie okazał się sukcesem na coraz bardziej zatłoczonym rynku grafiki komputerowej), by wreszcie zapukać do powleczonych szarą farbą metalowych drzwi zamykanych przez Owena od środka. Wpuszczona po raz pierwszy Karen była zdumiona domową przytulnością, którą Owen

zdołał nadać temu niewielkiemu pomieszczeniu: wschodni dywan, korkowa tablica z przyszpilonymi notkami i rodzinnymi fotografiami, na metalowych podpórkach półki z katalogami i podręcznikami komputerowymi, u sufitu jarzeniówka, wspierana niżej przez obrotowe lampy stojące i żarówki w żeberkowanych kulach z papieru ryżowego, łatwo przestawne biurowe meble z plastikowych odlewów plus obity sztruksem fotel i sofa obita skajem, której dodawały miękkości pasiasty koc i parę grubych poduszek, wreszcie kineskopowe monitory na odrębnych podstawach, połączone jednak barwnym festonem: splotem wielokolorowych izolowanych przewodów. Młoda kobieta połapała się w mgnieniu oka: przeznaczenie pokoju było dla niej oczywiste: świątynia dymania, świątynia zachcianek binarnych. Jasne, że musiała to wyczuć, nawet gdyby jej tego nie podpowiedziały te sytuacje, kiedy nie reagował na pukanie, a po obu stronach obitych stalowych drzwi wstrzymywano oddech.

Stała jak zjawą, dopuszczona do jego życia wyśnionego. Wręczyła plik papierów od Eda i uciekła, znowu przez pustą halę fabryczną na piętrze. Nadszedł jednak dzień – oboje zaś przeczuwali, że taki dzień może nadejść – kiedy w chwilę po zamknięciu za sobą tych grubych drzwi wręczyła Owenowi wraz z papierami firmy przesyłkę dodatkową: mieszczący się w dłoni ciepły zwitek, nylonowe majtki. I oto Karen, mierząc go wzrokiem od stóp do głów, podniosła spódnicę,

pokazując, że jej majtki już się znajdują w ręku Owena.

– Nie mamy wiele czasu – powiedziała tonem w dwójnasób lęklwym; jej nieobecność w pracy mogła wyjść na jaw, Owen zaś mógł Karen odtrącić.

Mała, o ostrych rysach i bujnych gęstych włosach, sprawiała wrażenie przygnębionej i niedożywionej; jedna z tysięcy młodych ludzi, którzy dzień za dniem spędzają na ślęczeniu w niezdrowym świetle kineskopu. Potrąciła strunę w sercu Owena.

– No to go nie marnujemy – odrzekł zadzierzyście.

Ściągnęła szarą flanelową koszulę i małe mokasyny, ale nie ściągała białych podkolanówek ani perłowo różowej jedwabnej bluzki. Trwało to krócej, niż gdyby ją pocałował. Kiedy ostrożnie zdjęła okulary, okazało się, że zezuje, a nad spiczastym podbródkiem wargi Karen zacisnęły się w zwykłym u niej skupieniu.

– Ej, spójrz na siebie – powiedziała, kiedy dostrzegła, jak dalece stał się gotów na spotkanie, ledwie ściągnąwszy džinsy; potem okazało się, że i ona jest zaskakująco wilgotna, bez żadnej gry wstępnej. Widocznie niosła ze sobą rosnące podniecenie, śpiesznie przemierzając z majtkami w ręce te poczerńiałe stare podłogi, poryte bliznami po bolcach, ozdobione wzorem z lśniących wytartych gwoździ. A może ściągnęła majtki tuż przed drzwiami, pod wpływem impulsu? Z jakże śmiałego pokolenia się wywodzi, starczyło zaledwie dziesięć lat, żeby odrzucić całe stulecia zahamowań.

– Dlaczego masz na to ochotę? – spytał w momencie

wytchnienia podczas jednej z kradzionych wspólnych chwil.

Przygnieciona na sofie jego ciężarem, obejmując udami jego biodra, nie obawiała się, że wyjdzie na osobę nietaktowną.

– Z facetami z własnego pokolenia to wszystko się obraca w pertraktacje – wyjaśniła. – To całe badziewie, dzieci, nie dzieci, te pierdoły o zobowiązaniach. Człowiek ma wrażenie, że wpadł w jakieś sidła przyszłości i tego, co powinien z nią zrobić. A z tobą nie ma żadnej przyszłości. Jest, co jest, tylko to. Bim-bam, nawet bez *merci, madame*.

– Jaka jesteś cudowna – zaczął.

– Nic z tych rzeczy, panie Mackenzie. Nie jestem cudowna. Jestem funkcjonalna, bezdyskusyjnie brzydka i to by było na tyle. Spójrz prawdzie w oczy: dla ciebie to ja jestem kawał dupy.

– A ja, kim jestem dla ciebie?

Karen milczała. Owen czuł nacisk czasu. Może zadzwonić Phyllis. Albo Ed. Przyrzekł Edowi, że skoryguje program dla towarzystwa ubezpieczeniowego, co wymagało powiązania prawdopodobieństw ryzyka, premii i funduszy rezerwowych z ruchomą stopą procentową rent rocznych w zależności od stóp procentowych Banku Federalnego, za pomocą algorytmów z podwójnymi funkcjami logarytmicznymi.

– Ty? Jesteś pięknym starszym gościem. Potrafię sobie wyobrazić ciebie jako dzieciaka. Zachwycam się

DigitEyes, które wymyśliłeś, dysponując tylko tymi paroma kilobajtami. Uwielbiam bawić się DigitEyes, kiedy zaczynam za tobą tęsknić, i myśleć, że moglibyśmy tego mieć więcej.

– Więc za mną tęsknisz. I chcesz więcej.

– Jasne. Normalna biologia. A biologia jest głupia. Ona chce dzieci. Ja nie chcę. Jeszcze nie teraz. Po prostu chcę od czasu do czasu mieć w sobie twojego fiuta.

W ten sposób mogli ze sobą rozmawiać tylko w tej ciasnej, zamkniętej przestrzeni, zapieczętowani w grubych starych murach jak mózg w czaszce; tkwili w tym pomieszczeniu jak szept myśli nie milknący nigdy w naszych głowach.

– Czyli jak często? – spytał. – Kiedy przyjdiesz znowu? Chcę wiedzieć, żebyś na pewno mnie zastała. – Mógł zaplanować coś z Vanessą, dzieci też miały terminarz: zajęcia sportowe, dentystę.

– Zobacz, to właśnie pertraktacje – powiedziała Karen. – Przyjdę, kiedy będę miała ochotę i kiedy będę mogła. Nie zapominaj, że mnie tu płacą za pracę. A ludzie patrzą na ciebie. I wyczuwają, co i jak.

– Naprawdę?

– Ja wyczułam. Może nie? A ty o tym wiedziałeś. Nie byłeś zbyt zaskoczony, kiedy po raz pierwszy zadarłam spódnice.

Miała rację; nawet ten okruch przypomnień – może i pozbieranych tendencyjnie, ujawniający, że Karen po prostu dodała dwa do dwóch i wypracowała plan akcji –

zamącił ich związek. Minęły tygodnie, zanim znowu się zjawiała, skruszona, jako petentka; ustąpiła pod naporem požądania, Owen zaś nie był zachwycony zdobyciem nad nią aż takiej władzy. Chociaż powiedziała, że ma tylko minutę, namówił ją do ściągnięcia bluzki i bawił się jej drobnymi, sterczącymi piersiami, jak ona bawiła się DigitEyes. Ich spontaniczne szaleństwo zaczynało się przeradzać w politykowanie seksualne, w bezład skrupulatnie przechowywanych starych rachunków do wyrównania.

Owen nauczył się seksu bez uprzejmości i szumnych podziękowań. Mógł nie lubić Vanessy, chociaż zawdzięczał jej niejedno otwarcie oczu i niejedną mądrość. Wciągał Vanessę w dyskusje o innych kobietach z ich kręgu, zwłaszcza o tych, które znał; chciał przyjrzeć im się pod innym kątem, w chłodniejszym świetle.

– Faye – powiedziała. – Przepadałam za nią, za jej szurniętymi klimatami, ale Faye nie miała pojęcia, jak się ubrać. Jak taki naspidowany wór gałganów, no i te śmieszne długie spódnice, żeby ukryć nogi prostowane na beczce.

– Nie zauważyłem, że ma krzywe nogi.

Vanessa wybuchnęła tym swoim śmiechem, z gardłowym pomrukiem.

– Jak mógłbyś zauważyć, skarbie, skoro byłeś zapatrzony w to, co między nimi.

– Wciąż się czuję winny z jej powodu, tyle jej namieszałem w życiu.

– Faye była motylem; a ile żyją motyle? Dzień, może dwa. Była urodzoną ofiarą. Skoro komuś nie przeszkadza małżeństwo z alkoholikiem, to godzi się być ofiarą. Może nawet to lubi. Potem ty z niej zrobiłeś ofiarę, a nie byłeś jedyny, na pewno mówiła ci o tym. Czysta naiwność z twojej strony, że się obwiniałeś.

– Alissa. Co o niej sądzisz?

– A co ty sądzisz? Albo co sądzisz o tym, co jej zrobiłeś, tak by to można ująć.

Chodziło o dziecko.

– Nie umiem nic powiedzieć – odrzekł.

– Pewnie, że nie. Nikt nie umie, Cicho-sza.

– Może tyle, że z niej prawdziwy specjał, nie uważasz?

– Zależy, ile tłuszczu trawi twój żołądek.

Ujął w garść miękkie ciało na okazałej talii Vanessy, tuż nad biodrem, i ostro, brutalnie ścisnął. W grymasie odsłoniła kły. Byli u niej w domu; trafiła się rzadka i podszyta ryzykiem sposobność; gdyby elektronicznie podnieść bramę, okazałoby się, że w podwójnym garażu Vanessy i Henry’ego stoi czerwona corvette Owena podobna do bryły lśniącego mięsa. W domu Slade’ów – w neokolonialnym stylu z lat pięćdziesiątych z garażem i tarasem słonecznym, przy jednej z nowszych, powojennych ulic w Middle Falls – irytowały Owena świętoszkowate porządki, liczne dowody staranności Henry’ego w dziedzinie ciesielstwa i ogrodnictwa, dowody sprawnego, tradycyjnego prowadzenia domu

przez Vanessę i wzorowych postępów Victora w Choate. Perwersyjnie solidne małżeństwo Slade'ów, zbudowane na niewzruszonych a niewyartykułowanych podstawach, stanowiło dla Owena swoistą zadrę. Czy Henry nie wie, jaką zdzirą jest jego żona? Czy zachwycona sobą, drętwa tępota Henry'ego nie doprowadza Vanessy do szału? Nie; wyglądało na to, że stanowią bezbłędny układ; wszystko na swoim miejscu, zdjęcie Victora w srebrnej ramce, wstęga nagrody klubu ogrodniczego, dobrany starannie fotel, podnózek, jak w budzących zazdrość Owena domach w Willow, tych z elegancko wykończonymi piwnicami.

– Au! – zareagowała Vanessa, ale bez gniewu; przyganę uznała za zasłużoną.

– Przepraszam. Nigdy bym nie powiedział, że Alissa jest gruba.

– To się kiedyś przyjrzyj. Nie zdążyła zbić wagi z czasów ciąży, a dziecko ma cztery lata.

To dziecko, Nina, chodziło i mówiło, ładne, chociaż mroczne; mnożyły się w Ninie pokłady kobiecej delikatności wraz z drobnymi urokami i zadziornością; Owenowi coraz bardziej przypominała jego samego ze zdjęć z pierwszej klasy, przez tę chęć spodobania się i odrobinę sceptycyzmu. Lecz ludzie wciąż mówili, że jest podobna do Iana; że kwadratowe marszczące się czoło to po nim, podobnie jak przenikliwe spojrzenie z ukosa. Dopóki nie wyrosła z wózka, mniemany ojciec dumnie obwoził ją wszędzie na spacer, nad bródką widniała



wówczas zarumieniona twarz. Chude, gołe nogi Iana nabierały muskularności. Ojcostwo i trening: w ten sposób Ian radził sobie z nadchodzącą pięćdziesiątką. Napomknienie Vanessy o dziecku spłoszyło Owena, a Vanessa to dostrzegła.

– Tak to zabrzmiało, jakbyś była zazdrosna – powiedział. – Może słyszałaś, no wiesz, o historii z Alissą?

– My tu miewamy długie panięskie rozmowy, leje się wtedy tyle białego wina, że nawet szkodzi to nam na figury. Chyba nie wiesz, Owenie, że istnieje też bezlik erotycznych radości bez rypania. Alissa i ja ugrzewaliśmy się czasami.

– Czy kobieta po to idzie do łóżka z mężczyzną, żeby się ugrzać?

– Ciągłe mnie o to pytasz. Odpowiedź brzmi: w pewnej mierze.

– A kiedy to naprawdę robisz z kobietą, to co się dzieje? Używasz ust, może atrapy wała, może czego? Opisz to.

– Och, skarbie, zapomniałam. Albo umówmy się, że zapomniałam. Chcesz mnie przelecieć jeszcze raz, zanim pójdziesz, czy nie? Skurczysz się, zeschniesz i nic z ciebie nie zostanie, jeśli się będziesz trapił tym, co robią inni.

– Nie zapominaj – zwrócił uwagę zachwyconej sobą kobiecie o tęgiej talii, matowej jak gipsowa Wenus – że chcesz, żebym ci sprowadził Trish Oglethorpe.

– To ty masz na to ochotę. Na dwie kobiety, które by ci służyły.

– Prawdę mówiąc, kiedy już fantazjuję... mogę ci powiedzieć?

Vanessa nie odpowiedziała.

– W tych fantazjach jest kobieta i dwóch mężczyzn. Nie wiem, czy sobie poradzę z dwiema kobietami, ale kobieta na pewno wie, co zrobić z dwójką mężczyzn.

– I ty byś chciał być tą kobietą.

– Uuuu. To boli.

– Nie powinno, najmilszy. To jest normalne, a raczej anormalne normalnie. Po jakimś czasie przynależność do własnej płci staje się dość nudna.

– Jesteś niesamowita! Ty cipo wpatrzona w siebie!

– Kto może wiedzieć – pogodnie ciągnęła Vanessa – gdzie się kończy jedna płęć, a zaczyna druga? Jako maleńkie jajeczka jesteśmy wszyscy żeńscy, ale potem niektórzy szczęściarze załapują się na ten chromosom Y, który je zamienia w kijanki z penisem. Wszystko to raczej oślizgłe, mokre, całkiem jak moja cipa w tej chwili. Chodź już, kochanie, proszę. Posuń mnie tak, żeby mi ślepia wyszły na wierzch.

– Niesamowita jesteś, Vanesso. Powiedz coś jeszcze.

– Cóż, tyle chociaż sprawiłam, że znowu ci stanął.

Najłatwiej ogarniał umysłem seks, przestawały się liczyć te wszystkie meble, ten odrażający wątek małżeński, ostrzegawczy skos światła przedzierającego się przez zasłony w oknie, miasteczkowe dzwony, które

wybijając godziny, wzywały dzieci do szkoły i wzywały potem do domu. Owen najbardziej lubił widok Middle Falls między wpół do ósmej a ósmą, dzieci wychodziły z domów, szły do szkoły grupkami, zbierały się na przystankach autobusowych z matkami; plecaki i kolorowe stroje z syntetyków wyglądały jakże radośnie w porównaniu z ponurymi krótkimi spodenkami i ciemnymi płaszczkami z sukna w Willow lat trzydziestych, kiedy dzieci brnęły do szkoły jak do obrośniętej sadzą fabryki. W nocy, leżąc obok żony w ich wielkim łóżu, kiedy Phyllis spała, sądząc po głębokim regularnym oddechu, mógł sobie jakoś wyreżyserować w myśli siebie, Vanesę i tę Trish Oglethorpe, o płochliwym ciele biegaczki i górnej wardze podobnej do mięsnego pąka, wabiącego mężczyzn, skłaniającego do pogoni. Intuicja podpowiadała, że Trish jest obdarzona dodatkową dawką owej uległości, która nakłania do pościgu; tego się nabywa wraz z chromosomem X. Mogliby wraz z Vanesą związać Trish, dobieranie się byłoby bardziej podniecające. Wyobrażał sobie usta i otwory poniżej, zaznaczone wektorowo partie sprężystej skóry i trzy pary oczu rozszerzone pod wpływem ogólnego napięcia i zdumienia tym wszystkim. Świństwo, powiedziała Vanessa, świństwo i nieład, oto, co Owen kocha, tak powiedziała, wszyscy to kochamy, matkujący nam gnój. A potem obrazy wpierw ulotniły mu się z mózgu, by powrócić, kiedy się okazało, że zaciska w dłoni na wpół zaspaną pytę, która, niepokojona, zaczęła rosnąć. Owen

mógł się spuścić na chusteczkę rozłożoną tam, gdzie miał trafić wytrysk. U szczytu, kiedy przez pory przedzierał się pot, Owen uświadomił sobie, że pobliskie ciepło Phyllis jest częścią tego wszystkiego, wilgoci, przytulności, chociaż regularny oddech – lekki, jak lekka była jej mowa wyzbyta pragnienia, żeby po chamsku wywierać presję na świat – świadczył, że Phyllis nie zdaje sobie sprawy z jego potężnego orgazmu. Tak czy inaczej, była tutaj, jak skończona suma jednego z nieskończonych Eulerowskich szeregów<sup>3</sup>.

– Dlaczego już się nie kochamy? – spytała kiedyś.

– Naprawdę? Mam wrażenie, że się kochamy.

– Już nie, od tygodni. Oddech mi się popsuł, czy co?

– Nic podobnego. W twoim oddechu czuję zawsze to samo: miętę i herbatę rumiankową.

– To dobrze. Więc do dzieła. Dzieci są poza domem od ósmej do wpół do czwartej. Dlaczego nie wpadniesz do domu na lunch? Nie mówię o rankach, bo wiem, jak nie lubisz wstawać.

– Chcesz dzisiaj? – próbował przypomnieć sobie, czy coś zaplanowali z Vanessą, a może wpadnie Karen, z nią nigdy nie wiadomo. – Co cię naszło? – spytał, żeby zyskać na czasie.

Phyllis nie obraziła się, chociaż oblała rumieńcem; ten napływ krwi poniżej skośnych kości policzkowych Owen kojarzył ze studencką księżniczką gotową dać się uprowadzić.

– Nic – powiedziała. – Po prostu uczucie. Ostatnio

tak wyprzystojniałeś.

Dostrzegł upragnioną okazję do sporu.

– Ostatnio? A dawniej?

– Przedtem też, pewnie, ale... tylko nie myśl, że basuję Ianowi... miałeś w sobie coś z maniaka komputerowego, jakby raniło ci wzrok oderwanie oczu od monitora; jakbyśmy dla ciebie byli trochę jak widma. Tego się w dużej mierze pozbyłeś.

– No cóż, wypada powiedzieć dziękuję.

Teraz się obraziła.

– Zapomnij, że w ogóle coś powiedziałam. Próbowałam się tylko zachować jak żona. Wyobraź sobie, że jestem człowiekiem.

– Dziecino! – podszedł do niej, dotknięty nagle do żywego. Do dwuwymiarowego obrazu w wyobraźni dołączył nagle trzeci wymiar; Owen zapominał o człowieczeństwie Phyllis, zachwycał się nią tak abstrakcyjnie, jakby była obrazkiem z przeszłości, zarastającą już ścieżką wiodącą ku dzisiejszym losom. Objął ją; gorąca twarz Phyllis niemal sięgała jego twarzy; oboje byli bliscy płaczu. – Jesteś nadczłowiekiem – miał nadzieję, że w ten sposób rozbawi oboje, sprowokuje do śmiechu. Nic z tego nie wyszło, więc dodał: – No to umówmy się. Dzisiaj może byłby z tym problem; muszę w pracy zerknąć do kalendarza.

– Nie masz ochoty – odrzekła Phyllis, jak zawsze prosto z mostu. – A ja nie jestem nadczłowiekiem; pod każdym względem jestem niewypałem, z wyjątkiem tego,

że urodziłam czworo zdrowych dzieci. Ale jeśli o nie chodzi, to też się nie przyłożyłam. Dajemy im rosnać jak chwastom.

To była prawda, mimo że Owen mógł zaprzeczać, przytaczać jako dowód miliony ich zwykłych rodzicielskich gestów: pomoc w odrabianiu zadań, przykrywanie w nocy, nauczenie na pamięć modlitwy, która małym płochliwym duszyczkom pomaga dotrwać do rana, rodzinne wycieczki do Nantucket, Disney Worldu i na Expo 67 do Montrealu, wynajmowanie domków na lato w Maine, niezliczone korepetycje, niezliczone wspólne kolacje spędzane w stanie wskazującym na rozbawienie. Gdyby spojrzeć z zewnątrz, przez okna ciepłego, kosztownego domu przy Partridgeberry Road, gdyby sądzić po ilości modnych ciuchów, panczenów, domków dla lalek i kijów golfowych w piwnicy, Owen i Phyllis dali wszelkie dowody troskliwego rodzicielstwa, ale w przeciwieństwie do niektórych – na przykład rodziców Owena – nie żyli życiem swoich dzieci, nie odżegnali się od własnego ego na rzecz łańcucha DNA. Takich na przykład Iana i Alisę, już po okresie zawirowań, bez reszty pochłonęły potrzeby i poczynania Niny oraz dwójki jej starszego rodzeństwa. Owen i Phyllis byli do siebie podobni przez to, że ukochanym dzieckiem było dla nich dziecko tkwiące w nich samych, wciąż z wrzaskiem domagające się starań.

– Jutro – przyrzekł Owen. – Właśnie sobie przypomniałem, że dzisiaj jem lunch z Edem. Ostatnio Ed

był bardzo zgnębiony.

– Jutro gram w klubie w tenisa z Alissą, Vanessą i Imogene. Z tym że Imogene nie może zagrać i na zastępstwo poprosiła Trish.

– No to pojutrze – powiedział Owen – albo w nocy, kiedy już Floyd i Ève pójdą spać. – Gregory był na drugim roku w Brown College, Iris na pierwszym w Smith.

– Na noc biorę ogłupiacz – odrzekła Phyllis. – A po pojutrze już zapomnę, o co chodzi.

– A o co chodzi? – spytał.

– Że może cię Kocham? – podsunęła nieśmiało.

Jej pytanie obrócił w twierdzenie:

– Ja też cię Kocham – powiedział, pomyślał zaś: Rujnuję życie tej kobiecie.

– Cholerne miasteczko. – W głosie Phyllis zabrzmiało rozdrażnienie. – Gdzie się obrócić, ono jest i się wtrąca.

– Miasteczko jak miasteczko.

– Nie, Owenie. Nic podobnego. Ludzie niewiele tu mają do roboty, więc mogą intrygować.

– Tak to jest z dobrobytem – odrzekł. – Wolałabyś komunizm?

Od jakiegoś czasu Owen myślał o zerwaniu z Vanessą, zanim przygoda spowoduje wybuch, a potem powtórzy się awantura jak z Faye. Nie wnikał w głębie dziwnego małżeństwa Slade'ów, lecz miał wrażenie – jak w jego własnym związku – że tam nie wchodzi w rachubę

jawna niewierność. To nie była żadna hipisowska komuna, żaden ortodoksyjnie republikański klub wymian w odciętej od świata śniegami enklawie na północnych kresach Środkowego Zachodu. Tutaj mieszkańców Wschodu taktownie okrywał splot powabów i związków nieformalnych. Owena ostatnio pociągała Imogene Bisbee, znana z niewylewania za kołnierz, obdarzona wrzaskliwym, przetrawionym przez whiskey głosem i kruczoczarnymi, siwiejącymi włosami zaczesanymi do tyłu od biegnącego środkiem głowy przedziałka, jak na dagerotypie przedstawiającym czyichś przodków. Była osobą błękitnej krwi, o wdzięku kogoś zranionego. Jej rodzice mieli pieniądze i wspierali nimi nieporadną kancelaryjkę prawniczą jej męża, Roscoe, w Middle Falls głównie obsługującą testamenty przyjaciół, cieszącą się skromnym dostępem do interesów ratusza, wywalczonym przez zasiedzenie. W ostatnich fazach przyjęcia Imogene zaczęła wpadać na Owena. W końcu niemal na oślep złapała go za kciuk i zapytała łamiącym się głosem:

– Czego we mnie nie lubisz, Owenie?

– Niczego – odrzekł. – To znaczy nie ma czegoś, czego nie lubię. Jak się sprawuje ten nowy odrzutowy pług śnieżny Roscoe?

Podeszła do nich Trish Oglethorpe i wtrąciła się zaborczo, chociaż Owen z nią nie spał i wyzbył się też wyobrażeń na tle werbowaniu jej do tria z Vanessą. A jednak jakiś pogłos flirtu, jakieś słabe echo jego masturbacyjnych fantazji poniosło się nocą przez



miasteczko między śpiącymi antenami telewizyjnymi i przywabiło do niego Trish, teraz kręcącą się u jego boku, jakby czekała na następny ruch Owena. Obie kobiety spoglądały na niego w jakimś dręczącym oczekiwaniu.

– Nie przeszkadzam, pogadajcie sobie o tenisie – powiedział i odszukał Phyllis, która siedziała w kuchni na bukowym wysokim taborecie; rozmawiała z Edem i Henrym Slade’em jak za dawnych czasów w MIT, kiedy Owen zastawał ją usadowioną w zadymionej chińskiej jadłodajni z Jakiem Lowenthalem i Bobbym Sprockiem.

Jeżeli Owen na serio zamierzał wykonać jakiś ruch adresowany do Imogene, powinien skończyć z Vanessą. Ale czy znajdzie jeszcze podobną kobietę, równie szczerą przyjaciółkę od seksu, śmiałą i otwartą, o tak niezwruszenie matowej skórze i nacierającej na niego łechtaczce funkcjonującej jak penis? Ten sam tupet i energia sprawiały, że była w okolicy wszechobecna; była współprzewodniczącą, jak to nazywano, ruchu funduszowego na rzecz dobudowania aneksu do szpitala United Falls – chodziło o powiększenie przestrzeni biurowej nie tyle dla lekarzy, ile dla mnożącej się administracji i księgowości ubezpieczeń zdrowotnych – znajdującego się wprawdzie w miasteczku, ale obsługującego też zgrzebną wioskę Lower Falls oraz tych mieszkańców na wpół przedmiejskiego Upper Falls, którzy nie mieli ochoty jeździć do Hartford. Niemal każdy chciał widzieć tę miejscową instytucję przy życiu,

w kwitnącym stanie, zwłaszcza że koszty leczenia w większych zakładach oraz ich wydajność wpływały na przersedzanie się małomiasteczkowych szpitali; stały za tym te same tendencje ekonomiczne, które spowodowały likwidację małomiasteczkowych kin, niezrzeszonych banków, niezależnych sklepów z artykułami biurowymi, sklepów z zabawkami i księgami. Handel przeniósł się teraz na obszary międzymiejskie, do wielkich centrów, które wcześniej pożarły niejedną farmę. Zaczynał podupadać nawet Woolworth przy River Street ozdobiony wyzłoconymi napisami, zapchana różnościami placówka imperium korporacyjnego chyba równie odpornego na wstrząsy jak Ford Motor Company czy American Tel&Tel; w części zoologicznej, którą niegdyś zapełniała wrzawa dżungli, zostało kilka zaledwie mamrocących, zdemoralizowanych papużek i kanarków, do tego mocny odór ptasiej karmy i łajna, trochę kłujących gniazd z wiórów, plus szelest myszokoczków obracających skrzypiące koła.

Szpital, podobnie jak wciąż nie zrejonizowane liceum w Middle Falls, żywo odcisnął się we wspomnieniach mieszkańców. To tutaj urodziła się najmłodsza córka Mackenziech, smutna i wrażliwa Ève, a kiedy Phyllis z okazji czterdziestki otrzymała nowotworowe ostrzeżenie (niezłśliwa torbiel, po której usunięciu pozostała ledwie widoczna blizna), kiedy czternastoletni Gregory złamał nogę w kostce, kiedy trzydziestoczteroletni Owen otarł się o pęknięcie wyrostka, ten szpital ich przyjmował,

troszczył się o ich bóle i lęki. Ożywione kontakty w obrębie konkretnej paczki towarzyskiej nie wykluczały utożsamiania się z szerszą społecznością. Owen przepadał za starzejącym się handlowym bałaganem River Street, a swoją firmę postrzegał jako rozdział w przemysłowej historii miasteczka. Wraz z Phyllis wiele razy dopingowali zawodników, przy okazji udziału dziecka w licealnych imprezach sportowych. Jeden z okrzyków, którego nauczyli się od majoretek w białych skarpetkach – wraz z energicznymi gestami i potrząsaniem pomponami – brzmiał: „Zanim wsiądziesz dziś w autobus, w Middle Falls dadzą ci bobu! Chociaż jesteś równy gość” – w tym momencie unosiło się palec wskazujący, kiwając nim – „w Middle Falls” – teraz wyrzucenie rąk z rozczapierzonymi palcami – „dostaniesz w kość”. W repertuarze młodych menad w plisowanych spódniczkach i puszystych sweterkach – menad, które zagrzewały drużynę okrzykami, młóceniem powietrza, podskokami „na orła” z rozrzuconymi ramionami i nogami – znalazły się niektóre taneczne gesty naśladujące ślizg, zapewne jako spadek po latach sześćdziesiątych, kiedy to Owen kibicował swojemu liceum; Owena uderzył zasadniczy konserwatyzm tych młodzieńczych rytuałów: oto przestrzeń pod gołym niebem, te same zamierające okrzyki, ten sam melancholijny zapaszek zrytej ziemi niosący się poza granice futbolowego boiska, ta sama plemienna nadzieja, że zwycięstwo dzisiaj oznacza zwycięstwo na zawsze w wielkiej rozgrywce

życia.

Ruch funduszowy odniósł sukces, włączyła się cała wspólnota miasteczka, pełen przekrój. I oto z okazji tryumfalnego finału kłębił się tłum na szpitalnym dziedzińcu, w kwietniowym słońcu świecącym jak na zamówienie. Zorganizowanie pod gołym niebem przyjęcia dla robotników i najważniejszych sponsorów było ryzykiem; lecz gości było wielu, zakurzona ratuszowa sala recepcyjna na piętrze wydawała się zbyt sztywna i oficjalna, natomiast parterowe sale dwupiętrowej Georgian Federai, rezydencji towarzystwa historycznego, zbyt elitarne. W tłumie skąpanym w popołudniowym słońcu Owen dostrzegł nagle Trish Oglethorpe. Wprawdzie odwrócił się, żeby się na nią nie nadziać, ale Trish już mknęła w jego stronę.

– Owen! W ogóle cię już nie widuję!

– Jestem na miejscu.

– Chodzi o to, żeby się zobaczyć i pogadać.

– Podejrzewam, że na zimę przysiedliśmy w kąciku – usprawiedliwił się. – „Smy”, czyli Owen i Phyllis, mąż i żona, w sumie i więcej, i mniej niż konkretna osoba.

– Coś okropnego, prawda? Te śniegi! Dwight twierdzi, że moglibyśmy się przenieść do którejś z Karolin. Zwłaszcza teraz, kiedy tak zaostorzono miejscowe psie przepisy. – Wszyscy dobrze wiedzieli, że szalejące golden retrievery mordują koty sąsiadów, że napadły na stajnię wyścigową o ćwierć mili dalej i nawet dobierały się do końskiej paszy w żłobie.

Trish miała nową fryzurę: zmierzwioną, z cedrowoczerwonymi pasemkami skrzącymi się w słońcu. Krótka sukienka w grochy była po staroświecku śmiała; chude nogi tkwiły w uszytych z białej lakierowanej skóry tenisówkach o wielkich klamrach i kaczych nosach. Wyglądała jak uciekinierka z komiksu, Owen zaś czuł zawsze słabość do komiksów.

– Co cię sprowadza? – zapytał.

– Nie wiesz? Vanessa wrobiła mnie w zastępstwo za kogoś, kto zrezygnował z miejsca w jej Komitecie Darowizn Specjalnych. Istna poganiaczka niewolników, słowo daję.

– Tak ludzie mówią.

– Ale i opiekuńcza kwoka. To naprawdę nadzwyczajne, jak ona robi to, co robi.

– Tak – zgodził się Owen, usiłując dociec, co Trish ma na myśli. Pociągnął dalej tamtą rozmowę z ostatniej jesieni, u Bisbeech, do której Trish wyraźnie chciała nawiązać, z entuzjazmem wówczas nie okazywanym. – Rozmawialiśmy sobie o strażniczkach więziennych, a teraz mamy na czele partii kobietę.

– To prawda – powiedziała – Aż przykro, że taką konserwatystkę.

– To teraz jesteś przeciw konserwatystom?

– Tylko wtedy, gdy to są nudne sklepikarzówny – odrzekła Trish, odwracając głowę, żeby pochwalić się seksownym profilem o cofniętym podbródku. Górna warga wydawała się wręcz organem chwytным. Trish

nabrała swobody przynajmniej w sposobie mówienia.

– Skoro mowa o nudnych konserwatystach, to biedny ten Ford. W Wietnamie właściwie już po wszystkim – powiedział Owen, szukając pomysłu na ożywienie tej nowej, subtelnie zradykalizowanej Trish.

Zlekceważyła propozycję.

– Owenie – powiedziała, mocno i krótko trącając go w pierś – musisz zobaczyć film *Szampon* z Warrenem Beattym. Byliśmy z Dwightem zachwyceni. Do tego stopnia oburzający!

To już bardziej przypominało sztywną a zmienną, dawną Trish. Spowijał ją jednak zapach wonności naturalnych, było faktem jej łatwe pobudzenie, było wrażenie zrecznie odnowionej zażyłości, sprawka kobiety, z którą się spało. Czyżby się przespał z nią w jakimś śnie? Czy jego fantazje o nagim trio dotarły jakoś do niej, dopłynęły żyłami miasteczka? Wydawało się, że samozadowolenie Trish o lśniących oczach, w tym stroju lalki, skończy się jakąś eksplozją, że lada chwila Trish zacznie mu dokuczać, jak dokuczały tamte dziewczęta w drodze do podstawówki. Musi wycofać się i rozważyć ten nowy czynnik w komplikujących życie równaniach. Czyżby Vanessa, widząc, że wątle poczynania Owena spaliły na panewce, sama uwiodła tę nowo przybyłą niezdare, i teraz obie, lśniące i nagie chociaż sztywno wyprostowane, jak siostry de Poitier na podwójnym portrecie Cloueta, czekają na niego, czekają, aż je odnajdzie? W miasteczkach nie brak kącików przy

kominkach, piwnic, strychów i materaców z pasiastymi powłóczkami, potulnie czekających, aż się zacznie orgia.

W dole, pod wysokim na piętnaście stóp malowanym fallicznym symbolem zdobiącym od miesięcy szpitalną fasadę – ściślej: termometrem, na którym czerwony słupek oznaczający zobowiązania donatorów wspiał się w końcu do szczytu skali – gwar dobroczynnej gromady wzbierał w miarę nasiąkania tanim szampanem. Owen wypatrzył smutną twarz Imogene Bisbee, z fryzurą w stylu Emily Dickinson, tęsknie wypatrującej w tłumie kogoś, kto mógłby przyspieszyć bieg jej życia i nadać mu jakiś romantyczny wymiar. Musi poczekać, pomyślał Owen, bo w jego życiu na razie brak na to miejsca, skoro Trish najwyraźniej połknęła haczyk. Zlustrował twarze donatorów, ziemiste i oszołomione, skąpane w zimnym wiosennym słońcu, w nadziei, że nie natrafi wśród nich na Karen Jazinski. Ed, wielki ofiarodawca, szafarz funduszy firmowych, mógł ją tu zabrać w charakterze świty E-0 Data, gdyby zaś jakieś bystre szpiegujące oczy dostrzegły Owena i Karen obok siebie, mogłyby dostrzec między ich ciałami przepływ prądów magnetycznych, zdradzieckiego ładunku elektryczności.

Karen jednak nie było. Do Owena podszedł natomiast Ian Morrissey, o bielszej już bródce i dłuższych włosach, co korespondowało z jego świeżym postanowieniem: przeistoczy się w artystę-malarza obrazów, a robotę ilustratorską dla magazynów ograniczy, jak się chełpił, do nadwyżki czasu, do rzeczywiście

kuszających zleceń od starych kumpli z branży.

– Alissa została w domu przy Ninie – oświadczył Ian  
– grypa, prawie czterdzieści stopni, pół nocy biedactwo zwracało.

– Ile teraz ma lat? – grzecznie spytał Owen.

– Rany boskie, już pięć. Człowiek się czuje przy niej wapniakiem.

– Trzeba ją było tu zabrać, na izbę przyjęć – podsunął Owen nie bez ironii.

Ian był głuchy na wszelką ironię, prócz własnej.

– Mmmmm, w zasadzie jest zdrowa jak ryba. Zbudowana jak murowany wychodek. Okazuje się, że kubek w kubek mój ojciec. Był murarzem i nie wstydzę się tego. – W tchnieniu Iana dominował skwaśniały szampan, z zawracającymi bąbelkami.

Owen poczuł bolesne ukłucie: wyobraził sobie Alisę, dziewczynkę i tego wzdętego samochwałę, istną świętą trójcę, jako własnych rodziców z sobą samym podczas jakiegoś niedzielnego spaceru w Willow.

– Cóż, mam nadzieję, że mała czuje się lepiej – powiedział.

– Musi. Mówiłem, jest zdrowa jak rydz. Obaj moi dziadkowie dożyli dziewięćdziesiątki.

– Powiedz Alissie, że wszyscy za nią tęsknimy. – Samo imię Alissy, brzmiące jak miłosny szept, przyprawiło Owena o lekki wstrząs, przywołało obraz jej pełnych pleców, wyściełanych pod skórą, przedzielonych linią kręgosłupa biegnącą aż do czułych krańców.



Przedzierając się przez tłum, Owen czuł coś w rodzaju braterstwa, zespolenia z weteranami tej samej bitwy, miasteczkowymi współtowarzyszami od piętnastu lat; było to uczucie kochania i bycia kochanym, słane i odsyłane nie tylko przez znajome kobiety, lecz i przez kupców ze śródmieścia w lśniących poliestrowych garniturach, przez jubilera i właściciela sklepu z trunkami, przez zwinnego dekarza, zarazem barmana, siedzących teraz przy biało nakrytym stole, przez tę pielegniarkę, już emerytowaną, która osiem lat temu, kiedy Owenowi wycinano wyrostek, zlitowała się nad nim w środku nocy i podała dodatkowy demerol. Szpitalne sanitariuszki i rejestratorki urozmaiciły świętujący tłum dodatkiem paru brązowych i oliwkowych twarzy. Owen nie mógł w tym tłumie odnaleźć Phyllis, chociaż jej jasna głowa zazwyczaj unosiła się o parę cali nad innymi. Na początku pokochał ją za to, że jest wysoka, kobieca i młoda. Rzucająca się w oczy dziwna nieobecność Phyllis przyprawiła go o ostrzegawcze ukłucie i poczucie winy; czuł się niewart własnego szczęścia, skonsternowany. Czy szczęśliwość podszyta winą to właśnie jest życie?

Wydłużały się cienie. W powietrzu zagościł chłód. Vanessa, która jako współprzewodnicząca palnęła już pierwszorzędną mowę pełną podziękowań kierowanych na wszystkie strony, wzmocnianą zaś przez szwankujący i popiskujący przenośny system nagłośnienia, podeszła teraz do Owena. Miała na sobie mieniący się jedwabny

kostium ze spodniami o zieleni kaczyc piór, przy boku zaś jakiegoś przystojnego mężczyznę z postawionym na sztorc kołnierzykiem.

– Owen, skarbie, nie wiem, czy już poznałeś wielebneho pana Arthura Larsona. Jest u nas niedługo, w episkopalnym Kościele Objawienia, a już wykazał się nadzwyczajną pomocą w wyszukiwaniu szczególnych dobroczyńców wśród swoich wiernych. Pomógł nam ich przyszpilić.

Duchowny obdarzył Owena uściskiem dłoni. Uścisk, jak uznał Owen, był starannie dostosowany do płci i wielkości dłoni osoby ściskanej, do jej pozycji ekonomicznej w mieście oraz przypuszczalnego stopnia przyjaźni z wpływową Vanessą. Owen został obdarzony uściskiem ciepłym, lecz bez domieszki zapachu. Wielebny Larson był przystojny, ale owa cecha przypominała efekt równomiernego natrysku, wydawała się wodoodporną warstewką, począwszy od jedwabistego połysku smukłych czarnych butów, po godny wyprawionej skóry połysk ogorzalej twarzy, znamionujący człowieka, który powszednie dni spędza na dworze. Spod kołnierzyka, zamiast zwyczajowej koszuli czarnej jak smoła, wyzierała elegancka, szarogółbia; gęste włosy sprężystością i zbitą masą przypominały Owenowi jakiegoś średniego, kudłatego psa z zadartym ogonem. Larson nie dobiegł jeszcze czterdziestki, mocny, lecz skromnej postawy. Był to człowiek kroczący bezpieczną ścieżką, biegnącą bowiem obok dróg Pana.

– Owen – powtórzył pastor w ślad za Vanessą, jakby umieszczał to imię w rejestrze ulokowanym w głowie. Oczy pastora, ujęte w nawias niegłębokich jeszcze bruzd, słały uprzejme błyski. Pastor spodobał się Owenowi, który na ogół lubił duchownych za to, że podczas naszego życiowego baraszkowania oni odgradzają nas od tego, co niepojęte.

Larson odsunął się o pół kroku i odsłonił towarzyszącą mu kobietę, która taktownie zostawała w tyle, u drugiego boku Vanessy. Nieduża i mocna, o jedwabistej cerze jak Elsie, z zarysem podwójnego podbródka, promieniowała jakąś nieopisaną witalnością, z rysem powagi, którą Owen po raz ostatni podziwiał u Ginger Bitting. Uścisk dłoni Julii zdumiał go, ładne kobiece palce spokojnie wsunęły się w jego dłoń. Miała oczy koloru intensywnej akwamaryny, jaką w Willow widywał w kieliszkach do wina i na ząbkowanych talerzykach na cukierki; dumne ze swych domowych gospodarstw ciotki i starsze sąsiadki wystawiały je na zamykanym górnym brzegu dolnej kwatery okna, żeby przeglądały się w świetle. Szkolonym, przyjemnym barytonem, wnikającym w piersi głębiej, niż wymagałoby zwykle porozumiewanie, mężczyzna oznajmił Owenowi:

– A to jest Julia, moja zacna żona.

## 13. SZKODA GADAĆ

W Haskells Crossing ludzie umierają. I pokazują, jak to się robi. A robi się dyskretnie; zazwyczaj odchodzą w otoczeniu przeszkolonych pielęgniarek i wiernych służących, chociaż z rzadka padają też trupem bez ostrzeżenia, na przykład w drodze na wzgórek przy trzynastym dołku bądź podczas niedzielnej popołudniowej drzemki po zakrapianym lunchu. Śmierć się nigdy nie wyzbywa skłonności do niespodzianek. Życie nie wyczekuje śmierci; żyjący umysł nie umie jej ogarnąć. Niektórzy mieszkańcy umierają tuż po wyrafinowanej operacji plastycznej albo potrójnym czy poczwórnym bajpasie, po kosztownym remoncie domu; zapatrzeni w przyszłe lata umierają mimo wszystko.

Jak postępuje ów proces, widać wyraźnie w kościele, regularnie odwiedzanym przez Julię z Owenem, chociaż przez Julię mniej regularnie niż za czasów jej małżeństwa z pastorem. Niedziela po niedzieli, skokami, umierający wydają się coraz bardziej niepewni i wynędzniali, kiedy chwiejnym krokiem wracają po komunii od barierki, żując i patrząc wyzywająco. Potem nie mogą się już komunikować przy barierce, nie mogą uklęknąć z powodu opuchlizny kolana czy nekającego biodra i przyjmują opłatek na stojąco jak katolicy lub luteranie bądź – to następny etap – pastor z ministrantem przynoszą im opłatek do ławki. Jedyne odgłos, jaki towarzyszy temu

zawieszeniu ceremonii, to szept pastora, jedyny ruch to drżenie siwej głowy i ręki, jeśli przyjmująca komunię osoba wywodzi się ze starej szkoły High Church i znakiem krzyża poświadcza otrzymanie opłatka i wina<sup>1</sup>. Z twarzy męskich pierzcha kolor, stają się ziemiście szare, oczy toną w oczodołach; natomiast kobiety, które nawet w ostatnim stadium życia potrafią się zdobyć na soczysty makijaż, mewają skrzące się oczy nad zaszuszonymi, lecz różowymi policzkami. Niektórym kobietom umieranie pochlebia, bo podkreśla powagę i dzielność, odwieczne kobiece przymioty. Natomiast inne, jak niesłychanie bogata Florence Sprang, przybierają postać groteskową, umalowane, ubrane bez śladu umiaru, kuśtykają przejściem, wsparte na lasce z jednej strony, a z drugiej na ramieniu służącego, by przy barierce otrzymać należną porcję Ciała i Krwi Jezusa Chrystusa.

W końcu nawet najbardziej odporny, najbardziej zdeterminowany a złąkniony komunii wierny nie może jej przyjąć podczas niedzielnego nabożeństwa i uczestniczy w nim tylko jako imię w modłach ludu Bożego, jedno z wielu – zbyt wielu, szeptano – odczytywanych przez lektora płaskim głosem po formule „Za starych i złożonych niemocą, za owdowiałych i sieroty, za chorych i cierpiących módlmy się do Pana”. Bądź po formule trzeciej „Niechaj nas przejmie współczucie dla cierpiących od bólu bądź trosk”. W monotonnej litanii imion „Florence” miesza się demokratycznie z rojem innych chorych lub wystawionych na niebezpieczeństwa,

Erin i Jameeką, Shondą i Larą, Dolores i Jade, Bruce'em, Hamade'em i Toddem, którzy wprawdzie nigdy nie poznali Florence, lecz podlegają programowi Kościoła Objawienia, niosącego w śródmieściu Cabot City pomoc tym, którzy w schroniskach i dofinansowywanych mieszkaniach cierpią, zrujnowani przez narkotyki i alkohol, otyłość, AIDS, rozwiązłość bądź psychozę maniakalno-depresyjną. A później imię Florence, na nowo opatrzone nazwiskiem, figuruje przez pewien czas na liście odczytywanej po sakramentalnym wezwaniu „Za tych, którzy zmarli w nadziei zmartwychwstania, za wszystkich zmarłych módlmy się do Pana”. W odpowiedzi parafianie błagają ogromną hipotetyczną istotę zawieszoną nad miasteczkowymi rytuałami: „Zmiłuj się, Panie” albo w imieniu nieboszczyków bezpiecznie ulokowanych w trumnach i urnach proszą: „A światłość wiekuista niechaj im świeci”.

Z najnowszych naukowych doniesień wynika, że sprawcą rozchodzenia się w kosmosie światła wiekuistego jest nieznaną czynnik zwany ciemną siłą; przyśpiesza ona bieg światła tak, że w końcu gwiazdy staną się dla siebie niewidzialne. Z innych udowodnionych reguł wynika, że spłoną i będą się błąkać w postaci bezsensownych stert spopielonej, biernej na zawsze materii. Nikt pilniej nie śledzi najnowszych zwrotów doświadczalnej kosmologii niż miasteczkowy duchowny, który ma nadzieję, że z za jakiegoś zagadkowego równania wypatrzy, jak z za rogu, przebłysk Bożego miłosierdzia. Jedno z najcięższych

brzemion, które dźwiga współczesny wiemy, to, sądzi Owen, monstrualnie powiększony kontekst czasu. Święty Paweł uważał, że trąbę Sądu Ostatecznego usłyszą za życia niektórzy jego współcześni. Oto ogłaszam wam tajemnicę: nie wszyscy pomrzemy, lecz wszyscy będziemy odmienieni. W jednym momencie, w mgnieniu oka, na dźwięk ostatniej trąby<sup>2</sup>; ludzie średniowiecza wciąż mogli sobie wyobrazić, że ich nietknięte szkielety wyłazą z grobów z uśmiechem, chociaż bez dziąseł. Tamten świat był za rogiem, bez mała widzialny, nie dalszy niż krypty pod katedralną posadzką. Teraz trzeba go odsunąć w inny wymiar, dołączyć do tych subatomowych strun, których matematyczne wynalezienie może w końcu rozwiąże tę zagadkę bytu: dlaczego nicość, ton podstawowy i niezniszczalny kosmicznej rzeczywistości, postanawia zadać sobie gwałt i rodzi jakąś „coś”? Podczas strategicznego odwrotu Kościół oddał kosmos fizyce i znalazł schronienie w tym, co osobowe: w kosmosie kruchej, przemijającej świadomości. W tym świecie-cieniu, o istnieniu przedłużonym na czas nieokreślony, Florence, Jameeka, Lara i Bruce pływają się w takiej samej dla wszystkich Bożej miłości i razem odnoszą coraz większe sukcesy. Jeżeli tylko ze względu na ludzi potykałem się w Efezie z dzikimi zwierzętami, to cóż mi stąd za pożytek? Skoro zmarli nie zmartwychwstają, to jedźmy i pijmy, bo jutro pomrzemy. A w następnym wersie Paweł niepokojąco dodaje: „Nie łudźcie się! «Wskutek złych rozmów psują

się dobre obyczaje»”<sup>3</sup>.

Tak się złożyło, że w Haskells Crossing Julia i Owen zaprzyjaźnili się przede wszystkim z ludźmi starszymi od siebie. Małżeństwa rówieśników Mackenziech, odkrywszy, że ta uprzejma para w średnim wieku nie pije i nie zna żadnych miejscowych plotek, nie kwapiły się do ponownych zaproszeń, po zapoznawczych koktajlach. Natomiast starszym, którzy już zaliczyli choroby bądź się poddali procedurom Anonimowych Alkoholików, nowo przybyli „młodzi” wydali się małżeństwem dobrze wychowanym, orzeźwiającym, zatem zapraszonym na sezonowe przyjęcia; jeśli nie liczyć pokolenia wnuków, Owen i Julia byli na tych imprezach najmłodszymi gośćmi. W pogodnym tłumie starszych, radośnie wtopionych w zanikające zwyczaje, wielki kosiarz nie próżnował. Zwyczajnym wydarzeniem stawały się pogrzeby, w obrządku episkopalnym rozciągliwym na tyle, żeby się godzić na poufałe, a czasem bezceremonialne i ucieszne wspominki starych przyjaciół czy nieco leciwych latorośli. Dodatkiem bywała broszura żałobna, z niosącymi pociechę wersami na stronie ostatniej, z numerami hymnów i modlitw w środku, na pierwszej zaś z malowniczym zdjęciem zmarłego cieszącego się pełnią życia przy sterze własnej łodzi w Maine bądź upozowanego na tle ciężkiej od róż pergoli albo roześmianego w słońcu (neutrino z tamtych promieni zdążyły dotrzeć tymczasem do Węgi) czy też trzymającego za uzdę konia o szalonym spojrzeniu i



lśniących chrapach, też już nieboszczyka. Owena fascynował dobór najszcześniejszych, kluczowych chwil bogaczy. To były radości życia wiejskiego: miliony dolarów zaprzęgnięte w poszukiwanie czystości, tutejszej pierwotnej niewinności. Rzadko trafiało się ujęcie we wnętrzu, uchwycone w zwykły roboczy dzień albo podczas uroczystości, jakiejś czterdziestej rocznicy czy na wystawnym przyjęciu kwitującym przejście na emeryturę. Jeżeli zdjęcie pochodziło z czasów gładkoskórej młodości zmarłego, przeważał wątek sportowy: nieboszczyk w białym kostiumie przy siatce tenisowej bądź ze srebrnym trofeum w ręku i uśmiechem na twarzy skrzącym się mocniej od srebra. Kryła się tutaj podpowiedź, że tamten świat jest zapewne country clubem. Po całej ceremonii wdowa czy wdowiec albo wciąż związane z okolicą najstarsze z dzieci wydawało przyjęcie w przestronnym domu zmarłego albo w yacht czy country clubie, gdzie wspomnienia o nieboszczyku ustępowały przed nieogłędną wesołością oraz gorzkimi narzekaniami na to, jak dalece mieszkający w Haskells Crossing i płacący podatki właściciele ziemscy są dyskryminowani w walce ze skorumpowanymi lub tylko niefrasobliwymi, a w każdym razie drobnymi politykami rozsiadającymi się w izbach władzy w Cabot City. Tłem przyjęcia, jeśli się odbywało w prywatnym domu, bywał widok na roziskrzony kawał morza, owo wszystkożerne i niewzruszone odbicie wieczności, czekającej na każdego uczestnika imprezy, na wszystkich ocalałych.

Jedną z pierwszych tutejszych znajomych nowych Mackenziech – Mackenziech II, gdyby małżeństwa były filmami, bądź Mackenziech 2. 1, gdyby były programami komputerowymi – została drobna i pulchna Bumpy Wentworth o rzędnych niebieskich włosach i talencie do naśladownictwa. Była jeszcze dziewczynką, kiedy rozżalony młodszy brat przeważał ją Bumpy; dzielił z nią i z pokaźnych rozmiarów guwernantką tylne siedzenie ojcowskiej peerless. Zdjęcia dziesięcioletniej Bumpy, z 1925 roku, potwierdzają masywność zadziornej siostry, która stała się łagodną, proporcjonalnie zbudowaną kobietą, mimo to przezwisko wędrowało z nią, począwszy od czasów ściśle rodzinnych, przez szkołę, szkołę z internatem, prywatną szkołę dla panien i małżeństwo. W konserwatywnych stronach, gdzie sympatyczny męski szowinizm wspierał nadawanie członkiniom plemienia takich zawołań, jak ulubionym czworonogom, przyłgnał już do niej przydomek Bumpy, kryjący dodatkową aluzję. Podobnie przyłgnęły do jej rówieśnic z Haskells Crossing przydomki Muffin, Jonesie, Snuggles i Bunch: przy czym chodziło o szacowne zamożne kobiety po sześćdziesiątce albo siedemdziesiątce<sup>4</sup>.

Jeżeli Julia w ogóle miała słabostkę, to na punkcie beztroskiej kobiecej przyjaźni. Spod opieki ojca, bankiera z New Haven, wysoko postawionego członka Kościoła, który prócz Julii miał samych synów, w sumie trzech, trafiła wprost pod skrzydła męża – tuż po skończeniu seminarium duchownego; przez cały czas była kobietą

przykładną, wprawdzie wzorową córką, potem studentką, wreszcie wzorową małżonką i gospodynią. Jej jedynym potknięciem było zakochanie się w Owenie, co później sobie tłumaczyła chęcią wyratowania go z rozpaczliwie niemoralnego życia. Owen był gotów na przybycie misji ratunkowej, natomiast Julia nie była przygotowana na znalezienie się w samym środku skandalu, na to, że będą jej unikać wstrząśnięci parafianie męża, że z ostentacyjnym oburzeniem zbojkotują ją tak zacne mieszkanki Middle Falls, jak Vanessa Slade, Imogene Bisbee, Trish Oglethorpe i Alissa Morrissey. Zatem okazało się radosną ulgą dzielenie upodobań – o sto mil dalej na północny wschód – z niezdecydowaną, lecz filuterną i dowcipną Bunch Hapgood, mizerną i łagodną Jonesie Wilkins oraz uprzejmą, wrażliwą Bumpy Wentworth; młodsza kobieta mogła przy sherry zaśmiewać się do łez, słuchając, jak Bumpy parodiuje ze stosownym akcentem irlandzkie służące, włoskich ogrodników z gospodarstwa pastora, a nawet sztywnych, nie całkiem rdzennie anglosasko-protestanckich partnerów w interesach jej drogiego zmarłego męża. W gruncie rzeczy Julia była dla tych kobiet dziewczyną, pani Wentworth zadbała zaś o to, żeby oboje Mackenzie poznali właściwych ludzi, a w odpowiednim czasie trafili do właściwych klubów. W miarę przewijania się przez Haskells Crossing malowniczych pór roku Nowej Anglii, w miarę wyznawania przy herbatce, jakich to kłopotów przysparza Mackenzie ich pół tuzina dzieci – czwórka

jego, dwójka jej – w miarę słuchania słów pociechy, a w końcu zbywania zmartwień śmiechem, pogrzeb za pogrzebem kładł kres znajomościom, lecz Bumpy była zawsze. W pół drogi między osiemdziesiątką a dziewięćdziesiątką zaczęła wyraźnie tracić na wadze i słabnąć; łysienie zmuszało ją do noszenia peruki, którą to okolicznością umiała rozbawić Julię, bo debatowały, czy elegantszy byłby odcień brzoskwiniowy czy morelowy. Nawet zabrana do szpitala z powodu trudności z oddychaniem, starsza pani była wesoła; podczas ostatniej wizyty zmuszała Julię do bezustannego chichotania, ukazując komiczne strony pewnej burzy w szklance wody w stowarzyszeniu przykościelnym, którą to burzę Julia, jeden z filarów stowarzyszenia, brała zbyt poważnie. Kiedy do okien szpitalnych zajrzał zmierzch, Bumpy opadła na poduszkę i wysuszoną dłonią poklepała po ręce Julię. Zapowiedziała, że polubi nowe leki, a potem w ośrodku rehabilitacyjnym po drugiej stronie Cabot City odzyska siły. Jest trochę przygnębiona, ale wyczuwa rychły nawrót dobrego samopoczucia.

To wszystko było nazajutrz w pełnym niedowierzania głosie skrzywdzonego, oszukanego dziecka, kiedy Julia, odłożywszy słuchawkę telefonu, wróciła do sypialni i oznajmiła Owenowi:

– Bumpy nie żyje! – W oczach stanęły jej łzy, przez co ich akwamarynowy kolor stał się żywszy. Julia należała do kobiet, które nawet w najgorszej chwili nie płaczą.

W Middle Falls widywano już rozstania i skandale, ale ten skandal to było coś nowego, żona pastora i dwa małżeństwa rozbite bez mrugnięcia okiem. Floyd, drugi syn, a trzecie dziecko Owena – imię otrzymał po dziadku, księgowym – przyniósł ze szkoły nowinę, że wielebny Larson i jego żona właśnie się rozchodzą, nie do wiary. Jennifer Pajasek, dziewczyna z klasy Floyda, która czasem dogląda tam dzieci, opowiadała, że się toczą ciężkie boje, a dzieci – dziewczynka i chłopiec – są zupełnie roztrzęsione.

Przekazując ojcu wiadomość tonem niewinnego zdumienia, podniecony Floyd nie mógł wiedzieć, że wieści dotyczą też jego, że to pierwsza rysa na sklepieniu, które rychło zwali mu się na głowę. W oddalonej o dwie mile plebanii sprawa już nabrała rozpędu. Owen został wciągnięty w ów śmiertelnie niebezpieczny krater, którego krawędź dostrzegł wiele lat temu za sprawą odgłosu dobiegającego przed świtem z pobliskiego domu przy Mifflin Avenue, kiedy to Danny Hoffman pociągnął za spust ojcowskiego wojskowego colta kaliber . 38. Teraz o wpół do piątej, w słoneczny wrześnieowy dzień, to samo królestwo – nieodwołalnej, rzeczywistej krzywdy – zawitało do należącego do Mackenziech, stojącego przy Partridgeberry Road domu o sześciu sypialniach i czterech łazienkach, ściślej: do miejsca przy kuchennym stole. Owen dokona egzekucji własnego dziecka. Jeszcze chowa broń za plecami, ale za parę dni wyciągnie ją i

strzeli. Jego syn, jak Buddy Rourke, zostanie bez ojca, bo ojciec gdzieś pobłądził. Phyllis już wiedziała. Wkrótce się dowie miasteczko. Tu się nie da nic ukryć, nie ma mowy o odwróceniu. Za kuchennymi oknami nuci pieśni przykładowe życie, oddzielone od ludzkiej winy jak sen; szpaki pogwizdują, zbierają się w stada i szykują do odlotu, niewidoczne owady cykają, a lato zwija swój kramik.

To Julia podyktowała tempo; pierwsza gotowa wywlec szydło z worka, pierwsza gotowa do separacji, pierwsza do rozwodu. Chociaż Owen jej pragnął, chociaż upatrywał w niej szansy na bezpieczne małżeńskie pogodzenie pożądlivosti i posłuszeństwa, to mógłby zwlekać bez końca, trzymać kobiety w napięciu, zwodzić jak zongler kolorowymi kulami, lecz Julia zdołała go zawstydzić. Naelektryzował ją wstrząs spowodowany jej własnym upadkiem; Julię poniosło, a wtedy wszystko nabrało impetu, w którym brak miejsca na wątpliwości. Ani razu nie obejrzała się za siebie, a Owen z trudem podążał za nią.

Przedstawienie sprawy dzieciom, przeprowadzka do mieszkania w obskurnym budynku za rzeką, rozmowa z wymęczonym, nie osądzającym, specjalizującym się w rozwodach adwokatem z Hartford, wszystko to jakby toczyło się pod wodą. Owen przedzierał się tępo przez grube warstwy cudzego bólu, ledwie rozpoznając samego siebie. W tym coraz większym zagęstnieniu poczuł się dziwnie lekki. Wkraczanie w żywioł radykalności

zaowocowało poczuciem, że Owen wkracza w spóźnioną dorosłość; dotychczas mylił los z pustą parcelą obok swego pierwszego domu, na której w cudowny sposób znalazł okulary w przemoczonym przez rosę futerale; wtedy uznał swe życie za czary. Porzucenie Phyllis w pół drogi między czterdziestką a pięćdziesiątką było jego pierwszym dorosłym czynem. Być dorosłym to być zabójcą. Pacyfiści i nie biorący udziału w walce po prostu sami się oszukują, pozostawiając innym odwalenie brudnej roboty.

Vanessa napotkana w południe w śródmieściu naprzeciwko Brzydkiego Kaczątka powiedziała wprost i bez uśmiechu: – „To ci dobrze zrobi, mój drogi”, ale zaraz odeszła. Alissa, która przechodziła na drugą stronę Branch Street, holując do podstawówki małą Ninę, spytała dziecko: „Chcesz pokazać panu Mackenzie, gdzie wyrznął ci się ząbek?”

Pewnego razu latem Karen Jazinski zapukała do drzwi celi Owena w E-O; Owen nie mógł otworzyć, bo na sofie była z nim wtedy Julia; z wyraziście ufarbowanymi na ciemno włosami nie tyle przypominała Olimpię Maneta, ile Maję nagą Goi. Karen chyba wyczuła, że w środku jakaś para wstrzymuje oddech, i już więcej nie przyszła. Trish Oglethorpe, z niepojętego powodu stanąwszy na czele miejscowej armii oburzenia, przeszła tuż obok Julii w supermarkecie, jakby Julia była główką zwiędłej sałaty. Roscoe i Imogene Bisbee zlekceważyli nową parę w Silver Spoon, przesadnie drogiej,

oświetlonej świecami restauracji w Upper Falls, do której Owen z Julią wybrali się w nadziei, że nikt ich tu nie pozna wśród anonimowych okolicznych mieszkańców.

Przejściowy okres rozłączenia trwał rok i wówczas było jeszcze gorzej. Szkoda gadać. W gazetach i telewizyjnych dziennikach roi się od rodzinnych zerwań i morderstw w czterech ścianach. W rozbitych małżeństwach są gorzkie żale, roztrząsanie przeszłości, ale i chwile weselsze, po paru kieliszkach palnięcie prawdy zaprawionej cierpkim żartem. W późniejszej fazie, związanej mocniej z prawem, są te przykre różnice zdań co do podziału majątku, przykre zwłaszcza dla Mackenziech, którzy zaznawszy powodzenia, nie zwlekali z wydawaniem pieniędzy na różne artystyczne rzeczy. Każdy wschodni dywan, obraz abstrakcyjny, album za pięćdziesiąt dolarów, wszystko to wybierali kiedyś wspólnie, a książki na prezent urodzinowy czy pod choinkę bywały opatrzone serdeczną dedykacją. Egzemplarz *Finnegans Wake*, dar Phyllis dla Owena na dwudzieste piąte urodziny – wysoki tom o staroświeckim grzbiecie i obwolucie takiej samej z przodu i z tyłu, z dołączonym do tekstu z 1939 roku piętnastostronicowym listem Joyce’a zawierającym wykaz błędów drukarskich – spowodował szczególnie bolesną wymianę zdań, chociaż żadne z nich nie zabrnęło dalej niż do piątej strony. Oboje spodziewali się, że książka w większym stopniu wiąże się z matematyką, bo autor był jednym z niewielu, których umysł mógł się równać z umysłami wielkich



matematyków; lecz cały ten święty tekst okazał się muzyką: muzyką fonetycznie, więc błędnie zapisywanej mowy o szerokim irlandzkim akcencie, no i wyławianiem z całej Europy kalamburów. W czasach ich zalotów i ślubu książka uchodziła za szczytowe osiągnięcie kultury – wykuta fanatycznie, monolitycznie odrębna.

Przed Larsonami wyłonił się problem plebanii. Potrzebowali jej Julia i dzieci, ale plebania stanowiła własność Kościoła i częścią wynagrodzenia Larsona było prawo mieszkania w budynku. Najzupełniej nie w porę zbliżało się Boże Narodzenie z powodnią świątecznych imprez – od grup młodzieżowych po kółko Złota Jesień – którym przewodniczy zwyczajowo pastorowa. W tych krótkich zimowych dniach część powinności pastorskich polega na wykorzystaniu szacownej żony, która zechce i potrafi wspierać społeczne poczynania parafii. Julia wypełniła obowiązki tak gładko, że nikt nie uronił pucharka ponczu, żaden członek chóru młodzieży, czy to dziewczyna czy chłopak, nie wyszachrował nienależnej porcji ajerkoniaku czy pierniczków, nawet jeśli na Julię czekał potem Owen i jego łóżko w zaniedbanych pokojach przy Covenant Street. Kiedy się w końcu zjawiała, wciąż w stroju plebanijnej hostessy, w prościutkiej szarej sukni z dzianiny, wyjaśniała bez ogródek:

– Kobieta jest przyzwyczajona do życia na paru poziomach. Rozczłonkowanie to część jej biologii. To nie żadna hipokryzja, po prostu zwykła przyzwoitość, żeby

przy żadnej okazji nie ujawniać całej siebie. Ależ z ciebie małostkowy zazdrośnik, Owenie! Zachwyca mnie przestawanie z kimś aż tak niewinnym.

– Po Arthurze, to masz na myśli?

– Cóż, nie urażając twych uczuć, skarbie, powiem, że duchownego trudno zaszokować. Dzień w dzień, tydzień w tydzień słucha na okrągło najgorszych rzeczy. Licho wie czemu ludzie lubią mu opowiadać takie rzeczy.

Może z tego okresu, kiedy Julia dawała pokaz kohabitacji z pozbawionym złudzeń mężem, wywodziły się sny nachodzące Owena nawet w dwadzieścia pięć lat później, o wymykaniu się gdzieś Julii, pod osłonę społecznej tkanki miasta, o tym, że Owen gdzieś się Julii zawieruszył, kiedy jeszcze raz odtwarzała poczynania lojalnej żony pastora.

To sam Kościół w swej mądrości uzmysłowił proboszczowi niezręczność sytuacji i podsunął rozwiązanie: przewodniczący rady parafialnej, emerytowany i owdowiały były bankier z Providence, zajmował za dużą rezydencję przy Błoniach w Middle Falls; wielebny Larson będzie mile widzianym mieszkańcem, dopóki pani Larson z dziećmi nie zdoła znaleźć odpowiedniego mieszkania, najlepiej w innym mieście. Kiedy w czerwcu, w którym świętowano dwustulecie Stanów Zjednoczonych, rok szkolny dobiegł końca, Julia oraz mali Tommy i Rachel wyjechali do siostry Julii w Old Lyme. Ten okres separacji – kiedy kochance Owena obdarzonej zapewnieniem małżeństwa

udało się napisać w pośpiechu zaledwie parę listów pod pełnym wyrzutem okiem siostry – pewnie też się przyczynił do uporczywych koszmarnych snów Owena, w których traci Julię albo ich kontakt po prostu się urywa, zapada głucha cisza, jak wówczas, kiedy położono te pierwsze delikatne kable telegraficzne na pełnym urwisk i zapadlin dnie Atlantyku. Listy Julii, nieskazitelne, pisane na elektrycznej maszynie i niebieskiej papeterii, wręcz go martwiły, słoneczne i beztroskie, wyzbyte wahań, uzalania się, jakiegokolwiek ostrożnej dwuznaczności. Była zachwycona powrotem do nadmorskiego krajobrazu. Rzekę i wodospady ma już za sobą. Zachwycona Rachel bierze lekcje konnej jazdy; Tommy, który zawsze tak się bał wody, teraz potrafi przepłynąć cały basen, w zwykłym klubiku przy plaży. Arthur, który często się zjawia z wizytą, nie jest pewien, czy po tym wszystkim powinien pozostać pastorem. Kościół Objawienia, zbyt uprzejmy, by wyłożyć kawę na ławę, liczy dni do wyjazdu Arthura. Na przekór przestrogom świętego Pawła dotyczącym małżeństwa duchownych, rozwiedzeni pastory na tym etapie kościelnych obyczajów z trudem znajdują sobie miejsce, nawet w parafiach śródmiejskich. Jeden z członków rady parafialnej, emerytowany przedsiębiorca, opowiadał Arthurowi – gdyby ten zechciał się przenieść bliżej Manhattanu – o nadzwyczajnych możliwościach, jakie w wielkich firmach stoją otworem przed byłymi duchownymi w dziedzinie public relations bądź zarządzania zasobami ludzkimi.

Oboje Mackenzie, dryfujące rozbite małżeństwo, zdumiewali się, w jaki sposób rozstąpiło się morze przed Julią, która na drugi brzeg przeszła cudownie suchą stopą. Owen i Phyllis, nawet mieszkając osobno, dzielili tę samą przestrzeń mentalną, wywiedziony z college'u obszar myślenia odziedziczony po dużym domu na małej parceli przy Cambridge Street, której to ulicy używano teraz jako skrótu między Garden Street a Massachusetts Avenue. Przekazywanym tam ideałem była przyzwoitość szacowna, lecz cyganeryjna oraz nie słabnący do końca życia studencki głód wiedzy. Colin Goodhue został profesorem romanistyki w Cornell. Ożenił się z Francuzką i każdy sierpień spędzali w Prowansji. Matka i ojciec Phyllis niedawno zmarli – w odstępie miesiąca, jak czasem się zdarza małżeństwom długo żyjącym ze sobą – toteż poczucie taktu wobec świeżo osieroconej Phyllis było jednym z powodów, dla których Owen nie śpieszył się z procedurą rozwodową ani z jej obrzydliwą oprawą: prawnikami, tragarzami od przeprowadzek, psychologami dziecięcymi.

Pod wpływem oczekiwania umysł Owena spowiała mgła. Niewiele zapamiętał z długiego okresu przejściowego, kiedy kursował tam i z powrotem między bezgłowym gospodarstwem przy Partridgeberry Road i zaniedbaną, na wpół kawalerską norą po drugiej stronie Chaunkaunkabaug w trzypiętrowcu ze schodami przeciwpożarowymi, zamieszkanym przez leciwych polskich wdowców i otyłe samotne matki. W odrętwieniu

mierzył się z udawaną na pewno obojętnością dwojga starszych, studiujących już dzieci i ze skwapliwą chociaż trochę teatralną życzliwością dwojga młodszych, patrzących okrągłymi oczami, kiedy zjawiał się w mocno porysowanej i rozklekotanej corvette stingray, żeby zerknąć na zadania domowe bądź zabrać dzieci do kina. Wychowany w powierzchownej religijności, miał jednak wrażenie, że słyszy modlitwy dwojga młodszych dzieci o jego powrót, a szmer tych modlitw przypominał trzepot skrzydeł jerzyków uwięzionych w kominie starego farmerskiego domu. Porzucona Phyllis, to przybita, to dzielna i pełna wigoru, dzieliła z Owenem wrażenie nierzeczywistości owego stanu przejściowego. Profesorska córka nigdy do końca nie wpasowała się w Middle Falls; lekceważąc tamtejszą niewyszukaną społeczność, traktowała ją uprzejmie, lecz bezceremonialnie, niemniej wokół Phyllis skupiło się parę kobiet z Middle Falls, nie tylko tych, z którymi sypiał Owen, chociaż akurat one wykazywały wobec niej najwięcej życzliwości, a zarazem najgłębszą pogardę wobec Julii. – „Ona nic sobie z tego nie robi, absolutnie, jakby była z innej planety...” „Te jej oczy, ciarki mnie przechodzą na jej widok...” „Paraduje sobie po Acme, jakby myślała, że się nie odważę spojrzeć jej w twarz...” „Ten nieszczęsny mąż chyba zostanie przez nią świętym, Roscoe bardzo długo rozmawiał z Arthurem, ale nie usłyszał o niej ani jednego złego słowa”.

Phyllis cytowała urywki Owenowi, jakby takie

uszczypliwości – kiedyś brzmiące w jego uszach jak muzyka, jak szept inicjacji – mogły sprawić, że wróci. To prawda, że Owen, sam w zapuszczonym pokoju – w którym przez ściany przenikały zapachy cudzej kuchni i kwilenie szkrabów pozbawionych ojca – mógł się zbudzić nękany tą samą chorobliwą, gryzącą żołądek tęsknotą za domem, jaką czuł w pierwszych miesiącach na pierwszym roku MIT, zawieszony w przestrzeni przez nieubłagane prawa dorastania. Lecz wówczas, jak i teraz, miał misję: musiał wytrwać, żeby nie wracać do Pensylwanii, musiał zrobić dyplom i karierę, a także, jak się okazało, zdobyć tę smukłą dziewczynę, którą dostrzegł w holu. Natomiast teraz, jak i wówczas, jego misja nie była całkiem samolubna i także miała coś wspólnego z Phyllis: Owen pragnął uwolnić Phyllis od siebie, a siebie od niej. Życie Owena z Phyllis, jak wyjaśniała Julia, zamieniło się we wzajemne upodlenia. Ów związek nie przyniósłby już Phyllis żadnego pożytku. Widzą w tym sens ludzie, parował Owen, o wpojonych wysokich miarach, o niewzruszonej prawości; lecz w tej rachubie pomija się błaganie o litość, idące w parze z miękkością serca. Owena łączył z Phyllis duch lat pięćdziesiątych, szybującej beztroski. Lecz teraz miał wrażenie, że między nimi od początku coś poszło nie tak. Ambitny i nieokrzesany Owen posłużył się nią. A teraz chciał się pozbyć własnego przeświadczenia, że zdobył i uprowadził tę księżniczkę; chciał jej dać czas, żeby spojrzała na sprawę jego oczami i pomogła mu rozwiązać

się z sobą – żeby rozwód stał się jej pomysłem, jak w jakiejś mierze jej pomysłem było małżeństwo. W każdym razie Phyllis zgodziła się rozpocząć spotkania z adwokatem w Hartford, niskim, eleganckim, trajkotliwym, którego widok ją bawił, wybranym za namową zarówno Roscoe Bisbee, jak i Henry’ego Slade’a. Nazywał się Jerry Halloran, przemawiał zaś w matematycznym języku dolarów i centów.

W owym okresie zwłoki dzieci Owena wynalazły sposób protestu, samochodową karykaturę chaosu, w który popadli dorośli. Floyd, który właśnie skończył szesnaście lat, świeżo uzbrojony w prawo jazdy wziął matczyne volvo combi na przejażdżkę po Partridgeberry Road; niedoświadczony, spłoszony widokiem nadjeżdżającego pick-upa ciągnącego przyczepę z koniem, gwałtownie skręcił zanadto w prawo i wjechał w zasypany śniegiem rów. Volvo przeleciało dalej i ze sporą prędkością wpadło bokiem na kamienny mur. Chłopcu nic się nie stało, ale wóz poszedł na złom. Pieniądze z ubezpieczenia wystarczyły Mackenziem na używanego forda falcona combi, sprawnego, ale nie trzymającego się drogi tak, jak masywny szwed.

Gregory, który przyjechał na wiosenne ferie z Brown, poprosił ojca o corvette stingraya, na randkę z dziewczyną, której chciał zaimponować, a na co nie miał szans, podjeżdżając falconem, „tą starą blaszanką”. Wprawdzie Owenowi nie spodobał się w synowskim głosie ton żądania, a swój stary szminkowy kabriolet cenił

jak skarb, lecz przeważało poczucie winy, więc uległ. O pierwszej w nocy wyrwał go ze snu histeryczny telefon Phyllis. Na bocznej drodze po drugiej stronie Czapłego Stawu, koło powszechnie znanego małego gaju – w którym przed laty naiwnie szukali schronienia Owen i Faye – kabriolet jakimś cudem wypadł z drogi, a zanim się zatrzymał, skosił w przydrożnej barierze cztery czy pięć aluminiowych słupków. Połowa silnika wjechała do środka, lecz Gregory'emu ani pasażerce nic się nie stało. Gregory po męsku wziął winę na siebie; zapewniał, że podczas jazdy zmagął się z dostrojeniem nie znanego mu radia, lecz wyznał bratu, ten zaś matce, która o wszystkim powiedziała Owenowi, że prowadziła w rzeczywistości dziewczyna, taka dzikuska ze stanowego uniwersytetu Eastern Connecticut, w każdym razie to ona trzymała ręce na kierownicy uwieszona na Gregorym. I bez dwóch zdań w ich organizmach znajdowała się substancja z czarnej listy, wcześniej umilająca macanki nad Czapłym Stawem. Owen, który przypominał sobie, jak parę lat temu mknął w Nevadzie przez pustynię, a nad podłogiem fruwały mu tlenione loki Mirabelli, który przypominał też sobie lata dawniejsze, kiedy śpiesznie się wycofywał z groźnego lasu, a Elsie sięgnęła po leżące obok niego ubranie, nie umiał wzbudzić w sobie oburzenia. Zasłużył na te ataki na swój hardware.

Bardziej go irytowały odległe trudności, które stały się w Massachusetts udziałem Iris posiadającej małego kremowego coupé AMC pacer, które dostała jako



wyprawę na studia w Smith: powtarzające się stłuczki, rezultat popisów na parkingach college'u i wystawiane przez policję z Northampton mandaty, nadchodzące tydzień w tydzień. Zaczynało to zakrawać na jakieś szyderstwo, tym bardziej dotkliwe, że z Iris – jedynym dzieckiem, które odziedziczyło po matce piaskowe włosy – czuł się najbliżej; najmniej było między nimi nieprzekonującego ojcostwa. Wyglądało na to, że Iris w sposób naturalny zdaje się na niego, z cierpkim, pokrywany kpiną szacunkiem należnym ojcu.

Podczas bogatego w wypadki bezkrólewia Ed w trakcie cotygodniowych lunchów zaczął namawiać Owena na zaprojektowanie przez E-0 Data komputera osobistego dla firmy w New Hampshire, która by urządzenie produkowała i ulokowała na rynku.

– Pecety to nie przyszłość, bo one już są – ponaglał Ed. – Za dziesięć lat pecet będzie stał w każdym domu. Powtórzy się numer z telewizorami. Można zarobić mi-liar-dy. Pomyśl o Apple.

– Ed, przecież robimy software, nie hardware.

– Wielka mi różnica! Mówisz o kurach i jajach. Kto umie gotować jedno, ugotuje i drugie. Z czego masz, kurczę, dyplom MIT? Z inżynierii elektrycznej. No to, na Boga, weźmy się do inżynierii. Mamy całe puste piętro na prototypy, analizatory logiczne, jak tylko wyleziemy z fazy projektowania. Popatrz na Apple. 141 musiał być połączony z telewizorem; już po roku 169 był kolorowy, z dźwiękiem i nadawał się do gier. Wszędzie stoją tysiące

tych aparatów i żłopią cudze oprogramowania.

– Ed, jestem, kurwa, za stary na nowe sztuczki, których ci się zachciewa. Weź te cwane dzieciaki, które ściągnąłeś do pracy od Renseselaera, czy skąd, i niech robią. Oni to mają wdrukowane, to ich druga natura. Dla mnie to była przygoda, dla nich to zwykły sprzęt.

– Nie jesteś, kurwa, za stary, tylko masz burdel we łbie, w tym rzecz. Do końca nie wiesz, czy masz dwie żony, czy nie masz żadnej. Weź się w garść, O, bo ci się zrobi z mózgu mamałyga.

– Prawdę mówiąc, już się zrobiła. Przykro mi, Ed. Wiem, że się po mnie wiele spodziewałeś. Ale chyba już zjeżdżam na bocznice.

Nieczyste sumienie, dziurawa pamięć. Lecz Owen nigdy nie zapomni – wracał do tego codziennie – skrzącego się ranka pod koniec października, kiedy prosto spod nory przy Covenant Street pojechał do swego dawnego domu przy Partridgeberry Road, żeby przekazać Phyllis aktualny wyciąg dochodów; wydruk miała zabrać na spotkanie z adwokatem, z którym była umówiona na dziesiątą w Hartford. Zbliżał się Halloween; na werandach i gankach pyszniły się dynie, na niektórych trawnikach przed domami stały wypchane sianem kukły, jeźdźcy bez głowy i nakryte całunami duchy w wymyślnych aranżacjach. Za czasów dzieciństwa Owena nie było takiego pogańskiego zamętu, nie wkładano w Halloween tyle wysiłku, wystarczało trochę psich figli.

Święto, wzorem większości świąt religijnych, traciło wiarygodność, zamieniało się w pretekst do psot i wymuszało uznawanie go za nieszkodliwe pseudo-Boże Narodzenie.

Nocny deszcz nadał drogom połysk, świat wyglądał jak umyty. Spadające liście tu i ówdzie zbijały się pod kołami w mokrą masę. Corvette stingray trafiła na złom, a kupionym za odszkodowanie fordem mustangiem Owen nigdy się nie zachwycał, w mokre dni wóz kaprysił przy zapalaniu i nigdy nie trzymał się drogi tak jak tamten kabriolet. Siedzenia były pokryte jakimś czarnym matowym winylem, z wytłaczanym wzorem w podrabiane bydlęce piętna; rzucając okiem na tapicerkę, miewał wrażenie, że jest mężczyzną, który dojechał do lat średnich tandetą.

Floyd i Ève byli w szkole. Daisy, żółta labradorka, witała Owena w kuchni, łomocąc ogonem. Dwa mruczące koty ocierały mu się o kostki. Phyllis już była na nogach, w ciemnogrnatowym kostiumie, w prostej białej bluzce i w butach na półsłupku; czuła się chyba nieswojo, jak zakonnica, która musiała zostawić stary obszerny habit. Na twarzy miała rumieńce. Swego szybko mównego adwokata uważała za kogoś w rodzaju mistrza, wtajemniczającego w prawne ujmowanie życiowych zdarzeń; zaróżowiona twarz świadczyła o wyczekiwaniu, jak za studenckich czasów na test. Phyllis wciąż była szczupłą, wciąż wyprostowaną. Nie próbowała farbować siwizny na skroniach, która obok piaskowych włosów

wyglądała jak smugi śniegu na plaży. Jeśli nie liczyć zwierząt i ćwierkających na dworze osiadłych ptaków, byli sam na sam z własnym domem, wspólnie kupowanymi meblami, których większość się zestarzała i ujawniała ich niegdyś przymusowe, oszczędnościowe podejście, ze stłoczoną składanką antyków i modernizmu widoczną z kuchni, czyli spadkiem po dwóch domach rodziców, tym z Cambridge, z końca dziewiętnastego wieku, i tym beztroskim, rozklekotanym letnim domku na Cape Cod.

– Coś okropnego – Phyllis skomentowała spojrzenie Owena. – Mój brat powiada, że nie ma miejsca w Ithace na swoją część. Wiemy, co to znaczy; Francine nie życzy sobie tych mebli. Człowiek zaciska pasa, oszczędza na umeblowanie – uogólniała – a kiedy już zapełni dom, umierają rodzice i zwalają ci na głowę całą swoją rupieciarnię. To nie dotyczy twojej matki – szybko dodała, jakby w obawie przed nietaktem. – Ona wciąż żyje.

– Za gruba, z nadciśnieniem i w ogóle – dodał żartobliwie. – Załoga starej farmy jest nie do zdarcia. – Spostrzegł, że traci żonę, która zna jego nieprostą w odbiorze matkę – ponad dwadzieścia lat trudnej znajomości, w lepszych i gorszych sytuacjach. Julia jeszcze nie pojechała do Pensylwanii na spotkanie zjeżonej starej kobiety. – Większości tego, co ma – ciągnął Owen – nikt by nie zechciał. Kiedy z jakiejś racji przeprowadziliśmy się na farmę, to nasze umeblowanie z

ganku w Willow trafiło do dużego pokoju i już tak zostało. – Czy przyjechał debatować o meblach? – Najgorszy kłopot z rzeczami polega na tym – podjął ton uogólnień – że trwają dłużej niż ludzie. – Teraz, kiedy byli osobno, rozmowom z Phyllis towarzyszyło ledwie wyczuwalne wrażenie, jak szum skrzydeł owada, że to jakiś powrót do jego bezradnych, miłosnych uczuć sprzed poznania jej, na tamtą stronę krzywej o kształcie dzwonu.

Phyllis wyczuła pragnienie Owena, żeby побыć dłużej w swojskich pomieszczeniach, wśród przeróbek i napraw, których sam kiedyś dokonał, i spytała, patrząc w bok:

– Masz czas na kawę? W salonie? Myślę, że znajdzie się miejsce, żeby usiąść.

– Nie, Phyllis, dziękuję. Naprawdę muszę lecieć, ty też. Po prostu przekaz Halloranowi te dane, o które prosił. Davis i ja możemy o nich podyskutować, może wtedy pojawią się nowe.

Owen podejrzewał, że Davis, jego adwokat i cynik, umie się twardo targować; to Davis musiał uświadomić Owenowi, że jeśli nawet kobieta nie ponosi winy i to nie ona występuje o rozwód, to mężczyzna był jednak żywicielem rodziny i nie musi doznać okaleczeń finansowych. Phyllis powinna stać się niejako pracownicą Owena, z ustalonym miesięcznym wynagrodzeniem, wyrównywanym dorocznie zależnie od kosztów utrzymania. Do jej obowiązków miałyby należeć wychowywanie dzieci i trzymanie się z dala od

prywatnego życia Owena. Dom przypadłby jej, natomiast kapitał Owena, wraz ze zdolnością pomnażania, przypadłby jemu. Chcąc wytłumaczyć się z tej nierówności, lecz nie chcąc, żeby adwokat poddawał rozgrywkę, Owen tkwił na środku starej kuchni przy klonowym stole z opuszczanym karbowanym blatem, kiedyś pochopnie kupionym w Nowym Jorku, w Village, przy Siódmej Alei; w Middle Falls, kiedy w domu była czwórka dzieci, okazał się za mały, więc przy śniadaniu czy lunchu zamiast siedzieć przy stole razem, dzieci jadały na zmiany lub pochłaniały kanapki przy kuchennej ladzie. Teraz pomyślał o tym z żalem. Od ponad roku nie był w tym domu o tak wczesnej porze. Wschodzące słońce słało szeroki promień światła przez prawie bezlistne bzy i oślepiająco odbijało się od plastikowej szyby elektrycznego zegara na ścianie. Kiedy przesunął głowę, zobaczył, że jest za dwadzieścia dziewięć. Phyllis przykleiła pod zegarem przezroczystą taśmą nowe kolorowe zdjęcia Floyda i Ève, portrety zrobione w szkole; wyglądali jak hiperrealistyczne rzeźby, zgryźliwie wykonane w emaliowanym włóknie szklanym.

Phyllis położyła na stole wydruk z liczbami; skomentowała to nieznacznym lekceważącym gestem, jakby grzbietem dłoni przepędzała te kartki.

– Dziękuję za to – powiedziała. – No pewnie. On jest, zdaje się, strasznie przywiązany do szczegółów.

Owen pomyślał, że chodzi o Hallorana.

– Tak jak Davies – przyznał.

– Mam wrażenie, że nas wciągnięto w proces.

– Bo wciągnięto. Sprzedają nas hurtem, a chcą wycisnąć stawkę jak za detal. – Poczuję, że to się nie sprawdziło jako dowcip, i wyjaśnił: – To są licytatorzy, którzy mają torować drogę pod topór następnym niewolnikom.

– Jeżeli o mnie chodzi – powiedziała po namyśle – to wcale nie rozumiem, po co. Dlaczego to robimy. – Odwróciła twarz i wpatrywała się w róg klonowego stołu; znał ten ruch i to spojrzenie, jak i towarzyszące im założenie pasemka włosów za ucho; zawiadamiała w ten sposób, że mówi coś ważnego. Właśnie tak przekrzywiona zgodziła się wyjść za niego za męża.

– Z powodu najprostszego i najstarszego w świecie – odrzekł śpiesznie. – Z powodu innej kobiety. – Musi być szczery. Musi się przedrzeć przez ten wielowarstwowy opar sentymentów, rozproszyć starą mglistą magię Phyllis, przeświecającą przez brak pewności siebie.

– Trudno mi uwierzyć w Julię – powiedziała z wahaniem. – Wydaje się taka sztuczna.

– Nie jest sztuczna, w każdym razie nie w tym, co mnie dotyczy.

– To znaczy w łóżku? Zona pastora?

Nic nie powiedział; zastanawiał się, czy to aż takie proste i czy w związku z tym samo życie jest aż tak proste.

– Przepraszam, jeżeli cię zawiodłam – ciągnęła Phyllis, nie doczekawszy się odpowiedzi. – Zdawało mi

się, że oczekujesz tak wiele, że coś strasznego. Chcesz czegoś, co jest w końcu jedną z normalnych ludzkich rzeczy, czegoś, co ludzie robią. Chyba byłam stremowana.

– Byłaś i jesteś piękna – oświadczył, prąc do pożegnania. – Jeżeli coś cię kusi, daj temu szansę i spróbuj.

Przyjęła to w milczeniu, potem wróciła do rozmowy o Halloranie.

– On mówi, że wyglądamy na parę, która bardzo się lubi. To samo mówią dzieci, a przecież one mieszkały z nami.

– Phyllis – błagał – przecież to wszystko już sobie powiedzieliśmy, prawda? Mówimy to sobie od roku.

– Wiem, nudzę. I nie umiem przegrywać. Ale martwi mnie, że ty, twórca DigitEyes, nie widzisz tego, co w mieście widzą wszyscy: to oszustka. – Miękką zgłoskę wypowiedziała na śmiechu, wstrzymując wdech, jak przed wybuchem płaczu. – Tartuffe w spódnicy, nie zaprzeczysz.

Musiał się uśmiechnąć; pochlebiało mu, że Phyllis na tyle go ceni, że sięga po takie porównania, ale zaprotestował.

– Wszyscy w mieście, jak mówisz, czy wszystkie, mają swoje stawki, zwyczaje i układy, których nie chcą naruszyć. Lubią nas, jakimi jesteśmy, bo wtedy stanowimy część ich umeblowania. Aleja nie przepadam za nami, jakimi jesteśmy. Nie lubię tego, co zrobiło z tobą



małżeństwo.

– Chodzi o twoje panie na boku? Wiem, że się nie skończyło na Faye. Lecz uważałam, że to kara za moje niedoskonałości, za odmowy, bo tak mógłbyś to nazwać, ale powiem ci, chociaż to coś okropnego, że niezbyt się za to obwiniałam. Uważałam, że to po części wynika po prostu z męskiej natury.

– Zgadza się – zapewnił śpiesznie, widząc łzy na lśniących policzkach i nie mogąc znieść myśli, że Phyllis wini się o cokolwiek, ona, która tak dalece jest ponad to wszystko. – Zawsze masz rację.

– Nie, nie mam, takie mówienie to unik. Ale jeden z twoich uroków, Owenie, polega na tym, że nigdy całkiem nie dorosłeś. Byłeś na tyle sprytny, żeby nie dopuścić do tego. Umiesz pozostać wyrostkiem, grając dorosłego. Przynajmniej do niedawna, jak twierdzi Ed.

Napomknienie o Edzie puścił mimo uszu. Rozgniewała go albo sam się chciał rozgniewać.

– W porządku, skoro tak mówisz, skoro masz umysł tak jasny, że wiesz, gdzie się kończy bycie wyrostkiem, a zaczyna dorosłość. Aleja staram się dorosnąć. Staram się wyjść z etapu, na jakim ugrzęźliśmy. Ze względu na ciebie i na mnie. Nie umiesz tego dostrzec, ale moja niedostateczna miłość do ciebie, a zamiast tego kochanie innych, mocniej lub słabiej, gnębi cię, miele, słonko. Nie umiesz sobie tego wyobrazić, chociaż to jest za proste, żeby to objaśniać.

– Nigdy – powiedziała do siebie, lecz tak, żeby Owen

słyszał – nigdy nie powinnam ci mówić, że jeszcze cię nie kocham.

– Czy to się może kiedyś zmieniło? Bo mi o tym nie powiedziałaś.

– Próbowałam okazać, że się zmieniło.

To doprowadziło do łez teraz jego.

– Daj spokój – powiedział, a własny głos ranił mu gardło. – Masz tu liczby, których się domaga Halloran. Powiedziałem Davisowi, żeby się godził na większość tego, czego zechce Halloran. Wiesz, że nie będę sknerą. Dzieci są w zasadzie odchowane, a młodszej dwójki dopilnujemy razem. Po prostu nie próbuj już ze mną przeciągać tych rozmów. Kiedyś musiałem mieć ciebie, a teraz muszę mieć ją. A potem przestanie mi się zachciewać; osiągnę właściwą miarę.

– Vanessa mówi, że Larson wciąż Julię namawia, żeby wróciła. Poszukają, rzecz jasna, innej parafii.

– Vanessa! Nie dowierzałbym Vanessie. Powinna być mężczyzną. Chce tu wszystkim rządzić.

– Żyje w świecie, jaki jest, rzeczywistym, w jakim my się nigdy nie odnajdziemy. Jeśli chcesz wiedzieć, co myślę o Julii, to przypomina mi moją matkę – Phyllis przeskakiwała od kobiety do kobiety. Płonęły jej policzki.

– Żona profesora, żona pastora, wszystko na pokaz. Szczerze mówiąc, obraża moją inteligencję to, że tego nie widzisz.

– Mnóstwo widzę – powiedział i poczuł ulgę, że podjęli walkę. – Ale widzenie prowadzi do paraliżu, jeśli

do tego dopuścisz. Pomyśl, Phyllis. Teraz albo nigdy. Wciąż jesteś dość młoda, zdrowa i wspaniała...

– Tylko ty zawsze uważałaś, że jestem wspaniała. Bo Jake Lowenthal uważał, że jestem drętwą białą anglosasko-protestancką szczapą. Wyśmiewał mnie, moje wyobcowanie, zahamowania.

– Może nie będziemy się teraz przejmować Jakiem Lowenthalem.

– Jestem na tyle młoda, żeby jeszcze złowić cudzego męża, to chcesz powiedzieć? Kogo? No kogo, w tym klaustrofobicznym miasteczku? Eda? Pewnie już waży ze trzysta funtów. I nie potrzebuje kobiety, bo to mi powiedziała Stacey. Lubi tylko jeść, siedzieć przy swoich maszynach i robić pieniądze. Jedyne sposoby, w jaki sposób mogła zainteresować seksem, to...

– Nie mów. Nie chcę wiedzieć. Dobrze, nie Ed. I nikt, jeżeli wolisz. Ale nie mogę przeżyć z tobą reszty twego życia dla ciebie. Po prostu próbuję żyć własnym.

– Ty, ty i jeszcze raz ty – słuchajcie tego jedynaka! Na świecie są poza tobą jeszcze jacyś ludzie. Na przykład ja i dzieci. Nie, Owenie! Nie chcę przez to wszystko przechodzić, po prostu nie chcę. To niesprawiedliwe, myślę. Nie pozwolę, żebyś z tą małą oszustką, z tym jej milutkim podwójnym podbródkiem, zrobił z siebie aż takiego idiotę, do czego cię wyraźnie ciągnie; co ludzie chętnie robili w średniowieczu? Rzygali. No to wyrzyc ją i spuść wodę<sup>5</sup>. – Znaczący zamierzchny czasów, ojciec Phyllis, wstawał z martwych i przemawiał głosem córki.

Stali tam, po szyję zanurzeni w świetle duchów.

– Phyllis, próbuję coś naprawić. Julia chce mnie ratować... – wyjaśniał zboląły Owen. Przerwał. Tego nie powinien był mówić.

Oczy Phyllis płonęły, zmrożone blade wargi odtajały, stały się ruchliwe; Phyllis w granatowym kostiumie wybranym na spotkanie z adwokatem wyprostowała się na całą wysokość.

– Ratować! Ciebie ratować!

– Ona tak tego nie ujmuje – śpiesznie zapewnił. – Mówi, że to tak, jakbyś była moją matką, a ja stawiam ci czoło...

– Oszczędź mi tej psychoanalizy od siedmiu boleści; jakbym słyszała jej głos i ten nabożny zaśpiew. To ja się dzisiaj zajmę ratowaniem, Owenie. Jadę zaraz do Hartford, gdzie powiem Halloranowi, że ze współpracą koniec. Mam czterdzieści cztery lata i niedobrze mi się robi na myśl, że mam zostać kozłem ofiarnym za wszystkich. Nie zamierzam dać ci rozwodu. Za wiele utopiłam w tym małżeństwie nieszczęścia, za wiele upokorzeń.

– Nie powinnaś się czuć upokorzona, inne kobiety były o ciebie zazdrosne, o to, jaki byłem wobec ciebie lojalny, chociaż, ściśle rzecz biorąc, nie całkiem wiemy...

Krzyknęła albo też wydała z siebie jakiś bezmyślny przeszywający odgłos, jak przed orgazmem.

– Jak powiedziałem – ciągnął Owen – nie wyglądałaś na zainteresowaną...

– Bo to do ciebie należało, żeby z tego zrobić coś interesującego. A ty nic, palcem nie kiwnąłeś.

– Spójrz, Phyllis, w porządku, w porządku, nie kłóćmy się, to wszystko moja wina, jestem głupek i niedorajda, ale do tanga trzeba dwojga...

– Nie! Nie zrobię tego! Niech was piekło pochłonie! Ciebie i ją! Tam sobie tańczcie tanga, dopiero tam i ani chwili wcześniej!

Furia Phyllis w jakiejś mierze przynosiła mu ulgę. Mieć Julię za żonę – drobne i mocne, pięknie zbudowane jedwabiste ciało, czyste, ufne oczy, tak wyraziste, że Julia czasem wykonywała gest zasłaniania ich ręką, jak dorodna kobieta, która chce schować własne piersi – zawsze wydawało się Owenowi trochę za piękne, żeby było prawdziwe. Poza tym pochlebiała mu ta chęć walki o niego; nie przypominał sobie u Phyllis podobnego wybuchu. Ale za głęboko w tym tkwi. Julia już tam jest, na drugim brzegu Morza Czerwonego, wysoko, sucha, wolna, w Old Lyme, gdzie teraz nastają chłody, a dzieci zostały zapisane do nowych szkół, tymczasem on się użera w tej starej kuchni, pod szklistymi spojrzeniami swych sfotografowanych dzieci.

– To już zaszło za daleko – ledwie wykrztusił; po deszczu z ostatniej nocy świat tonął w blasku chłodnego jesiennego słońca. Owen usłyszał poryw płacznego ptasiego śpiewu i odgłos samochodu na krętej drodze.

Phyllis łagodnie podeszła do niego z boku; poczuł gorący, szaleńczy oddech.

– Nie chcesz przez to przechodzić – powiedziała. – To można dosłyszeć w twoim głosie. Wpadłeś w pułapkę, Owenie. Nie twoja wina, po prostu taki jesteś. Zbyt miły dla ludzi. Wyciągnę cię z tego, przyrzekam. Nie martw się o nią, nic się jej nie stanie. Po prostu twardo pilnuj swego. Może chcesz na jakiś czas wyjechać?

– Nie! – teraz on krzyknął; jego wizję uporządkowanej, poprawnej, normalnej zmysłowo przyszłości miała pochłonać szaleńcza pewność siebie tej wysokiej kobiety o włosach koloru piasku; nic dziwnego, że teraz wydawała mu się wyjątkowo rzeczywista. – Chcę się rozwieść. Naprawdę chcę.

– To ona chce, żebyś chciał się rozwieść. A to nie to samo – powiedziała Phyllis z zadowoleniem osoby, która przeprowadziła dowód matematyczny. Delikatny uśmiech, niezachwiana pewność w spojrzeniu szarych spokojnych oczu; czyżby po czasie pamięć podrzuciła mu takie szczegóły, czy rzeczywiście tak było owego ranka? Odzwyczaił się patrzeć na żonę; zapadała ta sama zasłona, która okrywała nagość jego matki. – Muszę już iść – powiedziała Phyllis. – Zanim znajdę miejsce do zaparkowania, już będę spóźniona. – Wymusiła mokry pocałunek, głęboki, jakby z jej wnętrzości przenikał do jego wnętrzości, do tych śliskich czerwonych urządzeń, które ukrywamy przed wszystkimi prócz chirurgów. Zadowolona z siebie, z niezwykłą u niej celowością ruchów, Phyllis cofnęła się i wprawnie wytarła spod oczu ślady łez. Sprawdziła torebkę, klucze, portfel, chusteczki,

szminkę. – Wytrzymaj i nie martw się – powiedziała. – Wyciągniemy cię z tego. Nie musisz zamykać domu. Daisy zostaw w środku, bo goni samochody.

Wyszła przez kuchnię; była już za drzwiami, odgłos jej kroków na bocznym ganku już ucichł, kiedy Owen zauważył, że zostawiła na stole wyciągi. Usłyszał trzaśnięcie drzwi falcona; żwir na podjeździe zachrząścił pod oponami. Owena oszołomił sposób, w jaki Phyllis najwyraźniej chciała ze sobą zabrać jego widoki na przyszłość i jego kłopoty. Miał wrażenie, że słabnie już okropny, metaliczny, bezduszny posmak śmiertelnego niebezpieczeństwa, który zagościł mu w ustach, od kiedy Floyd przy tym samym kuchennym stole najniewinniej podzielił się z ojcem szkolną plotką. Nic się jej nie stanie. Po prostu twardo pilnuj swego. Znowu wkradły się koty i zaczęły ocierać o kostki Owena. Poprawił papiery na stole i pomyślał, żeby napisać notkę, lecz w końcu uznał, że same wyciągi będą wystarczająco wymowne. Zamiast od razu wyjść, przespacerował się po domu, przez spiżarnię i salon do frontowego holu, żeby zobaczyć, co tu ostatnio zmieniła Phyllis, już jako samotna kobieta. Zmieniło się niewiele; po prostu zjawily się dodatkowe meble, a na półkach z książkami powstały luki po tomach, które pozwoliła mu zabrać. Pomyślał, żeby podkraść *Finnegans Wake*, lecz zaraz tę myśl oprotestował. Zakrawałoby to na flirt, byłoby fałszywym sygnałem. Próbował sobie wyobrazić powrót do tego wszystkiego, lecz nie mógł, trudno i darmo. Domy, które się porzuciło, okazują się za

ciasne, żeby do nich wrócić: to takie złudzenie optyczne. Wyszedł frontowymi drzwiami. Za późno przypomniał sobie, że w Pensylwanii uchodzi za zły omen wejście jednymi drzwiami i wyjście innymi. To był ładny dom, pomyślał, rzuciwszy okiem za siebie na licowane białymi deskami boczne ściany, na kryte dachówką mansardy, na czarne okiennice i pnącza glicynii; jednak to miejsce tak długo było dla niego zamknięciem, skorupą, w której się zamykał po zdradzie pozorów domowości, że teraz w spojrzeniu okien dopatrzył się wyrzutu, jak w oczach porzucanego zwierzaka.

Pojechał mustangiem do miasta i wcześniej niż zwykle zjawił się w E-O. Ruszył do tylnej klatki schodowej i poszedł od razu do swej celi. Musiał pomyśleć. Zastanawiał się, czy zadzwonić do Julii do Old Lyme i opisać nowości w postawie Phyllis. Lecz nie, to by tylko sprawiło Julii przykrość, a jej wysiłki, żeby się uporać z tym nowym stadium, przyniosłyby Owenowi więcej szkody niż pożytku. Tu działa wystarczająco wiele sił; zdarzenia toczą się po swojemu i po swojemu znajdują rozwiązanie, jak wówczas, kiedy znalazł okulary na mokrej od rosy sąsiedniej parceli, czy jak było z tym odkryciem, kiedy opracowywał algorytmy DigitEyes 2. 1, że nieważne, ile się zagnieżdży przekształceń trójwymiarowych, w ilu rozgałęzieniach, bo finalna skoordynowana przestrzeń musi zostać opisana w kategoriach pierwszej i starczą tu jedynie wektor przemieszczenia plus trzy wektory bazowe; w sumie



trzeba przetwarzać tylko dwanaście skalarów, a stopnie pośrednie można wyrzucić. Owen mniej się przejął możliwymi utrudnieniami w postępowaniu rozwodowym – Phyllis ulegnie, uznał, jest w gruncie rzeczy zbyt wielką racjonalistką, a trzeba zważyć na jeszcze korzystniejsze warunki, które Halloran wydusi z Davisa – niż namiętnością Phyllis okazaną poniewczasie. A może to tylko namiętność zwrócona do jej dawnego, beztróskiego, świetlistego i pięknego ja, którego strażnikiem pamięci stał się teraz tylko Owen, kiedy nie żyją już rodzice i nie mogą dawać świadectwa? Chociaż ani oni, ani jej młodszy brat nie mogli dostrzec tego, co dostrzegali rówieśnicy Phyllis; wrażenie migotliwości, elektryzowania, upiększające tych, z którymi możemy się złączyć. Wyczuwał, że jej pasja nie skupia się na nim. Zraniona duma, zagrożone bezpieczeństwo, obawy o dzieci, oto, co ją poruszyło. Zatem bez odpowiedzi pozostaje stare pytanie, dlaczego kobiety lgną do mężczyzn. Może to tylko proste zagadnienie z dziedziny inżynierii elektrycznej: skoro świat jest pełen wtyczek, natura musi też zadbać o gniazdko.

W zamknięte drzwi ktoś zastukał znacznie głośniejszym niż Karen. Owen zawołał:

– Odejdź, Karen. Wszystko skończone.

Odpowiedział mu jednak głos męski:

– To ja, O, Ed. Lepiej otwórz. Mamy kłopoty.

Ed, o bezbarwnym, iście ślimaczym wzdętym ciele, w wymiętym garniturze, stojący w otwartych stalowych

drzwiach wyglądał nie na osłupiałego, lecz gorzej, na przerażonego.

– Był telefon do firmy – głośno dyszał. – Gliny. U ciebie w domu nikt nie odbierał ani w tej twojej nowej dziurze. Powiedziałem, że chyba cię nie ma, ale widzę, sukinsynu, że jesteś. Jedziemy. Lepiej wybierzmy się razem.

– Jedziemy gdzie?

– Do Upper Falls. Old County Road. Jechała w stronę Hartford.

– Jechała, czyli kto? – ale już wiedział.

Ed skinął głową, przepchnął się przez drzwi prowadzące na schody i dalej do wyjścia; potajemne schody zadudniły teraz pod ciężkimi stopami Eda.

– Co jest? Coś poważnego? – spytał Owen i przełknął; czuł klucie w dłoniach i ramionach, w nowej sytuacji ciało stawiało opór. Tym razem Owen nie może po prostu zamknąć oczu, przewrócić się na drugi bok i zasnąć. Już nie ma matki ani ojca w sąsiednim pokoju.

Ed śpieszył przodem, a słysząc pytanie, potrząsnął głową, jakby opędzał się od brzęczącej za uchem pszczoły czy końskiej muchy.

– Nie powiedzieli. Wiesz, jacy są gliniarze, własną głupotę pokrywają milczeniem. Powiedzieli, że był wypadek, i chcą, żebyś przyjechał.

Doszli do wozu Eda, nowego mercedesa w odcieniu brązu stojącego na numerowanym miejscu na wyasfaltowanym firmowym parkingu. To Ed zawsze grał

rolę szefa firmy; mentalnie był gotów czerpać z tego satysfakcję i ponosić odpowiedzialność. Owen starał się tego wszystkiego pozbyć i jeździć sobie jak dzieciak kabrioletem corvette. W środku mercedesa, wraz z zapachem świeżej skóry i kleju montażowego czuło się jednak pizzę i woń obficie przyprawionych cebulą dań na wynos.

Owen poczuł na twarzy napływ gorąca, jakby włożył głowę do piekarnika.

– Widziałem się z nią może dwadzieścia minut temu. Umówiła się w Hartford i była spóźniona.

– Umówiła się z tym irlandzkim adwokatem?

Wie, że Irlandczyk. Phyllis mówiła Edowi o wszystkim, a w każdym razie o większości wszystkiego, Owen zaś nie potrafił się na to krzywić.

– Tak. – Ed jest lojalny, Ed jest duży. Ręka Phyllis pofrunęła gdzieś w bok, kiedy Phyllis o swoim byłym przyjacielu powiedziała „ogromny”. Owen nie jest taki duży.

– Nie cierpiała gościa – powiedział Ed. – Taki wygadany kartoflarz, miała wrażenie, że chce ją wykantować. Wszyscy kartoflarze to męscy szowiniści. – Jechał szybko, ale uważnie; sama masa samochodu sprawiała, że jazda wydawała się spokojna; cztery mile w niespełna dziesięć minut.

Kręta boczna droga, nie wszystkim znany skrót do Hartford, była zasypana mokrymi liśćmi postrącanymi ostatniej nocy przez deszcz. Już z dala widać było

błyskające niebieskie światła paru wozów policyjnych; młody policjant doglądający ruchu na wolnym pasie pomachał im, żeby przejeżdżali; Ed porozmawiał z nim, z czego Owen nie dosłyszał ani słowa. Czuł w głowie łomotanie. Już zdążył zauważyć falcona kołami do góry, za poboczem, koło lasku.

Puls tak mu przyśpieszył, że Owen przeskakiwał wydarzenia, zaczęły mu umykać całe sekwencje. Nie wiedział, którądy prowadzi Ed, kiedy hamuje; dopiero dotarło do niego, że mercedes się zatrzymał. Przez dłuższą chwilę nie miał pojęcia, jak otworzyć drzwi, samochodowe klamki były wyżej i mniejsze od tych, do których się przyzwyczaił.

Zobaczył, że drzwi przewróconego falcona wyważono lewarem, a obok szary koc przykrywa coś długiego.

Z rozpaloną twarzą, na galaretowatych nogach Owen wydostał się z trudem z mercedesa, przeszedł zarosły trawą rów poryty przez coś, co zostawiło błotniste znaki, jakby przesuwiał się tędy ciężar. Inny policjant, starszy i tęższy od tego, z którym rozmawiał Ed, zatrzymał Owena brnącego w stronę koca, zawiniętego starannie, leżącego na skraju niskiej grzędy borówek, które już nabrały szkarłatnego odcienia, a za kępą sięgających do kolan białych astrów.

– Wygląda na to, że pędziła – odezwał się do Owena starszy policjant – trafiła na stertę mokrych liści, poślizg, uderzenie w rów, dachowanie. – Zabrzmiało to jak opis

rozsądnego, uporządkowanego procesu, niezbyt strasznego.

– Więc jest cała i zdrowa?

– Nie, synu – padła odpowiedź, chociaż policjant mógł być niewiele starszy od Owena. – Nie jest cała i zdrowa. Nie zapięła pasów, poleciała podczas dachowania i trzasnął kark. Tak to wygląda naszym zdaniem. Koroner przyjedzie potwierdzić. Brak oddechu. Próbowaliśmy lusterka. W tej chwili chodzi o niezbite stwierdzenie tożsamości. – Ujął ramię Owena, jakby chciał go powstrzymać od odwrotu. – Przykro mi, panie Mackenzie, że musi pan przez to przejść. Może woli pan, żeby obejrzał pan Mervine? – Znał nazwiska Eda i Owena, chociaż byli już w Upper Falls.

– Nie, ja obejrzę. – Ostatnich parę kroków przechodził pełen wdzięczności, bo koc się wydawał taki samotny. To było jak nocne doglądanie śpiących dzieci, tak samotnych w łóżeczku, że człowieka ściska za gardło lęk, który ustępuje dopiero, kiedy usłyszy się ich oddech.

– Pozwoli pan, że ja odsłonię. Proszę powiedzieć, kiedy będzie pan gotów.

– Jestem gotów. – Owen czuł wilgoć na butach i kostkach. Przyroda wchłania powoli różne trawy, drobne błyszczące liście borówek, żwir i grys pobocza drogi, plastikowe przykrywki i filtry papierosów; te informacje uciskały mu siatkówkę, jakby przekonywały, że to złudzenie, że bieg chwil można zawrócić, że Owen zaraz się schyli i znajdzie mokre okulary w mokrych od rosy

chwastach.

Kiedy gliniarz podnosił koc, drżała mu ręka; niewykluczone, że był starszy od Owena. Błada Phyllis spała, piaskowe włosy były ledwie potargane, a głowa nie była w widoczny sposób przekrzywiona. Widok wciąż otwartych oczu wstrząsnął Owenem, ale na twarzy już się rozpoczęła przemiana w coś nieżywego; w tych wszystkich cudownie przenikających się strukturach, wprawdzie nietkniętych, brakowało już iskry, a tylko prąd nadawał im sens i wyraz. Wrażliwa skóra na kościach policzkowych straciła połysk. Phyllis wyglądała jak posąg; ale też w wyobraźni Owena Phyllis była od bardzo dawna posągiem.

Na Owena zwała się jakaś masa; oparł się o niego Ed, patrzył przez jego ramię, kiedy Owen ukląkł w tych chwastach, żeby przyjrzeć się Phyllis. Ciężar sprawił, że Owen pohamował odruch, by się schylić i pocałować te wargi, które tak niedawno całowały jego, z objawioną poniewczasie namiętnością. Tuż za uchem Owena dyszał Ed.

- Twoja robota, zasrańcu!
- Moja? – zapytał Owen.
- Była najlepszą kobietą, jaką znałem – powiedział Ed, wciąż gniotąc Owena jak zapaśnik. – Kochałem ją.
- Ja też. Pozwól mi wstać, Ed. Obaj jesteśmy wstrząśnięci. Daj mi odetchnąć.
- Jasne, dam ci odetchnąć, pewnie – powiedział groźnie Ed, ale cofnął się, żeby Owen mógł się podnieść.

Kiedy się rozdzielili, Ed odezwał się do partnera, przy policjantach: – Z nami już koniec, przyjacielu. Rzygać mi się chce na twój widok. Wiesz, że miałem się z nią ożenić. – Przyływ agresji spowodował, że Ed poruszył górną wargą jak szympan, jakby czyścił zęby.

– Nie wiem. A Phyllis wiedziała?

To sprawiło, że Ed na chwilę zamilkł.

– Nie chciałem napierać, póki istniała szansa, że to się między wami sklei. Ona cię uwielbiała, ubogi gnoju.

Owenowi mógł się nie spodobać sposób, w jaki Ed próbował go okraść z bólu, i to na oczach policji, ale Owen już myślał o szerszej rzeczywistości: oto otchłań, która się kiedyś rozwarła pod oknami jego dzieciństwa, czarne jezioro straszliwych możliwości, poszerzyła się i wchłonęła jego życie. Lecz Owen wciąż funkcjonował, jego mózg w ułamku sekundy wytwarza więcej skojarzeń, niż Owen zdoła wypowiedzieć, reorientuje go w nowych okolicznościach, a postrzeganie pozostało szybkie i suche, także w jeziorze, nawet po zatonięciu.

## 14. MĄDROŚĆ MIASTECZKA

Z mądrości miasteczka wynika, że budynek nie powinien mieć trzynastu pięter, a historie trzynastu rozdziałów. W swoich nakazach mądrość miasteczka nakłania do ostrożności i konserwatyizmu: jeśli rozsypie się sól, rzuć szczyptę przez ramię, jeśli zapewniasz o dobrym zdrowiu, odpukaj, nie roztrąb tego, co myślisz, a nosa nie wyściubiaj przed szereg. Haskells Crossing to świetne miejsce, żeby przycupnąć cichaczem. To Julia wychodzi z domu na zakupy, na spotkania kobiecych kółek, masaż czy manikiur, Owen zaś tkwi w domu, przy Internecie – frustrującej masie bezceremonialnie zrywanych połączeń i dezinformacji ufundowanych na beztróskim nieuctwie, których poziom tylko przez grzeczność można porównać do pierwszej gimnazjalnej – lub malarstwie olejnym. Zabrał się do tego. Próbuje uchwycić na płótnie widok z ich domu na zatokę Massachusetts: na pierwszym planie Owenowe cisy i trzmieliny, głębiej porozrzucane wyspy i przechylone żaglówki, najdalej zaś horyzont z garstką zbiornikowców pełnych lepkiego, kluczowego geopolitycznie dobra; lecz im usilniej Owen miesza na palecie farby, żeby najtrafniej dobrać kolor, tym bardziej barwy brudzą się i gasną. Atomowa jaskrawość rzeczywistości, jej skryta, ale wyłaniająca się czasem znienacka istota – otóż ten efekt przyroda zastrzega dla siebie. Po zlikwidowaniu resztek



małego biura konsultingowego w Bostonie Owen i Julia wygodnie żyją ze środków po E-O Data; w 1978 roku Ed przeprowadził sprzedaż E-O ząbkującej firmie Apple z kalifornijskiego Cupertino. Pionierskie prace Owena nad graficznymi interfejsami zostały wprowadzone do wizualizacji zaczerpniętych z Atari, użytych zaś we wczesnych mikrokomputerach Apple oraz interfejsie Alto zastosowanym w Macintoshu z 1984 roku, ówczesnym tryumfatorze na rynku. Z tryumfu skorzystały udziały, które Ed Mervine przyjął jako część spłaty, a potem wiedziony proroczą intuicją pozbył się ich we właściwym momencie; w krótkiej nocy w porę poradził staremu partnerowi, żeby zrobił to samo. Owen, jak zwykle bierny, zastosował się do mądrej wskazówki; wczesna elegancja Apple przygasła, kiedy na cały świat komputerów padł mroźny cień Microsoftu. Windows jako program był zawodną łataniną, za to żłopał jak smok moce procesorów, ale na jego związek z IBM i klonami tej korporacji nie było rady, nie do ruszenia była też niewydolna klawiatura faworyzująca mańkutów, wywiedziona z wczesnych maszyn do pisania, a ulokowana w tysiącach urzędów; jej też się nie dało zmienić.

W nowym miasteczku Owen pojawił się jako sympatyczny tajemniczy obcy, który zgarnął trochę kasy we wczesnych etapach coraz mniej egzotycznej branży. Postrzegano go zabobonnie jako jakiegoś alchemika, lecz Owen wiedział, że alchemia Babbage'a i Turinga,

Eckerta, Mauchly'ego i von Neumanna dawno temu stała się zwykłą chemią, dziedziną jałowych kwantyfikatorów i nieprzyjemnych woni. Czasem coś dziobał przy specjalnie podrasowanym iMacu o zwiększonej mocy, w nadziei, że natknie się na coś nowego, może na jakiś ciekawy program wyszukiwarki z paroma pomysłowo wykombinowanymi zakątkami, chociaż wiedział w duchu, że to tylko rozrywka; przestrzeń dla indywidualnej pomysłowości przegrała z beczelnie „dojrzałym”, zwulgaryzowanym obszarem eksploatacji, z wręcz nieograniczonym bezładem e-maili, pornografii, spamu, niedowarzonych danych, cyfrowych zdjęć i filmów, piracko kopiowanej muzyki – z tym nachalnym śmieciem dla gawiedzi, które w czasach młodości Owena ograniczało się właściwie do druku, do przetwarzalnych na makulaturę bel gazet, magazynów, katalogów i ulotek. Tak zwana cyberprzestrzeń została zadławiona naciskiem podrzędnych apetytów, którym kapitalizm musi dostarczyć stawy. W inżynierii, jak w sztuce, świt bardziej niż inne pory – jeśli nie liczyć tych ludzi, którzy zawsze prześpią możliwości – służy wielkiej twórczości. Cuda inżynierii komputerowej, jak cuda inżynierii samochodowej w minionym stuleciu, zostały pogrzebane pod lawiną, której na imię powszechne użytkowanie; dziś byle kasjer bankowy może ściągnąć notowania walutowe z Hongkongu i byle kierowca może cisnąć na pedał, żeby przyspieszyć. Tak jak kraje pomostowe ukradły amerykańskiemu robotnikowi przemysł samochodowy i

włókienniczy, tak praca nad software'em, coraz częściej zlecana na zewnątrz, trafia do Indii, Rosji, Chin i na Filipiny. Bardzo to smutne, bardzo. Ale postęp jest smutny, zmiana jest smutna, a dobór naturalny jeszcze smutniejszy. Trudno się dziwić, że postarzały Owen, teraz, kiedy z domu wyprowadziło się ostatecznie z sześciorga dzieci – licząc dzieci obojga, Owena i Julii – zabrał się do malowania, wrażliwy na jego ciszę, stary związek z sacrum, na zapach cierpliwie oczyszczanych esencji i minerałów.

Dzieci dostosowały się; bo dzieci muszą. Rachel i Thomas Larsonowie, dziewięciolatka i siedmiolatek w chwili ślubu Owena i Julii (prosta, ascetyczna ceremonia odbyła się w kościele uniwersalistów w Lower Falls, należeli do innych roczników niż czworo starszych Mackenziech; Larsonowie zachowali we krwi więź z matką, nawet kiedy Julia zdobywała się na ogrom macierzyńskich wysiłków – heroiczny wydatek cierpliwości, uczuć i współczuć – w podejrzanej zazwyczaj roli macochy. Dzieci Owena, z których dwoje było w college'u – a cała czwórka należała do pokolenia przepojonego stoicyzmem i wyrafinowaniem, dla którego rodzinne zaburzenia to zwykła, znana z telewizji strawa – nie bardzo winiły macochę za to, co je spotkało. Tylko mała Ève w tych pierwszych latach zachowywała dystans. Potem, kiedy o dziecko upomniała się płeć – a poza Julią Ève nie znała tu żadnej dorosłej kobiety, do której mogłaby się zwrócić – szybko zbliżyły się do siebie, aż w

wieku szesnastu lat dziewczyna znów się odsunęła, odgrodziła nieuniknioną w tym wieku dyskrecją. Na tym etapie życia, rozmyślał Owen, to czyjeś dzieci stają się nauczycielami w wyrafinowanej sztuce godzenia się z losem – przyjmowania ciosów.

To Julia już wcześniej poznała Haskells Crossing. Pierwszym dekretem, tuż po skończeniu szkoły teologicznej Newtona w Andover, skierowano Arthura do podupadającej parafii episkopalistów w Cabot City, został tam wikarym; spokojniejsza i zamożniejsza parafia Świętego Barnaby w Haskells Crossing stanowiła wówczas przedmiot zazdrości, przypominała zamożnego młodszego brata. Z perspektywy Middle Falls – gdzie nadrzeczna stara fabryka broni znów opustoszała, chociaż nad rampą rozładunkową wciąż widniał znak E-0 Data, a wybrana garstka pracowników znalazła zatrudnienie w Apple – ustronne i zapomniane Haskells Crossing wydawało się baśniową abstrakcją, a dla rozpoczynających nowe wspólne życie Owena i Julii okazało się ideałem. Lecz żadne miasteczko nie jest ustronne dla siebie ani zapomniane przez siebie; mieszkańcy stanowią środek wszechświata. Po dwudziestu pięciu latach Owen i Julia wrośli w ten środek. Są kochającą się parą, lecz nawiedzaną. Owen codziennie myśli o Phyllis, chociaż jej obraz rzadko fatyguje się nocą, nie wdziera się w Owenowe sny; zamiast niej pojawia się wtedy pochodna żonowata oniryczna postać, co do której Owen nie ma pewności po

przebudzeniu, czy to Phyllis czy Julia, czy jeszcze inna kobieta. Niekiedy postać nadzoruje dom, w którym porozrzucane po kątach i podłogach zabawki i poszczerbione talerze pochodzą z pierwszego domu Owena: z domu Isaaka i Anny Rausch przy Mifflin Avenue w Willow. W śnionym domu wszystko, najzwyklejszy, najmniejszy przedmiot i każda stopa kwadratowa chodnika są naładowane znaczeniem. Matka Owena istniała w tym domu jako splot pragnień, jednocześnie żona, dziecko i matka; unosiła się w górze między sufitem a głową Owena, jej głos nieprzerwanie dobiegał ze środkowego planu, gdzie widok z okna zderzał się z widokiem brudnej tapety.

Pod wpływem snu o tym domu Owen przypomniał sobie kiedyś, że matka kupiła środek do czyszczenia tapet, różową substancję przypominającą kit, w cylindrycznym pojemniku jak na płatki owsiane Quaker. Owen z ojcem zostali wyznaczeni do przecierania mięsistą, zbitą w kulę substancją brudnego wzoru na ścianach sypialni rodziców: wielkich żółtych róż na kolczastych zielonych łodygach; kiedy przyszła na niego kolej, Owen uznał pracę za żmudną i bardzo osobistą, bo z nosem tuż przy szorstkich, blaknących włóknach beznadziejnie wielkiej papierowej powierzchni. Niewidzialne pyłki sadzy sfruwające z tysięcy kominów sprawiały, że lgnąca substancja o słodkim zapachu zszarzała. Męczące zadanie, które malcowi wydało się wyróżnieniem, stopniem ku pracom zastrzeżonym dla

dorosłych, Owen zapamiętał jako przykład matczynej gorączkowości, ścierania się z biegiem rzeczy, na który się nie godziła. Zdaniem Owena i ojca tapeta była całkiem czysta.

Owen się zastanawia, w jakiej mierze śmierć Phyllis była samobójcza. Phyllis wybuchła pod koniec rozmowy; spóźniona z tego powodu, nadrabiała na drodze, nie ma co, zabrakło jej nawet czasu na zapięcie pasa; ale taka precyzja – zaaranżowanie poślizgu na mokrych liściach po to, żeby dachować i przetrącić sobie kark – zakrawa na nieprawdopodobieństwo. Po co zresztą kończyć z życiem, skoro miała nową misję: ratowanie Owena przed nim samym i Julią? Nie, to był wypadek, po prostu absurdalny zbieg atomów w czasoprzestrzeni – i w gąszczu sprzyjających okoliczności. Niemniej Phyllis stawiała się dla Owena niewygodna; teraz Owen zgodnie z dawnym przeświadczeniem wie, że życie zaczarowane, błogosławione z wyżyn. Bóg zabił Phyllis przez wzgląd na Owena: przed tą bluźnierczą myślą Owen broni się wyobrażeniem, że Phyllis, piękna matematyczka, skreśliła się, jak skreśla się zbędny wyraz z mianownika i licznika ułamka.

Julia odłożyła do ciemnego kredensu na drugim piętrze zdjęcia i przezrocza z Phyllis robione jeszcze przed nastaniem ery rodzinnych nagrań wideo, natomiast cała czwórka dzieci Phyllis miała prawo do zdjęć matki w swoich pokojach. Wciąż tam są. Owen często im się przygląda, nie amatorskim kolorowym odbitkom, lecz

studyjnym portretem Phyllis w dziewiczym wcieleniu – w ówczesnej sukni o talii osy i poszerzanej spódnicy, z grzywką wyszczotkowaną na błysk – figlarnie patrzącej w bok, do czego zachęcił ją żartem fotograf. Owen wini jej ducha – który niezmienny rośnie w siłę, w miarę jak sił ubywa żywemu – za seksualne niepowodzenia z Julią. Zonę Owena, pięć lat młodszą od niego, wciąż korci; niemal co wieczór Julia przytulaniem lub dociekliwymi pieszczotami przeszkadza Owenowi mościć się do snu. Lecz on, zawsze głęboko przeświadczony, że sen niesie skutki zbawienne dla zdrowia, niezbyt po rycersku łąnie do zbliżającego się stanu niepamięci. Nie powstrzymuje Owena myśl, że wkrótce niepamięć może go ogarnąć na dobre. Serce Owena wciąż bije, prostata wciąż bez zmian, ale zużyły się receptory sygnałów wysyłanych przez Julię. Frustrujące zainteresowanie Julii sprawia jednak Owenowi przyjemność, jest pociechą; co wieczór w chwili, w której książka zaczyna mu ciążyć w rękach, a treść staje się nonsensem, Owenowi przyświeca nadzieja, że spíše się lepiej. I czasem się spíše; wtedy oboje bywają wspaniale wynagrodzeni. Jakże jest piękna w tym mroku, naga! Jakże niegodni piękna i łaski kobiet są mężczyźni!

Bardzo niedawno śniło mu się, że w pomieszczeniu przypominającym szkolną klasę nauczyciel posłał go z ołówkiem i podręcznikiem do Barbary Emerich, samotnie siedzącej w kącie na krześle, w którym jeden z podłokietników z żółtego dębu rozszerza się ku przodowi

i zamienia w pulpit. Kiedy Owen posłusznie podał jej książkę i ołówek, Barbara Emerich skuliła się jeszcze bardziej, zmuszając go tą oporną postawą do podejścia bliżej; poczuł wtedy – to docierało z zacienionej przestrzeni między schyloną twarzą a podołkiem – że dziewczyna chce pocałunku. Oczekiwała pocałunku, ale oczekiwanie sprowadzało się do krnąbrnego bezruchu z zaciśniętymi ustami, do których przywarł słoneczny uśmiech odsłaniający jeden tylko szary przedni ząb. Owen przypadkiem dowiedział się, że Barbara Emerich chorobliwie utyłła, na zjeździe szkolnym pojawiła się, kuśtykając o lasce, za to jej ujmujący szary ząb dawno został zastąpiony nieciekawym mostkiem koloru kości słoniowej; we śnie natomiast wciąż miała gibkie ciało, a ubrana była w prostą bawełnianą sukienkę w jasny kwiecisty wzór, zapinaną z przodu, podobną do sukienek dziewcząt z podstawówki z lat trzydziestych. Choć w dziewczęcej sukience, była jednak dojrzała, miała długie białe nogi, jędrne podbrzusze i umiejętność dorosłych: czekania w bezruchu. W ocienionej przestrzeni między jej piersiami a podołkiem czaiły się pełne napięcia nadzieje; ta przestrzeń była sadzawką, w której Owen chciałby zanurzyć głowę, za co go nagrodzą ciepłe wargi. Budzi się i wie – co potwierdza erekcja – że zachował seksualną żywotność, chociaż seks z Julią musi konkurować ze starczym pragnieniem snu.

Sen o Barbarze Emerich przywołał aurę kobiety, jej klimat, ów obłok powstający w obecności kobiety, kiedy



idzie się z nią ulicą, tyłek w tyłek, a jej długie włosy i spódnica symbolizują pierwotną różnicę, ukrywaną wprawdzie pod strojami czy figowymi liśćmi, lecz wyrażaną bogactwem znaków zewnętrznych, jak jaśniejsza kobieca cera, wyższy, śpieszniejszy głos. W studenckich czasach na MIT, jeszcze przed ślubem, Owen i Phyllis zmordowani wkuwaniem, wieczorami wybierali się czasem do kina przy Central Square czy przy bostońskiej ulicy Waszyngtona; szli trasą tramwaju T, a w tej przechadzce krył się seks, zaimprovizowana wspólna ucieczka, próba rozszerzenia dobrych stosunków, o co ich genitalia lekliwie zabiegały w strefie otwartej miejskiej rozrywki, w strefie życia ulicznego; Owen przepadał wtedy za Phyllis i za tą aurą: oto Phyllis płynie obok niego po chodniku, śpieszą się, żeby zdążyć, potem zgodnie milczą, ona zanurza rękę w pojemniku ze wspólną prażoną kukurydzą – w tamtych czasach robiono tej kukurydzy znacznie mniej; zyski z koncesji nie były dla kin takie ważne – i pozwala, żeby jej skupioną twarz osypały rozbłyski, jak liczne krótkie spięcia – refleksy *Buntu na okręcie* czy *Siedmiu narzeczonych dla siedmiu braci*, refleksy *Okna na podwórze*, *La Strady* lub *Wakacji pana Hulot*.

Z okrucha miasteczkowej mądrości, który Owen przyswajał powoli, wynika, że seks jest świętem, poczynaniem niezmiernie krótkim w bilansach naszego ciała, w porównaniu ze spaniem, zapewnianiem sobie pożywienia czy wznoszeniem obronnych budowli, takich

jak Mur Chiński. Niewierny mężczyzna spotykający się z niewierną kobietą w celu prostym, niebezpiecznym i skandalicznym ma podwyższone ciśnienie, rozszerzone źrenice i miłosny rumieniec na skórze; czyż to nie dowód chwalebnej ekonomii, w przeciwieństwie do cieniutkiej warstwy seksu rozsmarowanej na nie kończącym się małżeńskim obcowaniu?

Tym wydarzeniem – najechaniem na stertę śliskich liści na Old County Road i wypadnięciem z drogi, by wylądować na dachu na skraju szumiącego i rozkołysanego lasu – Phyllis chyba mierzyła w Owena, z charakterystycznym przebiegłym spojrzeniem przez ramię; chociaż Owen wiedział, racjonalną częścią mózgu, że wypadki się zdarzają i tylko dowodzą tępej absurdalności wszystkiego, co istnieje. Mimo to próbujemy nałożyć na otoczenie jakieś wzory znaczeń, jakieś przeplatające się sieci wektorowe, nakierowane z powrotem na ego, *le point de départ*, a może nawet Archimedesowy punkt podparcia, pozwalający podnieść ten splątany, zagracony świat do poziomu formy posiadającej schemat, którą można manipulować.

Kiedy Owen mieszkał w Middle Falls, punktami odniesienia tworzącymi mapę miasteczka były dla niego domy kobiet, którymi się interesował. W tym mieszkała kobieta, z którą się przespał, w innym kobieta, z którą sypiał tylko w fantazjach, natomiast między jednym a drugim punktem były domy niezamieszkałe, żadne, puste przestrzenie oznaczone tak, jak się oznacza interior

Afryki, Pustynię Arabską czy morza południowe. Spacer czy przejażdżka po Middle Falls zapewniały więc Owenowi radość orientacji, radość z tego, że pozycję Owena można określić za pomocą specyficznej kartografii, i wreszcie radość z tego, że Owen jest gdzieś. Takich gdzieś jest w Ameryce coraz mniej, a coraz więcej różnych nigdzie, rozciągniętych przy numerowanych autostradach. Nawet ci, którzy mieszkają przy autostradzie, często nie znają numeru. Chociaż Owen porusza się po Haskells Crossing piechotą czy samochodem dłużej niż po jakiegokolwiek innej przestrzeni, w jego wyobraźni nie powstała jednak tutejsza mapa bądź przedstawiała się ona tak mgliście jak obie Ameryki w szesnastym wieku, które sprowadzały się do garści portów noszących nazwy i z grubsza nakreślonej linii brzegowej, za którą rozciągała się przestrzeń dla szaleńczych marzeń o Eldorado, zamieszкана przez chmary niewiernych dzikusów, kandydatów do likwidacji.

W życiu Owena jest powiększające się zagłębienie; może to nadchodzący kres. Julia nie może go zbawić, chociaż jej widok, ubranej i rozebranej, wciąż go podnosi na duchu. Julia nie może zbawić Owena swym jedwabistym, ochoczym ciałem ani niesamowitymi akwamarynowymi oczami, ani rzeczową chrześcijańską pobożnością, do której i on dołączył, wbrew naukowym instyktom i obojętnemu religijnie wychowaniu. Dziadzio czytywał na trzcinowej sofie Biblię; babcia wierzyła w

diabły i czarownice. Ojciec służył władcom miejscowego kapitalizmu, odwiedzając kościół umiarkowanie, w Boże Narodzenie, Wielkanoc i większość niedziel. To matka Owena była tą, która naprawdę stawiała pytania o kosmos, była niezadowolonym Hiobem, o twarzy czasem zlanej łzami, kiedy dawała wyraz swym zgryzotom; ich źródła Owen nigdy nie poznał do końca. Naszych rodziców widzimy niewyraźnie; są za duzi i za blisko.

W Haskells Crossing i w pobliskiej części Cabot City są publiczne korty tenisowe dla tych, którzy nie mają kortów ani dostępu do country clubu. Widok kortów wyzwała długo tłumione wspomnienie; kiedy Owen miał dziewięć czy dziesięć lat matka o kasztanowych włosach wkłada szorty na coraz pulchniejsze białe nogi: rusza z chłopcem i dwiema raketami o drewnianych ramach tyłami Mifflin Avenue, potem idą przez rozległe sportowe tereny liceum obok bieżni wysypanej żużlem i niewielkich ławek przy stadionie piłkarskim otoczonym żużlowym pasem, potem odsuwają skobel w furtce i wchodzi na publiczne korty w Willow, cztery, ogrodzone ciężką cynkowaną siatką. Próbowali grać, z matką. Żadne nie brało lekcji; irytowało ich, że tyle piłek posyłają niezręcznie w siatkę (a także w ciężkie ogrodzenie, które śpiewało trafione piłką) bądź tak wysoko, że partner nie może ich dosięgnąć, Owen czuł się zażenowany samotną grą z gołonogą postacią o coraz czerwieńszej twarzy w miarę przeciągania się niezdarnych zmagania; tramwaje i samochody zmierzające ku Alton Pike przejeżdżały tak

blisko, że ludzie mogli się pogapić na małego chłopca i dorosłą kobietę nieskładnie usiłujących przebijać piłkę. Dopiero teraz Owen może pojąć matczyne zamiary: chciała powalczyć z wagą, z którą miała coraz większe problemy, i chciała pomóc Owenowi w zdobyciu umiejętności, która może się przydać. Rzeczywiście, w radosnym towarzystwie w Middle Falls Owen sporo grywał, chociaż nigdy nie wypracował dobrego bekhendu; tenisa porzucił wcześniej, w pierwszych latach małżeństwa z Julią, nadwreżył bowiem miesiąc obrotowy, co było bolesne przy serwisie. Ta gra zawsze była jednak dla Owena zabarwiona wstydliwym wspomnieniem, tym publicznym zmaganiem się jego i matki na oczach pasażerów tramwajów i samochodów, żeby przebić piłkę na drugą stronę; włochate piłki (wówczas białe) trafiały w siatkę lub w ogrodzenie, niósł się wówczas głuchy smutny odgłos i była w tym wszystkim jakaś żałosna impotencja. Matka i syn wydawali się tacy zagubieni, na końcu płaskiego szkolnego obszaru złączeni wspólną męką, jak podczas bolesnego porodu Owena.

W końcu umarła, w parę lat po ślubie Owena i Julii; tamtego dnia – tęga i białowłosa – wypadła imponująco na tle garstki gości weselnych w Lower Falls. Już brakowało jej energii, żeby doprowadzić Julię do takich napięć, jakie były udziałem poprzedniej synowej; przeciwnie, nawet nie protestowała, kiedy młodsza kobieta obracała ją i aplikowała masaże, którymi Julia

umiejętnie koła ból osteoporotycznych ramion i karku. Matka nigdy nie lubiła dotykania, a przynajmniej tak jej się zdawało.

– Julio – odezwała się do drugiej synowej – masz dotyk uzdrowicielki. Owen wygląda dużo lepiej, od kiedy jest z tobą. Wcześniej wydawał się taki rozlazły i miał w sobie coś z krętacza, prawda?

– Zawsze go uważałam za przystojnego i uczciwego – odrzekła Julia tonem wykluczającym wątpliwości i zadowolona z siebie zamknęła usta.

To przypominało wizytę Elsie, która energicznie a uprzejmie upokarzała matkę, żądając podzielenia się synem. Kobiety są zaborcze. Świat dzieli się na terytoria kobiet. Uśmiech podobny do uśmiechu Elsie mógł zagościć na wargach Alissy, kiedy jej odległą o parę cali twarz okrywał pot, a szaroniebieskie oczy nabierały atramentowego odcienia. Mawiamy, że mężczyzna posiadał kobietę, lecz to kobieta jest tą biorącą w posiadanie.

Matka Owena schludnie i szybko zmarła na atak serca w swym domku na wsi, wyczerpana sprzątaniami. Stary odkurzacz przepalił się obok ciała leżącego na wyczyszczonym chodniku. Cała czwórka dorosłych, z którymi Owen przeżył chłopięce lata, zmarła ładnie, nie na widoku, jakby chcąc oszczędzić Owenowi przykrości i chronić przekonanie jedynaka, że życie to czar.

Lecz coś zawadza, coś w Owenie jest nie w porządku i wymaga załagodzenia. Owen może powiedzieć „tak

trzymać” o swoim spełnieniu z Julią, o zawinięciu do bezpiecznego portu pantoflarstwa i sowitej emerytury; Owen nie mógłby tak powiedzieć o niepokojach i niezadowoleniu z czasów Phyllis. Z Phyllis, dopasowując się, nie tyle kładli oboje nacisk na świat, ile na własną wzorowość; w ich wieku zawierało się małżeństwa, opuszczało dom i zakładało inny w zgodzie ze zwyczajami społeczeństwa. Z Julią zniszczyli dwa istniejące domy i stali się sprawcami śmierci, chociaż żaden sąd ich za to nie skáže. Art Larson, bo tak się ostatnio przedstawiał, porzucił stan duchowny i cieszy się dobrze płatną pracą specjalisty od promocji i wizerunku w Nowym Jorku, lecz kiedy się pojawia na ślubie dziecka lub pogrzebie drogiego przyjaciela byłej pary, z czasów poprzedzających Middle Falls, szyja Arta pozbawiona pastorskiego kołnierzyka wydaje się dziwnie bezbronna. Włosy straciły ów zdrowy wygląd gęstej kudłatej psiej sierści. Natomiast głos pozostał równie dźwięczny, głęboki i melodyjny jak kiedyś; Art zwracał się do Owena równie łagodnie jak Arthur podczas pierwszego spotkania. Nawet szczątkowa wiara uzbraja wierzącego w fatalizm i skłonność do wybaczenia, co pozwala nie trwonić energii.

Są dwa istotne argumenty, rozważa Owen, przemawiające za prawdziwością religii chrześcijańskiej: po pierwsze, nasze pragnienie, żeby żyć wiecznie, nie oglądając się na to, że doświadczanie wiecznej świadomości mogłoby się okazać nużące, a po drugie,

nasze wrażenie, że coś jest nie w porządku, że doszło do jakiejś wpadki czy pomyłki i ani świat, ani sprawy nie są takimi, jakimi być powinny. Czujemy się stworzeni do lepszego świata, ale to nasza wina, że ten świat nie jest rajem. To drugie może być jako dowód mocniejsze, bo lęk i nienawiść wobec śmierci, podobnie jak ból, można uznać za właściwość służącą przetrwaniu, wybraną i ulepszoną w toku Darwinowskiej ewolucji. Skoro boimy się śmierci, tym bardziej pragniemy żyć. A póki się udaje przekazywać geny, Matka Przyroda nie dba o nasze cierpienia.

Trzeci, nadprzyrodzony argument może być taki – podejźmy doń ze szczyptą soli – że wiara (jeśli pominąć samookaleczenia, męczeńskie samobójstwa czy mordowanie cudzych dzieci jako niezawodny i mało kosztowny sposób wyprawiania do nieba) służy zdrowiu; wielokrotnie potwierdzają to badania medyczne. Wiara uwalniająca od lęku prowadzi do wydajności i sukcesów na skalę światową; lecz ten argument wydaje się Owenowi pragmatyczny aż do chamstwa. Optymizm wiedzie do powodzenia, ale czy to obala majestatyczne prawdy pesymizmu? Ludzkie zwierzę ewoluujące na drzewach, z których spadło, żeby potem uganiać po trawiastych krainach Kenii, doszło do bardzo wysokiej świadomości nieporadnie, bez ułatwień ze strony filozofii. O trzeciej nad ranem w naszych mózgach kłębi się nasze ja i usiłuje wydostać z czegoś, co będzie, jak wiemy, tonącym okrętem. Ale wyskakiwanie z siebie nie jest



sztuką Zachodu. Mury naszej czaszki trwają niewzruszenie i zamykają w sobie nas razem z naszymi lękami.

Owen i Julia, Ignąc do siebie, popadają w coś, co się staje odmianą zdziocinienia – Nie cierpię – mówi Julia – kiedy cię nie ma w domu, nawet jeśli się tylko wybrałeś na golfa.

– Ale jesteś kochana, skarbie. A ja nie cierpię, kiedy grasz w brydża przez całe popołudnie. Wtedy dom się wydaje taki duży. A kiedy jesteś, taki niewielki.

To niezupełnie komplement; Julia śmieje się z prztyczką i przyznaje, owszem, kiedy Owen jest w pokoju, ona zaraz znajdzie pretekst, żeby wejść; kiedy Owen zaszywa się ze swym szumiącym komputerzyskiem, kiedy mierzy się z obwodami, maszyna zaś ma algorytm z prędkością dwustu dwudziestu miliardów cykli na sekundę, przez bramki AND i OR do rozstrzygających IF... THEN... ELSE... , Julia wchodzi zapytać o swoje ubezpieczenie zdrowotne bądź o krzaki cisów i trzmieliny czekające na sekator Owena, bo tylko on je potrafi przyciąć, obdarzony artystycznym okiem; chłopcy od pielęgnowania trawnika pochlastają je jak kiepscy fryzjerzy. Nie przykładają się, jak trzeba; wycinają dziury i zostawiają łyse miejsca, które już nie odrosną. Albo przeszkadza na tarasie, kiedy Owen po raz setny próbuje uchwycić – za pomocą bieli ołowiowej, błękitu kobaltowego, czerni słoniowej i

odrobiny ochry rzymskiej – wygląd deszczowych chmur nadciągających znad morskiego horyzontu, tę ich diabelską niekolorowość oraz tę jednoczesność wyszukanej struktury i chaotycznego oparu; w akwareli to tylko jedno pociągnięcie pędzla po mokrym papierze, ale z olejem jest tak, że pracowicie nawarstwiane maleńkie trójwymiarowe ślady wyschną dopiero jutro. Od wczesnego dzieciństwa Owen chronił się przed niedostosowaniem i przed naporem rzeczywistości, skupiając się nad kartką papieru, nad wycinaną sklejką, nad grudą gliny bądź pod kierunkiem skąpiącego słów Buddy’ego Rourke nad miedzianymi połączeniami wiązki kolorowo oznaczonych przewodów. Julia wszczyna ludzki hałas przeciw temu, że męża zupełnie pochłania to, co nieożywione.

Żeby ją podrażnić, Owen mówi o domu:

– Może jest za duży i powinniśmy go sprzedać.

– Przestań mnie dręczyć; wiesz, jak za nim przepadam. i za tym miejscem. Przepadam też za tobą. Czasami – mówi Julia – patrzę na ciebie, kiedy o tym nie wiesz, i czuję dreszcz, po prostu dreszcz.

– Po tylu latach? – pyta posłusznie Owen. Ich infantylna zgodliwość, wymiana słowo za słowo, tworzy muzykę, w której nigdy nie gaśnie zapał, muzykę pisaną z myślą o tysiącach powtórek.

– Ależ tak – odpowiada posłusznie Julia. – Nawet bardziej niż mniej. Może trochę za to, jak wyglądasz, kiedy myślisz, że nikt na ciebie nie patrzy.

– Więc nie żałujesz, że my... ?

– Nie. Nic podobnego. Jestem zadowolona. A ty?

– Ja też – mówi Owen.

Owen jednak wyczuwa, że Julia coraz wyraźniej dostrzega w nim coś, co wprawiają w popłoch.

– Nie jedz na środku kuchni nad podłogą – wykrzykuje jak zniecka rażona prądem. – Jedz nad zlewem, jeśli już musisz bez przerwy jeść. Nigdy nie widziałam kogoś, kto nieustannie je; nic dziwnego, że wciąż masz straszne zęby.

Jako dziecko, w domu przy Mifflin Avenue, bał się, że może zabraknąć jedzenia, i czasem paradował po domu, pogryzając łądygę selera czy brudną marchew z ogródka, właśnie wyciągniętą z ziemi. Zdawało się, że Phyllis nigdy nie dostrzega nerwowego Owenowego zwyczaju wyciągania z szuflady precli, orzechów i ciastek, którymi zapełniał jakąś świeżo dostrzeżoną gdzieś w środku lukę.

– Nie znoszę jedzenia nad zlewem, czuję się jak pies nad miską – odgryza się.

– No tak, wszędzie nakruszyłeś, po całej podłodze, a nasze panie właśnie skończyły sprzątać.

To dwie brazylijskie imigrantki o ruchliwych szerokich tyłkach: kiedy rozmawiają między sobą, słychać, że język, podobnie jak rosyjski, pełen jest syczących głosek. Owen podejrzewa, że duże kraje są bardziej nieszczęśliwe niż małe: mają więcej obowiązków.

– I nie siorb – powie Julia przy gorącej zupie. Rzadko podaje zupę, a i to jakby chciała go szkolić. – Jesteś okropnie wychowany. O czym wtedy myślała twoja matka?

– Musiała improwizować. Nigdy wcześniej nie była matką. Ciągnęło ją do wielkich rzeczy, a nie do manier przy stole.

– Wszystko się zaczyna od dobrego wychowania – oświadcza Julia, on zaś przyswaja sobie mądrości Julii, ostatniej w szeregu Owenowych instruktorek. – Mój ojciec mawiał, że dobre wychowanie to forma uprzejmości, a uprzejmość to forma dobroci. – Julia nabrała rozpędu. – To samo powtarzam moim wnukom. Przyjrzyj się ich manierom, Owenie, to ci się przyda. One nie siorbią.

Owen przetrząsa wysypisko osobliwości w głowie, chce znaleźć coś na obronę.

– Wtedy lepiej smakuje – wyjaśnia. – W niektórych społecznościach siorbanie uchodzi za komplement pod adresem gospodarza i gospodyni.

– Ale może cieszy cię jednak, że nie jesteś członkiem tych społeczności? I jeszcze jedna rzecz, którą robisz, naprawdę okropna, zauważyłam to wczoraj wieczorem przy kolacji z Achesonami. Nie rozdrabniasz chleba na odpowiednio małe kawałki, tylko majstrujesz przy nim nożem do masła, pac, pac, pac. Dostawałam szału, myślałam, że zabiorę ci ten chleb i już.

– No tak – mówi Owen. – Tak winna wyglądać lekcja

manier, maluczkiem ku pożytkowi.

– Przykro mi, ale tak cię Kocham, że nie mogę patrzeć, kiedy jesz jak zwierzę.

– Wrrrrrr.

– Nie próbuj mnie rozśmieszać, kotku. Nie ma w tym nic śmiesznego. I bądź tak dobry, patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię.

Jeśli Owen zerka w bok, powiedzmy na gazetę na kuchennym stole, w której zatrważające nagłówki wieszczą tragedie międzynarodowe oraz krajowe, robi to z nastawieniem konstruktywnym, w duchu wielozadaniowości, jak te wielkie komputery w złotym wieku podziału czasu. Owen ma wrażenie, że kiedy Julia wyjaśnia szczegóły ubezpieczenia zdrowotnego czy kolejnej podróży do Europy, angielszczyzna w jej ustach ma zbyt rozbudowaną składnię, przez co prosta myśl, którą umysł może ogarnąć w miliardowych częściach sekundy, rozciąga się w parominutowy akapit. Starszy od niego chłopak z Willow, bodajże Marty Naftzinger, który zgłębiał tę problematykę, przekazał mu w zaufaniu następujący okruch miasteczkowej mądrości: „Im więcej dziewczyna mówi, tym chętniej da. One między ustami a pizdą – teoretyzował Marty – mają połączenie przez taki długi nerw w kręgosłupie”.

Z doświadczeń wynikało, że to prawda. Phyllis mówiła niechętnie, jakby jej mową był język liczb bądź jakby przeszkadzała jej fundamentalna nieprecyzyjność mowy; tymczasem Julia już za pierwszym razem, kiedy

poznali się na uroczystości szpitalnego ruchu funduszowego, oszołomiła Owena doskonałością wymowy i olśniewająco pełnymi zdaniami. Dla Julii, jak i jej męża, mówienie było czymś w rodzaju rozkoszy, publicznym dogadaniem sobie; potem Owen głowił się, jak mogło dojść do rozbicia tak dobranej pary. Ale wzorowość jako taka bywa w małżeństwie powodem niezadowolenia i buntu. Amerykanie potrzebują laboratoriów eksperymentalnych w służbie ulepszeń i postępu.

Patrzącego wstecz Owena wzrusza myśl o żonach: w pełni obdarzyły go tym, o co prosił. Phyllis pociągnęła go na wyżyny Cambridge i tamtejszego snobistycznego życia umysłowego, Julia do Haskells Crossing, gdzie pędzi spokojne życie mieszczańskie. Jeżeli jedno i drugie życie jest nie dość pełne – w każdym razie nie takie, jakiego by mu życzyła przeceniająca Owenowe możliwości matka – to przecież samo życie jest niepełne, jest tylko niecierpliwym przybliżeniem. To kulejąca próba, a nie gotowe przedstawienie.

Świat gotów jest dać nam to, czego chcemy, otrzymujemy jednak coś, w czym się odcisnie niedoskonałość świata.

Owen z nostalgią wspomina życie w Middle Falls, jako czarodziejskie zgłębianie swej męskiej natury, lecz zapomina o brudnej i mrocznej odwrotnej stronie medalu: o lęku przed ujawnieniem, o wymuszonej krótkości schadzek, o poczuciu winy, które gryzło mu wnętrzności,

aż skończyło się na zapaleniu żołądka i jelit, o nieprzewidywalnych następstwach. W przypadku Faye to były pogróżki prawne, w przypadku Alissy ciąża. Kiedyś wybrali się z Alissą na schadzkę do rezerwatu Skała Whitefielda, do lasku, do którego Owen trafił kiedyś z Faye za ich cudownym pierwszym razem, lecz teraz, w środku lata, nagą skórę Alissy obsiadły komary. Alissa stała w leśnej kryjówce nad Owenem, on ściągał jej majtki, ale urocze pulchne nogi Alissy wkrótce wyglądały jak włochate, co było sprawką oszalałych maleńkich krwiopijczych stworzeń. Po minucie przejęty litością powiedział: „Chodźmy stąd”. Owen zapomina coraz więcej, lecz wciąż dobrze pamięta, jak usiłował spędzić komary z ud Alissy, a jego kochanka spoglądała nań niepewnie, oczekując przywództwa, seksualnej podniety i bezpiecznego miejsca, w którym mogą być sobą.

Dzieci teraz już nie ma, lecz Julia i Owen wyczuwają w domu inną obecność: to zbliżająca się śmierć. A przed nią, jeśli będą mieli pecha, alzheimer z jego idiotycznym życiem-nieżyciem. Oboje czegoś zapominają, ona – co miała kupić, on – nazwisk, szczególnie ich przyjaciół z Haskells Crossing i z Haven-by-the-Sea. Wygląda na to, że przetrwały nazwiska, które zagnieździły się w pamięci dawniej; kiedy patrzy na pozwijaną, kruchą fotografię drugiej klasy z Willow, napływają mu na myśl nazwiska, rząd za rzędem, bez żadnej luki, natomiast spotkany na ulicy wczorajszy partner do golfa z niczym się nie

kojarzy, chociaż Owen znakomicie sobie przypomina wybicie – sępie przygarbienie i widowiskowy rogal. Były prezydent Reagan ciężko unosi się nad niemowlęcym nowym tysiącleciem: ów aktor o ochrypłym głosie, przystojny komiwojażer, wciskacz kitu, który wmówił biednym, żeby głosowali ramię w ramię z bogatymi – jakby sami byli bogaci – stał się oparem, czystą egzystencją nie obciążoną żadnym wspomnieniem ze swego barwnego życia, nawet nie znającą imienia wiernej żony, tymczasem jego nazwisko, dzięki wdzięcznej mu partii, zostało nadane stołecznemu lotnisku, w śródmieściu zaś ogromnemu budynkowi z równie niejasnych powodów. Reagan straszy narodowe miasteczko: przestrzega nas przed tym, co może się zdarzyć, nawet jeśli będziemy starannie przystrzygać krzaki, jeździć konno i wysypiać się do woli. W Pensylwanii mawiano, że starzy ludzie „wracają” – czyli cofają się do niemowlęctwa. Owen i Julia już zmierzają w tę stronę, używają dzieciennych głosek, dotykają się nawzajem, jakby się chcieli orientować w ciemności, sprzecząją się jak para tukanów w dżungli, które potem odlatują, idealnie niepamiętliwie jednomyślnie.

Stare pytanie Owena – dlaczego ta anonimowa, paradygmatyczna kobieta zgodziła się pozować do nieprzyzwoitego obrazka wyrytego na tylnej ścianie szopy ze sprzętem przy placu zabaw – wciąż się nie może doczekać zadowolającej odpowiedzi. Może pytanie należy do rzędu nienaukowych, więc nie zasługuje na



odpowieź, jak pytania „Dlaczego coś istnieje?” i „Czym jest ciążenie?” Julia przyjmuje irytująco surowy punkt widzenia: kobiety są niewolnicami świata i w końcu muszą robić wszystko, czego zażądają mężczyźni. Jak zauważyła Alissa, pytanie „Dlaczego rypią mężczyźni?” nie pada nigdy. Może pytanie „Dlaczego robią to kobiety?” pojawiło się w głowie Owena pod wpływem dziecinnego przeceniania dystansu między mężczyznami i kobietami. Nie miał sióstr; bał się matczynego wigoru; szeroki chodnik biegnący przez środek wysypanego tłuczniem placu zabaw przy szkole podstawowej w Willow służył segregacji płci. W kilkadziesiąt lat później Owen przeczytał, że podczas eksperymentu na białych myszach posegregowanych według płci, oddzielonych siatką pod napięciem, samce cofały się po pierwszym poważnym wstrząsie, natomiast samice rzucały się na druty aż do śmiertelnego porażenia.

Wcześniej wyczuł, że kobiece natury są bardzo mocne, skoro potrafią wypatrzyć seks wśród niebezpieczeństw tego świata, w obliczu tylu przezornych społecznych hamulców. Siła, która rozkłada nogi kobiet, bierze górę nad skromnością, rozwagą i zdrowym rozsądkiem. Kobiety – tak się przedstawiał prowizoryczny wniosek Owena – rypią się, ponieważ, jak mężczyźni, wpadły w pułapkę wszechświata biologii, w którym gatunki rozmnażają się albo giną; w owych ginięciach, nieprzeliczonych śmierciach mają udział te same cechy, które są udziałem ocalałych: wigor,

szybkość, przebiegłość, mimikra. Seks to zaprogramowane delirium, które odsuwa śmierć za pomocą jej własnej substancji; to czarna przestrzeń między gwiazdami obdarzona słodką substancją z naszych żył i szczelin. Sławione są części ciała, które nasza konwencjonalna przyzwoitość mieni wstydliwymi. Mówi nam się, że lśnimy, że jesteśmy wspaniali i że nasze nagie ciała, którymi zostaliśmy obdarzeni w krwawym momencie narodzin, zawierają wszelkie odpowiedzi, których ten inny, ta inna, łakną teraz i zawsze.

Owen – o trzeciej nad ranem przewracający się z boku na bok w zmiętej pościeli, niezdolny trafić do wrót uzdrawiającego samozapomnienia, dziś tak bliski śmierci jak wówczas babcia przy Mifflin Avenue, chociaż większy niż ona sceptyk, a mniej pilny czytelnik Biblii – widzi, jak w głębi oświetlonej nagle studni, że jego zaczarowane życie było jedną długą udawką, pasmem strachu, pożądania, ambicji i poczucia winy. Kiedy przygląda się sobie samemu z Middle Falls, nie może się nadziwić: co go pchnęło do tyłu ryzykownych wyskoków, co nakłoniło do takich łamańców? Był marionetką, której sznurki przeciął teraz wiek. Nawet próby masturbacji już kończą się niczym; wyobraźnia przywołuje te zawilżenia, dobrze znane zanurzenia, te groteskowe pozycje ulegania, ale kiedy już prawie się udaje, kiedy już ma go w ręce, to temperatura, wyrazistość, czy co to tam ma być, nieoczekiwanie się wymyka. Piorunująca mieszanina

brutalnych ruchów i sentymentalnych złudzeń rozprasza się. Tajemnica znika. System wysiada. Parametry działania, niegdyś o tak szerokim spektrum, są teraz przestrzenią pełną zmęczenia i mieszanych uczuć, kurczą się. Po drugiej stronie pielgrzymki marnieją orgazmy z okresu dorastania, wzbudzane samemu. Od dawna żaden nie był ucieczką tak intensywną, tak absolutną. Owen podobnie postrzega sprzęty w swym olśniewająco białym nadmorskim domu, sztywne meble i lśniąca zastawę; nie może na nich wyczarować bożonarodzeniowego blasku, tego podniecenia, tej metafizycznej niecierpliwości, których liche proste rzeczy w domu dziadka – mosiężne świeczniki, haftowane bieżniki na stole, kilka marnych książek, zabawek i waz – nabierały w sączącym się przez okno słabym świetle grudnia.

Tym, co mu pozostaje, są chwile, które darzy czułym szacunkiem, przeżyte nago lub blisko nagości. Vanessa zawsze osiągała orgazm, ale dochodziła do niego z werwą, nawet z jakimś lekceważeniem, w przeciwieństwie do Alissy, kwilącej, ssącej rozwiązłe palec, kiedy kaskadami napływały spazmy, co w końcu zawsze na nowo wydawało się niespodzianką. Kochana Faye, aż do końca najwyraźniej flirtowała, ale z zaraźliwą, niewinną radością, przez co tak łatwo ją było kochać. Karen to było zero problemów; dla kogoś z jej pokolenia to nie była żadna wielka historia, jak przerwa na kawę lub coś w rodzaju przeciągnięcia się i gimnastyki po zbyt długim zasiedzeniu w samolocie. Nie, to

niesprawiedliwość. Karen, lecz i Jacqueline, i Antoinette, i Mirabella, zwłaszcza Mirabella z tapirowanymi włosami, wносиły do tego aktu, do tej najwspanialszej interakcji, wartość transcendentną. Ludzie muszą być romantyczni albo nie zdołają się wznieść ponad śmiertelnie poważną kopulację owiec czy wiewiórek. W niecierpliwym przyzwoleniu Phyllis – „Po prostu zrobmy to” – w domku na Cape Cod przesiąkniętym słonym powietrzem i sosnową żywicą, może niepotrzebnie zabrzmiał ton urazy, niemniej to Phyllis pozwoliła mu wejść do królestwa, w którym jego własna tajemnicza egzystencja nie wymagała żadnych wyjaśnień. Na chwilę sprawy stają się jasne. Przeszłość Owena jest jak płatek ciemnoniebieskiej bibułki oglądany pod światło: przekłute dziurki lśnią – te gwiazdy to kobiety, które dały mu się przerznąć.

Pewien samotnik mieszkający na uboczu napisał: „Nie wiemy, gdzie pędzimy egzystencję. Nadto prawie połowę naszego czasu twardo przesypiamy. Mimo wszystko jednak uważamy siebie za ludzi mądrych i na zewnątrz trzymamy się ustalonego porządku”<sup>1</sup>. Ów na zewnątrz ustalony porządek czyni możliwymi ludzkie konfiguracje i chwile czułego szacunku. Życie to coś szalonego. Miasteczka są po to, żeby powściągać to szaleństwo – ukrywać je przed dziećmi, korkować w butelce na prywatny użytek; żeby ogładzić porywy szaleństwa i zamienić je w obyczaje; żeby chronić nas przed ciemnością zewnętrzną i ciemnością w nas samych.

# PRZYPISY OD TŁUMACZA

## Rozdział 1

<sup>1</sup> Oficjalny przydomek Pensylwanii to Keystone State – (dosłownie zwornik sklepienia lub mostu), idiomatycznie równoważny z kamieniem węgielnym.

<sup>2</sup> W oryginale „Yoder”, od dziesiątej litery hebrajskiego alfabetu.

## Rozdział 3

<sup>1</sup> Punkt wyjścia (fr. ).

<sup>2</sup> „Bramini” – ściśle określona grupa najstarszych rodzin bostońskich wywodzonych od założycieli miasta; swoista arystokracja amerykańskiego społeczeństwa.

## Rozdział 4

<sup>1</sup> *Forever Amber* – bestsellerowa powieść Kathleen Winsor, z 1944 roku, sławna także ze spalenia na ulicach Bostonu z racji śmiałości obyczajowej; akcja toczy się w Anglii za panowania Karola II; *Rage to Live* – głośna powieść Johna O’Hary z 1949 roku, panorama społeczeństwa amerykańskiego; *The Amboy Dukes* – powieść Irvina Shulmana, prozaika i znanego scenarzysty (między innymi scenariusz *Buntownika bez powodu* z

Jamesem Deanem) o członkach gangu; po latach jej tytuł posłużył za nazwę znanej grupie rockowej z Chicago.

<sup>2</sup> Typowa reklama amerykańskiego fryzjera to wirujący walec, spiralnie pomalowany w białe i czerwone pasy.

## Rozdział 5

<sup>1</sup> Grymas (fr. ).

<sup>2</sup> Tutaj „rozmaitość” to termin topologiczny; oznacza szczególny fragment przestrzeni o właściwościach ujmowalnych prościej niż właściwości całej danej przestrzeni (na przykład fragment dwuwymiarowy zanurzony w przestrzeni trójwymiarowej).

## Rozdział 7

<sup>1</sup> SAGE (mędrzec): Semi-Automatic Ground Environment.

<sup>2</sup> SABRE (szabla): Półautomatyczne środowisko zbierania informacji dla przedsiębiorczości.

<sup>3</sup> W słownictwie komputerowym chodzi o defekt programu i usuwanie usterek.

<sup>4</sup> Wspólny język nastawiony na sprawy przedsiębiorczości.

<sup>5</sup> „Jesteśmy najlepsi w świecie”.

<sup>6</sup> „Cel” i „myśliwiec”.

## Rozdział 8

<sup>1</sup> Brandy stinger – koktajl, w którym łączy się brandy z białym crème de menthe; old-fashioned – do tego koktajlu używa się burbona, angostury, lodu i cukru.

<sup>2</sup> Utwór Johna of Fornsete *Nadchodzi lato*, kanon wokalny z początku trzynastego wieku.

<sup>3</sup> „Incydent w Zatoce Tonkińskiej” prawdopodobnie został wyreżyserowany przez amerykańskie władze.

<sup>4</sup> W Stanach Zjednoczonych Święto Pracy przypada na pierwszy poniedziałek września.

## Rozdział 9

<sup>1</sup> Pozornie ubogie.

<sup>2</sup> Reuben – kanapka na gorąco z listkami pastrami i serem, z dodatkiem kapusty.

<sup>3</sup> Woodrow Wilson (1856-1924) – prezydent Stanów Zjednoczonych 1913-1921; Charles Wilson (1869-1959) – fizyk, laureat Nagrody Nobla; Don Wilson (1945-1974) – znany bejsbolista.

<sup>4</sup> Walt Rostow (1916-2003) – socjolog, ekonomista, polityk; doradca prezydentów Kennedyego i Johnsona.

<sup>5</sup> 14 stycznia 1967 r. w dzielnicy Haight-Ashbury w San Francisco odbyło się The World's First Human Be-In (Pierwsze Światowe Połączenie Człowieka) – dzień ten przyjmuje się za początek ruchu hipisowskiego, a ogłoszony wówczas przez Timoty'ego Lears początek ery

miłości zaowocował „latem miłości” i pojawieniem się dziesiątek nowych zespołów muzycznych.

## Rozdział 10

<sup>1</sup> CVS (Concurrent Versions System) – kontroluje kolejne wersje projektu informatycznego. CVS zachowuje historie modyfikacji kodu, dzięki czemu pozwala łatwo odnaleźć wersję, w której powstał błąd. Działanie CVS nadzoruje pracę zespołową, kiedy modyfikacji tej samej części kodu mogą dokonać różne osoby.

## Rozdział 11

<sup>1</sup> Wśród pierwszych amerykańskich osadników znaczącą grupę stanowili purytanie wygnani z Anglii. Nie uznający w Kościele hierarchii, należeli do reformacyjnego radykalnego nurtu kongregacjonalistów, przeciwstawnego wobec episkopalistów – uznających władzę biskupią i hierarchiczność.

Thomas Cranmer (1489-1556), współtwórca Kościoła anglikańskiego, współautor protestanckiego modlitewnika The Book of Common Prayer, arcybiskup Canterbury, który unieważnił dwa małżeństwa Henryka VIII, należał do episkopalistów. Po wstąpieniu na tron katoliczki Marii Tudor spalony na stosie.

<sup>2</sup> Palo Alto Research Center.

<sup>3</sup> George Boole (1815-1864) – jeden z twórców



nowoczesnej logiki matematycznej.

<sup>4</sup> Kolejno: miesiąc dwugłowy uda, miesiąc pośladowy wielki, przywódziciel długi.

<sup>5</sup> DEP – Digital Equipment Corporation; firma Kena Olsena i Harlana Andersona wprowadziła na rynek udane, popularne do końca lat siedemdziesiątych komputery szeregu PDP (Programmable Data Processor). PDP-1 z 1960 roku kosztował 120 tysięcy dolarów. PDP-8 z 1965, jeden z najlepszych, pierwszy minikomputer sprzedawany masowo, kosztował w najprostszej wersji 18, 5 tysiąca dolarów. PDP-11 z roku 1970 był produkowany do roku 1990; prasa komputerowa zapewnia, że do dzisiaj używa się tysięcy tych urządzeń.

<sup>6</sup> Podział czasu (*time-sharing*) – sposób pracy systemu komputerowego, umożliwiający przeplatanie w czasie dwóch lub więcej procesów na jednym procesorze.

<sup>7</sup> Meriwether Lewis (1774-1809) i William Clark (1770-1838), wojskowi i podróżnicy, odbyli w 1804 roku sławną wyprawę przez kontynent północnoamerykański; wyniki posłużyły do stworzenia amerykańskiej sieci komunikacyjnej.

<sup>8</sup> Altair 8800 – mikrokomputer firmy MITS sprzedawany od 1975 roku; jeden z pierwszych mikrokomputerów produkowanych seryjnie; wielki sukces rynkowy. Jeden z jego poprzedników, Mark 8, sprzedawany był wyłącznie w formie dokumentacji oraz zestawu płyt drukowanych. Użytkownik składał urządzenie samodzielnie.

<sup>9</sup> Radio Shack – sieć sklepów z tanią elektroniką, należąca do firmy Tandy. Tandy TRS-80 – komputer skonstruowany pod koniec lat siedemdziesiątych z myślą o klientach tej sieci.

<sup>10</sup> Pong – konsola do gier.

## Rozdział 12

<sup>1</sup>W oryginale *white-flight*: mieszkańcy wielkich miast przenoszący się na prowincję lub do suburbii w poszukiwaniu bardziej przyjaznych warunków życia, przy czym nazwa dotyczy białych, przenoszących się z wielkomiejskich obszarów zamieszkanymi w znacznej mierze przez niebiałych w okolice zamieszkałe tylko przez białych.

<sup>2</sup>Robert Craig Knievel (ur. 1938), o przydomku Evel, przeinaczonym na „Evil” – utalentowany skoczek narciarski, skoczek o tyczce, hokeista, awanturnik, który w latach sześćdziesiątych XX wieku zasłynął jako motocyklista-kaskader, znany z rozreklamowanych skoków na odległość, w tym próby skoku przez Snake River Canyon (rekord: przeskoczenie 14 autobusów greyhound); wykazał się żyłką przedsiębiorcy, który popularność sportową zamienił w rynkowy sukces, a potem w bankructwa. Kilkakrotnie trafiał do Księgi Guinnessa, w tym z powodu połamania łącznie trzydziestu pięciu kości.

<sup>3</sup> Leonhard Euler (1707-1783) – działający w

Petersburgu i Berlinie szwajcarski fizyk i matematyk o ogromnym dorobku; w matematyce między innymi twórca teorii funkcji, ciągów i szeregów.

## Rozdział 13

<sup>1</sup> High Church, Low Church, Broad Church – nurty Kościoła anglikańskiego. Wierni High Church cenią rolę duchownych, kościelnej hierarchii, rolę sakramentów, nie wykluczają kultu Matki Boskiej; ten nurt anglikański jest stosunkowo najbliższy katolicyzmowi.

<sup>2</sup> Pierwszy list do Koryntian; 15, 51 (cytat za Biblią Tysiąclecia).

<sup>3</sup> Pierwszy list do Koryntian; 15, 32 i 15, 33 (cytat za Biblią Tysiąclecia; fragment w cudzysłowie to zawarte w liście przytoczenie z Menandra).

<sup>4</sup> Bumpy w ustach dziecka może oznaczać „kluczę” czy „pulpet”, ale „bumptious” to już przemądrzalec. Muffin – rodzaj babeczki; Snuggles – przytulanka, Bunch – pęk, bukiet, kiść, także grono w społecznym znaczeniu, „paka”.

<sup>5</sup> W oryginale „chuck”, co także oznacza poklepywanie pod brodą.

## Rozdział 14

<sup>1</sup> Henry David Thoreau, *Walden, czyli życie w lesie*, przekład Haliny Cieplińskiej, Dom Wydawniczy REBIS,

Poznań 1999.